

S. A. Swann

# WILCZY AMULET

*Wolf's cross*

Przełożył

Marek Pawelec



*Książkę dedykuję  
Lynn i Lucy w podziękę  
za pchnięcie mnie do pracy.*

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

**Anno Domini 1353**

# I

Brat Josef myślał, że widział już piekło. Było w czarnych wrzodach, które oblepiły jego ojca, matkę, siostry i brata. W lekarzach, którzy uciekli, widząc, jak wychodzi z ogarniętego zarazą domu. Widział je w twarzach osób chodzących po ulicach Norymbergii z żarzącymi się wiązkami aromatycznych ziół, mających odpędzić plagę lub przynajmniej zamaskować wszechobecny odór śmierci. W stertach ciał porzuconych na uboczu, bo brakowało rąk, które mogłyby je pochować. Zobaczył je w poczerniałej twarzy ukochanej kobiety, pozostawionej, by umarła samotnie w rodzinnym domu.

Jednak kiedy wstąpił do zakonu, przekonał się, że piekło może przybierać wiele form.

Z woli Boga i przełożonych swoją probację, czyli okres próbny przed właściwym nowicjatem w zakonie, odsłużył pod komendą komtura Heinricha, prowadzącego konwent wojowniczych mnichów przez ledwie oswojone, półdzikie tereny Prus. Komtur Heinrich zajmował w zakonie wyjątkowe miejsce, a jego ludzie określani byli w zakonie mianem, którego Josef nie słyszał nigdy wcześniej: *die Wolfjäger*.

Nawet noszony przez nich herb różnił się od powszechnie stosowanego w zakonie: w lewej górnej ćwiartce, wyznaczonej przez czarny krzyż zakonu krzyżackiego, znajdowała się odcięta głowa wilka.

*Die Wolfjäger* nosili też nietypową dla zakonu broń: mniejsze jej elementy, takie jak sztylety czy groty bełtów do kusz, w całości wykonane były ze srebra. Topory i miecze robiono ze zwykłej stali, ale ich ostrza srebrzono.

Nie do niego należało kwestionowanie wyznaczonej roli i zaczął ją rozumieć dopiero wówczas, gdy zobaczył pierwsze ślady tego, co tak naprawdę tropili „łowcy wilków”.

Wiedział, że ich przeciwnikiem jest jakiś rodzaj demona, ale będąc jeszcze blisko „świata”, spodziewał się, że „demony”, na które polowali, będą przypominać ludzi. W głębi duszy, wciąż targany wątpliwościami, bał się, że mogą przypominać Żydów. Wiedział, że Żydzi nie byli odpowiedzialni za plagę, która spustoszyła kraj. W najgorszych chwilach epidemii w norymberskiej synagodze panowała równie martwa cisza jak w katedrach.

Nie powstrzymało to jednak zamieszek na terenach wiejskich, gdy w żalostnej próbie oddalenia od siebie śmierci przerażeni chłopcy palili Żydów niczym mieszkańcy miast kadzidła. Rzezi nie zdołały zatrzymać nawet dekrety papieża Klemensa VI.

Josef nie wierzył, by członkowie zakonu, którzy poświęcili się Chrystusowi i papieżowi, mogli dać się zwieść tak łatwo. Kiedy jednak Heinrich mówił o demonach kroczących w postaci człowieka, tak bardzo przypominało mu to retorykę, którą słyszał w szczycie śmiertelnego żniwa, że zastanawiał się... i karmił za wątpliwości. Do tego miejsca doprowadziła go wiara i nie wierzył, by jego służba Bogu mogła zostać tak bardzo poniżona.

Wkrótce też Bóg i jego komtur uznali za stosowne przedstawić mu dowody istnienia demonów, na które polowali wolfjegrzy, i okazało się wtedy, że nie są to ludzie: ani chrześcijanie, ani Żydzi.

Nie był gotów, gdy komtur Heinrich zatrzymał ich przed bezimienną wioską, w której nikt nie skosił porośniętych chwastami pól. W pierwszej chwili Josef pomyślał, że trafili na kolejne ognisko zarazy, która znalazła sobie nowe tereny na północy. Potem jednak usłyszał słowa Heinricha:

- Ci z was, którzy są nowi w tej służbie, niech uważnie obserwują to, co tu znajdziemy. Trafiliśmy na świeży trop demona.

Jechali dalej w milczeniu i - w przeciwieństwie do ogarniętych zarazą wiosek, które Josef widział, gdy w końcu opuścił rodzinne domostwo w Norymberdze pierwsze zwłoki, jakie zobaczył, należały do zwierząt. Na nieskoszonym polu leżały ścierwa owiec i wołu, czarne od much. Pomimo rozkładu padliny Josef nie miał wątpliwości, że zwierzęta zginęły gwałtowną śmiercią, a nie od choroby. Części ciał leżały porzucane, co uniemożliwiało dokładną ocenę liczby zewłoków.

Zatrzymali się przed domem z wyłamanymi drzwiami. Próg spryskany był krwią, jakby drzwi z anioła śmierci. Wewnątrz panował chaos - krew, kawałki mebli i złamany sierp z ostrzem splamionym krwią i klaczkami jasnej sierści.

Nie zobaczył żadnych ciał.

- To tu było - oświadczył komtur Heinrich, zwracając uwagę na krwawy odcisk na klepisku chaty, gdzie ślady nie zostały starte przez deszcze.

W glinie odcisnięty był ślad wilczej łapy, ale o tak wielkim wilku Josef nigdy nie słyszał. Do zakrycia śladu z ledwością wystarczyłaby osłonięta rękawicą dłoń rosnącego mężczyzny.

- Jakież to wilk zostawił te ślady? - zapytał Josef.

- Wilczy miot - odpowiedział Heinrich. - Pomiot z głębi piekieł. Bestia przybiera ciało wilka, ale chodzi - i myśli - jak człowiek. Może wedle woli ukryć się w ludzkiej skórze i

obojętna jest na wszelkie rany poza tymi, które natychmiast prowadzą do śmierci, oraz zadany mi srebrną bronią. - Heinrich podniósł sierp i obrócił się do Josefa, przybierając przez chwilę, w mroku chaty, wygląd samego anioła śmierci. - To bezskuteczna broń, bezużyteczna, chyba że pierwszym uderzeniem zdoła się odciąć łeb bestii.

- Ale gdzie są ciała wieśniaków? - zapytał Josef, bojąc się odpowiedzi.

\* \* \*

Znalazł ją w wioskowym kościele.

Z początku, gdy zbliżali się do tej małej budowli, Josef myślał, że parapety okien, dach i krzyż, ustawiony z przodu, zostały przybrane na czarno na znak żałoby. Dopiero gdy podeszli bliżej, zobaczył, że czerń się porusza.

Wszystkie poziome i połogie powierzchnie kościoła obsiadły gawrony. Mroczne ptaszyska siedziały tak blisko siebie, że Josef nie potrafił rozbić wzrokiem ich gęstwy na poszczególne sztuki. Stały się jedną czarną masą o dziesięciu tysiącach głów i dziesięciu tysiącach dziobów. Ptaki jednocześnie odwróciły głowy w stronę zbliżających się rycerzy, po czym, jakby na jakiś diabelski sygnał, wystartowały równocześnie z ogłuszającym wrzaskiem i grzmotem bijących w niebo skrzydeł.

Na chwilę słońce skryło się za czarną chmurą. Potem piekielne kłębowisko znikło, odsłaniając widok uczty, która przyciągnęła tu gawrony.

Wszystkie ciała zaciągnięto do kościoła i rzucono przed ołtarz. Choć padlinożerne ptaki nie zostawiły z wieśniaków wiele więcej niż ścięgna i kości, panujący wewnątrz smród był równie koszmarny jak ten, którego Josef zaznał w Norymberdze. Ze względu na stan, w jakim natura pozostawiła kości, to miejsce mogło być pozostałością kolejnej wioski pochłoniętej przez zarazę - i to wyjątkowo zjadliwą.

Gdyby nie ślady ciągnięcia na ziemi...

Ludzi zabito gdzie indziej i metodycznie przywleczono tutaj, rzucając trupy przed ołtarz. Może najbardziej uderzający w tym wszystkim był widok małego obrazu Madonny z Dzieciątkiem, których twarze wyszarpano szponami.

Josef zrozumiał wtedy, że naprawdę mają do czynienia z demonem.

\* \* \*

Szli jego tropem przez trzy dni, podążając przez pruską dziczą. Josef dziękował Bogu, że nie natknęli się już na żadne szczególne potworności, choć samo w sobie również to było niepokojące. Oznaczało, że ich przeciwnik - ten wilczy miot - nie działał przypadkowo, na

oślepi czy w pośpiechu. Zaplanował zniszczenie tamtej wioski i metodycznie wprowadził ten zamiar w życie.

W miarę jak podążali jego tropem, Josefa zaczęła niepokoić myśl, że ślad potwora był świeższy niż pozostałości zbrodni w wiosce, jakby to, na co polowali, czekało, by myśliwi wpadli na jego trop.

Mimo wszystko ich zdolność tropienia nie była doskonała i w tej chwili właśnie stali pośród lasów, czekając na podjęcie decyzji o kierunku dalszego marszu.

Tutejsze lasy są bardzo mroczne - pomyślał Josef.

Siedział w siodle wierzchowca, jak pozostali bracia zakonu na probacji, tworząc rząd dziesięciu ludzi z niepełnymi krzyżami na tabardach. Z przodu stali przy koniach trzej rycerze i komtur Heinrich, radząc po cichu o kierunku dalszego polowania.

Ślady, za którymi podążali, doprowadziły ich do wiodącej przez las ścieżki, która zmieniła się teraz w ledwie widoczny szlak dzikiej zwierzyny. Okoliczne lasy nie były gęste i konie mogły wędrować między drzewami, jednak dotarli do miejsca, w którym ich swoboda ruchów stała się wyraźnie ograniczona. Samo zawrócenie wierzchowca mogło być wyzwaniem, wymagało bowiem omijania konarów i opadłych gałęzi, a szybkość wędrówki spadła do tempa piechura.

Teraz całkiem się zatrzymali.

Słońce nad nimi już prawie opuściło niebo, a drzewa pogrążyły się w półmroku.

Gdzie my jesteśmy? - pomyślał Josef, nie chcąc wypowiadać tego pytania w panującej wokół nienaturalnej ciszy. Otaczający ich las był cichy niczym grobowiec czekający na trupa. Jedynymi dźwiękami były przyciszone głosy koło komtura Heinricha oraz przytłumione uderzenia i szuranie kopyt w pokrywających ziemię opadłych liściach. Czekając na decyzję komtura, Josef trzymał przed sobą napiętą i załadowaną kuszę. Minęło już prawie pół godziny od chwili, gdy się zatrzymali, i ręce mu mdlały od trzymania ciężkiej broni.

Czyżbyśmy po tym wszystkim jednak stracili jego trop?

Nawet jako neofita w grupie wolfjegrów i w zakonie widział już dość czynów ściganego stwora, by wątpić, że taki ślad da się łatwo zgubić.

Bestia, na którą polowali, nie dbała o ukrywanie swoich tropów ani o ostrożność. Jej szlak znały ślady krwi, strzępy włosów i kości. Znakami zła były trupy ludzi i zwierząt. Stwór wcale nie starał się utrudniać tropienia.

Wcale go nie zgubiliśmy - pomyślał. - I to nie my go tropimy, ale on sam nas prowadzi.

Josef rozejrzał się wokół, ale las stał się nieprzenikniony, okryty wieczornymi cieniami.

- Bracie Heinrichu! - zawołał.

Jego wierzchowiec położył uszy po sobie i zarżał z przerażeniem. Nagle wszystkie konie się spłoszyły, a zwierzę Josefa zaczęło się cofać. Ponieważ obiema dłońmi dzierżył kuszę, nie mógł chwycić wodzy ani łęku, by utrzymać się w siodle. Zanim spadł z końskiego grzbietu, jego wierzchowiec obrócił głowę w bok, ukazując spieniony pysk i szeroko otwarte, białe z przerażenia oko.

Josef runął na ziemię, na chwilę ogłuszony. Usłyszał warkot, który wydawał się dochodzić ze wszystkich stron równocześnie, i nagle zrozumiał: to jest tu.

Kiedy niezdarnie sięgnął w prawo, w stronę upuszczonej kuszy, usłyszał krzyk ludzi. Otaczający go rycerze próbowali odzyskać kontrolę nad wierzchowcami, ze wszystkich sił starając się ustawić w pierścień. Koń Josefa zerwał się i pobiegł wąską ścieżką, mijając komtura.

Zwykle kamienne oblicze Heinricha przybrało mimowolnie wyraz zaskoczenia. *Nie spodziewał się, że to coś nas zaatakuje.*

Josef znalazł swoją kuszę i dźwignął ją, kierując w stronę największego kłębowiska ludzi i zwierząt, ale na drodze stanął mu wierzchowiec jednego z braci. Zobaczył przebłysk czegoś dużego, poruszającego się z niewiarygodną prędkością, po czym jeździec zachwiał się w siodle i spadł niemal u jego stóp. Nie miał sporej części gardła.

Koń cofał się przed tym czymś, a to coś zawył, wydając piekielny dźwięk, po którym zabrzmiał odgłos miażdżonego i rozrywanego ciała. Koń opadł na przednie nogi. Josef się cofnął, szukając celu nad zwierzęciem padającym trupem w szybko rosnącą kałużę krwi.

Stwór poruszył się za nim. Słyszając warkot, Josef wykręcił się w miejscu na czas, by zobaczyć, jak spada na niego ciało kolejnego jeźdźca. Padł pod ciężarem jęczącego towarzysza i krzyknął na całe gardło:

- Gdzie to jest? Gdzie to jest?

Wyturlał się spod ciała współbrata i znalazł się twarzą w twarz z odpowiedzią na swoje pytanie.

Stwór był o głowę wyższy od każdego z ludzi Heinricha i miał łeb dwukrotnie większy niż jakikolwiek wilk. Jego mięśnie prężyły się pod splamionym krwią futrem. Stał na nogach zakrzywionych jak u wilka, a jego demoniczne, szponiaste łapy napinały się i wyciągały w stronę Josefa.

Gdy to skoczyło ku niemu, podniósł kuszę, skierował ją w stronę zbliżającego się potwora - z krótkim błaganiem do Boga. Wypuścił powietrze z płuc i poświęcił dodatkową sekundę na celowanie, choć każdy mięsień w jego ciele krzyczał, by wystrzelił już!

Wycelowawszy wprost w jedno z jarzących się, niebieskich ślepi, pociągnął dźwignię



spustu, wiedząc, że ma tylko tę jedną szansę na uratowanie siebie i towarzyszy. Bełt wbity w mózg zabiłby tego stwora raz na zawsze.

Jednak nic się nie stało.

Miał tylko ułamek sekundy na zrozumienie, że cięciwa kuszy pękła w chwili upadku z konia. Bełt spoczywał na łożu bezwładny i beużyteczny.

Potem potwór wylądował na nim, rzucając go o ziemię i drąc jego kolczugę. Bestia swoją masą wbiła się w dolną część jego ciała, przyciskając mu nogi i wgniatając paszczę w brzuch. Wrzasnął, jakby przeciwnik wdarł się już w jego wnętrzności, choć jakaś część jego mózgu wiedziała, że stwór wciąż jeszcze zмага się z kolczugą i grubym skórzanym kaftanem pod spodem.

To umożliwiło mu wyrwanie się z objęć paniki. Musiał znaleźć jakąś broń zdatną do ataku, cokolwiek. Gwałtownie obrócił głowę, rozglądając się po świecie rozmytym przez ból i łzy. Modląc się do Boga o...

Bełt z kuszy.

Uszkodzona kusza upadła obok niego, z niewystrzelonym bełtem o srebrnym grocie tkwiącym wciąż na łożu. Sięgnął dłonią w rękawicy w stronę pocisku w chwili, gdy potwór dostał się do ciała pod kolczugą. Josef krzyknął, czując, jak bestia wbija zęby w jego skórę i mięśnie. Każde włókno jego ciała próbowało się cofnąć, uciec od zniewagi, gdy stwór dźwignął go, unosząc częściowo nad ziemię. Bestia zmarszczyła pysk, czując świeżą krew. Mimo bólu Josef czuł na skórze żar oddechu stwora.

Zginałem - pomyślał w chwili dojmującej jasności umysłu. Nieoczekiwany spokój musiał przychodzić z niebios, niczym łaska pozwalająca świętym na zniesienie męczeństwa.

W tej właśnie chwili przytomności umysłu chwycił bełt i z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć, wbił grot w lewe oko potwora.

Bestia zawyła, odrywając się od jego brzucha. Josef opadł z powrotem na ziemię, czując, jak życie wycieka z niego przez wygryzioną ranę. Zanim stracił kontakt ze światem, zobaczył jeszcze, że potwór ucieka z bełtem tkwiącym w oczodole.

Josef stracił przytomność, modląc się, by bestia zginęła od ciosu.

## II

Maria śpiewała sobie podczas trzykilometrowego marszu z rodzinnego gospodarstwa do grodu Narew. Zazwyczaj nuciała fragmenty kościelnych hymnów, teraz jednak ogarnął ją bardziej frywolny nastrój. Śpiewała jedną z bardziej sprośnych ballad, jakie zasłyszała od rycerzy, gdy obsługiwała ich w wielkiej sali jadalnej grodu Narew.

Zaczęła śpiewać dość cicho, ale w miarę jak szła przez gęsty las, nieświadomie zwiększała siłę głosu z każdą kolejną zwrotką. Gdy dotarła do spalonego przez piorun dębu, wyznaczającego połowę drogi między domem a twierdzą, skończyła piosenkę, wyśpiewując na całe gardło o podboju odpornej dziewicy przez podstępного rycerza. Gdy słowa o ich zespoleniu wróciły do niej echem, stanęła na chwilę z zaczerwienionymi policzkami i uśmiechem zawstydzenia.

Ojcu zdecydowanie by się to nie podobało. Był bardzo surowy i nieustannie strzegł się przed diabłem i jego próbami wtargnięcia w ich życie. Uważał piosenki za jeden ze sposobów na dopuszczenie do siebie demona. Maria odruchowo sięgnęła dłonią między piersi, by dotknąć noszonego pod koszulą małego, srebrnego krzyża. Wciąż tam był, wciąż chronił ją przed diabłem.

Zerknęła w niebo, oceniając czas pozostały do świtu. Nieboskłon między drzewami przeświecał na różowo. Nie widziała horyzontu, ale kolor najwyższych gałęzi zdradzał, że słońce właśnie weszło nad ziemię. W chwili gdy pomyślała, że za długo szła przez las, usłyszała dźwięk grodowego dzwonu, oznajmiającego pierwszą godzinę dnia.

Westchnęła. Powinna już była opuszczać gęste lasy otaczające gród, a tymczasem ledwie dotarła do połowy drogi. Zmitrężyła za wiele godzin przy swoich obowiązkach w gospodarstwie, a teraz dotrze do grodu, dopiero gdy stajenni zaczną poranną pracę przy koniach. Mocniej ścisnęła krzyżyk i odmówiła krótką modlitwę, prosząc Boga, by zapewnił jej bezpieczeństwo nie tylko przed diabłem, ale także przed jego pomniejszych sługami.

\* \* \*

Słońce zdążyło już całkiem wznieść się ponad horyzont, gdy wyszła z lasu i zaczęła się wspinać ścieżką w stronę potężnych, belkowanych obwarowań grodu. Po drodze mijała rozległe, obramowane kamiennymi murkami pola, na których pasły się owce i kozy, choć najlepsze pastwisko, położone przy samych murach twierdzy, zarezerwowano dla rycerskich koni.

Pośpiesznie przeszła obok zwierząt, mając nadzieję dotrzeć do bramy, zanim ktoś ją zauważy. Kiedy jednak poczuła woń końskiego nawozu i zepsutego sera, wiedziała już, że nie zdoła przejść niepostrzeżenie. Łukasz, jej codzienny dręczyciel, oderwał się od swoich obowiązków i, przeskoczywszy kamienny mur, stanął na ścieżce tuż przed nią.

- Ranisz mnie, moja droga Mario. - Posłał jej szczerbaty uśmiech i sięgnął ku niej oblepioną brudem dłonią. Cofnęła się, więc złapał tylko powietrze, a nie jej koszulę.

- Ranię cię? Wyglądasz na całkiem zdrowego. - Maria zeszła na bok, by ominąć mężczyznę. Nie chciała być obiektem zainteresowania tego prostaka, ale niewiele mogła z tym zrobić. Był osobistym sługą jednego z rycerzy Bolesława, a ona pracowała tu jedynie po to, by zmniejszyć dług jej rodziny wobec pana grodu Narew. Choć teoretycznie jego status nie był wcale wyższy i przysługiwały jej takie same prawa, w praktyce niewiele różniło go od szlachetnie urodzonych. A przy tym był człowiekiem, który nikomu nie pozwalał o tym zapomnieć.

Dzisiaj Łukasz wydawał się wyjątkowo usposobiony do zalotów. Sięgnął ponownie, łapiąc ją, gdy przechodziła.

- Ranisz me serce, piękna pani. Ranisz mnie, przechodząc bez posłania choćby jednego spojrzenia w stronę biednego, samotnego Łukasza.

Mówił to samo wszystkim pannom i wdowom, które miały nieszczęście znaleźć się na jego drodze, a przez cały czas jego spojrzenie wędrowało po ofierze, zostawiając po sobie ślady gorsze niż dłonie, trudniejsze do zmycia. Wyrwała rękę z jego uchwytu.

- Czeka na mnie praca, podobnie jak na ciebie.

- Żadna praca nie jest aż tak ważna, by nie można było na chwilę jej odłożyć. Nie zechciałabyś podzielić się ze mną swoimi wdziękami?

Poczuła w gardle wzbierającą złość, gdy wyobraziła sobie paskudnego Łukasza w roli rycerza ze śpiewanej przez nią wcześniej ballady.

- Zachowam je dla mojego oblubieńca - warknęła zdławionym głosem.

- Szczęściarz z niego. Powinnaś mnie kiedyś przedstawić. - Łukasz się roześmiał, a Maria poczuła, że ogarnia ją rozpacz - była tak brzydka i tak niskiego pochodzenia, że choć miała dziewiętnaście lat, ten brutal był jedynym mężczyzną, który wyrażał nią zainteresowanie.

W mrocznych zakamarkach duszy kryła się myśl, że jej pragnienie samotności czasami mogło być przyczyną kwestionowania jej czystości przez mężczyzn bardziej wybrednych od Łukasza. Nie miała pewności, ale podejrzewała, że pozostałe kobiety w kuchni plotkowały na jej temat, gdy wychodziła usługiwać rycerzom.

Mruganiem powstrzymała cisnące się do oczu łzy i zaczęła się od niego oddalać, obiecując sobie, że się nie odwróci.

- Któregoś dnia, Mario, będę rycerzem. Mogłabyś zostać poślubiona rycerzowi Łukaszowi.

Maria zacisnęła dłonie w pięści i odwróciła się na pięcie.

- Rycerzem? - odrzyknęła. - Tego dnia będę już zbyt stara i pomarszczona, byś zwrócił na mnie uwagę, a i ty będziesz tak zniedołężniały, że zapomnisz o moich wdziękach.

Jej riposta wywołała wybuch śmiechu za kamiennym murkiem. Na pastwisku stało trzech stajennych, młodszych od Łukasza, którzy nie ukrywali wcale rozbawienia tą rozmową. Z twarzy mężczyzny znikł grymas udawanego do tej pory uśmiechu, a jego policzki gwałtownie się zaczerwieniły.

- Nie będziesz się naśmiewać z mojej służby, kobieto!

- Oboje mamy swoje obowiązki - odpowiedziała. Musiała się powstrzymać z całej siły, by nie dodać: „Nie musisz przypadkiem przerzucić jakiegoś gnoju?”.

Odwróciła się w stronę bramy.

- Nie będziesz mnie traktować jak...

Spięła się, czekając, aż znowu ją złapie, jednak zatrzymały go odgłosy końskich kopyt. Instynktownie obejrzała się w stronę, z której przyszła, ale ścieżka prowadziła tylko z powrotem w ciemny las, rozciągający się na południe od grodu.

- Nad rzeką! - krzyknął jeden ze stajennych z pastwiska.

Na północ i zachód od twierdzy płynęła rzeka Narew, oddzielając gród od leśnych granic Mazowsza. Za rzeką rosły gęste lasy, w których zaczynały się tereny Prus, czyli *Ordensland*, państwa zakonnego zakonu krzyżackiego. Nawet po podpisaniu przez polskiego króla Kazimierza pokoju z zakonem krzyżackim z tamtej strony rzadko nadchodziło coś poza okazjonalnym posłańcem kierującym się na południe, do Polski. Samo Mazowsze wciąż stanowiło niezależne księstwo. Nie przystąpiło jeszcze do unii z Polską, tworząc strefę buforową między nią a zakonem.

Nad dwudziestką jeźdźców wpędzających konie do brodu unosił się sztandar z czarnym krzyżem zakonu krzyżackiego. Ten widok wzbudził w sercu Marii przerażenie. Chwyciła przez bluzkę swój krzyż i spojrzała na nadciągających rycerzy: ludzie i konie śpieszyli tak,

jakby poganiała ich ręka samego Boga.

W grodzie rozległy się dzwony bijące na alarm.

- Idą na nas - rzucił Łukasz, który stał jak wmurowany na ścieżce, podczas gdy jego podwładni rzucili się zganiać konie z pastwiska.

- Nie, wcale nie - powiedziała Maria, wciąż przyglądając się forsującym rzekę rycerzom. Potem przeskoczyła kamienny murek i ruszyła biegiem przez pastwisko w stronę rzeki.

Po pierwszym wstrząsie wywołanym widokiem rycerzy zakonu na ziemiach Mazowsza uświadomiła sobie, że ich tabardy są poplamione krwią, połowa jeźdźców zwisa przerzucona przez końskie grzbiety niczym worki z obrokiem, a z poranionych boków koni ścieka krew.

Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniej widziała ich rany. Nawet jadący w siodłach mieli rozdarte kolczugi, ręce zwieszane bezwładnie przy bokach, a na rękach i nogach bandaże. Kilka koni biegło bez jeźdźców, rozpryskując wodę obok obciążonych wierzchowców.

Biegła, nie myśląc o tym, skąd przychodzą ci ludzie ani czyje noszą barwy. Zobaczyła rannych rycerzy i ranne wierzchowce i wiedziała, że wszyscy potrzebują natychmiastowej pomocy.

Niemieccy rycerze wyjechali z brodu na rzece i ustawili się w nierównym szeregu na południowo-wschodnim brzegu, w cieniu mazowieckiej twierdzy. W grodzie wciąż bito na alarm i Maria usłyszała, jak otwiera się główna brama. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że wyjeżdża z niej śpiesznie grupa jeźdźców. Ledwie czterech ludzi. Mieli ze sobą sztandar z potrójnym krzyżem rodu Bojczy, herbem wojewody Bolesława, pana grodu Narew.

Widząc odzienie i zbroje, Maria natychmiast rozpoznała, że jedynie człowiek na czele grupy był rycerzem, a towarzysząca mu trójka, choć uzbrojona, to tylko żołnierze. Stali u boku swojego pana jako poczet honorowy, a nie bojowy. Kiedy wyjeżdżali z bramy, Łukasz dołączył do pozostałych stajennych, którzy zganiali konie z pastwiska.

Maria była już w połowie zbocza opadającego do rzeki, gdy minęli ją ludzie Bolesława, jadący szeroką drogą prowadzącą od bramy twierdzy do brzegu Narwi. Widząc zbliżających się ludzi, Niemcy ustawili się w nierównej linii naprzeciw nich. Mężczyzna w tabardzie zakonu krzyżackiego zsiadł z konia i wystąpił kilka kroków naprzód.

Wyprostował się i zdjął hełm, odsłaniając pobrużdżoną twarz ozdobioną ostro ściętą, siwą brodą. Złożył hełm w zgięciu ręki i czekał na zbliżających się jeźdźców. Pomimo spokojnego zachowania przystającego dowódcy widać było, że nie uniknął losu swoich ludzi. Z rany na skroni pod siwiejącymi włosami spływała strużka krwi, która zakrzywiła się na policzku i kończyła ciemną plamą skrzepu z lewej strony brody.

Maria zwolniła. Choć było oczywiste, że wielu z tych ludzi potrzebowało pomocy,

zmusiła się do opanowania kierującego nią impulsu. Zanim możliwe będzie zaspokojenie zwykłych potrzeb ludzi, mężczyźni z obu stron musieli najpierw spełnić wymogi rządców Mazowsza i państwa krzyżackiego.

Zatrzymała się, gdy ludzie Bolesława podjechali do Niemców. Na tle nowo przybyłych jeszcze wyraźniej rzucały się w oczy obrażenia niemieckich rycerzy. Ludzie z grodu byli czyści i wypoczęci, przyjechali na świeżych koniach. Maria rozpoznała jadącego na czele - był to rycerz Telek, najstarszy bratanek wojewody Bolesława, mężczyzna równie rostry jak dowódca Niemców. Lekko zeskoczył z konia i podszedł do Krzyżaka z uśmiechem szerszym, niż wymagałaby tego sytuacja.

Tymczasem na twarzy wysokiego Niemca rysowała się ponura powaga. Ludzie za jego plecami siedzieli na wyczerpanych wierzchowcach, które wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły paść. Na końskich pyskach widać było pianę, a ich boki pokrywała paskudna mieszanina potu, krwi i szlamu z rzeki.

- Mój stryj, wojewoda Bolesław, przesyła powitanie i pyta, czy przypadkiem nie pomyliliście drogi? - Telek odezwał się z uśmiechem.

W szeregu zakonników rozległy się gniewne, przytłumione głosy, które ucichły, gdy wysoki Krzyżak warknął coś do swoich ludzi.

Telek zaczął powtarzać powitanie, ale wysoki mężczyzna mu przerwał.

- Dość dobrze rozumiem twój język, panie.

- W takim razie - odpowiedział Telek - może chcecie przewodnika, który pomoże wam odnaleźć drogę na wasze ziemie?

- W imieniu jego świętobliwości papieża i wielkiego mistrza Ludolfa Königa von Weizau pokornie proszę o pomoc wojewodę Bolesława. Mam wielu rannych ludzi, którzy mogliby nie przetrwać dalszej podróży.

- Tyle sam widzę. A kto taki prosi o pomoc mojego stryja w imieniu papieża i zakonu krzyżackiego?

- Jestem komtur Heinrich von Kerpen, a ci ludzie to bracia z mojego konwentu i rycerze służący w zakonie.

- Jak trafiliście na ziemie należące do Mazowsza?

- W służbie Bogu i papieżowi.

- Wszyscy im służymy, bracie Heinrichu. Jakiego wroga napotkaliście, że zostaliście tak pobici?

- Nie wolno nam tego powiedzieć.

Telek zaczął się przechadzać przed szeregiem ludzi Heinricha.

- To nie są twoje ziemie, bracie Heinrichu, i nie jesteśmy jakimiś pruskimi chłopami podległymi twojej władzy. Mój stryj, na mocy władzy nadanej mu przez księcia mazowieckiego, ma prawo i obowiązek traktować wszelkie najeżdżające te ziemie wojska tak, jak uzna za stosowne. Jak dotąd jest z wami w pokoju, ale wasza krew została przelana na jego ziemiach. Jak? Przez kogo?

- Mogę powiedzieć tylko, że był to wróg Boga i Kościoła...

- Nadwerężasz cierpliwość mojego stryja. Doskonale wiemy, że każdy, przeciwko komu zakon postanowi skierować swój miecz, staje się wrogiem Boga i Kościoła. Nalegam, żebyś odpowiedział na moje pytanie, bo może się okazać, że jesteś wrogiem wojewody Bolesława i księstwa mazowieckiego.

Maria czuła napięcie nawet z miejsca, w którym stała, na zboczu wzgórza. W przestrzeni dzielącej brata Heinricha i rycerza Teleka wydawało się niemal namacalne, jakby ziemia między nimi mogła w każdej chwili wybuchnąć płomieniem.

- Wiąże mnie przysięga - odezwał się po chwili brat Heinrich, opuszczając głowę.

- Jak i mnie. - Rycerz oparł dłoń na głowicy swojego miecza, a Maria poczuła, jak niepokój zapiera jej dech. Minęło już prawie dziesięć lat od końca otwartej wojny między Polakami i zakonem. Czyżby miała się stać świadkiem ponownego jej wybuchu?

- Jednak... - brat Heinrich dodał tak cicho, że Maria ledwie usłyszała to słowo.

- Jednak? - powtórzył Telek, opuszczając dłoń.

- Daj nam biskupa za spowiednika, a on będzie mógł zwolnić nas z tajemnicy i pozwoli ujawnić, z czym walczymy.

- Biskupa? - Telek uniósł brew. - A może kardynała? Albo samego papieża?

- Każdy z nich mógłby zwolnić nas z przysięgi milczenia o naszej misji. Jednak wystarczy do tego biskup.

Telek machnął ręką, a jego ludzie zsiadli z koni. Dwóch podeszło do Niemców, Telek zaś powiedział:

- W takim razie, jeśli zechcecie zaszczyścić nas wizytą w grodzie Narew, oczekuję, że oddacie nam broń na przechowanie.

### III

Rycerz Telek herbu Bojczya przyglądał się, jak jego ludzie uwalniają krzyżackich przybyszy od broni. Z każdym odebrany mieczem z jego serca spadał drobny ciężar, choć odczuwaną ulgę ukrywał równie starannie, jak wcześniejszy niepokój. Pomimo wymuszonej jowialności powitania doskonale zdawał sobie sprawę, że z obecności rycerzy zakonu na ziemiach Mazowsza nie mogło wyniknąć nic dobrego. Jeden Bóg wiedział, jakiej rzezi dopuścili się po drugiej stronie rzeki i z jakim skutkiem.

Jednak ostatnią rzeczą, jakiej chciał - tak jak jego stryj, a nawet książę Siemowit III - byłby oddział martwych rycerzy krzyżackich, dający zakonowi pretekst do wznowienia działań, które ustały przed dekadą, i do złamania pokoju z trudem zatwierdzonego traktatem między zakonem a bratem księcia, Kazimierzem.

Choćby ci rycerze po drugiej stronie rzeki siali największą grozę, nie mógł nie pomyśleć, że ludzi, których teraz ujrzał, spotkał los gorszy niż ich przeciwnika. Smród śmierci otaczał ich niczym całun, a sam fakt, że brat Heinrich przybył tu i oddał się w ręce Mazowszan, świadczył najlepiej, w jak fatalnym znajdowali się położeniu.

Bez potwierdzenia ze strony brata Heinricha - a Telek podejrzewał, że w tym celu będzie musiał istotnie poczekać na przybycie biskupa - mógł się tylko domyślać pierwotnej liczebności grupy. Przypuszczał, że początkowo składała się z przynajmniej dwudziestu zbrojnych. Jeśli brat Heinrich dysponował pełnym konwentem wojowniczych mnichów, to stanowili oni około tuzina z tej dwudziestki. Pozostali byli pewnie nowicjuszami na probacji, czyli w okresie próbnym przed złożeniem ostatecznych ślubów, lub rycerzami świeckimi pragnącymi wykupić sobie drogę do niebios za pomocą miecza - choć ci częściej brali udział w organizowanych przez zakon krucjatach przeciwko pogańskim Litwinom.

Ocaleli wyglądali na rycerzy zakonu i jego probantów. Wszyscy mieli biało-czarne tabardy, a jeśli Telek dobrze pamiętał niemiecką heraldykę, ci z niepełnym krzyżem byli właśnie mnichami na probacji. Nie rozpoznawał natomiast symbolu wilczej głowy, którą umieszczono w lewym górnym kwadrancie na tabardzie brata Heinricha.



Telek przypuszczał, że był to jakiś dziwaczny symbol rangi mnicha w zakonie. Może też zakon zrezygnował z jednej cechy, którą dzielił z Polakami: niechęci do cudaczkich herbów, które zdawały się plagą niemieckiego rycerstwa. Czarny krzyż na białym polu był wystarczającym znakiem dla wszystkich członków zakonu, tak jak potrójny krzyż stanowił wspólny znak wszystkich rodzin rodu Bojca.

Gdy jego ludzie zebrali już wszystkie miecze i kusze, Telek podniósł rękę i wykreślił koło nad głową. Straż na murach twierdzy da jego stryjowi znać, że wszystko zakończyło się pokojowo. Zwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

- Jedź do grodu. Przyślij tu stajennych, żeby zajęli się końmi, i ludzi do pomocy przy rannych, z wozem, który zawiezie ich na wzgórze. - Zerknął w bok i zobaczył stojącą na zboczu służebną dziewczynę z grodu. Wskazał ją ręką. - Hej, ty tam! Chodź tu i pomóż opatrywać rany.

\* \* \*

Przeniesienie czternastu rycerzy znad brzegu rzeki do grodu zajęło prawie cały poranek. Telek osobiście nadzorował każdy szczegół, od mycia i opatrywania ran, przez odprowadzenie niemieckich wierzchowców na osłonięte murem pastwisko, aż do załadowania rannych na wóz wymoszczony sianem.

Gdy strażnicy stryja zaprowadzili do grodu ostatniego z rycerzy, Telek został nad rzeką z szesnastoma mieczami, pół tuzinem kusz i stertą różnych fragmentów zbroi - uszkodzonych, umazanych krwią i przyciągających już całe stada much.

Zostały tu również dwa ciała ludzi, którzy zginęli w trakcie ucieczki zakonu przed...

- Przed czym? - zapytał na głos Telek sam siebie.

- Panie? - odezwał się z tyłu jeden z jego ludzi. Telek odwrócił się i zobaczył, że tamten skończył właśnie ładowanie broni zakonników na kolejny wóz.

- Z kim walczyli ci ludzie? - zapytał Telek.

- Nawet nie chcę wiedzieć, panie. To jakieś diabelskie sprawy. - Mężczyzna splunął i wykonał gest mający przegnać zło, sprowadzone przez członków zakonu.

- Odślonią swoje dusze tylko przed biskupem... - Telek rzucił okiem na ciała i zniszczone zbroje. - Może przejechali przez samo piekło?

- Czy godzi się z tego żartować, panie?

Telek się roześmiał.

- Mówisz jak jeden z tych mnichów, synu.

- Ale widziałeś ich rany, panie. Wyglądały jak ugryzienia i ślady po szponach...

- Najpewniej natknęli się na rysia... - Telekowi przypomniał się dziwny symbol na tabardzie brata Heinricha. - Albo na stado wilków...

- Przyglądałeś się ich broni, panie?

Telek potrząsnął głową i podszedł do wozu. Obok mieczy i kusz leżała sterta sztyletów. Podniósł jeden z nich i wyciągnął go z pochwy. Światło zaśniło na ostrej kłindze, bogato grawerowanej szwabachą, którą Telek z trudem mógł odczytać. Prychnął.

- Coś to za paradne jak na kogoś, kto złożył śluby ubóstwa...

- Spójrz na metal, panie.

Telek zmrużył oczy i zmarszczył czoło.

- Srebro?

- I jeszcze to. - Mężczyzna podniósł bełt leżący przy jednej z kusz. Telek schował sztylet do pochwy i przyjrzał się grotowi pocisku.

On również był srebrny.

- Czyżby zakon był aż tak bogaty, że osadza na swoich bełtach groty z cennego kruszcu?

- Odłożył pocisk i schowany do pochwy sztylet z powrotem na wóz, po czym podniósł jeden z rycerskich mieczy. Mocno ścisnął pochwę i zatrzymał się na chwilę przed ujęciem rękojeści, czując nagle, że i jego ogarnął niepokój.

Powoli wyciągnął miecz z pochwy - tylko na szerokość dłoni, dość, by go obejrzeć. Najwyraźniej zakon nie był aż tak bogaty, by wykuć całą głownię ze srebra: warstwa kruszcu pokrywała tylko jej część. Najdziwniejsze jednak było to, że srebro nie znajdowało się na płazie, gdzie zazwyczaj umieszczano dekoracyjne grawerunki, lecz na ostrzach. Krawędzie miecza pokryto srebrem na szerokość palca z każdej ze stron.

Być może faktycznie nie powinien tak lekko rzucać słów o jeździe przez piekło.

\* \* \*

Telek zazwyczaj był najroślejszym i najgroźniej wyglądającym uczestnikiem zgromadzenia, chyba że brał w nim udział również jego stryj. Wojewoda Bolesław, pan grodu Narew, był prawdziwym olbrzymem, przerastał bratanka prawie o głowę i ważył dobre dwadzieścia kilo więcej. Nosił długą brodę pełną siwych włosów, miejscami całkiem białą. Stryj Teleka nie golił się prawie od piętnastu lat, od czasu gdy w potyczce z krzyżackimi sąsiadami głowica maczugi strzaskała mu lewą stronę szczęki. Broda zasłaniała blizny i zniekształcony staw łączący źle zrosnięte kości.

W efekcie wojewoda zawsze mówił powoli, jakby z namysłem, i nie darzył miłością zakonu krzyżackiego.

Gdy Telek wszedł do komnaty stryja, Bolesław stał przy wąskim oknie, zasłaniając popołudniowe słońce, co sprawiało, że całe pomieszczenie tonęło w cieniu.

- Nasi goście poddali się bez oporu?

- Tak, stryju - potwierdził Telek.

- To dobrze. - Bolesław odwrócił się od okna i komnata nagle pojaśniała, w równym stopniu od słońca, co od jego lekkiego, krzywego uśmiechu. - Nigdy nie lubiłem próżnych wrzasków ani knowań. - Podeszedł do bogato zdobionego krzesła, które było prezentem od księcia. Trudno było orzec, co zatrzeszczało mocniej, gdy siadał: rzeźbione dębowe siedzisko czy sam Bolesław. Rozparł się na siedzeniu z westchnieniem i zapytał:

- Czemu tu przybyli?

- Nie chcieli powiedzieć.

- I ty się na to zgodziłeś? - prychnął Bolesław.

- Zgodzili się oddać w nasze ręce i złożyć broń. Pomyślałem więc, że można ich na razie wziąć do niewoli, a potem zastanowić się, co z nimi począć...

- Tak, mądrze prawisz. Choć biorąc pod uwagę ich stan... nie powinni nas drażnić...

- Chyba że prawda byłaby bardziej prowokująca od milczenia.

- Nie podoba mi się to wszystko. Księstwo może już być w stanie wojny z zakonem.

- Jesteśmy tu na samej granicy. Wiedzielibyśmy przecie...

- A jeśli Kazimierz znów spiera się z zakonem? Książę mimo wszystko jest wasalem swojego brata.

- Stryju, dopiero co podpisali traktat pokojowy.

- Dobry on do chwili, aż jakiś dureń zapragnie zgarnąć więcej ziemi.

- Nie myślę, żeby chodziło tu o wojnę, stryju. Ci ludzie nie przyjechali do nas jako wrogowie.

- Ledwie nogami powłóczą...

- Musisz wiedzieć, że choć w tej chwili milczą o swoich zamiarach na terenie Mazowsza, podali warunek, pod którym zgodzą się je ujawnić.

- Prawda to? Warunek? Wydawało mi się, że pycha to grzech.

- Żądają, by biskup udzielił im zgody na ujawnienie misji.

- Biskup?

- Nie mam powodów, by wątpić w ich słowa.

Bolesław zamknął oczy i odchylił się z powrotem na oparcie krzesła, które wydało złowieszczy trzask.

- Powiadasz, że nie masz powodu wątpić?

- W powagę ich słów - wyjaśnił Telek.

Jego stryj otworzył oczy i popatrzył na sufit.

- Młodyś jeszcze... Ale kimże jestem, żeby stawać między Niemcami a Bogiem? Skoro chcą biskupa, ściagniemy go tutaj. Ale najpierw ostrzeżesz księcia o przybyciu tych nieproszonych gości.

## IV

Gdy rycerz Telek wezwał ją do Niemców, była całkiem zaskoczona. Gdy zbliżyła się do przybyszów, kierujący Marią impuls niesienia pomocy rannym został stłumiony do tego stopnia, że uświadomiła sobie boleśnie własną niemoc. Na szczęście jeśli i Telek o tym pomyślał, zachował to dla siebie.

Wkrótce stała się jedną z tuzina dziewczek służebnych myjących i opatrujących rany Krzyżaków. Prawie przypadkiem stała się też kluczową postacią spośród nich, ponieważ dzięki swojej macosze była jedyną osobą, która potrafiła się porozumiewać po niemiecku.

Zająwszy się najciężej rannymi, wraz z pozostałymi kobietami pomogła rozbrojonym Niemcom wejść na wóz, który miał ich przewieźć na wzgórze, do grodu.

Rzekę przejechało szesnastu ludzi, ale tylko czternastu żywych. Rany kolejnych trzech były tak ciężkie, że Maria nie spodziewała się, by doczekali następnego świtu. Starszy mężczyzna, brat Heinrich, najwyraźniej nie uważał za właściwe pomagać w opatrywaniu swoich ludzi i przenoszeniu ich na wóz. Maria miała wrażenie, jakby cały czas przyglądał się tym wysiłkom, zachowując nieprzyjemny dystans.

Dla Marii sytuacja była przytłaczająca. Pojechała do grodu na wozie razem z rannymi. W każdym oddechu wyczuwała ciężki zapach krwi. Każdemu uderzeniu kół wozu o wyboje błotnistej drogi towarzyszył chór jęków.

Nie mogła nie zastanawiać się nad tym, co tak brutalnie zaatakowało tych ludzi. Rany były nieludzkie - ciała zostały rozszarpane i pogryzione. Kilku z nich straciło dłonie lub całe ręce, a połowa miała na twarzach szramy wyglądające jak ślady po szponach. Nikt z nich nie mówił o tym, co się im przytrafiło, niewielu w ogóle się odzywało. Milczenie udzieliło się opatrującym ich Polakom, więc jazda do twierdzy przypominała pogrzeb.

Docierały do niej szeptu towarzyszy: domysły o wycofaniu się Niemców z jakiejś krwawej bitwy, a potem zaatakowaniu ich przez wilczą watahę. To tłumaczyłoby ich straszny stan oraz niechęć do mówienia. Mimo wszystko Maria sądziła, że cokolwiek pokieroszowało Niemców, niewątpliwie było czymś piekielnym. Dzikie zwierzęta atakują, żeby zabić, a wielu

z tych ludzi wyglądało, jakby zostali okaleczeni dla samego okaleczenia.

Maria przycisnęła do piersi swój krzyż i pomodliła się cicho, by odpędzić od siebie diabła.

\* \* \*

Przez całe popołudnie mieszkańcy grodu Narew zajmowali się nowo przybyłymi. Wojewoda Bolesław rozkazał dać Niemcom kwatery odpowiednie dla honorowych gości. Oznaczało to, że nie ulokowano ich we wspólnym dormitorium, jak to zwykle bywało z przyjezdnym wojskiem, lecz pogrupowano rannych Niemców po dwóch czy trzech i zakwaterowano w izbach zajmowanych zwykle przez miejscowych. Ciężko ranni zostali umieszczeni w izbach nad stajniami, skąd wyrugowali mimowolnie stajennych oraz ich pomocników.

Maria dziwiła się temu rozporządzeniu do chwili, gdy usłyszała, jak jeden ze strażników opowiadał, że wojewoda Bolesław jest nie tylko łaskawym gospodarzem, ale też uniemożliwia Niemcom zebranie się w większej grupie, a tym samym planowanie wspólnych działań. Ich przywódcy, bratu Heinrichowi, przypadł zaszczyt zamieszkania w osobistych komnatach gościnnych samego wojewody, głęboko wewnątrz twierdzy, z dala od stajni i pozostałych kwater, w których trzymano jego ludzi.

Maria pomyślała, że wojewoda powinien bardziej martwić się tym, co zaatakowało Niemców, niż nimi samymi.

Ponieważ była jedną z nielicznych służących znających niemiecki, spoczywały na niej dodatkowe obowiązki. Oprócz dotychczasowych zajęć w zamkowej kuchni przydzielono Marii zadanie opiekowania się jednym z ciężko rannych rycerzy zakonu.

Mężczyzna miał na imię Josef i był jednym z tych, którzy - zdaniem Marii - nie mieli większych szans na przeżycie tej nocy.

W kuchni panował większy chaos niż zwykle, bo pojawiły się dodatkowe osoby do wykarmienia, a i służących - włącznie z Marią - z powodu gości było więcej niż co dzień. Gdy wypełniła swoje obowiązki w kuchni, słońce zaczynało już zachodzić. Zabrała do izdebki nad stajnię miskę owsianki, chcąc nakarmić swojego podopiecznego, choć, po prawdzie, nie spodziewała się zastać go przy życiu.

Otworzyła drzwi do małego pokoiku, po czym stanęła na dłuższą chwilę jak sparaliżowana, wpatrując się w złożonego na cudzym łożu młodzieńca. W gasnącym wieczornym świetle, wpadającym przez otwarte okno, jego skóra wydawała się blada, prawie przezroczysta, a na jego twarzy rysował się wyraz niemal anielskiego smutku. Serce Marii ścisnęło się i zaczęła

już żałować tego mężczyzny, poległego tak przedwcześnie...

Potem uświadomiła sobie, że Josef wciąż oddycha.

Nagle odkrycie było dla niej niczym fizyczne uderzenie. Pośpiesznie odstawiała owsiankę i podbiegła do jego łóżka, przestraszona, że wyzionie ducha przy niej.

Położyła mu dłoń na szyi i nachyliła się do jego warg. Pod palcami poczuła silne i równomierne uderzenia pulsu i choć skórę miał wilgotną od potu, był ciepły, a nie zimny ani lepki. Wsłuchiwała się w jego oddech: był głębszy i bardziej równomierny, niż mogłaby się spodziewać - dostatecznie silny, by poczuła jego ciepło na uchu, co wywołało rumieniec na jej policzku. Rumieniec pogłębił się z zawstydzenia, gdy mężczyzna jęknął i obrócił głowę tak, że jego wargi przesunęły się po jej policzku.

Natychmiast odsunęła się i popatrzyła na niego, przez chwilę przekonana, że udawał nieprzytomnego, by ją wykorzystać. Była to sztuczka godna Łukasza, ale jedno spojrzenie dowiodło, że nie oszukiwał, i Maria poczuła wstyd, że podejrzewała go o takie rzeczy.

Nawet śpiąc, ten mężczyzna zachowywał się szlachetniej, niż Łukaszowi mogło się kiedykolwiek zamarzyć.

Gdyby jeszcze to samo można było powiedzieć o zapachu...

Maria zmarszczyła nos. W miarę jak początkowa panika ustępowała uldze, dotarło do niej, że Josef nie tylko żył, ale też zanieczyścił posłanie. Popatrzyła na nieprzytomnego rycerza i zagryzła wargę, powoli uświadamiając sobie, z czym będzie się wiązać opieka nad rannym.

- To mój obowiązek - wyszeptła do siebie. Potem wyszła, by przynieść wiadro z wodą i czyste ręczniki.

Kiedy wróciła, stanęła przed Josefem z pewnym niepokojem, bojąc się, że mógłby się obudzić w trakcie mycia. Niepokój znikł, gdy odsunęła na bok jego zabrudzone okrycie.

Ktokolwiek położył tu Josefa, musiał dzielić przekonanie Marii, że młodzieniec nie doczeka poranku. Nie zrobiono nic poza zdjęciem zbroi. Wciąż miał na sobie poszarpaną, poplamioną krwią, noszoną pod kolczugą przesywanicę, a jego nogi nadal okrywały nogawice śmierdzące krwią, błotem i nieczystościami.

Znowu zagryzła wargi, nie odzywając się ze strachu, że może w złości zabluznić. Polacy i Niemcy mogli nie być przyjaciółmi, ale dla czegoś takiego nie było wytłumaczenia. Nawet jeśli Josef miał nie przeżyć tej nocy, pozostawienie go, by cierpiał w takim poniżeniu, byłoby okrucieństwem.

Odłożyła na bok wstyd, podwinęła rękawy koszuli i zajęła się usuwaniem brudu z młodzieńca. Było jej łatwiej, gdy myślała przy tym o swoim ojcu i opiece, którą sprawowała

nad nim przez ostatnich kilka miesięcy. Skupiła się na czysto manualnych aspektach troski o kogoś przykutego do łóżka i zbyt słabego i przytomnego, by zadbał o siebie.

Myślenie o młodym człowieku jak o niedołącznym inwalidzie pomogło jej się skoncentrować, gdy zajmowała się tym, co konieczne. Przynajmniej dopóki nie zaczął jęczeć, wymawiając jakieś słowa niewyraźną niemczyzną.

Gdy pierwszy raz odezwał się w delirium, szmatka, którą go myła, leżała niestosownie wysoko po wewnętrznej stronie jego uda. Natychmiast cofnęła rękę, uświadomiwszy sobie nagle, że nie zajmuje się zniedołączniałym staruszkiem. Na szczęście Josef nie odzyskał przytomności.

Kiedy dalej coś mamrotał, Maria odetchnęła głęboko. Powinna odejść i znaleźć kogoś innego, kto zająłby się tym młodzieńcem, powinna poprosić o uwolnienie od tego obowiązku. Rycerz Telek najwidoczniej uznał tego człowieka za umierającego, ale nie docenił siły Josefa. Bo czy inaczej przydzieliliby go właśnie jej?

*I co mam zrobić, zostawić tego biedaka, nagiego i ledwie w połowie umytego, przez wzgląd na moją skromność? A co z jego skromnością?*

Westchnęła i wzięła w dłoń świeżą szmatkę, starając się ignorować dźwięki wydawane przez Josefa. Jedyne pełne wypowiedziane przez niego zdanie usłyszała, gdy wyczyściła i zmieniła opatrunek na potężnej ranie na brzuchu. Gdy przecierała wciąż krwawiące brzegi rany, gwałtownie wciągnął powietrze i powiedział:

- To jest tutaj!

Maria dosłyszała panikę w jego głosie i odruchowo obejrzała się, by zobaczyć, co wpadło do pokoju. Jednak niczego nie dostrzegła.

Dotknęła policzka Josefa wierzchem dłoni i poczuła, jakby jego ciało płonęło od wnętrza. Niechęć wobec konieczności opieki nad nim wydała się jej niska i nikczemna; poczuła wstyd.

- Ty biedaku - wyszeptwała. Nie wiedział, gdzie się znajduje ani kto jest z nim. Złożyła w duchu obietnicę, że go nie porzuci, i lekko pocałowała go w czoło. Będę się za ciebie modlić, żebyś się obudził i zrozumiał, że twój koszmar minął.

Próbowała go karmić, ale nie reagował na jej starania. Musiała się w końcu zadowolić wyciśnięciem do jego ust wody z wilgotnej szmatki.

Zostawiła okiennice małego okienka otwarte, by wypuścić z pokoju zaduch choroby. Pomieszczenie znajdowało się nad stajnią, ale zapach koni i obornika był znacznie lepszy od wypełniającej pokój woni choroby. A nocne powietrze mogło ostudzić jego gorączkę.

Słońce na zewnątrz już dawno zgasło i nad drzewami unosiła się tarcza księżycy. Musiała



wrócić do domu.

\* \* \*

Trzykilometrowy marsz wydawał się dłuższy niż zwykle, las ciemniejszy, a cienie głębsze. Rozglądała się wokół za każdym razem, gdy zaskrzypiała poruszona wiatrem gałąź, za każdym szelestem liści. Las otaczał ją ze wszystkich stron, mroczny i nieprzenikniony.

Gdzieś tam znajdowało się to coś, co zaatakowało rycerzy zakonu, to coś, co zraniło Josefa. Bardzo się bała spotkania z tym czymś. Jednak jeszcze bardziej obawiała się, że Josef umrze. W tej chwili dziewczyna modliła się przede wszystkim o to, by jej podopieczny przeżył.

Powiedziała sobie, że robi to z poczucia obowiązku; dlatego że taki młody mężczyzna nie powinien ginąć w tak niegodny sposób. Widziała już wielu ludzi biorących do ręki miecz w obronie domu lub w imię Boga - i wszyscy akceptowali możliwość śmierci na wojnie, jednak spodziewali się szybkiego odejścia w bitwie, a nie konania w gorączce i własnych nieczystościach.

Niewielu ludzi zasługiwało na taki koniec... i nie należeli do nich ani Josef, ani jej ojciec.

Tak sobie mówiła.

Wciąż jednak czuła jego tchnienie na uchu i przypadkowe przesunięcie warg po policzku.

\* \* \*

Gdy dotarła na skraj rodzinnego gospodarstwa, gwałtownie wciągnęła powietrze. Hanna, jej macocha, będzie od niej żądać wytłumaczenia tak późnego powrotu i Maria mogła się spodziewać, że nastąpi długie i nieprzyjemne przesłuchanie. Ojciec i macocha zawsze wymagali od niej ścisłego rozliczania się ze wszystkiego, co robiła poza domem.

Zatrzymała się na chwilę przy bramie i popatrzyła na rodzinną chatę. Między szczelinami w okiennicach przeświecało migotliwe żółte światło kaganka, które oświetlało nieznacznie sylwetkę nieznanego konia przywiązanego u ściany domu.

Kto tam jest?

Nagle pomyślała o ojcu. Czy on...

- Tato! - zawołała. Podbiegła do domu pełna obaw, że koń należy do kapłana, który przyszedł odprawić modły lub pocieszyć macochę. - Tato! - zawołała ponownie, a drzwi do chaty otwarły się gwałtownie.

Przez chwilę odczuwała prawie obezwładniającą ulgę na widok stojącego na progu ojca. Jednak uczucie to szybko pierzchno przed niepokojem, wywołanym rysującymi się na jego

twarzą furją i strachem.

- Maria! - ryknął i wybiegł ku niej, ubrany tylko w nocną koszulę.

Dziewczynie odebrało głos. Był chory. Nie powinien wychodzić z łóżka. W świetle księżyca widać było jego zmierzwiłone włosy, oczy lśniące nienaturalnym przerażeniem i zaczerwienioną, niemal purpurową skórę na twarzy. Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Zdjęłaś go! Zdjęłaś!

- Tato? - wydusiła Maria.

- Co zrobiłaś? - Wpatrywał się w jej twarz. - Czemu go zdjęłaś?

- Nie rozumiem! - Potrząsana przez ojca, objęła się rękami. - To boli, tato.

Najbardziej przerażały ją łzy widoczne w oczach ojca.

- Miał cię chronić. Czemu go zdjęłaś?

*Chronić mnie?* Tata najwyraźniej mówił w malignie. I miał na myśli jej krzyż. Sięgnęła między piersi i wyciągnęła go spod koszuli.

- Nie, tato, wcale go nie zdjęłam.

Tata uderzył ją w twarz. Padła przed nim na kolana, z płaczem chwytając się za policzek.

- Nie kłam!

- Ja... ja go nie zdjęłam - Maria łkała, pochylona przed ojcem.

- Jeśli tak... - Z drzeniem wciągnął powietrze i zatoczył się do tyłu. - Jeśli...

- Tato?

Zerwała się na nogi, gdy ojciec znów się zatoczył, wciągając powietrze haustami i potrząsając głową.

Z chaty wybiegła macocha, wołając do męża.

- Karl?

Potrząsnął głową, próbując bezgłośnie coś powiedzieć - i padł w jej ramiona.

- Nie ściągałam go - powtórzyła Maria, która wciąż ścisnęła wiszący na łańcuszku krzyż.

Jej ojciec dalej potrząsał głową. Nagle osunął się, jakby nogi nie miały dość siły, by go utrzymać. Głos macochy łamał się, gdy wypowiadała jego imię.

- Karl. Nie możesz mnie z tym zostawić! Nie teraz... - Odwróciła się w stronę drzwi, gdzie stali trzej bracia Marii. - Chodźcie tu, pomóżcie mi wnieść go do środka.

Maria zrobiła krok do przodu, ale macocha obróciła się w jej kierunku.

- Nie teraz. Pali go straszna gorączka...

- Ale... - Maria stała jak sparaliżowana przed chatą, a jej bracia wybiegli do ojca. Gdy wnosili go do środka, macocha przyglądała się jej oczami lśnącymi od łez i emocji, których Maria nie chciała rozumieć.

Co ja takiego zrobiłam?

Widoczne w oczach rodziców strach i zmieszanie wzbudzały jej niepokój i niezrozumienie. Jeszcze gorsze było poczucie winy, które nagle ją ogarnęło.

Po raz pierwszy od lat zabolą ją świadomość, że jest nieślubnym dzieckiem. W jej żyłach płynęła krew taty, ale nie jego żony. Czy Hanna ją za to nienawidziła?

Maria poszła za nimi do drzwi. Każdy ciężki oddech ojca wywoływał u niej dreszcze i odbierał jej siłę, jakby to ona nie mogła oddychać.

Stanęła w drzwiach. Nagle poczuła się obco we własnym domu.

Hanna z pomocą najstarszego brata Marii, Władysława, położyła jej ojca z powrotem do łóżka. Koce wciąż były odrzucone, jakby wyskoczył spod nich w delirium. Dwaj młodszy bracia się cofnęli. Najmłodszy, Wojciech, płakał cicho, obejmowany przez starszego, Piotra.

Blisko drzwi, koło Marii, stał młody człowiek, wyraźnie zaniepokojony, który próbował trzymać się na uboczu. Maria rozpoznała jego loki i nierówne włoski na policzkach, z których kiedyś wyrosła broda. Był to jeden z młodszych synów sąsiada. W dłoni ścisnął kapelusz, nerwowo zgniatając jego rondo.

- Może sprowadzić lekarza... - zaczął.

Macocho Marii nawet na niego nie spojrzała.

- I księdza. Szybko!

Chłopak ruszył do drzwi, zanim Maria opanowała się na tyle, by przypomnieć sobie jego imię.

- Przepraszam - powiedział do niej w drzwiach. - Nie wiedziałem, że się tak zachowa...

Nie obejrzał się nawet, żeby zobaczyć zdumiony wyraz twarzy Marii. Odwiązał swojego konia i wskoczył na niego, by pogalopować trzy kilometry do grodu.

- Maria - zawołała macocha - przynieś ojcu trochę wody.

- Tak! - Ruszyła z miejsca, by się tym zająć. Ojciec przestał się rzucać i leżał spokojnie na łóżku. Gdy Maria do niego podeszła, w jego oczach nie było złości ani strachu, tylko rezygnacja. Coś sprawiło, że zanim przystawiła kubek do jego warg, obejrzała się na macochę, szukając jej pozwolenia. Nie mogła się oprzeć myśli, że potwierdzające skinienie głowy macochy było niepewne, jakby przeciw przybranej córce wciąż świadczyła jakaś niewybaczona przewina.

Ojciec wypił tylko kilka łyków, potem potrząsnął głową. Maria zabrała kubek, a on na nią popatrzył. Gdy schyliła się nad ojcem, krzyżyk wysunął się zza jej koszuli.

Spojrzał na krzyż, potem na nią. Następnie sięgnął drżącą dłonią i przycisnął krucyfiks z powrotem do jej piersi.

- Nie zdejmowałam go, tato.

Kiwnął głową, jakby w końcu jej uwierzył, a jego ręka opadła z powrotem na łóżko.

- Karl - odezwała się macocha. - Trzymaj się. Wezwaliśmy lekarza.

Podniósł wzrok na żonę i bardzo nieznacznie potrząsnął głową: nie.

- Jeszcze nie czas. Proszę, to jeszcze nie twój czas.

Ujął dłoń swojej żony i z drżeniem wciągnął powietrze.

- Chron ją.

Jak się okazało, potrzebowali usług księdza, nie lekarza.

## V

Następne dni minęły Marii jak we śnie. Choć długie miesiące choroby ojca powinny były ją na to przygotować, jednak nie spodziewała się, że jej tata kiedyś umrze. Ale jeszcze gorsze od straty, przykroj niczym szarpiąca zadra w duszy, było poczucie, że w jakiś sposób była temu winna. Z jakiejś przyczyny stała się impulsem do jego ostatniego wysiłku, choć zupełnie nie znała powodu.

Teraz każde spojrzenie jej macochy i braci zdawało się kryć zimny wyrzut. Kilka razy po pogrzebie ojca kusiło ją, by zapytać, czy ją obwiniają, czy to naprawdę była jej wina, ale za każdym razem powstrzymywał ją strach. Co zrobi, jeśli to potwierdzą? Co mogła zrobić?

A jeśli jedynym powodem, dla którego wciąż mogła mieszkać w swoim domu, był fakt, że służąc w grodzie, odpracowywała daniny z gospodarstwa? Nie mogła znieść myśli, że wraz ze śmiercią ojca w jakiś sposób odepchnęła od siebie resztę rodziny.

Unikała więc pytań, wstawiała wcześniej i szybko wykonywała swe obowiązki, kiedy inni domownicy jeszcze spali. Korzyść z tego była i taka, że docierała do grodu przed świtem, zanim Łukasz z pomocnikami wyganiał konie na pastwiska.

I choć w ciągu następnych trzech dni od ran zmarło jeszcze dwóch Niemców, Josef trzymał się przy życiu. Z początku, gdy wracała zajmować się nim po śmierci ojca, miała mu za złe jego przetrwanie. Czemu wciąż żył, skoro ojciec umarł?

Przebłytki irracjonalnej furii były przerażająco silne, jednak znacznie trwalsze były odczuwane z ich powodu wstyd i strach. W ciągu kolejnych dni zatem, zanim jeszcze odzyskał świadomość, traktowała go znacznie delikatniej, przekonana, że mogła w każdej chwili doprowadzić do jego śmierci, by zadośćuczynił za grzech przeżycia dłużej niż jej ojciec.

Czwartego dnia, gdy myła mu pierś zimną wodą, aby zmniejszyć gorączkę, odezwał się do niej.

- Ktoś ty? - zapytał, mrugając w wieczornym świetle.

Zamarła. Jego odezwanie się zmieniło całkiem naturę tego, co robiła. Jeszcze przed

chwilą chłodziła ciało inwalidy - a teraz pieściła nagą pierś młodzieńca. Jednak to nie była senna wizja, patrzył na nią oczami, w których odbijały się zaskoczenie i poczucie straty.

Spojrzała mu głęboko w oczy i instynktownie poczuła, że w jakiś sposób dzielił jej żal. Doznał straty równie głębokiej i równie...

- Kim jesteś? - powtórzył, przerywając jej zadumę. Cofnęła dłonie od jego skóry, w duchu łajac się za odczuwane zawstydy. Przecież jej troska w żaden sposób nie różniła się od opieki nad zniedołężniałym ojcem.

W każdym razie nie powinna się różnić.

Jednak ten mężczyzna nie był jej ojcem.

- Jestem Maria... - mówiła powoli, niepewnie posługując się wyuczoną od matki niemiecką.

Zamrugał i popatrzył na nią tak, jakby powiedziała coś niezrozumiałego. Pewnie nie rozumie tego, co mówię - pomyślała.

Potem mężczyzna oderwał od niej wzrok i rozejrzał się po pokoju.

- Gdzie jestem?

- W grodzie Narew, pod opieką wojewody Bolesława.

- Bolesława? - powtórzył. Opuścił głowę na poduszkę i zamknął oczy. - To nie jest pruskie imię...

- Jesteś w księstwie mazowieckim.

Kiwnął głową i, krzywiąc się, spróbował usiąść.

- Nie. Jesteś ciężko ranny. - Oparła dłonie na jego ramionach i pchnęła go na pościel. Skórę miał ciepłą, ale już nierozpaloną gorączką, i choć był szeroki w ramionach i miał posturę wojownika, rany odebrały mu siły, by mógł się jej oprzeć.

- A moi bracia rycerze? - zapytał, patrząc na nią.

- Są tutaj - zapewniła. - Ale musisz odpoczywać.

Kiwnął głową, a w jego oczach zobaczyła ciężar wysiłku, którym była dla niego rozmowa. Zmęczenie uwydatniło wszystkie mięśnie na jego twarzy.

- Co ci się stało? - zapytała.

Jednak on zamknął już oczy i sen ogarnął go, zanim to pytanie opuściło jej usta. Cofnęła dłonie z jego ramion i zapatrzyła się w pogrążoną we śnie twarz. Wyglądała teraz inaczej, niż gdy był nieprzytomny. Skóra przybrała zdrowszą barwę, a spod maski snu przebijała się osobowość.

- Modliłam się za ciebie, Josefie - wyszeptwała, odgarniając mu z policzka zbłąkane włosy.

- Myślę, że Bóg zechciał wysłuchać mojej modlitwy.

Usłyszała, jak szepcze coś przez sen.

- Sara...

Szybkim ruchem zabrała dłoń i cofnęła się, poczuła się bowiem nagle intruzem w jego życiu.

Jestem tu tylko służącą - pomyślała, czując zawstydzenie. Szybko nakryła rycerza i wyszła, zostawiając go pogrążonego we śnie.

\* \* \*

Josef obudził się raptownie, nagi i zlany potem.

*Gdzie ja jestem?*

Stopniowo ogarniało go ciężkie, duszące uczucie kompletnego zagubienia. Walczył o oddech, wpatrując się w ciemność wokoło. Próbował się poruszyć, ale zalała go fala bólu z brzucha, paraliżująca wszystkie mięśnie.

Zacisnął dłonie w pięści, ale zamiast wcisnąć się w leśną ściółkę, zwinęły się w pościeli wilgotnej od jego potu. Serce biło jak oszalałe, bo przyszły mu na myśl całuny pogrzebowe, obrazy martwych i umierających na ulicach Norymbergii...

Nie jestem w Norymberdze ani w Prusach - pomyślał, gdy udało mu się trochę opanować.  
- Jestem w Mazowszu.

Przez parę chwil nie umiał sobie przypomnieć, skąd to wie. Jednak pomogło mu to stłumić strach, nawet gdy wróciły wspomnienia. Walka dobiegła końca, a brat Heinrich i jego wolfjegrzy znaleźli schronienie w polskiej twierdzy.

Gród Narew - podsunęła mu pamięć wraz z niewyraźnym wspomnieniem kobiety, która mu to powiedziała.

Oddech i puls zwalniały, w miarę jak cofał się koszmar, pozostawiając go w rzeczywistości łóżka stojącego w małej izdebce z wysokim i wąskim oknem otwartym na chłodne, nocne powietrze. Póki leżał nieruchomo, rana na brzuchu odzywała się jedynie stłumionym ćmieniem.

Odmówił modlitwę dziękczynną, potem *Pater Noster* za poległych. Widział dość, by wiedzieć, że nie wszyscy członkowie konwentu Heinricha przeżyli. Gdy skończył, odmówił jeszcze jedną modlitwę.

Prosił Boga, by zabili tego stwora.

Chociaż jego modlitwy dawno już odeszły w nicość, wciąż jeszcze leżał przytomny na wąskim łóżku w ciemnym pokoju. Nie wiedział, na jak długo pogrążył się we śnie, zdawał sobie tylko sprawę, że minęło dość czasu, by chciał z niego wrócić. Leżał tak przez długie

godziny, aż w końcu zaczęła mu doskwierać pustka mrocznego pomieszczenia.

Od czasu wstąpienia do zakonu ani razu nie spał samotnie. Nie złożył jeszcze ostatecznego ślubowania, ale oczekiwano od niego, że pod każdym względem będzie prowadził życie męznego mnicha-rycerza Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Oznaczało to wykonywanie wszystkich czynności we wspólnocie z braćmi i spanie z nimi w dormitoriach, których nieustanne oświetlenie miało uniemożliwić ukrycie grzechu.

Czemu teraz oddzielono go od pozostałych?

Może Bóg chciał sprawdzić jego oddanie zakonowi? A może pan tego miejsca - lub jego pani, ta kobieta, Maria, która podała mu agresywnie brzmiące, słowiańskie imię „wojewoda Bolesław” - może ów wojewoda Bolesław chciał uniemożliwić ludziom Heinricha zbieranie się i spiskowanie? Stosunki między państwem zakonnym w Prusach a Polakami nigdy nie były zbyt dobre, wahały się od podejrzliwości do otwartej wojny, już od czasu, gdy zakon sto pięćdziesiąt lat wcześniej został tu zaproszony w celu poskromienia pogańskich Prusów - zaproszony przez księcia mazowieckiego.

Od tamtej pory Polacy nieustannie próbowali się wycofać ze złożonych obietnic oddania ziemi i udzielenia pomocy w zamian za wyeliminowanie pogańskiego zagrożenia na granicy.

Josef potarł oczy. Jakikolwiek zamiary wobec niego miał Bóg lub wojewoda Bolesław, samotne przebywanie w ciemności w towarzystwie ponurych myśli i bólu sprawiało, że czuł się bardzo źle. Znacznie gorzej niż powinien, nawet przebywając samotnie w miejscu, gdzie otaczano go podejrzliwością, jeśli nie wrogością.

Wszystko to z powodu kobiety.

Im bardziej wracała mu pamięć, tym niezręczniejszemu się czuł. Zwłaszcza gdy przypominał sobie, jak Maria myła jego pierś. Pomyślał o jej twarzy, patrzącej na niego z góry, otoczonej kruczoczarnymi włosami, z oczami pełnymi troski. Przypominał sobie dotyk jej dłoni na ramionach - z taką siłą i łagodnością nic nie zadziało na jego duszę od czasu opuszczenia starego domu i starego życia.

To nie było właściwe. Nawet zanim wstąpił do zakonu, takie przebywanie z kobietą sam na sam...

Jakie?

Wiązały go śluby zakonne. Posłuszeństwa, ubóstwa, czystości. Nawet gdyby był zbyt słaby, aby wprowadzić w czyn swoje myśli, Bóg nadal go sprawdzał. Tak jak starsi bracia zakonu, którzy bardzo wyraźnie uświadamiali probantom wszystkie obowiązki i niedostatki życia zakonnego, zawsze z niedopowiedzianym pytaniem: „Czy naprawdę tego chcesz?”.



Nikt nie wstępował do zakonu z niewiedzy. Każdy, kto składał ostateczne śluby, wiedział, co poświęca - zarówno ze świata, jak i własnej woli. Z tych, którzy wstąpili do zakonu razem z nim, pozostała już tylko jedna trzecia, a zapewne tylko ćwierć złoży śluby wieczyste. Nawet teraz Josef mógł oświadczyć swojemu komturowi, że nie czuje powołania, i odejść z błogosławieństwem zakonu.

To był test. Jeśli chce służyć Bogu w zakonie, będzie robił to wśród ludzi, a nie w klasztorze. Szczytem arogancji lub tchórzostwa byłoby upieranie się, że może służyć tylko w miejscu, w którym będzie wolny od wszelkich pokus. Jak mógłby być rycerzem zakonu, jak mógłby stanąć naprzeciw potworności, na którą polował Heinrich, gdyby nie potrafił opanować własnych odruchów?

Jeśli mógł oprzeć się wilczemu demonowi rozdzierającemu mu wnętrzności, mógł też oprzeć się pokusie, jaką była jedna młoda kobieta.

\* \* \*

Gdy Maria przyszła następnego ranka, Josef nie spał. Jęczał, leżąc zawinięty w skłębioną pościel, z jedną ręką wyciągniętą z boku łóżka. Pośpiesznie odstawiła miskę z owsianką na stolek przy drzwiach i podbiegła do niego.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, chwytając jego rękę i próbując położyć ją z powrotem na łóżku. Gdy uświadomiła sobie, że odezwała się po polsku, powtórzyła to pytanie w najlepszej niemczyźnie, na jaką potrafiła się zdobyć.

- Proszę, pomóż - odezwał się. Jego policzki płonęły od gorączki i odniosła wrażenie, że to może być jego koniec.

Ogarnięta paniką, zapomniała większości niemieckich słów, które знаła, ale po kilku zniekształconych sylabach zdołała wreszcie wypowiedzieć:

- Lekarz? - Nawet nie wiedziała, czemu go pyta. Wyraźnie coś mu było. Gdy z powrotem znalazł się we właściwej pozycji na łóżku, podbiegła do drzwi, by sprowadzić pomoc. Zatrzymała się, dopiero gdy krzyknął za nią:

- Nie!

Odwróciła się i zobaczyła, że wskazuje na miejsce, w którym stał nocnik.

- Nie mogłem sięgnąć - wydusił.

- Ależ tak, zaraz... - znowu przeszła na polski.

Przysunęła stojak i nocnik do łóżka, potem podniosła naczynie i podała mu je.

- Dziękuję - powiedział, a ona uświadomiła sobie, że rumieniec na jego policzkach brał się ze wstydu, nie gorączki.

- Dam ci... chwilę spokoju... Wyjdę na zewnątrz. Zawołaj mnie, jak skończysz.

Wyszła za drzwi, przymykając je, ale w taki sposób, by nie zamknąć zasuw. Potem zaczęła oddychać powoli, zbierając myśli. Josef wyzdrowieje, teraz już była tego pewna. I prawie zadrżała z ulgi.

\* \* \*

Uparł się też, by jeść bez pomocy, choć wyraźnie nadwężało to jego siły.

- Gdzie jestem? - zapytał znowu w przerwie między kolejnymi porcjami.

Powtórzyła, że znajduje się na ziemi księstwa mazowieckiego, ale jej przerwał.

- Nie, to już mówiłaś. Ta izba... Gdzie to jest?

- Zwykle mieszkają tu stajenni...

Zerknął na okno.

- No tak. To wyjaśnia zapach koni. - Przełknął kolejną łyżkę owsianki. - Czy wojewoda Bolesław nie ma izb gościnnych? Książę Siemowit III z pewnością wysłał tu wojsko na kwaterę. - Uniósł brew. - A może jego ludzie już tu są?

Maria popatrzyła na niego i doszła do wniosku, że lepiej będzie nie odpowiadać na to pytanie wprost.

- Pan tego domu uznał, że stosowniej będzie umieścić szacownych gości w mniejszych izbach.

- „Szacownych”? Chyba raczej kłopotliwych...

- Nie byłeś dla mnie szczególnie kłopotliwy - odpowiedziała z uśmiechem. Słowa te opuściły jej usta, zanim zastanowiła się nad ich wieloznacznym sensem.

Odstawił swoją miskę.

- A kim ty jesteś, Mario? Jedną z dam dworu wojewody Bolesława?

Nagle przypomniała sobie, że nie rozmawia z jakimś wieśniakiem. Josef był członkiem świętego zakonu rycerskiego, wyróżniały go nie tylko złożone śluby, ale i status. Nie mogła rozmawiać z nim tak, jakby był zwykłym stajennym... choć na tę myśl doznała nagłego poczucia straty.

- Jestem tu tylko służką, panie. Służę wojewodzie Bolesławowi, wspierając swoją rodzinę.

Musiał zauważyć nagły smutek na jej twarzy, gdyż odpowiedział:

- Nie ma się czego wstydić.

- Przyjmij, proszę, przeprosiny, jeśli moje słowa sugerowały coś innego. - Podeszła, by zabrać pustą miskę, tłumiąc targające nią emocje.

- Jeśli nie potrzebujesz już mojej pomocy, czekają na mnie inne obowiązki...

- Zostaw tylko nocnik w zasięgu ręki - poprosił, uśmiechając się słabo. - Czuję, że przede wszystkim potrzeba mi odpoczynku.

Postawiła koło jego łóżka pusty nocnik oraz dzwonek na wypadek, gdyby potrzebował pomocy, zanim wróci do niego z kolacją. Potem wyszła najszybciej, jak się odważyła.

## VI

Wracając do Josefa, czuła się niepewnie. Gdy zajmowała się nim jako nieprzytomnym inwalidą, nie zastanawiała się nad jego statusem. Był po prostu rannym mężczyzną, którego powierzono jej opiece. Nawet gdy patrzyła na profil jego śpiącej twarzy lub aż za bardzo uświadamiała sobie jego potężną budowę wojownika, wodząc wilgotną ściereczką po jego piersi, ramionach lub nogach...

W gruncie rzeczy miała do czynienia tylko ze sobą. Równie dobrze mogła skupiać uwagę na rzeźbie, obrazie lub kunsztownie wykonanym meblu.

Teraz jednak Josef był przytomny i nie mogła już dłużej udawać, że to, o czym myśli, jest wyłącznie jej sprawą. Skupiała uwagę na żywej, realnej osobie. Osobie, która w zwykłych okolicznościach nie zaszczyliłaby ją więcej niż tuzinem słów.

Najgorsze było to, że odzyskawszy świadomość, Josef nie robił niczego, by zniechęcić ją do niesfornych myśli. Jeśli już, to sposób, w jaki pokornie znosił ból, i łagodny ton, jakim z nią rozmawiał - pomimo różnicy ich pozycji - podsycaly jeszcze siłę jej niestosownych myśli. Czyniły je wyraźniejszymi i zuchwalszymi.

Mimo wszystko zajmowanie się Josefem było jej obowiązkiem i nie mogła go teraz porzucić. Choć, szczerze mówiąc, zastanawiała się czasem, czy robi to dlatego, że nie może odmówić wykonywania przydzielonej pracy, czy też nie ma serca, by to zrobić.

W końcu powiedziała sobie, że opiekuje się Josefem, ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej by chciała, byłoby rozniewanie jej panów w grodzie. Służba zapewniała jej ucieczkę przed poczuciem winy panującym w domu od czasu śmierci ojca. Pomyślała, że gdyby wyrzucono ją z grodu, nie zniosłaby życia w tym domu, w atmosferze niewypowiedzianych zarzutów rodziny; starała się więc bardzo, by przynosić mu posiłki i zmieniać opatrunki bez zbytej poufałości.

Niestety, Josef wydawał się nie mieć tego rodzaju zahamowań. Sprawiał wrażenie, jakby jego podświadomość zgromadziła w sobie całą masę słów, i gdy Maria wróciła z kolacją, słowa te zaczęły się z niego wylewać niepowstrzymanym potokiem.

Nie mogła zrobić nic, poza uprzejmym potakiwaniem i próbami niemówienia niczego, co zachęciłoby go do kontynuowania tych jednostronnych wynurzeń. Gdy jadł, stała w rogu izby, od czasu do czasu rzucając tęskne spojrzenia na ciemniejące niebo.

- Moja rodzina mieszkała w Norymberdze. Każde pokolenie oddawało kogoś na służbę Kościoła. Mam wujów i kuzynów, którzy są kapłanami i biskupami, a moi przodkowie służyli w Ziemi Świętej. - Mówił coraz szybciej, a ona miała coraz większe problemy ze zrozumieniem. Jednak wychwytywała znaczenie większości jego słów.

Cztery lata temu do jego miasta przyszła zaraza. Zabrała mu ojca, dziadka, braci i kobietę, której oddał swoje serce. Jediną oprócz niego osobą z rodziny, która przeżyła, była niezamężna ciotka, która wycofała się do klasztoru o tak ścisłej regule, że nie wolno jej było nawet porozmawiać z bratankiem.

To był znak. Josef oddał rodzinne ziemie Kościołowi i przywdział opończę zakonu.

Gdy skończył swoją opowieść, Maria spostrzegła, że trudno jej oddychać - strata własnego ojca wydała się jej równie bolesna jak strata, którą wyczytała z twarzy śpiącego Josefa. Ten człowiek przeżył coś podobnego, lecz na znacznie większą skalę. Chciała w jakiś sposób okazać, że dzieli jego ból, ale zdołała tylko wyszeptać:

- Przykro mi.

Nawet to powiedziała po polsku.

Popatrzył na nią pytająco.

- Co powiedziałaś?

Schyliła się i podniosła jego pustą miskę.

- Już czas na twój sen, panie. Wciąż potrzebujesz odpoczynku.

- Tak, pewnie masz rację - zgodził się, odchylając głowę na poduszkę.

\* \* \*

Josef potrzebował kontaktu z ludźmi. Był pobożny, ale przebywanie w samotności, w której mógł przemawiać tylko do Boga i samego siebie, obciążało jego duszę.

Kiedy więc Maria przyszła z wieczornym posiłkiem, opowiedział jej o swoim życiu i wszystkim, co doprowadziło go do służby zakonowi.

Mówiąc, dziękował w duchu za to, że nie wstąpił do jednego z mniej światowych zakonów: nie miał dość siły ducha, by poświęcić się ascetycznemu życiu, wypełnionemu wyłącznie kontemplacją Boga. Może było to chwalebne, ale... nie miał charakteru swojej ciotki.

Opowiadanie Marii historii własnego życia przypomniało mu także, że oddał się Bogu.

Uświadomiło mu też raz jeszcze powody owego aktu. Potrzebował nieustannego przypominania, ponieważ w obecności Marii miał niestosowny zwyczaj myślenia jak w czasach przed wstąpieniem do zakonu, gdy jeszcze mógł sobie pozwolić, by uprzejme słowo bądź subtelny dotyk prowadziły jego myśli ku czemuś więcej.

Jednak nic nie było takie jak wcześniej. Ani on, ani świat. W dużym stopniu mówił Marii o swojej przeszłości właśnie dlatego, by sobie o tym przypomnieć. Opowiedział jej o wczesnej młodości i o tym, jak spodziewał się odziedziczyć tytuł i ziemie, o zarazie, która spadła na Norymbergę, i o zniszczeniach, które wywołała w rodzinnych majątkach.

A jednak kiedy opowiadał o tych strasznych czasach, w jej oczach zobaczył odbicie swojego żalu. Prawie przerwał z obawy, że zbyt ją zasmuci i jeśli w jej oczach pojawią się łzy, poczuje pragnienie pocieszenia jej... ze świadomością, że pomimo złożonych ślubów pocieszałby bardziej siebie niż Marię.

Wyczuwając to w sobie, mówił z jeszcze większą ochotą. Opowiadał o kobiecie, z którą się zaręczył, by przypomnieć sobie, kim i czym był, co utracił - i by odepchnąć od siebie tę polską dziewczynę. Sara była córką potężnej norymberskiej rodziny, małżeństwo z nią zwiększyłoby znaczenie i bogactwo jego rodu. Jako nastoletni dzieciak był nią kompletnie zauroczony. W wieku szesnastu lat Sara była wielką piękną, zawsze miała dla niego uśmiech lub miłe słowo, niezależnie od wątpliwych przygód, w które się czasem pakował. Dawno temu przekonał sam siebie, że Sara zawsze będzie jedyną kochaną przez niego kobietą. Utrata jej była tym zdarzeniem, które pchnęło go do zwrócenia się ku zakonowi.

Kiedy to powiedział i zrelacjonował Marii śmierć Sary, na jej twarzy pojawił się wyraz żalu tak głębokiego, jakby to ona straciła rodzinę w Norymberdze. Powiedziała coś cicho po polsku, ale zanim poprosił ją o przetłumaczenie, zauważyła, że powinien już iść spać.

Opuścił głowę na poduszkę, zamknął oczy i przez chwilę wyobrażał sobie, że dotknęła jego policzka. Nie otworzył oczu ze strachu przed rozwianiem tego złudzenia... albo potwierdzeniem go.

Jednak pogrążając się we śnie, przez chwilę rozważał, czy choć wyglądały podobnie... czy gdyby Sara przeżyła, wyrosłaby na kogoś takiego jak Maria.

\* \* \*

Sen Josefa został przerwany hukem gwałtownie wyważanych drzwi.

Otworzył oczy i zobaczył kudłatego, szczerbatego Polaka, oświetlonego od tyłu przez latarnię na korytarzu. Mężczyzna, od którego czuć było smród moczu i piwa, wmaszerował do środka, wrzeszcząc coś niezrozumiałego po polsku.

Zanim Josef zdążył się odezwać, intruz ściągnął z niego okrycie i złapał za rękę. Odór alkoholu wycisnął łyzy z oczu Josefa. Woń ta, wraz z niewyraźną mową i faktem, że mężczyzna rozbił niezamknięte drzwi, sugerowała jasno, że nie był przedstawicielem jego mazowieckich gospodarzy.

Skrzywił się, gdy intruz szarpnął go za rękę, wyciągając go niemal z łóżka. Poczul się tak, jakby ktoś wbił mu w brzuch szklany sztylet, a potem gwałtownie wyciągnął ostrze.

- Dość! - Josef warknął na pijaka.

Jednak tamten dalej ściągał go z łóżka, a ból stawał się coraz silniejszy. Josef nie wiedział, jakie były zamiary pijanego, ale nie zamierzał dopuścić, by się powiodły.

Ciągnąc go za prawą rękę, mężczyzna odwrócił się plecami do łóżka, więc zakonnik przetoczył się w jego stronę i wytrącił z równowagi nachylonego do przodu napastnika. Ranny dopomógł jeszcze pijanemu przez sięgnięcie w dół i szarpnięcie lewą ręką za jego nogi.

Mężczyzna padł twarzą na podłogę, puścił Josefa i wylądował tuż obok łóżka. Potrząsnął głową i zaczął się podnosić, ale młodzieniec sturlał się na niego z pośłania. Obaj jęknęli - gość Josefa w pijanym widzie, gdy znowu uderzył głową o podłogę, zakonnik w przypiływie straceńczej siły. Poczul się, jakby demon znowu szarpał szponami jego wnętrzości.

*Ale to właśnie prawie się stało, prawda?*

Mężczyzna próbował strząsnąć z siebie Josefa, więc ten opadł całą swoją masą na kark pijanego. Ból przeszywający zakonnika groził utratą przytomności.

- Spokojnie, przyjacielu - cicho i spokojnie odezwał się Josef z nadzieją, że ton jego głosu może załagodzić sytuację, nawet jeśli mężczyzna nie zrozumie jego słów. - Czas odpocząć i zastanowić się nad tym, co doprowadziło nas do tego nieszczęsnego zdarzenia...

Przygniatany przez niego mężczyzna wyrzucał z siebie niekończący się strumień polskich słów, które niemal na pewno były obelgami. Na szczęście zrezygnował z prób zrzucenia Josefa.

Wkrótce w drzwiach pojawiło się paru Polaków: trzech z nich wyglądało na równych napastnikowi, ale ukazała się też postać w bogatym stroju, z obfitą brodą i zniekształconymi ustami. Josef uświadomił sobie, że musiał to być sam wojewoda Bolesław.

Między nimi stał również komtur Heinrich, przyglądając się scenie z wyraźną dezaprobatą.

Bolesław krzyknął kilka słów po polsku i mężczyzna pod Josefem na nie odpowiedział, choć Josef zauważył wyraźną zmianę w sposobie wymowy, głośności, szybkości wypowiedzianych słów oraz, zapewne, ich treści.

Następnie wojewoda zwrócił się po niemiecku do Josefa:

- Tyś jest brat Josef, tak?

- Tak, panie.

Bolesław westchnął i nieobecny ruchem pogłaskał się po brodzie.

- Jesteś moim gościem i przepraszam cię za to zdarzenie. Pozwolę sobie zapytać, czy zechciałbyś wyjaśnić, co się tu zdarzyło? Czy też sytuacja wygląda tak, jak sugerują moje stare oczy?

- Leżałem w łóżku, gdy ten mężczyzna wpadł tu i próbował mnie wyciągnąć...

- Próbował? - zapytał Bolesław. - Wygląda na to, że mu się udało...

- Przewróciłem go, panie, i uznałem za rozsądne unieruchomienie go. Wygląda na pijanego, jest zagrożeniem dla siebie i innych.

Jeden z Polaków w korytarzu za drzwiami zaczął chichotać. Bolesław popatrzył z wyrazem bólu w oczach, wykrzywiając usta w groteskowym grymasie.

- To niewybaczalne zachowanie. Cokolwiek moi ludzie mogą myśleć o Niemcach lub zakonie, jesteście moimi gośćmi. Każę związać tego człowieka i obić kijem do krwi.

- Czy to nie pogorszyło stanu twoich ran, Josefie? - zainteresował się Heinrich.

- Nie, chyba nie, bracie Heinrichu - odpowiedział Josef, próbując się nie krzywić.

- Ten człowiek jest pijany - Heinrich zwrócił się do Bolesława - okaż mu łaskę. Mój człowiek nie ucierpiał.

- Nie można powiedzieć tego o moich drzwiach. - Bolesław potrząsnął głową i oglądając się na pozostałych Polaków, powiedział coś do najlepiej ubranego z nich. Po krótkiej rozmowie wojewoda znowu zwrócił się do Josefa. - Łaskawie puść go i daj mu wrócić do jego pana. Dałem mu wolną rękę w ukaraniu tego nędznika. Umywam ręce od tej sprawy.

Heinrich wszedł do izby i pomógł Josefowi wstać, a pijany napastnik chwiejnym krokiem wyszedł z pomieszczenia i dołączył do rodaków.

- Dobrze jesteś tu traktowany? - zapytał komtur, gdy pomagał Josefowi wrócić do łóżka.

- Tak.

- Nikt nie przepytował cię o naszą misję tutaj?

- Nie, panie.

- Dobrze. Odpoczywaj i nabieraj sił. Wkrótce pan tego zamku sprowadzi tu biskupa. Podejrzewam, że niedługo potem będziemy mogli powrócić do naszej misji. - Położył dłoń na ramieniu Josefa. - Wtedy będę potrzebował wszystkich ludzi zdolnych do walki.

- Tak, bracie Heinrichu. Będę gotów.

- Bracie Heinrichu? - Josef odezwał się, gdy przełożony zmierzał już do wyjścia.



- Tak?

- Wiesz, kim był ten człowiek? Czego ode mnie chciał?

- To stajenny, który do niedawna mieszkał w tej izbie. Ma na imię Łukasz.

- Powinienem...

- Nie martw się tym. Teraz to sprawa między nim a jego panami. Ciebie to już nie dotyczy.

- Dziękuję, panie.

Jednak minęło dużo czasu, zanim Josef ponownie pogrążył się we śnie.

## VII

Maria wyszła za wały grodu przed zachodem, ale niebo kryło się za nieprzeniknioną zasłoną fioletowo-czarnych chmur, zbyt gęstych, by zdradzać pozycję słońca. Światło szybko znikło i wkrótce musiała wędrować przez las ciemniejszy od nieboskłonu. Drzewa wyciągały do niej gałęzie niczym ucieleśniona czerń.

Zawsze świetnie widziała w nocy i zazwyczaj nie potrzebowała noszonej ze sobą latarni, ale dzisiaj, pod bezksiężycowym niebem, musiała z niej skorzystać, by zobaczyć, gdzie biegnie ścieżka.

Niezwykły był odczuwany przez nią niepokój. Mieszkała w tym lesie przez całe swoje życie i niewielki dystans między grodem a rodzinnym gospodarstwem przemierzała często, niemal codziennie. Zresztą okolica była ludna. Obecność ludzi dawno już przegnała co bardziej niebezpieczne zwierzęta z dala od grodu Narew.

Jednak Niemcy zostali pokiereszowani przez jakieś zwierzę...

Maria zacisnęła dłoń na krzyżu. Tata wielokrotnie powtarzał jej, że ma zawsze nosić ten krucyfiks, by trzymać z dala diabła. A tej nocy demon wydawał się czaić bardzo blisko.

Powinam była zostać w grodzie - pomyślała. Powinna albo zostać tam na noc, albo opuścić Narew wcześniej. Niezależnie od tego, jak dobrze znała ten las, było tu zbyt niebezpiecznie, by wędrować po nocy tylko z chęci uniknięcia niewypowiedzianych oskarżeń, które wisiały nad nią w domu.

Szła czarną ścieżką, otoczona rzucającymi głębokie cienie drzewami. Wędrowała do domu przy akompaniamencie cykania świerszczy i rechotania żab. Ich odgłosy były równie uspokajające, jak groźny był mrok.

Westchnęła. Strach, choć usprawiedliwiony, nic jej nie dawał. Była na ścieżce i nie mogła się już cofnąć. Próbowwała się zmusić do myślenia o czymś innym niż cienie i to, co mogło się w nich ukrywać, więc jej myśli skupiły się na Josefie i na uczuciach, których doznawał, gdy tracił przez zarazę całą rodzinę. Myślałaś o kobiecie, którą utracił. Pewnie była damą dworu. Wysoką i zgrabną, z długimi blond lokami, ubraną w kosztowne tkaniny. Kobieta, która nie

musiała pracować.

Była całkowitym przeciwieństwem Marii.

Czyżbym była zazdrosna? - zastanowiła się nagle, czy naprawdę zazdrościła tej biednej martwej kobiecie mającej kiedyś serce? Takie emocje były grzeszne i stanowiły tylko jeszcze jedną oznakę tego, jak bardzo była próżna.

- Czemu ja... - zaczęła zadawać sobie pytanie, które pozostało niedokończone w cichym powietrzu nocy.

Wszystkie owady i żaby w okolicy już zamilkły. W lesie zrobiło się równie cicho, jak wcześniej ciemno. Zatrzymała się i skrzywiła nos, czując atakujący ją nagle smród.

Piwo?

Coś chwyciło ją od tyłu i pchnęło w stronę drzewa. Przed jej oczami zatańczyły gwiazdki, gdy bokiem głowy uderzyła w kostropaty pień. Jej latarnia upadła na drogę i zgasła.

- Hejże, nie tęsknisz za mną?

- Łukasz? - Aż nazbyt dobrze знаła ten głos.

- No proszę, rozgrzewasz moje serce. - Wydawał się cieniem, tkwiącym tuż przy niej. Sięgnął do jej ciała, a ona odepchnęła jego ręce, cofając się przed smrodem moczu, piwa, sera i gnoju.

- Nie dotykaj mnie! - warknęła.

- Och, ty też za mną tęskniłaś. Słyszę to w twoim głosie. - Był blisko, przyciskał ją do drzewa. - Od czasu przybycia tych przeklętych Niemców ani razu nie udało się nam pogawędzić... - Jego oddech był ciepły, wilgotny i śmierdział alkoholem oraz cebulą.

- Zostaw mnie, ty paskudny potworze!

- Krzycz, ile chcesz, moja miła. Jesteśmy z dala od ludzkich uszu.

Chmury na niebie rozstały się, uwalniając skrywany dotąd księżyc. Ścieżka wokół nich rozjarzyła się zimnym srebrnym światłem - i wówczas zobaczyła twarz Łukasza, patrzącego na nią pożądliwie zimnymi, martwymi oczami.

- I z dala od wszelkich oczu... - dodał z paskudnym uśmiechem. - Możemy robić, co tylko zechcemy. Wsunął dłoń pod jej pelerynę i poczuła jego twarde, spocone palce sięgające do piersi.

Tego było zbyt wiele. Zamachnęła się i z całej siły trzasnęła go w twarz. Jej zaciśnięta pięść uderzyła w lewy policzek Łukasza, wydając odgłos padającego na kuchenną podłogę pięćdziesięciokilogramowego worka zboża. Runął do tyłu, zabierając łapsko.

Wiedziała, że powinna uciekać, ale była zbyt wstrząśnięta tym, co zrobiła. Jej cios prawie powalił tego mężczyznę na kolana. Zanim zdołała się opanować na tyle, by ruszyć dalej,

Łukasz oddał jej uderzenie w policzek.

- Suka! - wrzasnął, a ona poczuła piekący ból.

Gdy na jej twarzy rozlało się ciepło krwi, zaczęła się zastanawiać, czemu nie uderzył jej z taką siłą, jak ona jego. Potem znowu gwałtownie pchnął ją na drzewo, przyciskając całym ciałem. Zaczęła się wyrwać, ale zmroziło ją błyszczące ostrze noża, które zaświeciło tuż przy jej twarzy.

- Niewdzięczna dziwka! - warknął na nią Łukasz. - Musiałaś się postawić...

Nawet w świetle księżycy widziała opuchliznę wzbierającą w miejscu, gdzie go uderzyła. Zniekształcała mu twarz, zmuszając do zamknięcia lewego oka. *Czyżbym złamała mu szczękę?*

Przesunął nóż przed jej twarzą, w chwili gdy chmury spróbowały odzyskać księżyc, ponownie pogrążając las w mroku.

- Jeśli przeprosisz - wyszeptał jej do ucha - to może potnę cię tylko trochę...

Wciągnęła powietrze, czując, jak jego wolna dłoń wciska się pod jej koszulę. Był ciężki i całym ciałem przyciskał ją do drzewa. Kora szarpała ją za włosy, skóra twarzy piekła w miejscu uderzenia, a wszystko wokół spowijały cuchnące wyziewy samego Łukasza. Okropny smród wzbudzał mdłości nawet w chwili całkowitego przerażenia.

Potem coś zaszeleściło w lesie. Coś dużego.

Pomyślała o losie Niemców i jej strach przybrał na sile. Łukasz był zbyt zajęty podciąganiem jej spódnicy, by cokolwiek zauważyć. Dopiero gdy na ścieżce za nim z szelestem wyłonił się cień mroczniejszy od lasu, obejrzał się, rzucając:

- Co jest?

Potem nagle, cudownie, jego ciężar, macająca dłoń, groźny nóż i okropny smród w jednej chwili zniknęły.

Łukasz wrzasnął coś, gdy jego sylwetka zlała się z cieniem, który wyłonił się z lasu. Maria tylko przez chwilę słyszała odgłosy zmagania, a potem jeden z cieni przerzucił drugiego przez ścieżkę, aż w zarośla po drugiej stronie. Cień upadł z łomotem i trzaskiem łamanych gałęzi.

Strach Marii osłabł nieco, gdy zauważyła, że cień, który wyłonił się z lasu, ma ludzką sylwetkę. Obcy zagłębił się między drzewa w ślad za Łukaszem. Usłyszała ponowne przekleństwa stajennego, dalsze odgłosy zmagania, a po nich solidne uderzenie.

Las wokół niej ponownie pogrążył się w ciszy. Słysząc było jedynie odległy jęk i świst wiatru przeciskającego się między konarami drzew. W górze księżyc jeszcze raz uwolnił się z uścisku chmur i ścieżkę znów zalała srebrna poświata. Zacisnęła dłoń na krzyżu.

- Kto tu jest? - zawołała w mrok.

Las pochłoniął jej słowa bez komentarza. Nie usłyszała odpowiedzi - ani Łukasza, ani niewyraźnej postaci, która go od niej oderwała. W jej głowie pojawiła się zwariowana nadzieja, że to Josef przybył, aby ją obronić, niczym rycerz ratujący dziewicę w balladzie.

Wiedziała jednak, że Josef jest zbyt chory, by chodzić swobodnie po grodzie, a co dopiero wędrować za nią po lesie. Strach ponownie zaczął wkradać się w jej duszę.

- Kto tu jest? - zawołała ponownie.

Głęboko wciągnęła powietrze i coś w powietrzu, jakiś na wpół znajomy zapach, wywołało panikę w jej głowie, wrzeszcząc bezgłośnie *uciekaj!*

Jednak zanim zdołała przekonać nogi, by posłuchały tego wezwania, obcy wyszedł z lasu na ścieżkę.

Popatrzyła na niego i zamarła.

Był to mężczyzna, którego jeszcze nigdy nie widziała, ubrany w luźną lnianą koszulę, której dolna część opadała na poplamione błotem spodnie. Koszula falowała lekko na wietrze, odsłaniając chwilami jego pierś i brzuch. Twarz miał gładko ogoloną i otoczoną rozpuszczonymi luźno blond włosami, sięgającymi do ramion.

Jednak najbardziej uderzające były jego oczy, lśniące w świetle księżyca próbującego odessać ze świata wszelkie kolory. Były jedynymi niedoskonałymi elementami jego twarzy - lewe oko lśniło nieco bledszym błękitem niż prawe, co podkreślała mała blizna, która dzieliła na pół jego brew i sprawiała, że wydawał się lekko zmieszany.

Te skazy podkreślały jedynie jego urodę, czyniąc ją jeszcze bardziej uderzającą.

Podszedł do niej i stanął, potrząsając głową i przeczesując włosy palcami. Kiedy to robił, skraj jego koszuli zadarł się nieco i zobaczyła za pasem rękojeść sztyletu Łukasza.

- Uratowałeś mnie - wyszeptała, znowu czując narastający, niewytłumaczalny strach. Jej umysł wciąż czepiał się sprośnej ballady śpiewanej przez rycerzy, w której nagrodą za uratowanie dziewicy były oddane przez nią dobrowolnie wdzięki. Teraz jednak człowiek ten przejął rolę Josefa, co nadało piosence znacznie mroczniejszego wydźwięku.

Znieruchomiał z dłońmi we włosach, po czym się roześmiał. Następnie, potrząsając głową, opuścił ręce i popatrzył na nią z rozbawieniem, jak ktoś, kto usłyszał żart zrozumiały w pełni tylko dla starych przyjaciół. W przeciwieństwie do Łukasza rozbawienie to w pełni odbijało się w jego oczach - choć blizna nad lewym okiem usilnie próbowała nadać jego twarzy wyraz sarkazmu lub okrucieństwa.

- Uratowałem cię? Przed tym prostakiem? Daj spokój, nie zamierzam cię obrażać.

Maria otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo.

Cofnął się i popatrzył na nią swoimi uderzająco niesymetrycznymi oczami.

- Wiem, że sama mogłabyś sobie z nim poradzić. Wszystko przez moją niecierpliwość.

- Dz... dziękuję... - wyszeptała, niepewna, kim jest ten człowiek, co ma na myśli i czemu samo powietrze wokół niego z każdym oddechem podsycalo jej strach.

Zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Zachowałem się nieuprzejmie, ale chciałem się z tobą spotkać. Minęło tak wiele czasu...

Wbrew swoim obawom Maria również wyciągnęła rękę i uściśnięła jego dłoń. Patrząc mu w twarz i słuchając go, nie bardzo mogła zrobić cokolwiek innego. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Dotyk jego warg na skórze wzbudził dreszcz w całym jej ciele. Jakby wszystko się zatrzymało: oddech, serce... nawet powietrze wokół niej znieruchomiało, jakby sam wiatr został zauroczony stojącą przed nią postacią. Była wdzięczna chmurom, gdy ponownie ukryły księżyc, dzięki czemu cienie zamaskowały rumieniec na jej policzkach.

Gdy stał się znowu tylko sylwetką w mroku, młodzieniec puścił jej dłoń.

- Kim... jesteś? - wykrztusiła z trudem, bo głos uwiązł jej w gardle. Czy tak właśnie czuła się owa dziewczyna z ballady? Czy naprawdę oddała się z własnej woli, czy też została do tego stopnia zauroczona przez wybawiciela, że nie mogła zrobić nic innego?

- Mam na imię Darien - przedstawił się. - A ty?

- Maria.

- Maria... - Jego głos pieścił to słowo tak, że poczuła wewnętrzne drżenie.

*Nie mogę tu zostać. Uwodzi mnie samą swoją obecnością.* Wciągnęła powietrze i zmusiła się do powrotu do rzeczywistości.

- Łukasz... - wypluła to słowo, które okazało się skutecznym antidotum na zniewalającą obecność Dariena.

- Łukasz? - Głos młodzieńca przybrał inny ton i Maria nie była teraz pewna, czy cieszy się, czy martwi, że jego twarz ukryta była w mroku.

- Ten człowiek, który mnie zaatakował, służy rycerzom i złoży na ciebie skargę do wojewody Bolesława.

- Powiniennem się tym przejmować?

- Nie żartuj sobie z tego. Bolesław jest przedstawicielem samego księcia i włada tu w jego imieniu. Jednym słowem może skazać cię na chłostę lub coś gorszego. Mógłby z ciebie uczynić niewolnika...

Darien się roześmiał, podobnie jak wcześniej, ale teraz w jego śmiechu zadźwięczało coś twardszego. Potem księżyc ponownie wyłonił się zza chmur, a w niej zrodziło się

podejrzenie, że to wszystko sobie tylko wyobraziła - zwłaszcza że śmiech ucichł, jakby zdumiało go, że dziewczyna nie widzi nic zabawnego w fakcie, że jej wybawiciel może trafić do lochu.

Wreszcie doznała objawienia: *Oczywiście*. To banita. Jaki człowiek mógł wędrować przez ten las po nocy poza bandytą uciekającym przed prawem księcia i jego namiestnika? Oczywiście, że był rozbawiony. Zapewne poszukiwano go za przestępstwa znacznie cięższe niż to, o co mógł go oskarżyć Łukasz.

- Wybacz, że ośmieliłam się wtrącać w nie swoje sprawy - powiedziała.

- Po tak długim czasie - odparł - mogę wybaczyć wiele grzechów. I nie martw się o tego prostaka Łukasza. Kiedy się obudzi, z pewnością zdołam go nauczyć dyskrecji.

- Muszę iść do domu - powiedziała.

- Musisz?

- Tak. - Zdołała powiedzieć to słowo bez cienia wahania. Mimo wszystko, gdy podnosiła z ziemi zgąśłą latarnię, bezwiednie odezwała się wersem z ballady: - Czy mogę w jakiś sposób odplącić ci za twą uprzejmość?

Oszołomiona słuchała wypowiedzianych przez siebie słów i zaparło jej dech, gdy czekała na odpowiedź. *Co zrobię, jeśli poprosi o to samo, co otrzymał rycerz w balladzie?* Ta myśl była przerażająca. Czemu wypowiedziała te słowa?

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, tego nietkniętego przez Łukasza. Pogłodził jej twarz, jakby zrozumiał właściwe znaczenie jej zaproszenia, a jego dotyk był łagodny, jakby zdawał sobie sprawę, że wcale nie to było jej zamiarem.

- Wszystko, o co proszę, to dyskrecja. Nie mów nikomu o tym, co się tu stało. Ani słowa o mnie, ani słowa o tym prostaku. Jeśli musisz iść do domu, idź teraz.

Cofnął dłoń i zrobił krok do tyłu. Coś w niej chciało sięgnąć do niego, choć cofała się równocześnie przed mrokiem, który wyczuwała w jego wnętrzu. Znów odezwała się wbrew sobie:

- Jak znowu cię odnajdę?

- To ja znajdę ciebie - zapewnił. - A teraz już idź!

Przemówił tak władczy tonem, że zniknęła mu z oczu, zanim uświadomiła sobie, że biegnie.

## VIII

Darien stał na środku leśnej ścieżki, wciąż pełen niedowierzania. Minęły dziesięciolecia od czasu, gdy ostatni raz myślał z nadzieją o znalezieniu kogoś jeszcze. Zrezygnował i pogodził się z myślą, że jest sam, jedyny.

- Maria - wyszeptał, smakując w ustach jej imię. Głęboko wciągnął powietrze i jego płuca wypełniły ślady jej zapachu. Nie było wątpliwości. Zaprosiła go do czegoś więcej niż tylko posmakowania tego zapachu.

Maria na pewno należała do jego gatunku. Gdyby wierzył w Boga; pomyślałby, że to Jego opatrność postawiła ją na jego drodze. I choć raz dała mu obietnicę czegoś więcej niż tylko zemsta.

Potem usłyszał dobiegający z głębi lasu słaby jęk.

Wszystko w swoim czasie.

Darien z powrotem wszedł między drzewa i stanął nad półprzytomnym mężczyzną, który zaatakował Marię. Zdążył już zapomnieć imię tego prostaka. Nie żeby było mu do czegoś potrzebne, po prostu w tej chwili zasłużył na nieco większą nienawiść Dariena niż większość ludzi.

Mężczyzna jęknął na ziemi, nie do końca oprzytomniawszy po uderzeniu o korzenie drzewa, na których teraz się opierał. Z jego ręki wystawała końcówka złamanej kości, a bok twarzy był zakrwawiony i opuchnięty.

Gdyby chodziło tylko o Dariena, może zostawiłby tę kupę mięsa, by żyła lub szczyła, wedle woli. Gdyby nie jego czyny, ten żalosny człowieczek nie zasłużyłby na uwagę Dariena. Jednak powiedział Marii, że nauczy go dyskrekcji.

Roześmiał się cicho z własnego żartu, po czym schylił się i przerzucił sobie półprzytomnego mężczyznę przez ramię. Zdążył już zapomnieć, jak mało ważą ludzie nieosłonięci zbroją. Chwycił kostkę mężczyzny na czas, by powstrzymać go przed zsunięciem się mu z pleców, po czym wyprostował się, tak by ładunek ułożył mu się odpowiednio na ramionach. Po chwili dźwigany człowiek ocknął się i zaczął krzyczeć na niego mimo



złamanej szczęki, uderzając w plecy sprawną ręką. Darien zignorował go i ruszył w głąb lasu.

\* \* \*

Maria zatrzymała się przed drzwiami rodzinnej chaty. Po spotkaniu z Darieniem przebiegła resztę drogi. Pomyślała, że powinna być zdyszana, ale czuła się tylko lekko zgrzana.

Powiedziała sobie, że odczuwana euforia to wynik szybkiego biegu i ulgi z powodu dotarcia do domu. Miała dość rozsądku, by nie sądzić, że uczucie to miało jakiś związek z Darieniem. To prawda, że jej pomógł, ale też bez wątpienia był niebezpieczny. Groźniejszy niż jej najgorszy wróg, Łukasz. Bo Łukasz był młody, silny i uzbrojony, a Darien rzucił nim jak workiem zboża, rozbrajając go gołymi rękami.

Ewidentnie był wyjęty spod prawa i jedynym, co uratowało ją od losu gorszego niż to, co spotkało Łukasza, był chwilowy dobry humor banity. Tego rodzaju kontakty były bezpieczne tylko w balladach o rycerzach i dziewicach, które nie musiały się martwić o konsekwencje dalsze niż zapisane w ostatniej zwrotce.

Dziękowała Bogu, że jej wieczorna przygoda nie zakończyła się niczym takim. W obecności osób mających prawdziwą władzę Łukasz był tchórzem i podejrzewała, że Darien może kupić jego milczenie kilkoma starannie dobranymi słowami. Zresztą nawet gdyby Łukasz zgłosił swoje żale wojewodzie Bolesławowi, Maria wątpiła, by w skardze pojawiło się jej imię. A nawet gdyby tak się stało, zdecydowanie wolała mieć do czynienia ze słowami Łukasza niż z jego dłońmi.

Otwały się drzwi do ciemnej chaty. W progu stała jej macocha.

- Maria?

- Tak, mamó? - odpowiedziała cicho, uświadamiając sobie, że stoi tam już od dłuższego czasu. Rozejrzała się i zauważyła, że nocne owady i żaby ponownie podjęły swój koncert.

- Jest bardzo późno.

- Przepraszam, mamó. Miałam dużo pracy...

- Twoja twarz... - Macocha gwałtownie wciągnęła powietrze i podbiegła do niej, zwracając policzek Marii w stronę księżycowego światła. - Uderzyłaś się...

- To nic takiego.

- Krwawisz. Musimy to przynajmniej umyć. Co się stało?

- Ja... - prawie zadławiła się słowami, za późno przypomniała sobie złożoną Darienowi obietnicę. - Potknęłam się w ciemności, o korzeń... - Poczła na twarzy rumieniec kłamstwa i odczuwany z tego powodu wstyd prawie doprowadził ją do łez. Oszustwo nie miało sensu.

Niezależnie od złożonej obietnicy była pewna, że jej kłamstwo było oczywiste, że odbijało się wyraźnie na jej twarzy.

Zwłaszcza że była to nieuczciwość wobec kobiety, która była jedyną matką, jaką miała.

Jednak macocha wydawała się nie zauważać niezdarnego kłamstwa. Dalej przyglądała się opuchliźnie po uderzeniu Łukasza, mrugając kilkakrotnie. Stała tak przez dłuższą chwilę, aż Maria się odezwała:

- Mówiłaś, że należy to przemyć?

Macocha otrząsnęła się z zamyślenia i puściła podbródek Marii.

- Tak. Wejdz do środka i zapal lampę. Przyniosę wodę i czystą szmatkę.

Maria weszła do chaty, myśląc o dziwnym rozkojarzeniu macochy. Potem sama się zbesztiała. Cokolwiek macocha do niej czuła, dopiero co straciła męża. Miała takie samo prawo do rozpaczki jak Maria.

W ciemności macocha zaskoczyła dziewczynę, gdy wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. Jakby wiedząc, o czym myśli Maria, wyszeptała:

- Wiem, że twój ojciec się mylił. Bóg wciąż cię ochrania.

Maria dotknęła swojego krzyżyka i zaczęła się zastanawiać, czy macocha wie o Darieniu.

\* \* \*

Człowiek niesiony przez Dariena przestał krzyczeć po pierwszym kilometrze. Spróbował jeszcze oporu, gdy Darien przekraczał rzekę, ale później już tylko od czasu do czasu błagał o litość. Oczywiście bez odpowiedzi.

Mimo że młodzieniec szedł w szybkim tempie, dotarcie do obecnie zajmowanej kryjówki zajęło mu ponad pół godziny. Jama zakryta była z trzech stron przez bardzo gęsty w tym miejscu las, a jedyną prowadzącą do niej drogą była wydeptana przez zwierzęta ścieżka biegnąca na wzniesienie, która pozornie urywała się przy litej ścianie gęstych chaszczki i opadłych gałęzi.

Dopiero gdy stanęło się na szczycie pagórka i spojrzano w dół na urwisko, można było dostrzec otwór prowadzący do pieczary czy też niewielkiej jaskini.

Darien stanął na grzbiecie wzniesienia nad jamą i bezceremonialnie zrzucił z pleców swój ładunek. Mężczyzna spadł z jego ramion i sturlał się z pagórka, lądując z wrzaskiem na małej polanie przed wejściem do pieczary.

Darien przyglądał się, jak jego ofiara szarpie się na dole, turlając się na boki i przeklinając.

- Kim jesteś? - mężczyzna zapytał go w końcu w miarę zrozumiałymi słowami. Zadyszał,

trzymając się za złamaną rękę, po czym z wysiłkiem podniósł się na nogi na nierównej powierzchni, pełnej opadłych liści i żwiru. Musiał się oprzeć o pień drzewa, bo jego lewa stopa wygięła się pod dziwnym kątem. - Kim ty, u diabła, jesteś? I czego ode mnie chcesz?

Darien wyciągnął zza pasa nóż mężczyzny i niedbale rzucił go na dół. Broń spadła z brzękiem, uderzając o hełm oświetlony smugą księżycowego blasku, leżący blisko miejsca, w którym stał teraz prostak, który niedawno dybał na Marię. Mężczyzna popatrzył na nóż, potem na hełm.

A później zacharczał i wrzasnął, gdy zobaczył gnijącą we wnętrzu hełmu głowę właściciela.

- Panie, miej litość! Jakim jesteś demonem?

Darien zdjął koszulę, a mężczyzna bełkotał coś coraz głośniejsze i szybciej, gdy rozejrzawszy się po polance, dostrzegł porzucane przed wejściem do kryjówki Dariena pozostałości ludzi, zbroi i koni.

Darien nie odezwał się do niego ani słowem. Zabawniejsze było pozwolenie temu chamowi na dojście do własnych wniosków. Gdy Darien rozpiął pasek i ściągnął spodnie, jego ofiara zdołała zebrać się w sobie na tyle, by skanalizować ogarniającą ją panikę. Nędznik opadł na kolana i zaczął się czołgać w stronę miecza, który leżał parę kroków dalej. Minął zakrwawioną rękawicę i częściowo ogryzioną końską czaszkę.

Mężczyzna podniósł miecz i skierował jego czubek w stronę Dariena. Broń trzęsła się, błyskając w świetle księżyca posrebrzonym ostrzem.

Darien stanął nago przed swoją ofiarą i się roześmiał.

- Oszalałeś? Powiedz coś, potworze!

Darien rozłożył ręce i zerwał mentalne łańcuchy, kontrolujące jego ciało. Jego kości zatrzeszczały, grubiejąc i rosnąc, i poczuł, jak mięśnie rwą się i splatają ponownie, przesuwając się i wijąc pod skórą ciemniejszą i pokrywającą się grzywą złotych włosów.

Raniono go każdą bronią znaną człowiekowi, połamano mu wszystkie kości i czuł nawet srebrny bełt z kuszy, który przebił mu skroń - ale żaden ból nie mógł się równać z uczuciem, które towarzyszyło wyrywaniu się wilka z okowów jego ciała. Każdy nerw ryczał w agonii, niczym ciało rozcinane rozgrzanym do czerwoności nożem, którego każde cięcie pozostawiało po sobie ekstatyczne spełnienie.

Zawył i spojrział w dół na drżące ze strachu człowieka. Zmarszczył nos i polizał wargi długim, zwijającym się językiem. Przykurczył wilcze nogi, dzięki czemu ręce o długich szponach, kształtem wciąż przypominające ludzkie, oparły się na skraju urwiska przed nim.

Wyczuł węchem, że mężczyźni w dole puściły zwieracze, i jego wilcza twarz

wykrzywiła się w czymś w rodzaju uśmiechu.

- Potwór... - wyszeptał zbyt cicho, by mogła go usłyszeć przerażona ofiara. - To mnie nazywasz potworem po tym wszystkim, co ludzie mi zrobili? Nie mając żadnego powodu?

Potem skoczył w dół.

\* \* \*

Maria leżała na łóżku i wpatrywała się w cienie. Pod stryszkiem, gdzie miała postanie, chrapali bracia. W tej chwili tylko ona nie spała w całej chacie, a minęła już połowa nocy. Za kilka godzin będzie musiała wstać, zaczerpnąć ze studni wody dla rodziny i ruszyć w stronę grodu.

Będzie musiała przejść tą samą ścieżką.

Nigdy dotąd jej to nie martwiło. Znała okoliczne lasy od dzieciństwa. Nigdy nie wydawały się groźne. Teraz jednak musiała znów zagłębić się w las, a jej dłonie wciąż drżały na myśl o tym, co się stało. O tym, co prawie nastąpiło.

Powinna była powiedzieć o tym macosze, niezależnie od obietnicy złożonej Darienowi. Nie tylko dlatego, że kłamstwo było grzechem obciążającym jej duszę, ale i dlatego, że kłamiąc, odpychała od siebie Hannę. Zatajenie prawdy sprawiło, że Maria stała się samotna we własnym domu.

Ścisnęła dłonią krzyż i pozwoliła płynąć łzom.

Kim jest Darien, by ośmielał się prosić ją o coś takiego?

Uratował mnie przed Łukaszem, pomyślała, i poprosił tylko o milczenie, choć mógł zażądać znacznie więcej...

Może byłoby lepiej, gdyby tak uczynił.

Zagryzła wargę, czując, jak na wspomnienie dotyku ust Dariena na dłoni i jego palców na policzku jej ciało ogarnia fala gorąca. Przypomniała sobie wygląd i dotyk torsu Josefa i zaczęła się zastanawiać, czy Darien był równie silny, równie ciepły...

*Nie jestem grzesznicą.*

Nie mogła przestać wyobrażać sobie jego warg na jej ustach i jego dłoni dotykającej innych części jej ciała; jej dłoni dotykającej jego. Jednak w tej grzesznej fantazji nie była pewna, czy oddaje się Darienowi, czy Josefowi.

Zaczęła się modlić do Boga o ukojenie myśli, lecz odpowiedź długo nie nadchodziła.

W końcu jednak zdołała zasnąć.

# INTERLUDIUM

Anno Domini 1331

Dwadzieścia dwa lata wcześniej, gdy był jeszcze dzieckiem, Darien nikogo nie nienawidził. Jego rodzina - jego wataha - wobec coraz większego apetytu ludzi na mroczne, nadbałtyckie lasy przyjęła ludzki sposób życia. Żyli z dala od ludzkich osiedli, ale każdy wędrowiec, który miał nieszczęście trafić w te nawiedzone lasy, obrane za dom przez watahę Dariena, traktowany był bardzo gościnnie. Później otrzymywał przewodnika, który prowadził go do zwykłych szlaków handlowych.

Ukryta w głębi lasów wioska była kiedyś domem pogańskiej społeczności, mającej przodków Dariena za bogów. Jednak dawno temu przybyli tam Niemcy i zabili wszystkich, którzy nie zmienili wyznania, a pozostałych zabrali.

Kiedy zakon przybył ponownie, zastał chrześcijańską wioskę, włącznie z kościołem zbudowanym na popiołach pogańskiej świątyni. Bogowie ludzi nie mieli dla watahy żadnego znaczenia, więc oddanie hołdu zakonowi również nie miało żadnych konsekwencji. Przez ponad stulecie, aż do czasów Dariena, wioska żyła po staremu.

Za czasów dzieciństwa Darien niewiele wiedział o zewnętrznym świecie poza tym, że były tam istoty nazywane ludźmi, mieszkające poza lasami. Bardzo starannie uczono go, że w obecności kogokolwiek spoza wioski wolno mu przybierać wyłącznie ludzką postać.

Wioska była dość odległa od innych osad, by przez pierwsze dziewięć lat życia nie zobaczył nikogo, kto się w niej nie urodził. W wieku dziesięciu lat zaczął wątpić w istnienie stworów nazywanych ludźmi. Myślał już, że opowiadano mu po prostu bajki, mające na celu przestraszenie go i powstrzymanie od polowania bez rodziców.

Wiedział, że jest już dość duży, by wyruszać na łowy samodzielnie. Gdy jego rodzina wyszła na polowanie ostatniej bezksiężycowej nocy, samodzielnie powalił łosia. I zrobił to w pełnej skórze wilka, co nie było tak trudne, jak się spodziewał. Wcześniej, polując, zawsze

przybierał częściową skórę, dzięki czemu pozostawały mu dłonie, umożliwiające chwytanie i rozdieranie ofiary, oraz paszcza do wgrzyzienia się w kark. Rodzice jednak powiedzieli mu, że aby stać się dorosłym, będzie musiał nauczyć się korzystać w pełni ze skrywanego w sobie wilka.

Pomimo niechęci zrobił to - i owo doświadczenie go odmieniło. Wszystko, co ludzkie, wydawało mu się odtąd powolne, blade i mdłe. Nawet potęga, którą dawała częściowa skóra, nie mogła równać się z wolnością, jaką czuł po przeistoczeniu się w zwierzę.

Stał się dorosły.

Od tamtej pory kości nieustannie pragnęły przemiany, a język łaknął smaku ciepłej krwi prosto z szyi ofiary. Choć żywili się jeszcze upolowaną przez niego sztuką, Darien już chciał wyruszyć po kolejną.

To dlatego wymknął się pewnej zimnej wiosennej nocy, zaledwie trzy dni później. Zrzucił ludzką skórę, odsłaniając swoją świeżą, w pełni wilczą postać. Nie rozumiał, dlaczego rodzice tak niechętnie robią to częściej albo dlaczego unikają przybierania postaci wilka w świetle dnia. Czuł niemożliwą do opisania wolność, władzę nad wszystkimi stworzeniami w lesie. Mógł pokonać każde żywe stworzenie i zakosztować jego krwi.

Biegł przed siebie wraz z zapadającą nocą, pogrążając się w lesie. Nie zdając sobie z tego sprawy, wybiegł poza terytorium swojej watahy, wyznaczone znanymi zapachami. Zbyt skupiał się na pragnieniu przegryzania karków zająców i sarnom, rozrywania ich ciał w śmiertelnym szarpnięciu szponów, rozkoszowania się chmurą tryskającej krwi i kłaków.

Zanim uświadomił sobie, że się zgubił, pojawiły się długie cienie, a pysk miał cały mokry od krwi małych zwierząt. Zrozumiał to nagle, gdy nieoczekiwanie wyszedł na nieznaną ścieżkę prowadzącą go tropem intensywnych, dziwnych woni. Zatrzymał się nagle, świadom, że z powodu jego nieposłuszeństwa rodzice stracą cierpliwość i nie będzie szans na wybaczenie. Nie mógł wrócić przed zmierzchem, zanim zauważą jego nieobecność.

Rozejrzał się zdesperowany po dziwnej ścieżce, szukając znajomych miejsc, wciągając powietrze z nadzieją na wychwycenie zapachu matki, ojca lub kogokolwiek z wioski.

Nigdy więcej nie wezmą go na polowanie...

Jednak w miarę jak narastało przerażenie w jego sercu, gotów był nawet zgodzić się na taką karę jako godziwą cenę za odnalezienie drogi do domu.

Panika i niedojrzałość powstrzymały go przed zrobieniem tego, co rodzice kazali mu robić zawsze w przypadku znalezienia się na nieznanym terenie: otóż nie przemienił się. Nie mógł. Las był zimny i groźny, a on nie potrafił stanąć w nim nagi, przybrawszy słabą ludzką postać. Strach sprawił, że przyoblekł częściową skórę, tę, w której czuł się najbezpieczniej

wobec grozy kryjącej się w lesie.

Nie był przygotowany, gdy las odsłonił w końcu swoje okropieństwo.

Stwór pachniał dziwnie i stał na środku ścieżki przed nim. Darien zamarł na widok stworzenia. Z początku nie potrafił zrozumieć, co widzi. Stwór był olbrzymi, miał cztery nogi, a części jego ciała lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Z jego pleców wyrastało coś przypominającego ludzką postać.

Nigdy jeszcze nie widział rycerza w zbroi i potrzebował chwili, by zrozumieć, że ktoś jedzie na grzbiecie konia - jego lud nigdy tego nie robił. Jeździec krzyknął i skierował w stronę Dariena jakiś przedmiot. Chłopak był zbyt oszołomiony, by dostrzec niebezpieczeństwo, zanim kusza rycerza wystrzeliła.

Uratowała go tylko odległość i panika strzelca. Bełt tylko go drasnął, rozcinając skórę na boku, między pachą a przedramieniem. Rana zapiekła go jak nigdy wcześniej. Uciekł głęboko w gęsty las, gdzie nie mogli go ścigać jeździec ani jego zwierzę.

Kiedy biegł wśród ciemniejących drzew, myślał o historiach opowiadanych mu przez rodziców, o ludziach mieszkających za ciemnym lasem. Istniał pewien szczególnie niebezpieczny rodzaj ludzi - zabijali wszystkich wyznających wiarę w ich przodków. To oni spustoszyli pogańską wioskę. Ludzie z zakonu krzyżackiego, których symbolem był czarny krzyż, rządzą teraz wszystkimi ziemiami poza ich małą wioską.

Pędząc przez noc, kilkakrotnie próbował przekonać sam siebie, że człowiek na koniu nie miał na sobie tabarda z czarnym krzyżem zakonu. Że się mylił. Że to był tylko cień gałęzi, załamane materiały, ale nie czarny krzyż.

Cokolwiek, byle nie czarny krzyż.

Jego strach przybrał na sile, gdy uświadomił sobie, że rana w boku się nie goiła. Futro miało lepkie od krwi i bok bolał go nawet przy oddychaniu. To nie powinno mieć miejsca. Takie rozcięcie ciała powinno się zagoić w ciągu paru chwil, nawet szybciej, gdy był w tej postaci.

Jednak rozcięcie zrobione przez bełt rycerza piekło i krwawiło. Płuca paliły go od biegu. Oczy piekły od płaczu.

Gdy pokonało go zmęczenie, opadł na cztery nogi, gnał do przodu, jakby w pełni był wilkiem. Jednak nawet wilk miał swoje granice i nadszedł moment, że nie mógł biec dalej. Głęboko w smolście czarnym lesie osunął się na ziemię i zwinął pod drzewem, dysząc i łkając, na wpół z nadzieją, że rycerz z czarnym krzyżem znajdzie go i dobije, żeby nie musiał się więcej bać.

\* \* \*

Rycerz go nie znalazł i Darien obudził się nagi, w ludzkiej postaci, drżący z zimna i lepki od własnej krwi. Błąkał się po lesie przez dwa dni, tracąc już nadzieję, aż w końcu wyłowił znajomy zapach znanej sobie leśnej ścieżki. Jego serce uspokoiło się, gdy tylko znalazł się na znanym terenie. Pobiegł ścieżką najszybciej, jak potrafił, w gasnącym świetle popołudnia, czując gałęzie i kolce, które rozdzierały mu skórę i zostawiały skaleczenia gojące się niemal równie szybko, jak powstawały.

Zwolnił, gdy zaczęły do niego docierać inne zapachy. Krew. Dym. Spalone mięso.

I zapach, który zapamiętał. Zapach rycerza i jego konia.

Darien zatrzymał się na ścieżce, potrząsając głową. Próbował temu zaprzeczyć, tak jak próbował wyprzec z myśli istnienie czarnego krzyża na tabardzie rycerza.

Ze strachu stanął bez ruchu, jak wmurowany w ziemię, mając wrażenie, że minęły godziny. W końcu powoli uwolnił nogi spod władzy paraliżującego lęku. Ruszył, z początku powoli, jak we śnie idąc w stronę swojego domu. Wszędzie wokół niego tłoczyły się okropne zapachy, prawie go dławiając, i zanim zdał sobie z tego sprawę, biegł już, jakby gonił go rycerz.

Dotarł do wioski, zanim był na to gotowy. Mimo wszystko wonie powiedziały mu od razu, co tam zastanie.

Ognie wygasły, ale dym wisiał wciąż nad zabudowaniami niczym jakaś mroczna mgła, piekąc w oczy i niezbyt dobrze kryjąc zniszczenia. Wszystkie budynki spłonęły, nie zostało nic poza chwiejnymi stertami połamanych belek. Zniszczenie było tak całkowite, że gdy już wszedł na kilka kroków w głąb zrujnowanej wioski, nie potrafił stwierdzić, gdzie znajdowały się domy poszczególnych sąsiadów.

Szedł nagi przez kłęby dymu, zbyt wstrząśnięty, żeby się bać.

- Mamo? - zawołał. - Tato?

Nikt nie odpowiedział.

Zapach koni był niemal równie silny, jak woń dymu i krwi. A gdy minął dymiącą kupę drewna, która kiedyś była czymś domem, zobaczył jednego. Zwierzę leżało powalone na błotnistej drodze pełnej odcisków kopyt, błota, kału i krwi. Głowę prawie oderwano mu od szyi, jego martwe oczy patrzyły na niego przez ramię.

To mógł być koń rycerza. Jego głowa osłonięta była metalowymi płytkami, pierś chroniła metalowa kolczuga, a na jego grzbiecie, powalana teraz błotem, nieczystościami i krwią, spoczywała wciąż derka z czarnym krzyżem zakonu.



*Ja ich tu nie sprowadziłem.*

Powtarzał to sobie, jakby myślenie o czymś dostatecznie często mogło sprawić, że stanie się to prawdą.

- Mamo? Tato? - Nie krzyczał już w otaczające go ruiny. Nie bał się teraz, że nie znajdzie swojej rodziny. Zaczął się bać, że ją odnajdzie.

Napotkał jeszcze dwa martwe konie, pozostawione w miejscach, gdzie padły. Darien natykał się też na inne ślady bitwy: kawałki zbroi, strzępy tabardów. Na ludzkie ubrania zrzucone przez kogoś w trakcie przemiany. Na odciętą rękę. Złamany miecz. Bełty z kuszy sterczące z drzewa, które spłonęło, pozostawiając po sobie upiorny szkielet, niczym dłoń wyciągniętą w niebo.

Żadnych ciał.

Aż doszedł do kościoła.

Podobnie jak w przypadku reszty wioski, scena wyglądała zbyt abstrakcyjnie, by od razu zrozumiał, co widzi. Dopiero zapach powalił go na kolana; zwymiotował w przesiąknięte krwią błoto, zanim zdołał pojąć, co zobaczył.

Zakon krzyżacki pozbierał wszystkich zabitych i rannych.

Jego ofiary, mieszkańcy wioski Dariena, zostały zaciągnięte do kościoła zbudowanego przez przodków dla oszukania wyznawców Chrystusa. W środku zamknięto wszystkich, żywych i martwych, a potem budynek podpalono.

Między poczeriałymi resztkami drewna bieleły się kości wszystkich, których Darien znał. Niektóre czaszki miały ludzkie kształty, inne wilcze, ale wszystkie zdawały się patrzeć na niego oskarżycielsko pustymi oczodołami.

- Ja tego nie zrobiłem... - wyszeptał z drżeniem, padając na kolana.

Przyprawiający o mdłości zapach jego spalonej rodziny mówił coś przeciwnego.

- Ja tego nie zrobiłem! - wrzasnął na martwych.

Ale zabici nie chcieli potwierdzić jego słów.

\* \* \*

Porzucił ludzką postać na trzy lata. Zrezygnował nawet z połowicznej skóry, gdyż ręce za bardzo przypominały mu o tym, co utracił. Stał się tylko wielkim wilkiem kryjącym się w lesie, tak jak jego przodkowie ukrywali się w ludzkich ciałach.

Rozpacz i poczucie winy gnały wilka do nieustannego polowania. Spał w jamach, pił wodę z rzeki. Stopniowo próbował zapominać o rzeczach takich jak język, narzędzia i ubranie.

Oraz myślenie.

Po trzech latach jedynym, co przypominało mu o wcześniejszym życiu, była zagojona rana w boku. Pozostawiła po sobie wąską bliznę, która bolała go często przy zmianie pogody. Ból nie był silny, ale zawsze sprowadzał łzy.

Zostałby w głębi lasów przez resztę życia, gdyby nie znalazł umierającego jelenia. Polował wtedy i bez chwili wahania powalił go, skacząc mu na grzbiet i wykręcając kark szczękami tak, że zwierzę było martwe, zanim upadło na ziemię.

Zaczął się zastanawiać dopiero wtedy, gdy ofiara padła w poszycie lasu. Zwierzę nie wiedziało o obecności Dariena, a mimo to uciekało w panice, z pulsem tak szybkim, że jego serce mogło pęknąć z wysiłku. Krwawiło z ran, których nie zadał mu Darien.

Spojrzał w dół, na ciało zwierzęcia.

Z piersi jelenia sterczały długie patyki, wbite w jego płuca, u podstawy lepkie od jasnoczerwonej krwi. Zobaczył lotki i z głębin pamięci wypłynęło słowo.

*Strzały.*

Byli tu ludzie?

Stał nad martwym zwierzęciem z przednimi łapami wspartymi o jego bok i poczuł, jak coś budzi się w jego sercu. Przez trzy lata jego złość obracała się tylko przeciw niemu i jego poczuciu winy. Przez trzy lata zmuszał się, by nie pamiętać o niczym poza dzikim życiem w lesie. Żył z dala od wszystkiego, co mogło mu przypominać o tym, co kiedyś miał, o tym, co stracił z powodu tego, co zrobił.

Co zrobili ludzie.

W jego piersi rozbrzmiał głęboki warkot. Kiedy tak stał nad łupem, z głową, w której kłębiły się na wpół pamiętane wstyd i złość, poczuł, że coś uderza go w pierś. Upadł do tyłu, bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Zerknąwszy w dół, zobaczył strzałę długości swojej łapy, sterczącą z lewej strony jego własnej piersi.

Niedaleko łucznik zakładał kolejny pocisk na cięciwę. Mężczyzna nie nosił krzyża ani zbroi rycerzy, którzy wymordowali wioskę Dariena, ale wydzielał woń człowieka - zapach, którego Darien nigdy nie zapomni.

Prawie mimowolnie jego ciało przybrało inny kształt, wykręcając kręgosłup, piętrząc mięśnie i trzaskając pazurami, zmieniając łapy w silne, szponiaste ręce. Ciało boleśnie dopasowało się do nowej postaci, zostawiając po przemianie ćmiącą ulgę.

Prawie zapomniał o swojej drugiej skórze, jednak jego ciało pamiętało. A coś w jego wnętrzu wiedziało, że to odpowiednia postać do walki z ludźmi.

Druga strzała wbiła się w ziemię, gdy stanął wyprostowany po raz pierwszy od trzech lat,

rozedrgany od gwałtowności przemiany zmieniającej jego środek ciężkości i sposób utrzymywania równowagi.

Podniósł rękę i wyciągnął strzałę wbitą w pierś. Jej wyciągnięciu towarzyszyło szarpnięcie i rozbłysk bólu, ale nic więcej. W przeciwieństwie do bełtu rycerza, ta strzała nie zostawiła po sobie trwałej blizny. Rana zagoiła się, zanim jego lewe ramię przeszła na wylot trzecia strzała. Darien zacisnął dłoń na wyciągniętym z ciała pocisku i jego gruby promień złamał się na pół.

Ruszył biegiem na strzelca, ignorując czwartą strzałę, która przeleciała obok, pudłując. Gdy dotarł do człowieka, wyczuł w powietrzu coś jeszcze. Zapach był obcy, ale wkrótce nauczył się go cenić.

To był strach.

\* \* \*

Zaciągnął ciało do pobliskiego strumienia, żeby wyprać krew z ubrania mężczyzny. Potrzebował go, jeśli miał chodzić między ludźmi. Zlizął krew ze szponów i futra, po czym zanurzył ciało łuczника na płyciźnie. Chwilę zmagął się z ubraniem, zanim uświadomił sobie, że stworzono je dla ludzkich dłoni.

Gdy ciało leżało na dnie strumienia, omywane przez wodę, Darien spróbował naciągnąć na siebie starą, ludzką skórę. Przez dłuższą chwilę miał wrażenie, że zapomniał, jak się to robi. Może tak naprawdę nigdy nie miał takiej postaci jak ta martwa rzecz w wodzie u jego stóp. Może to był tylko koszmar. Może był wyłącznie wilkiem...

Jednak podobnie jak w przypadku połowicznej skóry, jego ciało pamiętało, że kiedyś przybierało ludzki kształt. Zmiana nadeszła nagle, niczym rozluźnienie od dawna skurzonego mięśnia. Jego ciało gwałtownie przybrało ludzką postać z dygotliwą ulgą, która powaliła go na kolana do strumienia, obok trupa. Zimna woda obmyła nagą skórę, drobne zęby zadzwoniły, a na całym ciele pojawiła się gęsia skórka.

Niepewnie wstał na nogi i wbił wzrok w swoje dłonie, białe i bezwłose, z nienadającymi się do niczego paznokciami.

Choć wydawały się słabe, to właśnie takie dłonie zniszczyły wszystko, co kiedykolwiek znał i kochał. Takie dłonie mogły zabijać równie łatwo jak kły i szpony.

Pochylił się nad ciałem łuczника i niezdarnie ściągnął z niego ubranie. Woda rozcieńczyła już krew, zostawiając rdzawe plamy na i tak brązowej bluzie. Wyrzucił na brzeg cały dobytek mężczyzny - pas, bluzę, spodnie i buty - zostawiając ciało równie nagie, jak jego. Następnie zepchnął trupa w głębsze miejsce na środku strumienia, by prąd zabrał go, gdzie zechce.

Kiedy Darien przyglądał się, jak ciało odpływa, ogarnęły go ostatnie wątpliwości dotyczące tego, co ma robić dalej. Mógł jeszcze wrócić do lasu...

Jednak gdzieś za lasem żyło więcej ludzi - ludzi, którzy zasłużyli na utratę tego, co i on stracił. Poczucie tego, co i on poczuł. Teraz, gdy obudziła się w nim wściekłość, Darien wiedział, że nie uwolni się od niej inaczej niż przez wywołanie wielkiej fali ludzkiego strachu.

Ubrał się w odzież zabitego i zaczął iść w stronę świata ludzi.

# **CZEŚĆ DRUGA**

**Anno Domini 1353**

## IX

Po dwóch dniach jazdy rycerz Telek Rydz herbu Bojczy dotarł wraz z trzema ludźmi do Warszawy. Po podróży przez kraj miasto robiło duże wrażenie. W obrębie jego murów bez problemu można by zmieścić tuzin grodów takich jak Narew. Po wjechaniu do miasta pomyślał, że stryj Bolesław poczuje ulgę na wieść, że nie widać tu żadnych oznak przygotowań do wojny. Ludzie zajmowali się swoimi sprawami, kupcy pilnowali straganów, a rolnicy uprawiali pola. Jeśli przyglądali się przejeżdżającemu rycerzowi ze sztandarem rodu Bojczy, to z szacunku i ciekawości, a nie ze strachu widocznego na twarzy pospólstwa w czasie wojennym.

Telek również odczuwał ulgę. Choć stosunki z państwem krzyżackim były napięte, do otwartego konfliktu sporo jeszcze brakowało. W przeszłości zdarzało się aż za wiele walk i Telek modlił się, by traktat podpisany ostatnio z Koroną polską był prawdziwym ich końcem.

Jednak zwiększało to tylko znaczenie i pilność jego misji, ponieważ w przypadku wojny obecność niemieckich jeńców w grodzie Narew mogłaby być kłopotliwa, choć raczej nie oznaczała poważniejszych konsekwencji dla całego księstwa mazowieckiego. Z drugiej strony w czasie pokoju sprawa obecności Niemców była znacznie bardziej delikatna. Mazowszanie musieli postępować z wyjątkową ostrożnością, aby nie dawać zakonowi żadnego pretekstu do wznowienia wrogich działań.

Na razie jednak panował pokój, spichrze były pełne, a poczet Teleka został przyjęty na dworze księcia Siemowita III jak przystało na zacnych gości. Przywitał ich osobiście sam książę, nalegając, by zjedli wieczerzę w jego towarzystwie, wraz ze dworem. Właściwie posiłek ten należałoby nazwać ucztą: z muzykami i kuglarzami oraz całym pieczonym dzikiem. Jednak ponieważ ich obecność była nieoczekiwana, Telek musiał założyć, że tak właśnie wyglądają codzienne posiłki księcia.

Dopiero późnym wieczorem, gdy książę przyjął go w prywatnych komnatach, Telek mógł przedstawić mu powód swojego przybycia.

Wieczór był przyjemny i rześki, a książę postanowił wyjść z nim na zewnątrz, rozmawiali

więc podczas spaceru w ogrodzie.

- Powiedz mi, synu, jak się miewa twój stryj?

- Bardzo dobrze, mój panie. Jednakże martwi się zakonem krzyżackim.

- Obawiam się, że pozostanie tak, póki szczeka będzie bólem przypominać mu o ostatniej wojnie.

- Niestety, tym razem ma bardziej konkretne powody.

Książę zatrzymał się na ścieżce przed Telekiem, składając ręce za plecami, i schylił się, by się przyjrzeć krzewowi różanemu, obrastającemu kamienne ułamki dawnego muru. Jego zachowanie nie uległo zmianie, natomiast inaczej zabrzmiał głos.

- Powiedz - odezwał się głosem, w którym dał się słyszeć ostrzejszy ton - cóż to może być za powód?

- W grodzie Narew gości konwent rycerzy zakonu krzyżackiego. Przybyli do nas wprost po bitwie, wioząc poległych i rannych. Stryj kazał ich rozbroić i są teraz przetrzymywani jako nasi goście.

- Raczej zakładnicy... - poprawił książę. - Jakich to intryg dopuścili się w moim księstwie?

- Odmówili zdradzenia tego.

Książę znieruchomiał i obrócił głowę w stronę Teleka. Zważywszy na intensywność spojrzenia księcia, Telek ucieszył się, że nie na nim skupia się gniew władcy.

- Odmówili? Rycerze zakonu krzyżackiego przelali krew na moich ziemiach, uciekli do jednej z moich twierdz i odmawiają powiadomienia mojego namiestnika o swoich sprawach tutaj?

- Tak.

- Czy powinienem udać się do Marienwerder<sup>1</sup> i zażądać satysfakcji od samego Wielkiego Mistrza? Może trzeba mi audiencji u papieża?

- Panie, ich dowódca powiedział nam, że wyjawia wszystko biskupowi...

- Biskupowi? Któremu?

- Tego nie zastrzegli.

- Nie zastrzegli... czy mam rozumieć, że będą rozmawiać z każdym biskupem, którego im sprowadzimy?

- Tak to rozumie mój stryj.

- W takim razie zakładam, że przybyłeś tu, by sprowadzić biskupa dla stryja?

- Stryj podał mi imię...

---

<sup>1</sup> Kwidzyn

- Podejrzewam, że biskupa Leszka.

- Tak. Skąd wiedziałeś, panie?

Książę zachichotał.

- Zanim wstąpił do stanu kapłańskiego, nasz biskup walczył w wojnach z zakonem krzyżackim. Nie kocha tych kłopotliwych mnichów i odpowiadałoby mu poczucie humoru twojego stryja, gdyby udzielił tak niechętnego ucha jego dowcipom. - Odwrócił się, ruszając ścieżką z powrotem w stronę zamku, i klepnął Teleka w ramię. - Muszę poprosić cię o opóźnienie powrotu do czasu, aż pozalatiwiam wszystkie sprawy tutaj.

Telek znieruchomiał, z wolna pojmując sens tych słów.

- Zamierzasz się wybrać z nami, panie?

- Od wieków nie widziałem się z twoim stryjem. Zresztą gdyby stało się coś nieprzyjemnego, najlepiej byłoby, gdybym to ja podejmował decyzje.

\* \* \*

Wojewoda Bolesław szedł krótkim korytarzem między swoimi prywatnymi komnatami a pokojami gościnnymi. W chwili gdy stanął przed drzwiami do jednej z najbardziej zbytkownych komnat, dzwon wybijał zachód słońca. Pomieszczenia to urządzone równie wykwintnie, co jego własne.

W tej chwili mieszkał tu jego niemiecki gość, komtur Heinrich z zakonu krzyżackiego. Wojewoda popatrzył na trzymany w dłoni list i językiem bezwiednie dotknął bezzębnej strony szczęki. Przeczytał list ponownie i zadumał się nad własnym zaskoczeniem.

Wciągnął powietrze i otworzył drzwi.

Ubrany w proste szaty brat Heinrich czytał leżącą przed nim na pulpicie książkę. Niemiec podniósł wzrok, a jego twarz przez chwilę zdradzała irytację. Wstając, zamknął księgę gestem tak niedbałym, że tylko podejrzliwa natura skłoniła Bolesława do zwrócenia na to uwagi. Wyglądało na to, że jest to iluminowany manuskrypt i, biorąc pod uwagę powołanie gościa, każdy mógł założyć, że to brewiarz, otwarty do wieczornej modlitwy.

Oczywiście w takim wypadku nie byłoby powodu, żeby ukrywać księgę przed oczami Bolesława. Niestety jego wzrok był zbyt osłabiony wiekiem, by zdołał odczytać choćby pojedyncze słowo czy rozpoznać język, w którym zapisano księgę.

Ale przed oczami mignęła mu ilustracja. Jeśli dostrzeżony w przelocie obrazek pochodził z Biblii, nie była to księga znana Bolesławowi. Starannie wykonana miniatura prezentowała rycerza trzymającego coś na dystans wyciągniętym mieczem. Bolesław widział ilustrację zbyt krótko, by dokładnie zobaczyć postać przeciwnika rycerza, ale zdecydowanie nie był to ani



człowiek, ani żadne znane mu zwierzę.

- Czym mogę służyć, panie? - zapytał Heinrich.

- Chciałbym doradzić zmianę zdania w sprawie ujawnienia, co sprowadziło was na Mazowsze.

- Miałem nadzieję - westchnął Heinrich - że wyraziłem się jasno. Nasze śluby zabraniają nam...

Bolesław machnął ręką, odpędzając jego słowa.

- Tak, tak, wiem... Potrzeba wam biskupa. - Podniósł dłoń z listem, opatrzonym pieczęciami bratanka i księcia. - Przyszedłem, aby ci powiedzieć o posłańcu, którzy przyniósł wiadomość, że biskup będzie tu za kilka dni.

Bolesław miał nadzieję na jakąś reakcję poza bierną akceptacją, ale Heinrich go zawiódł.

- To dobra wiadomość.

- Tak twierdzisz... Wiedz jednak, że sam książe zainteresował się tobą i twoimi ludźmi.

Ponownie na twarzy Heinricha zobaczył tylko denerwujący spokój.

- Spodziewałem się tego.

- Będą mu towarzyszyli mój bratanek i biskup z Warszawy.

- Rozumiem.

- Może z nim będziesz rozmowniejszy.

- Za pozwoleniem biskupa.

Bolesław się roześmiał.

- No cóż, jestem pewien, że biskup Leszek ci tego pozwolenia udzieli.

Heinrich zmarszczył brwi, co było jedyną oznaką jego emocji.

- Mój panie, jesteś wobec mnie i moich ludzi bardzo sprawiedliwy i gościnnie. Twoja łaskawość dobrze świadczy o tobie i księstwie mazowieckim. I to właśnie wyznam przed Bogiem i papieżem. - Odwrócił się w miejscu i uderzył pięścią w pulpit z taką siłą, że księga podskoczyła, a Bolesław cofnął się o krok. - Ale nie sądz, że postępuję samowolnie. Jestem w pełni świadom skutków naszej obecności tutaj, i nie jest to kwestia, którą traktuję lekko.

- Wcale tak nie myślę, bracie Heinrichu.

- Wszyscy jesteśmy winni posłuszeństwo Bogu i papieżowi. - Obejrzał się przez ramię na Bolesława. - I wierz mi, ta sprawa jest znacznie mroczniejsza, niż mógłbyś sądzić.

- Jak już mówiłem, będziesz miał swojego biskupa, bracie Heinrichu.

- A ty, jeśli Bóg pozwoli, usłyszysz swoje wyjaśnienia. - Przeszedł na drugą stronę pulpitu i położył dłoń na księdze. - Wybacz mój gniew. Bardzo niepokoi mnie stan moich ludzi. Czy są zdrowi?

- Ranni dochodzą do zdrowia. Jeden z moich ludzi może cię do nich zaprowadzić.

- Bardzo łaskaw, panie.

Bolesław popatrzył na dłoń mnicha spoczywającą na księdze i powiedział:

- Ale widzę, że ci przeszkodziłem. Zostawię cię teraz z twoimi modłami.

- Dziękuję - odrzekł Heinrich. Zachowywał się spokojnie, lecz Bolesław zauważył, że bieleją mu kostki dłoni przyciskającej skórzaną okładkę.

Coś się w tym kryje, pomyślał Bolesław. Coś, co chyba warto byłoby poznać.

Wychodząc, poczuł żal, że jeszcze nie wrócił jego bratanek. Nie tylko dlatego, że przywiezie biskupa Leszka, który rozwiąże języki Krzyżaków, ale i dlatego, że rycerz Telek był jedynym w jego świecie człowiekiem, który potrafił czytać zarówno teksty łacińskie, jak i niemieckie - znał obydwa języki, w których najprawdopodobniej zapisano księgę brata Heinricha.

## X

Tym razem Maria zaczęła z powrotem do grodu do pierwszych promieni słońca. Nie chciała znowu wędrować ścieżką po ciemku. Od spotkania z Darieniem znacznie bardziej obawiała się tego, do czego może zostać skłoniona... tych rzeczy, do których zapraszała noc, a o których nawet nie chciała myśleć za dnia.

Z drugiej strony unikanie Dariena oznaczało, że prawie na pewno natknie się na Łukasza. Popędziła więc do grodu biegiem, nie tracąc tchu na śpiewanie, ścigając się z dźwiękiem dzwonu na wieży - biegła, jakby gonił ją Łukasz albo sam diabeł.

Jednak dzwon umilkł, gdy była jeszcze w lesie, i gdy znalazła się pod murami, zobaczyła konie wyprowadzane na pastwiska. Zadrżało jej serce i pobiegła czym prędzej do bramy, cały czas ściskając krzyż i modląc się, by nie musiała spotykać Łukasza.

Bóg wysłuchał jej modłów. Łukasz nie przeskoczył przez mur pastwiska na jej ścieżkę. Dotarła do bramy i z niedowierzaniem obejrzała się na pastwiska. *Czy ja oszalałam, że się za nim rozglądam?*

- Szukasz kogoś? - roześmiał się jeden ze strażników przy bramie.

- Nnie... nie - odparła, odwracając się.

Strażnik popatrzył na nią spod matowego, stożkowego hełmu i znad wąsów obfitych i zmierzwionych jak u wściekłego borsuka.

- Szukasz stajennego do pogaduszek, co?

- Nie - warknęła, gdyż poczuła nagle falę obrzydzenia na myśl, że ten mężczyzna mógłby sądzić, że chciała rozmawiać z Łukaszem.

Gdzieś zza krzaczastych wąsów rozległ się śmiech.

- To dobrze, panienko, bo go tu nie znajdziesz.

Maria miała już odejść, ale coś sprawiło, że zatrzymała się i spytała:

- Czemu tak mówisz?

- Ponieważ „pan” Łukasz został wyrzucony z tego grodu i wątpię, by przyjęto go tu z powrotem.

- Co się stało?

- Chyba mówiłaś, że wcale go nie szukasz? - Strażnik zachichotał.

Maria westchnęła.

- Czy byłbyś tak dobry, mój panie, żeby mi powiedzieć, co się właściwie stało?

- No cóż, skoro tak grzecznie prosisz, to wiedz, że twój przyjaciel Łukasz wypił zdecydowanie za dużo piwa i ubzdurał sobie, że wojewoda niesprawiedliwie przeniósł go z izby nad stajnią do wspólnej sali. Zapragnął czynu i postanowił wyrzucić jednego z rannych Niemców ze swojego starego pokoju.

- Chryste, ulituj się - wyszeptała Maria. - Skrzywdził kogoś?

- Powinnaś dziękować Bogu, że to on nie został skrzywdzony - ze śmiechem odpowiedział strażnik.

- Ten Niemiec, choć ranny, bez problemu poradził sobie z pijanym stajennym. Ludzie mówią, że jego pan, trzech podstajennych, niemiecki kapitan i sam wojewoda Bolesław przybiegli do izby nad stajnią i zastali Łukasza przygwożdżonego do podłogi i płaczącego jak mała dziewczynka, z rannym mnichem siedzącym mu na grzbiecie, jakby był osłem.

Maria z niedowierzaniem potrzęsła głową. Wciąż zbyt świeże w jej pamięci było wspomnienie Łukasza atakującego ją w lesie, by mogła pogodzić je z obrazem żalosego głupca z opowieści strażnika.

- Bolesław chciał skazać go na tuzin kijów, ale niemiecki kapitan poprosił o łaskę dla pijaka. Wojewoda pozwolił panu Łukasza wymierzyć mu karę, jaką uzna za stosowną.

- A ten go wygnał?

- Nie wiem, jakie miał zamiary, ale twój Łukasz wczoraj wieczorem wyszedł przez bramę, mając ze sobą tylko ubranie. I jestem pewien, że już tu nie wróci.

\* \* \*

Im więcej o tym myślała, tym bardziej było to oczywiste. Łukasz zawsze był małostkowy i łatwo się obrażał, zbyt też wysoko cenił swój, w gruncie rzeczy niezbyt wysoki, status. Teraz wszystkie jego wady sprzysięły się, by doprowadzić do jego upadku.

I z powodu jego nikczemności został mu tylko jeden człowiek, na którym mógł się odegrać: ona. Musiał wyjść i od razu za nią pobiec. Znał drogę, którą chodziła do domu. Zadrżała na myśl o tym, co mogło się stać, gdyby jej nie dogonił w lesie. Czy wszedłby do jej domu? Zagroził rodzinie? Jej bracia byli silni, ale mieli bardzo mocny sen. Bez problemu mogła sobie wyobrazić sztylet przecinający gardło jednego śpiącego lub dwóch, zanim hałas obudziłby pozostałych.

Jednak wydarzenia wczorajszego wieczoru stanowiły w jej głowie taką plątaninę, że nie zastanowiła się, którego z Niemców Łukasz próbował wyrzucić - uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy zobaczyła wyrwane z zawiasów drzwi do pokoju Josefa.

Przecież to był kiedyś pokój Łukasza...

- Josef! - krzyknęła - Josef! - powtórzyła trochę niepewnie, gdy odwrócił się w jej stronę, siedząc na brzegu łóżka, ubrany tylko w długą nocną koszulę.

- Nic ci nie jest? - zapytała, czując ulgę na widok słabego uśmiechu na jego twarzy. Dotarła do niej dziwna świadomość, że choć mimowolnie, Josef ukarał jej prześladowcę w równym stopniu, co banita Darien. Ta myśl wywołała na jej twarzy szeroki uśmiech, aż poczuła spuchnięty siniak na policzku.

- Czuję się znacznie lepiej, niż na to zasługuję - odpowiedział. - Sądząc po gwałtownym wejściu, musiałaś słyszeć o moim wczorajszym gościu.

Popatrzyła na niego - choć był silny, wciąż dostrzegała skutki ran. Wyrazem twarzy i postawą starał się sugerować pełnię sił, ale kłamy zadawały temu krople potu na skroni, pomimo chłodu poranka, i pobladłe wargi.

- Nie powinieneś siadać.

- Może i nie - zgodził się, wzdychając. - Myślałem, że skoro Bóg udzielił mi sił, dzięki którym nie dałem się wyrzucić z izby, to może też zostawił mi ich trochę na wstanie tego ranka.

Maria potrząsnęła głową, po czym odstawiła przyniesione śniadanie i pomogła mu położyć się z powrotem do łóżka.

- Nie wiesz, jak ciężko zostałeś ranny. - Za pomocą czystej ściereczki starła pot z jego czoła, policzków i karku. Zatrzymała się na chwilę, dotykając dłonią jego twarzy.

- Czułem to.

- Pozwól mi obejrzeć ranę i sprawdzić, jak bardzo sobie zaszkodziłeś.

Zmarszczył brwi.

- Niech zachowam trochę skromności, pani.

Fakt, że nazwał ją panią, natychmiast przypomniał Marii o różnicy w ich statusie. Niezależnie od tego, jak bardzo chciała mu pomóc, to jedno nie mogło się zmienić. Zabrała dłoń i wykręciła szmatkę.

- Czemu zeszłej nocy nie pozwoliłeś się obejrzeć doktorowi, panie?

- Nie ucierpiałem.

- Czy zechcesz go teraz zobaczyć?

- Moje rany dobrze się goją.

- Jestem za ciebie odpowiedzialna. Jeśli nie chcesz, żebym obejrzała twoje rany, sprowadzę lekarza.

Mruknął coś po niemiecku na tyle szybko, że Maria go nie zrozumiała. Coś o ponownym wystawianiu go na próbę przez Boga.

- Zechcesz być tak uprzejma, by na chwilę się odwrócić? - zapytał.

- Jak sobie życzysz. - Odwróciła się od niego. Mogę sprowadzić lekarza, jeśli przy nim będziesz się czuł swobodniej.

- Służę Zakonowi Szpitala Najświętszej Marii Panny w Jerozolimie. Powołaniem mojego zgromadzenia jest opieka nad chorymi i rannymi. Znam medyków oraz ich praktyki.

- Boisz się tego, co lekarz może zrobić?

- Nie. Ale wiem, że gdy raz wezwie się takiego do pomocy, będzie urażony, jeżeli niczego nie zrobi, nawet jeśli do zrobienia nic nie będzie. - Westchnął. - Możesz już się odwrócić i przekonać, że nic mi nie jest.

Odwróciła się, a Josef demonstracyjnie wbił wzrok w sufit, nie patrząc jej w oczy. Podciągnęła pościel do jego bioder, by zasłonić wstydlive części, i podwinęła jego długą koszulę, odsłaniając brzuch.

Patrzyła na niego przez kilka długich chwil. Mógł nie zdawać sobie z tego sprawy, ale widziała już wszystko, co teraz zasłaniała pościel. Zaczerwieniła się.

- Mario?

- Tak - odpowiedziała, skupiając się z powrotem na ranach na jego brzuchu. Bandaże były poplamione starą krwią, ale na szczęście nie zobaczyła na nich śladów świeżego krwotoku ani innych wycieków.

- I tak trzeba je już zmienić - poinformowała go.

Stęknął, gdy rozwiązała węzły i ściągnęła stary opatrunek. Zmarszczyła brwi, widząc jego brzuch. Rana była poważna, tworzyła poszarpany półksiężyc wokół pępka. Jej brzegi połączone były grubymi szwami, założonymi przez jego towarzyszy z zakonu albo przez medyka wojewody.

Maria musiała jednak przyznać, że choć rana wyglądała paskudnie, nie wykazywała śladów, które świadczyłyby o złym gojeniu. Ciało obok czarnej krechy blizny było tylko lekko zaczerwienione, a z rany nie sączyło się nic poza paroma kroplami zdrowej, rubinowej krwi w miejscu, gdzie zbyt się naciągnęły szwy.

Widok dobrze gojącej się rany Josefa był niczym balsam na jej duszę, jakby Bóg obdarzył ją błogosławieństwem w nagrodę za koszmar zeszłej nocy. Westchnęła i dotknęła jego dłoni, całkowicie zapominając o względach obyczajności.

- Nie zaszkodziłeś sobie nadmiernie.

- To dobrze.

- Bóg pobłogosławił cię siłą. - Obróciła się, by spojrzeć mu w twarz. - Nie sprawdzaj, proszę, granic tego błogosławieństwa.

- Spróbuję... - Zaskoczył ją, ściskając jej dłoń.

Przez chwilę stała nieruchomo, po czym odezwała się:

- Potrzeba ci nowego opatrunku na ranie.

Pracowała szybko, okrywając brzydką bliznę czystym materiałem. Gdy się nim zajmowała, pościel Josefa zsunęła się lekko i dziewczyna znowu się zaczerwieniła. Kiedy skończyła, odwróciła się do niego plecami, żeby mógł poprawić na sobie koszulę i pościel. A ona mogła przy okazji ukryć rumieniec na policzkach.

- Mogę spytać, co zadało ci tę ranę?

Josef nie odpowiedział.

- Panie? - Nie mogła się powstrzymać od obejrzenia się przez ramię. Josef zdołał już się okryć, jednak na jego twarzy rysowało się wyraźne napięcie. Zerknął na nią, po czym pokręcił głową.

- Nie wolno mi o tym mówić.

Odwróciła się do niego.

- Nic nie możesz powiedzieć?

- Nie. Złożyłem przysięgę... - urwał i popatrzył jej w oczy tak głęboko, że podniosła rękę i dotknęła swojej twarzy. Skrzywiła się lekko z bólu.

- Wybacz mi, Mario, ale ty też masz jakąś ranę.

Potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

- To nic takiego.

Była tylko służącą. Nikt inny w grodzie nie zainteresował się małym siniakiem w miejscu, gdzie została uderzona przez Łukasza. Nikt inny się tym nie przejął. Czemu właśnie on musiał to zauważyć?

- Czy ktoś cię uderzył? - zapytał, a jej serce ścisnęło się na moment.

- Nie - odpowiedziała ostro. Zbyt ostro. Fałszywe zaprzeczenie zawisło w powietrzu między nimi, równie oczywiste jak ślad na jej twarzy.

- Mario, jako członek zakonu zobowiązany jestem chronić niewinnych...

- To nic takiego. Potknęłam się i upadłam... Przepraszam, ale czekają na mnie inne obowiązki - dodała, podstawiając mu tacę ze śniadaniem. - Mogę cię już opuścić?

- Oczywiście. Ale czy jesteś pewna...

- Dziękuję, panie.

Odwróciła się i wyszła, zanim kłamstwo stało się ciężarem nie do zniesienia.

*Przepraszam, Josefie, ale ja też złożyłam obietnicę.*

\* \* \*

Bóg najwyraźniej postanowił nauczyć Josefa pokory. Młody rycerz włożył bardzo dużo wysiłku w ukrycie bólu, który czuł zeszłej nocy, i użył swojej przeszłości jako talizmanu chroniącego przed rozluźnianiem węzłów czystości, gdy Maria nachylała się nad jego półnagim ciałem i opatrywała rany. Gdy go dotykała...

Jednak nie wolno mu było się upajać takimi zwycięstwami. Najpierw bezpośrednio pytanie Marii... Nie spodziewał się tego, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego. Maria nie miała powodu znać szczegółów jego powinności ani tego, o czym mu było bądź nie było wolno rozmawiać.

Mimo wszystko, nie był przygotowany na pytanie.

Podobnie jak na świadomość, że ktoś ją uderzył. Był tak skupiony na własnym bólu i zachowywaniu skromności, że nie zauważył nawet śladu na jej policzku i rosnącego siniaka pod okiem. Było to tak niespodziewane, że nie potrafił powstrzymać się od uwagi na ten temat.

Warknęła na niego jakby w odwecie za jego tajemnicę. Próbował skłonić ją do ujawnienia czegoś więcej, ale w efekcie ją odpędził. Ponury nastrój, który go teraz opanował, zadał kłam wcześniejszemu przekonaniu o własnej cnocie.

Wiedział tylko, że ktoś jej zagroził. Gdy tylko odzyska siły, nauczy tę osobę stosownych manier.



## XI

Przez następne dwa dni Maria zmuszała się do powściągliwości w kontaktach z Josefem. Dochodził do zdrowia i nie potrzebował wiele pomocy poza zmianami opatrunków na ranie. Wmawiała sobie, że wszystko ponadto byłoby niestosowne, i to z wielu powodów. Jednak bardziej od wymogów obyczajności ciążyło jej kłamstwo i w każdej spędzanej z nim chwili czuła siniec na policzku i niewypowiedziane pytanie w jego oczach.

Kto to zrobił?

Czemu mu nie powiedziała? Czemu tak wiele dla niej znaczyła obietnica złożona jakiemuś banicie, który dawno już odszedł? Czemu to w ogóle miało jakąś wagę?

W każdym razie dzięki ograniczeniu wizyt u niego tylko do absolutnie niezbędnych mogła wracać z grodu za dnia. Było to teraz dla niej znacznie ważniejsze, bo wiedziała, że Łukasz został wygnany i może czaić się gdzieś w lesie, czekać na okazję do zemsty - niezależnie od tego, czym zagroził mu Darien.

Do tego jeszcze Darien. Budził w niej strach...

Jednak tego rodzaju banita nie mógł długo pozostawać w okolicy jednej z twierdz księcia. Najprawdopodobniej był już gdzieś daleko i pewnie nigdy więcej go nie zobaczy.

Czemu więc skłamała Josefowi?

Myśl ta nasunęła się jej w chwili, gdy weszła do pokoju Josefa z kolacją: może zrobiła to ze strachu, że Josef będzie miał o niej gorsze mniemanie, gdy się dowie, że stała się obiektem zalotów, choćby niechcianych, kogoś takiego jak Łukasz.

Przechodząc przez próg, powiedziała sobie, że Josef nie był kimś, kto mógłby ją piętnować za coś, czemu sama w żadnym stopniu nie była winna. Skoro była uczciwą kobietą, która chciała postępować z nim sprawiedliwie, powinna przyznać się do kłamstwa i powiedzieć mu zarówno o Łukaszu, jak i Darienie.

- Obraziłem cię, moja pani? - zapytał Josef, najwyraźniej odczytując coś z jej twarzy.

- Panie? - Trudno było jej ukryć, jak bardzo to pytanie wytrąciło ją z równowagi. *Muszę mu powiedzieć.*

- Od kiedy zapytałem cię o twoją twarz, trzymasz się ode mnie z daleka. Proszę, wybaczyć, jeśli się nadto spoufalili tym pytaniem.

Słowa zamarty jej w gardle. Nie potrafiła znaleźć w sobie siły, by przyznać, co się stało. Nie tylko z powodu Łukasza, ale i Dariena. A także dlatego, że nawet jeśli Josef nie potępiłby jej za postępkę Łukasza, z pewnością nie pochwaliby jej nieszczerości.

Odruchowo dotknęła swojego wciąż obolałego policzka. Oko nad nim od dwóch dni otaczał siniec, a mimo to Josef wciąż był jedyną osobą, która uznała za stosowne w jakiś sposób to skomentować.

- Ależ panie, w twoim pytaniu nie było nic niestosownego - odpowiedziała, czując do siebie odrazę za ukrywanie kłamstwa. - To całkiem zwyczajna pomyłka.

- To była twoja sprawa. Nie powinienem wtrącać się w nie swoje sprawy.

Czuła, jak kłamstwa stają jej kulą w gardle. Wciągnęła powietrze i spróbowała wciągnąć na twarz maskę spokoju, którego wcale nie czuła.

- Nie mam ci za złe twojej troski, panie...

Odchylił się na poduszkę i popatrzył na sufit.

- Czy w takim razie jest jakiś inny powód twojego milczenia?

- Ja... - Jak mogła odpowiedzieć na takie pytanie? - Mam też inne obowiązki i musiały one zajmować zbyt wiele moją głowę...

- No tak... Jestem bardzo samolubny - stwierdził Josef - ale większość czasu spędzam sam w tym pokoju. Ta samotność bardzo mnie męczy.

- Nie widziałeś nikogo ze swoich towarzyszy?

- Mój komtur był tu raz pomodlić się ze mną. - Uśmiechnął się słabo. - Niech mi Bóg wybaczy, ale choć komtur wspomaga mnie swoją duchową siłą, kiepski z niego towarzysz do rozmów.

Spojrzała na niego z góry i pomyślała, że to ona była samolubna. Unikała go, skupiona wyłącznie na własnych sprawach. Nie poświęciła ani chwili na wyobrażenie sobie, co on musi czuć.

Jak ona sama czułaby się, gdyby ktoś w taki sposób potraktował jej ojca? Postanowiła się poprawić.

- Może opowiesz mi o swoim komturze? - powiedziała, kładąc dłoń na jego rękę.

\* \* \*

W miarę jak rozwijała się ich rozmowa, zaczęło ją opuszczać napięcie odczuwane z powodu oszustwa. Josef nie potrzebował wiele zachęty, a słuchanie jego opowieści

wystarczyło, by umożliwić odsunięcie od siebie najświeższej przeszłości. Opowiadał głównie o próbach, jakimi poddawani byli probanci, czyli tymczasowi członkowie zakonu, o wielkim zobowiązaniu, jakim były śluby posłuszeństwa, ubóstwa i czystości, które złożył. Opowiadał z gorzko-słodką nutą w głosie, jakby porzucenie ziemskich spraw było dla niego nie tyle powołaniem, co aktem ostatniej szansy.

Kiedy mówił o swojej służbie, Maria miała wrażenie, że robi to jak ktoś próbujący przekonać samego siebie, że czyni coś właściwego. Zastanawiała się, czy byłoby inaczej, gdyby wybrał służbę Bogu na inny sposób? Czy rozmawialiby ze sobą właśnie tak? Czy mogłaby trzymać go za rękę?

Kiedy powrócił do swojego życia w Norymberdze, na jego twarzy pojawił się cień, który wywołał ból w jej sercu. Kiedy więc zaczął pytać ją o jej życie, odpowiedziała szerzej i bardziej prawdziwie, niż się spodziewała, by zabrać go z tego ciemnego miejsca i zrekompensować mu wciąż utrzymywaną tajemnicę.

Opowiedziała Josefowi o gospodarstwie, o rodzinie i śmierci ojca. O braciach i niemieckiej macosze. O pracy, którą wykonywała w grodzie Narew. Zdradziła mu, że jest nieślubnym dzieckiem ojca i jakiejś jego dawno nieżyjącej kochanicy.

Słowa te opuściły jej usta, zanim zastanowiła się nad tym, co powiedziała. Fakt ów od tak dawna był częścią jej życia i był tak powszechnie znany, że nie przyszło jej do głowy, by go ukrywać. Popatrzyła na Josefa, próbując ocenić jego reakcję.

Jego słowa ją zaskoczyły.

- Ojciec musiał bardzo cię kochać.

- Czemu tak mówisz?

- Niewielu ludzi uznaje takie dzieci, jeszcze mniej przyjmuje je do swojego domu. A jeśli nawet, to zazwyczaj nie mówią im niczego aż do czasu, gdy dziecko dorośnie.

Maria dotknęła przez koszulę swojego krzyża.

- Ojciec był bardzo surowy, ale tak, kochał mnie.

- Chciałbym go poznać...

Maria nie wiedziała, jak na to zareagować. To, co mu powiedziała, powinno go zniechęcić. Była zwykłą wieśniaczką - biedną, prostą dziewczyną, na dodatek z nieprawego łoża. Nawet złożone przez Josefa śluby miłosierdzia nie wymagały traktowania jej w tak łaskawy sposób.

Jest ranny i samotny. Nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać. To wszystko.

A może po prostu taki był? Może gdyby był cały i zdrowy, z kalekim żebrakiem na ulicy rozmawiałby równie uprzejmie? Może po prostu był dobrym człowiekiem?

Jednak dlaczego myślenie o tym sprawiało, że czuła się gorsza?

- Coś jest nie tak? - zapytał Josef.

Znowu pozwoliła, by jej twarz zdradziła targające nią emocje. Znowu nie potrafiła tego wyjaśnić.

- Myślę, że ojciec bardzo chętnie by się z tobą spotkał - odpowiedziała. Sięgnęła do piersi i wyciągnęła spod koszuli swój srebrny krzyżyk. Uniosła go, nie zdejmując srebrnego łańcuszka z szyi. - Dał mi go, gdy byłam dzieckiem.

Josef zmrużył oczy.

- Mogę go obejrzeć?

Wyciągnął dłoń, a Maria cofnęła się, jakby chciał ją uderzyć.

- Nie!

- Mario?

- Ja... obiecałam, że nigdy go nie zdejmę. - Schowała krzyżyk.

- Nigdy go nie zdejmujesz?

- Chroni mnie.

- Chroni cię? - zapytał Josef tonem sugerującym coś więcej, niż mógł wyrazić zwykły mnich widzący święty symbol. - Czy to srebro? Łańcuszek także?

- Ojciec powiedział mi, że muszę go nosić, by nie dopuścić do siebie diabła.

- I pomaga?

Pomyślała o Łukaszu i poczuła pulsowanie policzka.

- Tak. Pomaga.

Josef cofnął rękę i kiwnął głową.

- W takim razie zawsze miej go ze sobą. Myślę, że twój ojciec był mądrym człowiekiem.

Położyła dłoń na sercu, przyciskając krzyżyk do ciała.

- Chcę wypełnić ojcowskie polecenie.

\* \* \*

Srebrny krzyż?

Josef przyglądał się, jak światło gaśnie na niebie za oknem, dręczony niespokojnymi myślami. Wciąż myślał o krzyżu noszonym przez Marię i o możliwym znaczeniu tego faktu. Czuł się przez to niepewnie, bo sam nie miał teraz srebrnej broni. Diabeł, z którym się zetknął, był bardzo konkretny, realny i groźny. Nawet tu, za murami grodu.

Czy krzyż i wiara mogły stanowić ochronę przed czymś takim? *Może dla świętego...*

Czuł się rozdarty, zraniony głębiej niż przez stwora tym, że nie ostrzegł dziewczyny

przed czającym się na zewnątrz niebezpieczeństwem, choć oznaczałoby to złamanie przysięgi posłuszeństwa zakonowi. W każdym razie powinien był coś powiedzieć, cokolwiek, by zniechęcić ją do wędrówki przez las, zwłaszcza po zmierzchu.

Co też oznacza ów krzyż?

Czy miejscowi mieli jakieś doświadczenia z tym, na co polował zakon? Czy wiedzieli dość, by chronić się przed tym srebrnymi talizmanami?

Powinien poczuć ulgę, że Maria miała przynajmniej częściową ochronę przed czającym się tam demonem. Z drugiej strony - dlaczego tak bardzo się o nią niepokoił?

\* \* \*

Z powodu rozmowy z Josefem Maria wyszła z grodu znacznie później, niż zamierzała. Gdy stanęła na ścieżce, słońce właśnie schowało się za horyzont. Weszła pomiędzy cienie drzew i zatrzymała się na skraju lasu, wyobrażając sobie zaczajonego na nią Łukasza.

Wiedziała, że nie miało to sensu. Ścieżka była mało uczęszczana. Równie dobrze mógłby ją zaatakować za dnia.

Po prostu w dzień widziała, że go tam nie ma. W miarę jak cienie gęstniały, coraz większą część świata wokół oglądała oczyma wyobraźni, a ta ostatnio została opanowana przez rzeczy mroczne i przerażające.

*Nie mogę stać tu w nieskończoność.*

Jeśli pomaszeruje szybko, wkrótce znajdzie się w domu, ale jeśli pozwoli, by rządził nią strach, droga będzie nie do zniesienia. Ruszyła więc energicznym krokiem.

Wieczorne powietrze było chłodne, choć nie dość zimne, by zmieniać w parę wilgoć jej oddechu. Ziemia była sucha po tygodniu bez deszczu i wkrótce odgłosy leśnych owadów zostały stłumione przez szelest liści pod stopami. Szła coraz szybciej, aż zaczęła biec, mijając miejsce, w którym została zaatakowana przez Łukasza.

Gdy z mroku przed nią wyłonił się Darien, zatrzymała się gwałtownie i pomyślała, że jej serce pęknie chyba z wrażenia.

Nie poruszał się, po prostu stał przed nią. Większość jego sylwetki skrywała się w cieniu, choć na bezchmurnym niebie pojawił się księżyc, rzucając między drzewami swój łagodny blask i oświetlając fragmenty jego postaci: krzywiznę policzka, przerzucone przez ramię włosy i bladoniebieskie oczy.

Obróciła latarnię, jej blask oświetlił go, odpędzając cienie, a zarazem podkreślając jego sylwetkę, wyraźnie odcinającą się teraz na tle ciemnego lasu.

- Mario... - odezwał się, a brzmienie jego głosu doprowadziło ją prawie do jęku. -

Powiedziałem, że jeszcze cię odnajdę.

- Przestraszyłeś mnie - odparła, ściskając wiszący na piersi krzyż. Widząc go teraz, uświadomiła sobie, że w ciągu ostatnich dwóch dni zdołała wyprzeć z siebie skłonność, którą do niego czuła. Fakt, że stał znowu przed nią, był bardziej przerażający niż cokolwiek innego. Gdy zrobił krok do przodu, cofnęła się.

- Nie spodziewałaś się mnie zobaczyć? Po tym, co się stało? Gdy w końcu się spotkaliśmy? - Niepokoilo ją brzmienie w jego głosie zdziwienie, ponieważ nie rozumiała jego przyczyny.

- Nie. Spodziewałam się, że wrócisz do banickiej kryjówki, którą nazywałeś domem...

- Jesteś ranna - zauważył wstrząśniętym głosem. Podbiegł do niej, zanim zdążyła zareagować, ujmując jej podbródek i zwracając go ku sobie. - Czemu masz ten ślad na twarzy?

Wyrwała mu się i odwróciła, ukrywając łzy wywołane złością i żalem.

- Doskonale wiesz, czemu mam ślad na twarzy, bandyto. Widziałeś, jak do tego doszło.

- Ale to było dwa dni temu.

- Naśmiewasz się ze mnie! Zostaw mnie.

- Nie, nie myślę się - powiedział cicho do siebie. A potem do niej: - Czy ty wiesz, czym jesteś, Mario?

- Czym jestem? - Wykręciła się w miejscu i stanęła twarzą do niego. - Czym jestem? Podniosła rękę, by uderzyć go tak jak Łukasza. - Ty łotrze! - Wyprowadziła cios, ale zablokował go, owijając dłoń wokół jej pięści w prawie czułym geście.

Zmrużył oczy.

- Powiedz mi, czym jesteś.

- Straszysz mnie. - Jej pięść drżała w jego dłoni, mięśnie miała napięte.

- Powiedz mi, jak to możliwe, że prawie powaliłaś Łukasza tak lekką pięścią? A teraz ja ledwie mogę utrzymać twoją rękę... I mówisz, że nie wiesz, czym jesteśmy?

- Nie wiem, o czym mówisz!

- Co takiego masz zawieszzone na szyi? - Sięgnął drugą ręką i wsunął palec pod łańcuszek, wyciągając jej krzyżyk spod koszuli.

- Nie dotykaj tego! - Uderzyła lewą ręką i tym razem Darien był zbyt skupiony, by zablokować cios.

Latarnia rozbiła się o jego skroń, gasnąc i rozpryskując ostro pachnący olej.

Jego głowa opadła na bok, a on zrobił krok do tyłu, puszczając jej prawą rękę.

Odskoczyła od niego, chwytając krzyżyk. Darien potarł ukrytą w cieniu twarz i popatrzył

na nią.

- Czemu tonosisz? Czy wiesz, co to oznacza?

- To mnie chroni.

- Chroni cię? Kto powiedział ci takie bzdury? Kapłan? Jeden z tych żalonych niemieckich mnichów?

- Mój ojciec.

- Twój... ojciec?

Maria schowała krzyż pod koszulą i poprawiła ją na wypadek, gdyby Darien znów się zbliżył. On jednak tylko potrząsnął głową.

- Ty nie tylko z nimi mieszkasz. Zostałaś przez nich wychowana. Nigdy nie powiedzieli ci, skąd się wzięłaś ani czym jesteś... prawda?

- A co taki obcy, taki banita jak ty może wiedzieć o tym, kim lub czym jestem? Masz mnie za ladacznicę z powodu Łukasza?

Darien się roześmiał, niemal przerażająco gromko.

- Czy moja cnota jest aż tak zabawna? - zapytała cicho.

Zdławił swój śmiech.

- Właśnie mnie przekonałaś, Mario, że ty naprawdę nie masz pojęcia, o czym ja mówię. Nigdy nie śniłem o znalezieniu cię, a tym bardziej tak... nieoświeconej.

Zaczęła się cofać w stronę skraju ścieżki. Była zwinna - jeśli zdoła się przemknąć obok niego, prawdopodobnie mu ucieknie.

- W takim razie oświeć mnie - rzuciła, próbując skłonić go do skupienia się na rozmowie, nie na niej samej.

- To proste. Po prostu zdejmij tę błyskotkę.

To żądanie całkowicie ją zaskoczyło. Potrząsnęła głową i odpowiedziała stanowczo:

- Nie! - Nie mógł zasugerować niczego, co mocniej przekonałoby ją o jego złych zamiarach.

- Nigdy go nie ściągasz, prawda? Tej twojej ochrony... - Jego ton nadał temu słowu taki ładunek pogardy, że zabrzmiało ono niczym najgorsze bluźnierstwo. - Jak myślisz, przed czym cię to chroni?

*Przed tobą.*

- Przed diabłem.

- A ile znanych ci osób nosi coś takiego? Może twój ojciec? To bydło, które mieszka w tej paskudnej kupie kamieni i drewna na wzgórzu, do której chodzisz każdego dnia? Gdzie mieszkał twój były znajomy Łukasz? Czy pytałaś kiedyś, dlaczego tylko ty musisz nosić tego

rodzaju ochronę?

Jej serce biło jak szalone. Dlaczego? Dlaczego nie jej macocha albo bracia? Dlaczego tata jej to dał?

- Zamknij się! - wrzasnęła na niego.

- Jesteś wyjątkowa, Mario. Różnisz się od reszty, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy. To coś chroni ich, nie ciebie. Używają tych srebrnych łańcuchów do spętania cię.

Uciekła, omijając go, a on nie próbował jej zatrzymać.

- Jesteś lepsza od nich - zawołał za nią. - Wiesz o tym. Zdejmij to!



## XII

*Jesteś lepsza od nich.*

Te słowa odbijały się dziwnym echem w głowie leżącej w łóżku Marii. Bracia chrapali w dole, a księżyc przeświecał przez szczeliny w okiennicach, rzucając bladobłękitne światło na chatę.

*Czy ty wiesz, czym jesteś?*

- Czym ja jestem? - wyszeptwała do siebie. - Czym jestem?

Przygotowała sobie listę: kobietą, chrześcijanką, Polką, służącą, córką, siostrą, dziewczyną, bękartem... Czy Darienowi chodziło o którąś z tych rzeczy, czy też o żadną z nich?

I dlaczego tak ważny był dla niego srebrny krzyż? Dla Josefa też, przypomniała sobie. Czyżby był aż tak wyjątkowy?

Co by się stało, gdyby go zdjęła?

Czuła go pod koszulą nocną, chłodził jej skórę. Dotknęła palcem małego kawałka metalu, przesuując go wzdłuż łańcuszka zawieszzonego na szyi.

Przypomniała sobie strach i złość w oczach ojca, gdy zapytał ją, dlaczego go zdjęła.

Co by się wtedy stało?

Jej serce biło z każdą chwilą szybciej. Nigdy się nad tym nie zastanawiała, zawsze po prostu nosiła krzyżyk. Nigdy dotąd jej nie ciążył.

Ale też nigdy dotąd nie kwestionowała powodu, dla którego miała go nosić.

Wyciągnęła krzyżyk tak, że zawisł przed jej twarzą. Josef miał rację. Ojciec bardzo ją kochał i chciał, by zawsze była bezpieczna. Krzyż ją chronił.

*To coś chroni ich.*

Słowa Dariena były niczym robak drażący jej mózg.

*Jesteś wyjątkowa.*

- Nie jestem wyjątkowa - wyszeptwała. - Nie ma we mnie nic wyjątkowego ani szczególnego.

W takim razie czemu tylko ona nosi coś takiego?

Czemu Bóg potrzebował pomocy w chronieniu jej przed diabłem?

Zacisnęła krzyż w dłoni i pomodliła się, krótko i gwałtownie:

- Panie, pozwól mi dowiedzieć się dlaczego.

Czuła dudnienie pulsu w uszach, a pot przykleił jej koszulę do skóry. Oddychała szybko i płytko, dłoń zaś tak mocno zacisnęła na krzyżu, że skaleczyła się o jego brzegi. Powoli usiadła na łóżku i przez chwilę powietrze wydawało się tak ciężkie, że tłumilo nawet chrapanie braci.

- To Bóg mnie chroni - wyszeptała. - Nie to...

Szybkim gestem ściągnęła łańcuszek, jakby bała się, że może jeszcze zmienić zdanie. Siedziała na brzegu łóżka, sięgając niemal głową do z grubsza ociosanych belek, wspierających pokryty strzechą dach.

Zamarła, czekając na przyjście diabła, który ją porwie za karę, że sprzeciwiła się ojcu.

- Boże - szepnęła - miej w opiece swoje dziecko.

Krzyż zwiślał z jej palców na łańcuszku. Dłoń piekła ją w miejscu, gdzie pot dostawał się do ranek w skórze. Czuła się dziwnie bez ciężaru krzyża. Podniosła go do oczu i przyjrzała mu się. Prostym srebrnym krzyż na prostym srebrnym łańcuszku.

Zastanawiała się, czy należał do jej matki.

Czy to możliwe? Czy ten krzyż mógł wiązać ją z jakąś inną rodziną, może wysokiego rodu? Czy Darien mógł właśnie o tym myśleć, gdy mówił, że jest wyjątkowa, lepsza od wszystkich innych?

Diabeł ignorował ją najwyraźniej, więc położyła się z powrotem do łóżka, wciąż trzymając krzyż i patrząc na niego, próbując rozwikłać jego tajemnicę.

I zasnęła, zanim założyła go sobie z powrotem na szyję.

\* \* \*

Darien biegł przez pogrążony w mroku las, z pyskiem ściągniętym w grymasie rozczarowania.

Ona nie wie.

Po raz pierwszy znalazł potencjalną towarzyszkę, potencjalną rodzinę, a ona okazała się tak zepsuta przez ludzkich opiekunów, że nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, kim jest. Zawieszony na jej szyi srebrny łańcuszek ograniczał ją bardziej niż wszelkie więzienia, jakie ludzie tworzyli dla przedstawicieli swojego rodzaju.

I był bardziej frustrujący, ponieważ sama chciała go nosić.

Dotarł do skraju lasu, tuż pod zamkiem, do którego uciekli Niemcy. Stał na wszystkich

czterech łapach, dysząc ze zwieszonym językiem. Biegł tak szybko, w takim skupieniu, że jego ciało samo zareagowało, zmieniając jego ręce w łapy. Gdyby zobaczył go w tej chwili ktoś z murów twierdzy, dostrzegłby w nim tylko wilka. Choć takiego, który sięga powyżej pasa wysokiemu mężczyźnie.

Patrzył na zbocze wzgórza i pomyślał o ludziach wewnątrz.

*Czy powinienem zająć się nią, porzucając to, po co tu przybyłem?*

Dotarł w te okolice z powodu Niemców, nie Marii. Ale czy zemsta będzie znaczyła to samo, jeśli nie będzie sam? Wciągnął nocne powietrze i poczuł zapach spalonych ciał jego rodziny.

Owszem, znaczenie uległo zmianie. Zemsta nie mogła być już jego jedynym celem, miał teraz jeszcze jeden, musiał teraz kogoś chronić.

To już nie była gra. Nie mógł dalej planować, jak się z nimi zabawi, jak ich porani, jak ich wyprowadzi na manowce, gdzie poczują strach, który kiedyś był jego udziałem.

Plany muszą ulec zmianie.

\* \* \*

Maria poczuła panikę, gdy obudziła się bez krzyża na szyi. Usiadła gwałtownie, przypominając sobie rozmyślenia z minionej nocy. Zasnęła z krzyżem w dłoni, ale we śnie musiała go upuścić. Po kilku chwilach gorączkowych poszukiwań zauważyła go w końcu, między łóżkiem a ścianą.

Ostro wciągnęła powietrze: łańcuszek zaczepił się o kołek sterczący z ramy łóżka i tylko on powstrzymał krucyfiks przed zsunięciem się w szczelinę między podłogą stryżku a ścianą. O mały włos nie wpadł w szparę, z której nigdy nie zdołałaby go wyciągnąć.

Sięgnęła ostrożnie, dziękując Bogu, że krzyżyk nie przepadł. Jej palce dotknęły łańcuszka, a ten natychmiast zsunął się z kołka. Nie spodziewała się tego, ale odruchowo zacisnęła dłoń.

Złapała krzyżyk, zanim spadł.

Wyciągnęła go i zawiesiła na szyi. Wczorajsze spotkanie z Darieniem zdawało się nierealne, niczym na wpół zapamiętany sen. Zastanawiała się, czemu tak bardzo ciągnęło ją do kuszenia losu. Nawet Josef powiedział jej, by nie zdejmowała krzyżyka...

Zresztą nawet jeśli diabeł nie zamierzał dosłownie porwać jej zaraz po zdjęciu krzyża, to nie znaczyło, że rozsądne było gubienie go. Nie wspominając już o braku szacunku, jaki okazałaby tym samym duchowi ojca.

Wciągnęła powietrze i powiedziała sobie, że już po wszystkim. Miała swoje obowiązki.

\* \* \*

Kiedy zajmowała się swoimi obowiązkami w grodzie, rana na dłoni bolała ją tak mocno, że musiała założyć sobie na nią opatrunek. Przypominał on jej nieustannie o nocy, o której wolałaby zapomnieć.

Jej frustracja musiała odbijać się na twarzy, ponieważ wydawało się, że gdy tylko skupiła na sobie czyjąś uwagę, ta osoba dziwnie się jej przyglądała. Początkowo więc Maria wycierała sobie twarz, spodziewając się znaleźć na niej jakąś plamę tłuszczu albo brudu.

Dopiero gdy przyniosła Josefowi śniadanie, zrozumiała, co takiego wszyscy zaczęli zauważać. Kiedy postawiła miskę przy jego łóżku, usiadł ze znacznie większą energią, niż się po nim spodziewała.

- Twoja twarz, Mario...

Westchnęła i wyciągnęła zza paska czystą szmatkę. Przetarła sobie twarz raz jeszcze i zapytała:

- Już dobrze?

Zbladł i przez chwilę miała wrażenie, że w jego oczach zobaczyła ślad strachu ojca.

- Twój siniak...

Zamarła ponownie, uświadamiając sobie, że mimowolnie zrobiła coś niewłaściwego. Jej ręka przestała się poruszać i nagle opanował ją strach. A potem, ze szmatką przyciśniętą do twarzy, nagle coś zrozumiała.

Policzek już nie bolał. Nie wyczuła sztywnego obrzmienia pod okiem, a palce nie natknęły się na twardy skrzep, znaczący miejsce pęknięcia skóry na policzku.

- Mój siniak? - zapytała najspokojniej, jak potrafiła.

- Zniknął.

*To dlatego wszyscy tak mi się przyglądali. Nie miał dla nich znaczenia, gdy się pojawił, ale kiedy zniknął...*

Maria potrząsnęła głową.

- Minęło już kilka dni od mojego upadku. Po prostu się zagoił.

- Miałś pod tym okiem bardzo ciemny siniec...

- Przesadzasz.

- ...który teraz zupełnie zniknął.

Próbowała ukryć swój strach i oszołomienie.

- Po prostu się wygoił, to wszystko. Widać nie był aż taki straszny, jak ci się wydawało.

Wpatrywał się w jej twarz, szukając śladów po uderzeniu. Wyraz jego twarzy wzbudzał w

niej strach, patrzył na nią tak, jakby zamiast niej dostrzegał coś innego. Bała się, że widział to samo co jej ojciec w noc przed śmiercią.

Nie mogła się powstrzymać przed ponownym sięgnięciem do twarzy.

- Co się stało z twoją ręką? - zapytał.

Potrząsnęła głową i podniosła obandażowaną dłoń.

- Skaleczyłam się wczoraj przypadkiem. To nic poważnego.

Zmrużył oczy, a w jego spojrzeniu dostrzegła ślad dziwnej podejrzliwości.

- Mogę na to spojrzeć?

- To nic takiego.

- Ty codziennie oglądasz moją bliznę.

Maria westchnęła i wyciągnęła do niego dłoń.

- Bitwy, które toczę, nie są tak poważne jak twoje. Nie sądzę, żeby coś mi groziło z tego powodu.

Odwinął opatrunek i popatrzył na jej dłoń. Dwie rany w miejscu wbicia się ramion krzyża nie były jeszcze nawet osłonięte strupkami. Jedna z nich wciniała się boleśnie w zagłębienie dłoni i gdy wyprostowała palce, z rozcięcia zaczęła się sączyć rozwodniona krew.

Przyglądał się jej dłoni przez dłuższą chwilę. I co dziwne, wyglądało na to, że opuszcza go napięcie.

- Mogę już zabrać rękę?

- Tak. - Kiedy owijał z powrotem jej dłoń bandażem, wyszeptał: - Wybacz mi... - Jakby przepraszał za coś znacznie poważniejszego niż zbyt długie trzymanie jej dłoni.

- Czy mieszkasz tu, koło grodu, przez całe swoje życie? - zapytał, gdy skończył bandażowanie i puścił jej rękę.

Choć jego zachowanie wróciło do normy, Maria miała wrażenie, że w tym pytaniu pobrzmiewało coś z wieczornej rozmowy z Darieniem. Może nie chodziło o znaczenie, ale o ton. Tak jakby Josef, podobnie Darien, wiedział o jej przeszłości coś, co dla niej samej było tajemnicą. - Wiesz, że tak - odparła, cofając dłoń. - Mówiłam ci o sobie już wszystko, co było do powiedzenia.

- Czy ojciec prosił cię kiedyś, byś strzegła się czegoś w tutejszych lasach?

*Czy to ten strach, który dzielisz z moim ojcem?*

- W lasach? - powtórzyła, myśląc o Darieniu. Kim on jest? Co takiego wiedział rzekomo na jej temat? - Ojciec mieszkał w tej okolicy całe życie jako drwal i rolnik. Oczywiście, że ostrzegał mnie przed różnymi rzeczami - dzikimi zwierzętami, łamiącymi się pniami, trującymi roślinami, grzybami... Czy martwi cię coś szczególnego? - Umilkła na chwilę, po

czym dodała: - A może ktoś szczególny?

- Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo, Mario - odpowiedział Josef z niepewnym wyrazem twarzy. - Nie powinnaś chodzić przez las po zmroku.

- Czego tak bardzo się boisz? Tego czegoś, co cię zaatakowało?

- Wybacz, ale nie wolno mi o tym mówić.

- Dlaczego?

- Już ci mówiłem, przysięgałem posłuszeństwo moim przełożonym w zakonie.

- Wcale nie o to pytam. Jeśli w tych lasach czai się coś groźnego, dlaczego twój zakon miałby rozkazać ci o tym milczeć?

Josef potrząsnął głową. Z jakiegoś powodu Maria znowu pomyślała o ojcu i o tym, że nigdy nie wytłumaczył jej znaczenia krzyża, który kazał jej nosić. Dlaczego przełożeni Josefa mieliby mu to wyjaśniać, skoro i tak przysiągł ich słuchać?

- Wybacz mi - powiedziała. - To pytanie było nie na miejscu. Powinnam się zająć moimi obowiązkami. Zobaczymy się wieczorem.

- Mario? - Josef odezwał się, gdy wychodziła z pokoju.

Odwróciła się do niego.

- Tak?

- Jeśli jeszcze tego nie mówiłem: dziękuję.

Poczuła, że się czerwieni, przez co nieprzyjemnie przypomniała sobie o wygojonej ranie.

- Proszę bardzo - odpowiedziała i szybko wyszła, nie pytając, za co właściwie Josef jest jej wdzięczny.

\* \* \*

Patrząc, jak wychodzi, Josef czuł sprzeczne emocje. Wiedza o demonach, na które polowali wulfjegrzy, sprawiła, że tak szybkie wygojenie się jej twarzy wzbudziło w nim dzikie, pełne paniki spekulacje, i to pomimo noszonego przez nią srebrnego krzyża. Jednak zwyczajne rozcięcia na jej dłoni zadały kłam niesprawiedliwym podejrzaniom, podobnie jak fakt, że siniak na twarzy nosiła przez kilka dni. Nie, jego brak zaufania był niesłuszny i niesprawiedliwy. Maria była dobrą kobietą, a te stworzenia miały bardzo złą naturę.

Niemal w równym stopniu martwił go jednak fakt, że prawie złamał złożoną przysięgę milczenia. To, co powiedział Marii, było bliskie nieposłuszeństwu, przynajmniej w duchu, jeśli nie w literze. A jej ostatnie pytanie wzbudziło w nim wątpliwości piekące silniej od rany brzucha.

Nie zjadł przyniesionego śniadania. Zamiast tego powoli wstał z łóżka i zaczął się

ubierać. Służba z grodu wyprała i naprawiła jego tunikę z niepełnym czarnym krzyżem zakonu, ale część rękawa poznaczona była teraz szwami i nie do końca spranymi śladami krwi. Zabrali jego kolczugę, ale miał nogawice i koszulę oraz pas z pustą pochwą i kilkoma śladami po zębach.

Ubierając się, kilka razy musiał odpoczywać. Cały proces nie był specjalnie bolesny. Rana w brzuchu nieustannie ćmiła, ściągając żołądek, ale poziom cierpienia nie zmieniał się na tyle, by to zauważyć.

Tak naprawdę przeszkadzało mu teraz osłabienie. Każdy ruch go męczył, każdy element stroju był zbyt ciężki, każde zadanie wydawało się wyzwaniem na miarę Herkulesa. Jednak po długim wysiłku zdołał w końcu wstać i wyjść ze swojej izby.

\* \* \*

Komtura Heinricha znalazł odprawiającego mszę dla bardziej sprawnych braci w małej kaplicy użyczonej im przez polskich gospodarzy. Przyłączył się do tej grupy, siadłszy z tyłu kaplicy. Poczł ukojenie płynące ze wspólnej modlitwy. Ostatnio czuł się zbyt samotnie. Msza pomogła mu w przypomnieniu sobie, że inni wędrowali tą ścieżką wraz z nim.

Zaczął się ponownie zastanawiać nad swoimi wątpliwościami. Gdyby Heinrich nie zwrócił uwagi na jego spojrzenie pod koniec mszy, może zostawiłby śmiałe pytanie Marii bez odpowiedzi.

Jednak Heinrich zauważył go i przywołał, gdy bracia opuszczali kaplicę.

Josef powoli przeszedł w stronę ołtarza. Heinrich nie był zbyt wylewny w okazywaniu emocji, ale kąci jego warg uniosły się nieco w lekkim uśmiechu stanowiącym jedną z najbardziej widocznych oznak uczuć.

- Tak, panie?

- Ty chodzisz... Nie spodziewałem się, że tak szybko odzyskasz siły.

- Prawdę mówiąc, wciąż doskwiera mi moja rana. Ale chciałem z tobą porozmawiać.

- Na jaki temat?

- O sprawach, o których lepiej rozmawiać na osobności.

- Rozumiem. W takim razie chodź ze mną. - Heinrich wyprowadził go z kaplicy, a potem zabrał na zewnątrz, idąc powoli ze względu na ociążałe ruchy Josefa. - Tak długo byłeś zamknięty w tamtym pokoju, że przyda ci się trochę świeżego powietrza.

Szli otwartymi dziedzińcami pod jasnym niebem lata, na którym tylko od zachodu unosiło się kilka niewielkich chmur. Słońce grzało skórę Josefa, a po zaduchu jego izby powietrze było niczym chłodne wino. Gdy Heinrich doszedł do miejsca blisko muru, z dala

od innych ludzi, odwrócił się i zapytał:

- Co takiego niepokoi cię tak bardzo, że opuściłeś swoje łóżko?

- Te stwory, na które polujemy... czy one mieszkają tylko w pruskich lasach?

- Skąd to pytanie?

- Przychodzi do mnie służąca, dogląda mnie... mieszka za murami twierdzy, w gospodarstwie wśród lasu. Jej ojciec dał jej srebrny krzyżyk, by, jak to ujęła, „chronił ją”.

- Myślisz, że może to znaczyć, że te bestie mieszkają w tych lasach?

- Zastanowiło mnie to...

- Cieszę się, że z tym do mnie przyszedłeś. Wilczy miot, z którym walczymy... - legendy o jego istnieniu są równie powszechne, jak same wilki. Ostrzegam cię jednak, byś nie wyciągał pochopnych wniosków. W rzeczywistości występuje znacznie rzadziej niż w opowieściach. Nie szukaj nowych ścieżek, zanim nie ukończysz bieżącej podróży. Raniona przez ciebie bestia wciąż gdzieś tu jest.

- To kolejna sprawa, o którą chciałem cię zapytać, panie.

- Tak?

- W czasie gdy pozostajemy tu bezsilni, to stworzenie może niszczyć kolejną wioskę. W tej chwili może się żywić ciałami niewinnych.

- Taka już jest natura walki ze złem. Żaden człowiek ani grupa ludzi nie może zmierzyć się z całym złem, wszędzie równocześnie. Bóg daje nam moc działania w wybranym miejscu i czasie.

- Czemu w takim razie nie ostrzec ludzi? Może nas tam nie być, ale jeśli rolnicy w wiosce mieliby choćby pokryty srebrem sztylet zamiast zwykłego sierpa...

- Widzę, że ciąży ci konieczność zachowania tajemnicy - stwierdził Heinrich, kładąc dłoń na ramieniu Josefa. - Faktem jest, że przysięgi naszego zakonu nie są lekkie. Ani dla umysłu, ani dla ciała, ani dla duszy. Sam miewam z nimi problemy. Jednak podam ci argument, dzięki któremu może łatwiej będzie ci dźwigać ten ciężar. - Heinrich puścił jego ramię i odsunął się na kilka kroków, stając twarzą do zewnętrznego muru. - Czy słyszałeś o tym, co stało się w Strasburgu cztery lata temu?

- Tak, słyszałem.

- Gdy doszło do wybuchu zarazy, papież zrozumiał, co może nastąpić. Bóg uznał za stosowne zesłać na ziemię anioła śmierci, a masy, jak ludzie faraona w Egipcie, nie dostrzegły w tym ręki Boga. Gdy papież Klemens przemówił i oświadczył, że ludzie oskarżający Żydów ulegli kłamliwym podszeptom diabła, kto go posłuchał? Tłumy w Strasburgu spaliły tysiące Żydów, wbrew wyraźnym nakazom Kościoła i woli Boga. Słyszałem, że w tym szaleństwie



brali udział nawet niektórzy księża i biskupi. - Heinrich odwrócił się do Josefa. - Masz współczujące serce i wierzysz, że to dobrzy, niewinni ludzie. Musisz jednak pamiętać, że niektóre prawdy są zbyt trudne. Wszyscy jesteśmy naznaczeni grzechem, a gdy tłumom o słabym duchu przedstawi się coś naprawdę groźnego, nie będą myśleć rozsądnie. Będą działać.

- Sądysz, że te bestie wzbudzają równy strach jak plaga?

- Przypadkowa śmierć bez ostrzeżenia, która może w ukryciu chodzić między ludźmi? Może Polacy nie mają tu dość Żydów, których można by obarczyć winą, ale niewątpliwie jeśli ostrzeżemy masy zwykłych ludzi o zagrożeniu, wkrótce pojawią się tuziny trupów „wilczego miotu”. Mężczyzna, który nie dość dobrze się goli, trędowaty, taki, co samotnie żyje na wzgórzu i zbyt często wychodzi w nocy, ten, co rzadziej niż sąsiedzi chodzi na msze, taki, co raz przestraszył konia stajennego...

- Rozumiem.

- Pamiętaj, chronimy przed bestią nie tylko życie ludzi, ale też ich dusze.

- Kiedy więc wrócimy do tego zajęcia?

Heinrich zerknął nad ramieniem Josefa.

- Wracaj do łóżka i odzyskuj siły. Podejrzewam, że człowiek, który tu nadchodzi, może pomóc mi znaleźć odpowiedź.

## XIII

Po niemal godzinnych poszukiwaniach Telek znalazł brata Heinricha na dziedzińcu przy zewnętrznym murze, rozmawiającego z jednym z zakonników. Właśnie przyjechał z księciem, biskupem oraz ich świtami, które zapewne nadal usiłowały się jakoś ogarnąć przed wejściem do twierdzy. Księżę miał ze sobą dwudziestu ludzi, biskup kolejnych dziesięciu. Ponadto w podróży towarzyszyły im trzy wozy z zapasami, sprzętami i odzieżą.

Zapewne dopiero późnym popołudniem wszystkie konie znajdą miejsca w stajni, a wszyscy członkowie świty stosowne kwatery.

Jednak stryjowi bardzo zależało, by brat Heinrich pojawił się, gdy tylko biskup będzie gotów go przyjąć, a księżę również chciał z nim porozmawiać jak najszybciej. Odnalazłszy więc Heinricha, Telek zabrał go z powrotem do wielkiej sali, gdzie miał go przyjąć Siemowit III. Tłum już się zbierał, a Telek zostawił sprowadzonego mnicha z trójką ludzi biskupa.

Wypełniwszy ten obowiązek, udał się odszukać stryja. Jednak to stryj pierwszy go odnalazł, chwycił za rękę po wyjściu z sali i pociągnął do korytarza prowadzącego do kuchni.

- Stryju?

- Mam nadzieję, że twoja podróż przebiegła bez złych przygód... - powiedział Bolesław, prowadząc Teleka w głąb korytarza, z dala od masy ludzi zbierających się na powitanie księcia.

- Owszem - potwierdził. - Ale czemu prowadzisz mnie do kuchni?

- Ponieważ, bratanku, skradanie się i przebiegłość nie są twoimi mocnymi stronami.

- Co mówisz? - Minęli sklepione drzwi prowadzące do kuchni, skąd dobiegały zapachy palenisk, pieczonego mięsa i chleba, a tuzin służących i kuchcików pracował przy długich stołach, szykując wielką ucztę na powitanie księcia.

- Mam dla ciebie zadanie i lepiej byłoby, gdyby nie zobaczyli cię przy nim nasi niemieccy goście. - Zatrzymał się z Telekiem przed wąskimi, spiralnymi schodami. - Wybacz - powiedział - ale chyba powinienem najpierw zapytać cię o zgodę.

- Zrobię, czegokolwiek zażadasz... Wiesz o tym, stryju.

Bolesław klepnął go w plecy.

- Nie zaszkodzi zapytać. - Wskazał w górę schodów. Jeśli wejdiesz tymi schodami, trzecie drzwi otwierają się naprzeciw pierwszej komnaty gościnnej. Postaraj się, żeby nikt nie zobaczył, jak tam wchodzisz i wychodzisz.

- A co takiego mam zrobić w komnacie brata Heinricha?

- Wykorzystaj swoje wykształcenie. Jest tam księga, nie mszał to ani Biblia, jak sądzę, a chciałbym mieć jakieś pojęcie na temat jej treści.

- Chcesz, żebym ją zabrał?

Bolesław pokręcił głową.

- Mówiłem przecież o przebiegłości. Co nam przyjdzie z tego, że nikt cię nie zobaczy, jeśli domyśli się twojej obecności, gdy tylko zauważy brak księgi? Nie, wejdz tam, nie pozostawiając po sobie śladów, i przeczytaj z tej księgi najwięcej, ile zdołasz. Czy tego chcą, czy nie, audyencja u księcia i ucztą zajmą Niemcom czas na resztę dnia. Nawet jeśli nie starczy ci czasu na przeczytanie całości, powinieneś mieć dość czasu na zorientowaniu się w treści księgi.

- A jeśli nie znajdę tej księgi lub okaże się, że jest napisana w języku, którego nie rozumiem?

Bolesław wzruszył ramionami.

- Wtedy wymkniesz się stamtąd i wrócisz do sali. Jeśli cię zobaczą, będę wiedział, co się stało, i więcej nie będziemy o tym rozmawiać. - Zostawił Teleka przy schodach. - Muszę wrócić na salę przed rozpoczęciem audyencji, więc bierz się do dzieła.

Telek przyglądał się, jak stryj znika w korytarzu dla służby, zostawiając go samego. Westchnął i popatrzył w górę schodów. Zastanawiał się, jakie to podejrzenia opanowały tym razem wojewodę. A może z braku intryg i podstępów stryj za nimi zatęsknił? Jednak Telek był podwładnym wojewody Bolesława i skoro jego pan prosił go o sprawdzenie biblioteczki mnicha, niech tak będzie.

Wszedł na górę po schodach i otworzył drzwi naprzeciwko komnaty niemieckiego gościa. Korytarz był pusty.

Podszedł do drzwi i w duchu wyraził uznanie dla stryja za wybranie właściwej chwili na tego rodzaju przeszpiegi. W tym bowiem momencie wszyscy szlachetnie urodzeni zebrali się na audyencji u księcia, a służba była zajęta obsługą tego wydarzenia i przygotowaniami do wieczornej uczt. Jedynym potencjalnym problemem był fakt, że ktoś mógłby zauważyć nieobecność Teleka.

Z drugiej strony podejrzewał, że gdyby ktoś zapytał o to wojewodę, dowiedziałby się, że

bratanek wypełnia jakieś błahe poruczenie, które nie wzbudziłoby niczyjej ciekawości.

Wszedł do komnaty mnicha i zamknął za sobą drzwi.

\* \* \*

Księga nie była trudna do znalezienia. Leżała na pulpicie, owinięta w perłowobiałą tkaninę wyszywaną złotą nicią w splecione krzyże. Delikatnie rozłożył tkaninę i odsłonił księgę z kunsztownie zdobioną okładką. Herb zakonu krzyżackiego został wpleciony między odciski w brązowej skórze pędy winorośli i kwitnących kwiatów.

Pomimo podejrzeń stryja Telek sądził w pierwszej chwili, że jest to jakiś rodzaj modlitewnika. Pierwszych kilka stron, zapisanych starannym pismem, nie odwiodło go od tego przekonania. Napisane po łacinie psalmy nadawały księdze wygląd brewiarza.

Ostrożnie obracał kartki, nie spodziewając się znaleźć nic więcej, jednak po kilku stronach się zatrzymał.

Tekst się zmienił - nadal spisany był po łacinie, ale inną, wprawniejszą ręką. Poszczególne strony też wyglądały inaczej; były gęsto zapisane, z wąskim marginesem świadczącym o wycięciu z jakiejś innej księgi i wprawieniu do tej właśnie. Naprzeciw nowego tekstu umieszczono miniaturę przedstawiającą mnicha przy pulpicie do pisania, ubranego w szaty z czarnym krzyżem zakonu. U stóp mężczyzny leżał miecz owinięty skórą jakiegoś zwierzęcia.

Zaczął czytać słowa napisane na karcie naprzeciw wizerunku uczonego mnicha:

*Oto obserwacje brata Semyona, rycerza Świętego Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, spisane na rozkaz jego świątobliwości, papieża Grzegorza LX roku Pańskiego tysiąc dwieście trzydziestego pierwszego w celu oświecenia natury tych stworów odkrytych przed dekadą w pogańskiej dzicy Burzenlandu<sup>2</sup>, na południe od Gór Karpackich.*

Telek uniósł brwi i głębiej wczytał się w łaciński tekst. Miał problem z jego zrozumieniem, ponieważ nie były to znajome biblijne wersy, a słowa zapisano gęstym pismem.

Wiedział jednak, że nie był to typowy brewiarz. Czytał kopię raportu przygotowanego przez zakon krzyżacki dla papieża ponad sto lat temu, zanim Niemcy spacyfikowali pogańskie tereny należące teraz do państwa zakonnego w Prusach. Jak zwykle przeczucie stryja okazała się uzasadnione.

---

<sup>2</sup> Obecnie południowo-wschodni Siedmiogród (okolice Braszowa, Rumunia). W 1211 roku król węgierski Andrzej II sprowadził tu Krzyżaków, lecz już w 1225 roku usunął ich siłą.

Odwrócił stronę i wciągnął powietrze na widok potwornej ilustracji. Zobaczył przed sobą potężnego demona z wilczą paszczą. Stał wyprostowany na wilczych nogach zakończonych potężnymi pazurami, a pokrywało go gęste brązowe futro. Miał długie ręce i częściowo ludzkie dłonie o długich szponach, z których jedna trzymała oderwaną ludzką nogę. Demon stał przed ciemną jaskinią, obok widniała wysoka sterta ludzkich kości.

*Bestie te, nazwane przeze mnie wilczym miotem, w celu odróżnienia od zwykłych wilków, których część aspektu przybierają, mają kilka szczególnych przypadłości, odróżniających je od innych stworzeń. Istotne jest, by zacząć od ustalenia, z której sfery boskiego stworzenia pochodzą. Choć niewątpliwie są groźne, kilka cech wyraźnie wskazuje, że składają się z ziemskiej materii. Po pierwsze, świadczy o tym śmiertelność tych bestii. Rodzą się, starzeją i umierają, po czym ich ciała rozkładają się jak ciała każdej ziemskiej istoty, zarówno człowieka, jak zwierzęcia.*

*Podobnie można wykazać, że pomimo występowania pozornie ludzkich cech, bestie te nie są opętanymi ludźmi, jak mogą sugerować niektórzy. Obrzędy egzorcyzmów nie mają żadnej władzy nad nimi ani nad ich przemianami, nie odkryto też, by któreś z nich urodziło się z innej matki niż należącej do tego samego rodzaju.*

Telek wpatrywał się w tekst. Słyszał czasem opowieści wędrowców o różnych dziwnych ludziach i zwierzętach. Ludzie z ustami na brzuchu lub skórą czarną jak smoła, konie z rogami rosnącymi z nosów... Olbrzymy. Karły... Czasem nawet zdarzało mu się słyszeć historie o ludziach, którzy w każdej chwili mogli zmieniać się w zwierzęta.

Oczywiście większość takich opowieści snuta była przez jakiegoś mądrą, który słyszał ją od kogoś, kto zasłyszał ją od kogoś innego, kto może kiedyś spotkał kogoś, kto znał kogoś, kto naprawdę widział takie dziwo... W sprawie istot wędrujących po świecie Telek bardziej ufał własnym oczom i uszom niż tego rodzaju historiom. Zbyt wielu w swoim życiu poznał pijaków.

Jednak ta opowieść była zdecydowanie odmienna i to nie tylko dlatego, że zapisał ją w księdze rycerz i mnich, który nie powinien interesować się bajdami wędrowców. W słowach brata Semyona było coś... a raczej nie było tam niczego, co można by nazwać zachwytem lub pasją do opowieści. Pomimo żywego stylu relacja Semyona równie dobrze mogłaby opisywać procedurę warzenia sera.

Telek przeszedł na następną stronę, gdzie zobaczył jeszcze bardziej niepokojącą ilustrację, z podobną scenerią i identyczną jaskinią. Jednak tym razem zamiast potwora z brązowym futrem w podobnej pozycji stał nagi człowiek, wciąż trzymając oderwaną ludzką nogę. Na białych policzkach człowieka widniała szkarłatna krew.

*Postępujemy teraz pewni wiedzy, że stwory te są naturalnie zrodzonymi dziełami bożego stworzenia. Są to zwierzęta jak wszystkie inne, tyle że potrafiące wedle woli udawać człowieka. Podobnie jak inne zwierzęta, są śmiertelnie groźne dla ludzi, gdy dzikie i niewytresowane.*

Telek ponownie zaczął się zastanawiać, co właściwie zaatakowało Niemców. Polegli i ranni mieli na sobie ślady zębów i szponów jakiegoś potężnego zwierzęcia. Czy wilczy miot z zapisków brata Semyona był tym samym drapieżnikiem, z którym zakon walczył i ścierał się na ziemiach Mazowsza?

W jego myślach nieprzyjemnie zabrzmiały słowa „dzikie i niewytresowane”.

Przechodzimy więc teraz do opisanie szczególnych cech tego stworzenia, odróżniających je od wilka i człowieka.

*Po pierwsze, we wszystkich swoich formach charakteryzuje się niezwykłą siłą i wytrzymałością. Nawet gdy przybiera wygląd nieuzbrojonego ludzkiego dziecka, bestia ta może pokonać w pełni uzbrojonego wojownika. Biegają szybciej niż pomniejszych zwierzęta, a zdolność do skoków przewyższa wszystkie znane mi stwory.*

*Zwierzęta te również leczą się wyjątkowo szybko ze wszelkich cięć, zmiżdżeń i oparzeń. Proste rozcięcia ciała goją się w ciągu sekund, rany miażdżone i obrażenia z ognia wymagają tylko nieco więcej czasu. Taka bestia może utracić kończynę, a ta odrośnie w czasie mniejszym niż godzina.*

*Oczywiście najbardziej wyróżniającą wilczy miot cechą i źródłem ich użyteczności jest ich zdolność do zmiany zewnętrznej postaci wedle woli, od ludzkiej do wilczej i na odwrót.*

- „I źródłem ich użyteczności?” - Telek powtórzył łaciński tekst, niepewny, czy właściwie go zrozumiał. *Użyteczności do czego?* Obok akapitu umieszczono dodatkową uwagę zapisaną inną ręką. Uwagę było trudno odczytać, ponieważ skreślił ją ktoś mający mniej wprawy, a tekst był niemiecki. Telek przetłumaczył słowa, na ile potrafił, i otrzymał następującą notatkę: *Według brata Gregora wilczy miot Semyona może również przybierać postać prawdziwego wilka, ukrywając się w dziczy...*

Obracał strony, przyswajając sobie tekst najszybciej, jak potrafił, nie tracąc jego sensu. Brat Semyon tak szczegółowo i wyczerpująco opisywał zdolności „wilczego miotu”. Telek musiał przyjąć, że mnich osobiście znał te stworzenia.

Niektóre akapity napisano tak, jakby sam Semyon przeprowadzał stosowne próby, na przykład łamiąc nogi stwora, by sprawdzić, jak szybko i jak dobrze kości zrosną się z powrotem. Gdy zaś opisywał rozcinanie ciała, kładł nieprzyjemny nacisk na obcinanie męskiego napletka i rozrywanie błony dziewiczej.

Także ilustracje stawały się coraz bardziej krwawe i obrazowe, zwłaszcza gdy autor doszedł do wyliczenia słabości owych bestii. *Nadnaturalna moc leczenia się tych stworów ma ściśle określone granice, pisał brat Semyon. Jeśli dojdzie do zniszczenia mózgu lub serca bądź oderwania ich łączności z ciałem, rany takie będą dla nich śmiertelne.* Miniatura przedstawiała dekapitację wilczego stwora, z zakrwawioną wilczą głową spoczywającą na kolanach. Obok znajdował się jeszcze bardziej niepokojący obrazek, przedstawiający nagie ciało kobiety z dziurą wyciętą między piersiami.

Inne słabości zilustrowano podobnie groteskowymi miniaturami. Wilczy miot wymagał powietrza, stwory można więc było utopić. Spalały się również na śmierć, jeśli trzymano je w dostatecznie wielkim ogniu, który mógł strawić ich ciało szybciej, niż organizm potrafił się odnawiać. Najważniejsza jednak była ich wrażliwość na srebro.

Srebrne łańcuchy nie tylko mogły uwięzić te stwory, ale też kontakt z metalem powstrzymywał ich zdolność przemiany oraz spowalniał samo leczenie, tak że przebiegało ono podobnie jak u zwykłego zwierzęcia. Wszelkie rany zadane im srebrnymi ostrzami goiły się nie szybciej niż rany zadane wszelkim innym stworzeniom.

Po przeczytaniu tekstu Telek nie miał wątpliwości, co zaatakowało Niemców. Ich rany były dziełem dużego drapieżnika, a na dodatek mieli przy sobie srebrną broń. Ilość cennego metalu przy ich pasach była niezwykła jak na ludzi, którzy składali śluby ubóstwa.

Telek przeklął ich arogancję. Jak to możliwe, by prawdziwy chrześcijanin przepędził coś takiego na cudze ziemie, a potem odmówił wyjawienia tego faktu?

Co oni ukrywali?

\* \* \*

Telek opuścił komnatę zajmowaną przez brata Heinricha późnym popołudniem. Ponieważ od prywatnych komnat stryja dzielił go tylko korytarz, udał się tam, by niewidziany przez nikogo, poczekać na przybycie wojewody Bolesława. Usiadł na krześle, złożył ręce i zapadł w płytki, niespokojny sen.

Stryj przyszedł jakiś czas po zachodzie słońca i wyrwał go z koszmaru pełnego piekielnych wilków.

- Tak więc mój bratanek spędził wieczór na lenistwie, zamiast zabawiać moich gości? - W jego głosie brzmiało rozbawienie, ale zabarwione czymś mroczniejszym.

Telek przeciągnął się, aż strzeliły mu stawy.

- Nie chciałem, drogi stryju, pojawić się przed twoimi gośćmi i być może zadać kłam przedstawionemu przez ciebie wyjaśnieniu mojej nieobecności.

- Bardzo słusznie, mój chłopcze. - Bolesław podszedł do krzesła stojącego naprzeciw siedziska zajmowanego przez Teleka i opadł na nie ze stęknieniem. Potrząsnął głową i skierował w stronę bratanka trzymany w dłoni zwój pergaminu. - No dobrze... dowiedziałeś się czegoś przydatnego, czy po prostu skorzystałeś z okazji, by przespać audiencję księcia?

Telek nachylił się do przodu i kiwnął głową.

- Dowiedziałem się, na co polują.

- Ach tak! - Uśmiech wuja był szerszy niż zwykle, odsłaniał szpary w pokiereszowanej szczęce. - Powiedz mi w takim razie, co wiesz, a zobaczymy, jak bardzo twoja wiedza zgadza się z opowieścią, którą nasi goście uraczyli biskupa.

- To trochę niezwykle.

- Mów. Po tym wieczorze nie oczekuję niczego innego.

- No cóż, z tego, co przeczytałem, wynika, że od ponad wieku w zakonie istnieje grupa, którą zwań wolfjegrami...

Telek opowiedział stryjowi o stworzeniach z wilczego miotu brata Semyona, relacjonując wycytane informacje o silnych i słabych stronach owych bestii. Gdy już przedstawił pełny opis, wuj prychnął i zerknął na trzymany w dłoni pergamin.

- Przedstawiłeś mi znacznie więcej szczegółów niż oni. - Podał pergamin Telekowi, który natychmiast zauważył znajdującą się na nim pieczęć papieską.

- Brat Heinrich był łaskaw pożyczyć mi ten glejt, gdy zachęcił go do tego biskup - wyjaśnił Bolesław.

Telek przeczytał dokument. Papież udzielał w nim wolfjegrom z zakonu krzyżackiego upoważnienia do podróżowania bez żadnych przeszkód po wszystkich ziemiach chrześcijańskich w pogoni za sługami diabła.

- Słudzy diabła? - zapytał Telek, opuszczając pergamin. - Czy to nie zbyt naciągany pretekst do inwazji na Mazowsze?

- Myślę, że brat Heinrich to rozumie i dlatego tak niechętnie odnosił się do ujawnienia dokumentu. Najwyraźniej zobowiązani są zachować tajemnicę w sprawie rzeczywistej natury demonicznych sił, na które polują, ale wolno im rozmawiać na ten temat z wysokimi dostojnikami Kościoła. - Nachylił się i zabrał pergamin. - Oczywiście zapytałem o to po audiencji komtura u biskupa Leszka. Jednak biskup też nie chciał zdradzać szczegółów tej sprawy. Powiedział mi tylko, że chodzi o „podobnego do wilka demona, który wdarł się na te ziemie”.

- Rozumiem. Czy księciu wystarczyła taka odpowiedź?

- Wychodząc, zostawiłem biskupa konferującego z księciem, który oczywiście ma w tej



sprawie ostateczne słowo.

- Oczywiście.

- Podejrzewam, że ze względu na delikatną sytuację dyplomatyczną może pozwolić ludziom zakonu na więcej swobody. Jednak moje długie doświadczenie w konfliktach z zakonem skłania mnie do podejrzliwości. - Stryj Teleka na chwilę pogrążył się w myślach. - Muszę przyznać, że twoja relacja zdaje się potwierdzać ich wersję. Rzeczywiście, szukają czegoś bardzo złego. Szare brwi Bolesława zetknęły się nad jego nosem, zmrużył oczy. - Jednak z twojej twarzy odgaduję, że kryje się w tym coś więcej.

- Opieram swoje podejrzenia, stryju, na pośpiesznej lekturze jednej księgi. Wierzę jednak, że zakon może ścigać demona, którego sam stworzył.

Bolesław prychnął.

- Chcesz powiedzieć, że słudzy Boga sprzymierzyli się z szatanem? Nie kocham tych mnichów, ale nawet ja nie dam się łatwo przekonać, że paktują z diabłem.

- Wcale tego nie mówię.

- Właśnie powiedziałeś, że ci mnisi stworzyli owego wilczego demona, na którego polują.

- Podobnie można powiedzieć, że księstwo mazowieckie odpowiedzialne jest za powstanie państwa zakonnego, które tak nam teraz przeszkadza.

Wojewoda odchylił się na oparcie krzesła i przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Telek prawie widział odbijające się na twarzy stryja następstwa jego oświadczenia.

- Chcesz powiedzieć, że oni to coś sami nieumyślnie uwolnili?

- Raczej była to próba wykorzystania czegoś, czego nie potrafili kontrolować - uściślił Telek. - Tekst zawiera wiedzę, która z konieczności musiała pochodzić z bezpośrednich kontaktów z wieloma takimi twórcami. Jest tam mowa o sposobach szkolenia tych stworów, stryju. Jak psa albo bojowego rumaka.

- Skazaliby się na potępienie przez korzystanie z diabelskich sił?

- Według brata Semyona, który napisał ten traktat, owe istoty nie są demonicznej natury, w każdym razie nie bardziej niż wszelkie inne ziemskie zwierzęta. I jeśli wierzyć jego słowom, do tej interpretacji przychylił się papież.

Bolesław podniósł trzymany w ręku pergamin.

- Papież nie wydaje się już tak sądzić.

- W księdze jest wyraźna przerwa między zapiskami brata Semyona i innego skryby, który się nie podpisał. Później nie pojawiają się już wzmianki o bracie Semyonie ani o tym, co zrobił w celu zdobycia swojej wiedzy o wilczym miocie. Jednakże obserwacje skryby zaprzeczają pierwotnej interpretacji brata Semyona. W ostatniej części księgi wilczy miot jest

wyraźnie opisywany jako dzieło szatana.

- Możliwe więc, że brat Semyon się mylił...

- Czy, słysząc o tej zmianie w interpretacji, naprawdę wysnuwasz taki wniosek, stryju?

Bolesław westchnął.

- Masz rację, wcale nie. Może i mam problemy z uwierzeniem, że zakon krzyżacki para się czarnymi sztukami, ale bez problemu uwierzę, że ukryli kłopotliwy błąd pod osłoną diabolizmu.

- Co powinniśmy uczynić?

Bolesław się roześmiał.

- Sztuka przewodzenia, bratanku, polega w części na tym, by wiedzieć, kiedy nie należy nic robić.

- Powinniśmy poinformować o tym księcia...

- A po co? Mogę służyć mojemu suwerenowi, ale ta wiedza - zdobyta tak wątpliwym sposobem - nie przyda mu się na wiele. To jego ziemie i zakon nie będzie chciał prowokować go bardziej, niż robił to dotychczas. Książę ma całą władzę, jakiej potrzebuje, niezależnie od papieskiego glejtu.

- Ale czemu zachować to w tajemnicy?

- Ponieważ zakon znalazł się również na mojej ziemi i może przyjść czas, gdy będą nam potrzebne argumenty silniejsze od groźby wspierającego nas księcia.

## XIV

Po odpracowaniu swoich obowiązków podczas uczyty dla księcia Maria później niż zwykle przysłała do pokoju Josefa. Zaraz po wejściu zauważyła, że jego ubranie zostało zdjęte z żerdki, a potem rzucone niedbale na bok. Josef leżał w łóżku, zaczerwieniony i spocony.

- Wyszedłeś z łóżka...

Josef obrócił głowę, jakby dopiero teraz zauważył jej przybycie.

- Musiałem porozmawiać z moim komturem. Poszedłem na krótki spacer.

- Nie wyzdrowiałeś dostatecznie, by robić takie rzeczy. - Podeszła do łóżka i odstawiła tacę z kolacją; były to resztki z książęcej uczyty. Odsunęła jego pościel i podciągnęła koszulę nocną, by zobaczyć ranę. Josef prawie się nie opierał. Chwyił ją za rękę, ale bez przekonania.

- Nic mi nie jest - zapewnił. - Po prostu się zmęczyłem.

- Dziwię się, że nie rozerwałeś sobie znowu rany - stwierdziła po zdjęciu opatrunku. Nie chciała tego przyznawać, ale faktycznie wracał do zdrowia znacznie szybciej, niż się spodziewała. Blizna była zaczerwieniona, ale nie doszło do jej otwarcia ani do jakichś wybroczyn.

- Widzisz? - powiedział. Odchylił się i skierował spojrzenie za okno, a ona założyła mu na ranę czysty opatrunek.

- Musisz bardziej na siebie uważać - zwróciła się do niego, kładąc mu dłoń na piersi. Pod palcami poczuła bicie jego serca - silne, ale zbyt szybkie. Schyliła się, by spojrzeć mu w twarz. - Nie chcę, żebyś zrobił sobie krzywdę.

- Jest już późno - odpowiedział, kładąc swoją dłoń na jej dłoni. - Przyszłaś później niż zwykle.

Zaczerwieniła się od jego dotyku.

- Wizyta księcia oznacza mnóstwo dodatkowej pracy dla wszystkich.

- Brakowało mi twojego towarzystwa.

Ścisnął jej dłoń, a ona poczuła, jak jej serce przyspiesza, bijąc niemal równie szybko, jak

jego. Nagle jego skóra zrobiła się bardzo ciepła i raczej nie wynikało to z gorączki ani wyczerpania.

- Ale musisz iść - puścił jej dłoń. - I to już.

Cofnęła się, odbierając jego słowa jak uderzenie w policzek.

- Co takiego?

- Proszę, idź już. - Usiadł, choć wyraźnie widziała towarzyszący temu ból. - Idź do domu, zanim zajdzie słońce. I błagam, nie chodź przez las po zmierzchu. Nie pytaj mnie, proszę, dlaczego.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała, widząc w jego oczach ból i strach.

- To dobrze.

- Josefie?

- Proszę, idź. Nie masz tu już nic ważnego do zrobienia.

Siła jego słów i wyraz twarzy podziały na nią odpychająco.

- Jak sobie życzysz - powiedziała, wycofując się z pokoju.

Wychodząc, zastanawiała się, czy w jakiś sposób dowiedział się o Darieniu.

\* \* \*

Mimo wszystko nie miała wielkich szans na opuszczenie grodu przed zachodem słońca. Gdy przyniosła Josefowi posiłek, uczta wciąż trwała. Nie mogła wyjść, zanim ucztujący uznają, że wieczór dobiegł końca. Kiedy więc opuszczała Narew, słońce dawno schowało się już za horyzontem.

Wolna od pochłaniającej ją pracy, myślami wróciła do swojej twarzy. Wychodząc, przeszła przez jedną z sal, w której na ścianach zawieszono herby wielu sprzymierzonych rodów: były tam potrójny krzyż Bojczy, strzała z dwoma grotami Bogoryi, podkowa z krzyżami Dąbrowy, rozwidlony krzyż Kostrowca.

Zatrzymała się jednak nie przed zbiorem wyszukanych symboli licznych rodów sprzymierzonych z wojewodą Bolesławem, lecz przed bronią zawieszoną między malowanymi tarczami i sztandarami. Przed odwieszeniem na czas pokoju klingi broni wypolerowano, mogła więc obejrzeć swoje odbicie w żeleźcu topora.

Nie zobaczyła ani śladu po opuchliznie czy siniaku.

To nie miało sensu. Jeszcze wczoraj oko miała zasiniąte, a policzek spuchnięty od uderzenia zadanego jej przez Łukasza. Nic dziwnego, że Josef się zdziwił. Może jednak myliła się co do ciężkości swoich obrażeń, skoro teraz wyraźnie się zagoiły.

Wychodząc z grodu, musiała się powstrzymać przed pocieraniem policzka, co jeszcze

bardziej zwróciłoby uwagę na nagłe zagojenie się jej twarzy.

Noc na zewnątrz była ciemna, bez gwiazd i księżyca. Gęste chmury srebrzyły się matowo, nadając nieziemski wygląd wszystkiemu, co pozostawało poza zasięgiem światła latarni. Podeszła do skraju lasu, myśląc o Josefie. Jego przestrogi ją przestraszyły, ale inna jej część ucieszyła się z jego troski. Od tak dawna była tylko obciążeniem dla innych, bez znaczenia i niegodnym uwagi, że samo zainteresowanie jej dobrem ze strony kogoś, kto nie miał żadnych zobowiązań wobec niej, było bardzo miłe.

*Gdyby tylko...*

Jednak choć pod palcami wciąż czuła uderzenia serca Josefa, nie dokończyła tej myśli, bo nie doprowadziłaby jej do niczego dobrego.

Gdy jakiś mężczyzna wreszcie ją posiadzie, nie będzie to nikt młody, przystojny ani szlachetnie urodzony. Wyjdzie za starego wdowca szukającego kogoś, kto zaopiekuje się jego dziećmi i domostwem. Najlepsze, na co mogła liczyć, to odrobina dobroci.

Wędrowała ścieżką do domu w nastroju mroczniejszym od otaczającego ją lasu. Takie czekało ją życie? Czy to naprawdę wszystko, na co mogła liczyć? Nagroda w niebie? A co czeka ją wcześniej?

Może powinna pójść za przykładem Josefa i wstąpić do zakonu?

Była w tak ponurym nastroju, że wcale nie poczuła się zaskoczona, gdy pojawił się przed nią Darien.

Czemu mnie prześladujesz? - pomyślała, widząc jego szczupłą, muskularną sylwetkę wyłaniającą się z lasu. Zatrzymała się i stanęli naprzeciw siebie, w odległości kilku kroków. Przez kilka chwil jedynym słyszonym przez nią dźwiękiem był szelest liści szarpanych przez wiatr.

*Wokół niego las zawsze robi się cichy.*

- Tak więc go zdjęłaś, prawda? - odezwał się w końcu.

Wciągnęła powietrze, po czym położyła dłoń na sercu, chwytając krzyżyk i przecząco kręcąc głową.

- Nie, wcale nie. - *Wciąż mam go na sobie. Nadal mnie chroni...*

- Kłamstwa do ciebie nie pasują - stwierdził. - Ślady na twojej twarzy zniknęły.

Dotknęła policzka w miejscu, gdzie uderzył ją Łukasz.

- Rozumiesz wreszcie? - zapytał.

- Co mam niby rozumieć? Mówisz do mnie zagadkami, które nie mają sensu!

Zrobił krok do przodu, a jego uśmiech ujawnił się w świetle latarni.

- Mówiłem ci, Mario. Noszony przez ciebie łańcuch pełni rolę kajdan. Ściągając go

choćby na chwilę, stajesz się czymś znacznie więcej, niż myślisz.

- Co masz na myśli? Czemu zniknął mój siniak?

- Dlatego, że przynajmniej na chwilę zdecydowałaś się być tym, czym jesteś naprawdę. To znaczy, że wystarczy, abyś odrzuciła swoje łańcuchy, a staniesz się tak wolna jak ja. To znaczy, że jesteśmy sobie przeznaczeni, piękna Mario. - Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej policzka. Dotyk jego dłoni wywołał dreszcz w jej ciele. Patrząc jej w oczy, powiedział: - Szukałem cię bardzo, bardzo długo.

Wciągnęła powietrze i wyszeptała:

- Jesteś diabłem? - Sama nie wiedziała, czy przejęłaby się teraz, gdyby to potwierdził.

Darien roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie mam nic wspólnego z Bogiem ani diabłem, ani z niczym takim ze świata ludzi.

Przesunął dłoń do tyłu, głaszcząc podstawę jej karku i wzbudzając dreszcze w całym jej ciele. Wciągała jego zapach i czuła, jak mięśnie jej nóg miękły niczym wosk na słońcu. Jego twarz znalazła się tak blisko, że gdy mówił, czuła jego oddech na wargach.

- Musisz wiedzieć, o ile jesteś od nich lepsza. Jesteś silniejsza i szybsza. Możesz wytrzymać znacznie więcej niż oni, nawet nosząc na sobie ich kajdany. Musisz wiedzieć, jaka jesteś piękna.

Kłamiesz, pomyślała. Ale to takie słodkie kłamstwa.

Objął ją drugą ręką, łagodnie przyciągając do siebie. Puściła krzyżyk i dotknęła jego piersi. Miał na sobie luźną, otwartą z przodu koszulę, więc jej dłoń wsunęła się i dotknęła jego skóry. Poczowała krótkie włoski i ciepło, które prawie parzyło. Poczowała, jak oddycha.

A potem przypomniała sobie dotyk skóry Josefa pod palcami i to, jak oddychał pod jej dłonią. I poczuła się, jakby właśnie go zdradzała.

Jednak zanim zdążyła się odsunąć, wargi Dariena dotknęły jej ust.

Towarzyszące temu uczucie sprawiło, że zapomniała o wszelkich zastrzeżeniach. Jeśli potrafił sprawić, by czuła się w taki sposób, nie miało znaczenia, kim był ani skąd się wziął. Przez krótką, pełną ekstazy chwilę smakowała go, prawie stając się jego częścią. Zatraciła się w jego zapachu, dotyku, pragnieniu.

Potem ją puścił i cofnął się o kilka kroków, śmiejąc się pod nosem. Puls Marii walił jak oszalały, a oddech uwiązał jej w gardle. *Dlaczego on przestał...*

Nie. Zobaczyła, że coś zwisa z dłoni Dariena i gwałtownie podniosła rękę do szyi.

- Oddaj to! - Postąpiła do przodu i sięgnęła do swojego krzyża, ale Darien odskoczył jak dziecko kuszące głodnego kota.

- Ty parszywy kundlu, jesteś tylko zwykłym złodziejem!

Darien znów się cofnął, unikając jej rąk.

- Och, wcale nie jestem złodziejem. Chętnie ci to oddam.

- W takim razie proszę, oddaj go. - Maria wyciągnęła rękę, zaskoczona lodem w swoim głosie i władczym tonem.

Darien pokręcił głową.

- To moja gra. Jeśli chcesz go odzyskać, musisz mnie dogonić. - Odparł, a potem odwrócił się i pobiegł ścieżką, uciekając przed nią.

Maria pognała za nim, czując puls walący w skroniach. Kotłowała się w niej mieszanka zawstydenia, pogardy do samej siebie i rosnącej złości. Jak okrutny i bezmyślny może być mężczyzna, który przychodzi do niej w chwili, gdy tęskni za kimś, kto będzie się o nią troszczył, a potem czyni swoim łupem najcenniejszą rzecz, jaką posiadała?

Wiedział, co znaczy dla niej ten krzyż. Jak mógł jej zrobić coś takiego?

Złość dudniła w rytmie pulsu, popychając nogi do szybszego biegu. Ledwie zauważyła, gdy zgasło stłumione pędem powietrza światło latarni. Darien dotarł do prostego odcinka ścieżki, stając się niemal rozmazany cieniem na tle srebrzyście oświetlonego mroku.

- Stój! - krzyknęła w stronę oddalającego się cienia. Darien jej nie posłuchał, z irytującym wdziękiem znikając w lesie.

Nie zamierzała puścić mu tego płazem. Nie mogła. Nie pozwoli na odebranie sobie krzyża po ojcu.

Jej płuca pracowały jak miechy, gdy pognała za nim w głąb lasu. Chwyciła gałąź powalonego drzewa i przeskoczyła nad pniem, nie dbając o upuszczoną latarnię ani o rozdarcie sukni. Całą uwagę skupiła na uciekającej postaci Dariena, będącej teraz ledwie czarniejszym cieniem w mroku przed nią. Nie widziała go wyraźnie, ale wciąż słyszała jego bieg przez las: szelest zgniatanych liści, trzask łamanych gałęzi i roztrącanych krzewów.

Co więcej, czuła jego woń. W powietrzu wisiał oszałamiający, ziemny zapach mężczyzny, zmieniający jej wnętrzości w galaretę, znaczący ślad wyraźniej niż wszelkie dźwięki czy tropy.

Wyteżała siły, pędząc za nim aż do bólu. Poza ból. Teraz piekły ją nie tylko mięśnie, ale i skóra, jakby biegła przez ogień piekielny. Ból sięgał do jej wnętrza, aż stał się czymś innym - pulsującą ulgą, która nagle pchnęła ją do przodu, z ciałem drżącym z furii, z uwagą całkowicie skupioną na obiekcie jej złości.

Przez jakiś czas czuła się tak, jakby myśląca część jej umysłu wyłączyła się, oddając całą władzę szalejącej w niej furii. Poczwała, jak rozrywają się szwy jej ubrania, ale zareagowała na to jedynie odrzuceniem sukni na bok, by nie kępowała jej ruchów.

Jego woń zrobiła się ostrzejsza, bliższa - i warknęła, nie myśląc o tym, jak nieludzko zabrzmiał ten dźwięk.

Doganiała go, zmniejszając odległość w miarę, jak wydłużały się jej kroki. Język zwisał jej z ust i zaczęła podierać się o ziemię szponiastymi dłońmi, coraz szybciej przemykając przez las.

Nagle znalazł się tuż przed nią.

- Darien! - wrzasnęła głosem brzmiącym jak warknięcie - i rzuciła się na niego. Próbował uskoczyć, ale nie zamierzała pozwolić mu na ucieczkę. Zamachnęła się na niego, przemykając obok. Trafiała go w plecy i upadł na ziemię, powalony siłą uderzenia.

Poczuła, jak jej szpony wbijają się w jego ciało, i nagle powietrze wypełnił zapach krwi.

Szpony.

Krew.

Padła na ziemię, turlając się między poszyciem. Nagle zniknęła gdzieś odczuwana dotąd furia.

Szpony.

Krew.

Maria przełknęła ślinę, podnosząc się spomiędzy opadłych liści i leśnej ściółki. Dyszała, potrząsając głową, próbując zaprzeczyć temu, co czuła. Temu, co widziała. Jej dłonie nie były już jej dłońmi. Były łapami jakiegoś demona - szponiastymi, pokrytymi czarnym futrem, dwukrotnie większymi niż jej dłonie.

I choć nie należały do niej, reagowały, jakby były częścią jej ciała.

- Nie - wyszeptała ze wzrokiem rozmytym łzami strachu i złości. Kiedy się odezwała, jej język wyczuł zbyt długie usta, za ostre zęby i zbyt wąskie wargi. Całe jej ciało sprawiało wrażenie, jakby miało zaraz eksplodować, każdy mięsień wibrował z wysiłku pozostawania w bezruchu.

To diabeł, pomyślała, i właśnie mnie porwał.

- Wygrałaś.

Słyszając jego głos, obróciła głowę, kłapiąc paszczą. Zobaczyła go wyraźnie w srebrnoszarym świetle, trzymającego przed sobą jej krzyż.

- Możesz go wziąć, jeśli nadal go chcesz...

Ryknęła i skoczyła na niego.

- Co ze mną zrobiłeś? - Tym razem zdołał uskoczyć w bok z chyżością, której wcześniej nie okazał.

- Uwolniłem cię! - zawołał. - Uwolniłem cię i jesteś wspaniała!



Odwróciła się, ale go nie zobaczyła.

- Nie ukrywaj się przede mną!

Jego zapach otaczał ją teraz ze wszystkich stron, podobnie jak szelest w leśnym poszyciu. Poruszał się szybciej, niż mogły go zlokalizować nawet jej demoniczne zmysły. Miała wrażenie, jakby znajdował się ze wszystkich stron jednocześnie. Wciąż się obracała, próbując odkryć, gdzie się chowa pośród cieni.

- Nie będę się przed tobą ukrywał, Mario. - Głos zabrzmiał za jej plecami, odwróciła się więc w jego stronę. - Ale nie chcę stawać przed tobą w gniewie... - usłyszała znów za plecami, tym razem gdzieś dalej.

Odwróciła się, wrzeszcząc coś, co było na wpół słowami, na wpół wilczym wyciem:

- Chodź tu!

- Wróć do lasu ze spokojnym sercem, a pokażę ci rzeczy, których nigdy sobie nie wyobrażałaś. - Jego głos dochodził teraz z większej odległości.

Spokojne serce? *Oszalałaś?* Uderzyła w cień. To nie był Darien, ale i tak go zaatakowała. Gdy opadła mgła złości, stwierdziła, że stoi przed młodym drzewem, którego pień, grubości jej uda, jest poszarpany i krwawi żywicą.

*Czy ty wiesz, czym jesteś, Mario?*

- Darien! - krzyknęła w noc.

Nie odpowiedział.

Spuściła wzrok na swoje ręce.

Do futra na wierzchu dłoni przykleiły się drzazgi i kawałki kory, a gdy je obróciła, zobaczyła na swoich palcach poduszcзки jak u psa lub wilka. Odruchowo oblizała wargi i poczuła nos na końcu długiego, szpiczastego pyska. Podniosła ręce do twarzy.

To nie jest prawda. To jakiś koszmarny sen.

Odwróciła się od drzewa i spróbowała zrobić krok, ale teraz, gdy minęła furia, nagle dotarło do niej, jakie zmiany nastąpiły w nogach. Potknęła się i przewróciła.

Z płaczem zwinęła się w kłębek na trawie.

- Czym ja jestem? - załkała.

Nikt nie odpowiedział.

## XV

Po jakimś czasie, spędzonym na modlitwie do Boga, by oddał jej ciało, zaczęła czuć swędzenie. Potarła ramiona i uświadomiła sobie, że palce dotknęły nagiej skóry. Usiadła, obejmując się i zdając sobie sprawę, że jej modły zostały wysłuchane. Nagle ponownie znalazła się we własnej skórze. Podobnie jak w przypadku poprzedniej przemiany, była zbyt pochłonięta swoimi emocjami, by zauważyć, kiedy do tego doszło.

To sen - pomyślała. To wszystko było tylko jakąś koszmarną fantazją.

Jednak kiedy się obejrzała, okaleczone drzewo wciąż krwawiło żywicą z pokiereszowanego pnia. A pod paznokciami miała kawałki kory i drzazg.

Siedziała naga na ziemi pośrodku lasu.

- To nie był sen - wyszeptała, zginając swoje ludzkie palce.

Wstała, otrzepując ze skóry gałązki i liście. Kilka kroków dalej zobaczyła porzucony przez Dariena krzyżyk. *Jeśli nadal go chcesz* - powiedział.

Podniosła go.

Czy tylko on nie pozwalał, by już wcześniej przydarzył się jej ten koszmar?

Ta wilcza istota, którą się stała... czy to był właśnie diabeł, przed którym ostrzegał ją ojciec? Czy ona jest diabłem?

*To coś chroni ich, nie ciebie.* W jej głowie zabrzmiały niechcianym echem słowa Dariena.

Jej ręce drżały, gdy zakładała sobie krzyżyk na szyję. Stała pośrodku lasu, naga i samotna, wpatrując się w mały skrawek srebrzystej chmury przeświecającej między gałęziami drzew.

- Co mam zrobić? - Słowa te były ledwie słyszalnym szeptem, ale jej całe ciało zatrzęsło się od cierpienia zawartego w pytaniu. - Boże, proszę, pomóż... Co ja mam teraz zrobić?

Wyobrazila sobie Dariena śmiejącego się gdzieś daleko w lesie.

\* \* \*

Bardzo długo opierała się przed powrotem do domu, bojąc się, że ukryta w niej bestia może skrzywdzić jej rodzinę. Ale gdzie indziej mogła pójść?

Po jakimś czasie postanowiła zaufać krzyżowi.

W końcu demon został przywołany przez jego zdjęcie. Jeśli będzie posłuszna ojcu i zostawi krzyż na szyi, jej rodzina powinna być bezpieczna... - Wybacz mi, tato.

Ruszyła swoim śladem z powrotem na ścieżkę, znajdując po drodze zniszczone, poplamione błotem ubranie. Ledwie pamiętała, jak zerwała je z siebie w ataku furii.

*Nigdy w życiu nie byłam tak wściekła. Nawet na Łukasza...*

Ale co zrobiłaby w celu powstrzymania Łukasza, gdyby nie noszony na szyi krzyż? Nawet bez niego uderzyła go dość mocno, by złamać komuchowi szczękę. Co by było, gdyby jej ręka była potężniejsza, porośnięta futrem i wyposażona w szpony? Co by było, gdyby zrobiła Łukaszowi to samo, co zrobiła z drzewem?

*Mogłabym być aż tak zła na niego... Gdyby nie powstrzymał go Darien...*

Szła do domu, obracając w głowie pytania, na które nie знаła odpowiedzi. Kim jest Darien? Skąd wiedział, co kryje się wewnątrz niej? Czemu czerpał taką satysfakcję z wyciągania tego na świat, dręczenia jej tym czymś? Czemu została w ten sposób przeklęta?

*Co mam teraz zrobić?*

Przeszła przez bramę i pchnięciem otworzyła drzwi do chaty.

- Mario, moje dziecko, co się stało?

Macocha podbiegła do niej z ciemności i chwyciła ją za ramiona.

- Gdzie ty byłaś? Co się stało z twoim ubraniem? - Popatrzyła Marii w oczy ze znajomą uwagą. Nawet w słabym, przygaszonym świetle Maria zobaczyła w jej spojrzeniu to samo przerażenie, które dostrzegła w oczach ojca przed śmiercią.

- Zdjęłaś go? - zapytała macocha.

Coś w jej sercu zamarło, gdy uświadomiła sobie nagle, czemu ojciec wykrzyczał do niej to samo pytanie. Niemcy zostali zaatakowani przez jakieś groźne zwierzę i ta wiadomość dotarła do niego, zanim Maria wróciła z grodu. Usłyszał, co stało się z Niemcami, i pomyślał, że ona to zrobiła.

- Mario... - Macocha potrząsnęła ją za ramiona, próbując ściągnąć jej uwagę. - Twój krzyż. Nadal go masz?

Maria zamrugnęła, skupiając wzrok na macosze, i kiwnęła głową. Właściwie nie było to kłamstwo, ale nie bardzo potrafiła zmusić się do mówienia. Odsunęła nieskromnie rozdarta koszulę, by pokazać spoczywający na sercu krzyż.

- Bogu dzięki - wyszeptała macocha. Przyciągnęła Marię do siebie, objęła ją i utuliła. -

Bogu dzięki, jesteś bezpieczna.

*Czy ty wiesz, co obejmujesz?*

- Proszę, dziecko, powiedz mi, co się stało.

- Mężczyzna, w lesie. On... - wciągnęła powietrze i schowała twarz w ramieniu macochy.

- Wystraszył mnie - wyszeptała. - Zobaczyłam go i mnie przestraszył. Biegłam. Uciekałam bardzo długo.

- Już dobrze, moje kochanie. Teraz jesteś bezpieczna w domu. Skrzywdził cię? - zapytała po chwili macocha.

- Nie. *Nie tak jak myślisz.* Zgubiłam się i więcej go nie widziałam.

- Teraz jesteś bezpieczna, w domu - wyszeptała macocha. - Tutaj nic ci nie grozi.

Wypłakując się w ramionach macochy, Maria zaczęła sobie uświadamiać, że ta kobieta nie winiła jej za śmierć męża ani nie dbała o to, że jest bękartem.

A może jednak powinna...

\* \* \*

Spokojne serce.

Darien pomyślał o wypowiedzianych przez siebie słowach i o tym, o co ją poprosił. Wiedział teraz z pełnym przekonaniem, że jest jego, że spotkanie było im przeznaczone. To coś więcej niż przeznaczenie - to było równie nieuniknione, jak świt po nocy.

Co niestety nie znaczyło, że obędzie się bez kłopotów.

W ciągu lat, kiedy polował na ludzi i szukał zemsty na zakonie, nigdy nie natknął się na innego przedstawiciela swojego rodzaju. W każdym razie nie na żywego. Kiedy goniła go przez las, nawet nie zauważył, jak w przyływie furii pozwoliła się wyłonić wilkowi. Kiedy na niego skoczyła, nie był przygotowany na jej szpony wbijające się w plecy. Choć uderzenie było na poły chybione, poczuł, jak od ciosu pęka mu żebro.

To przerwało zabawę. Nie mógł zatrzymać błyskotki, gdy płuca przebiły mu odłamki kości. Puścił krzyż i umknął przed stworzeniem ogarniętym zachwycającą pierwotną furją.

Mimo bólu okrążał ją, by móc uważnie się jej przyjrzeć. Miała długie kończyny, była szczupła i muskularna, osłonięta futrem czarnym jak środek nocy, z długim i wąskim pyskiem. Gdy na niego warknęła, zęby w jej pysku zalśniły jak gwiazdy.

Zaprawdę, była wspaniała. Z najwyższym trudem powstrzymał się przed podbiegnięciem do niej, choć skutkowałoby to kolejnymi ranami i połamanymi kośćmi.

To jednak nie był właściwy czas na takie zachowania. Ci wredni ludzie wychowali ją na jedną ze swoich. Związali ją. Okaleczyli. Nie wiedział, jakie kłamstwa jej opowiedziano na

temat jej samej lub ich rodzaju. Musiał z nią postępować ostrożnie, niezależnie od własnego podniecenia i pożądania.

Chciał przecież, by to ona przyszła do niego.

Mimo wszystko podążał za nią.

A rano, gdy opuszczała chatę, Darien wciąż krył się w lesie, obserwując. Przyglądał się towarzyszącemu jej mężczyźnie uzbrojonemu w topór. Napiął mięśnie, szykując się do skoku i rozszarpania mu gardła, ale potem usłyszał, jak rozmawiają, a ona nazywa go bratem.

Nie zaatakował. Lecz kiedy ruszyli ścieżką w stronę grodu, poszedł za nimi - olbrzymi wilk przemykający bezszelestnie przez las obok nich.

\* \* \*

Nie było teraz dyskusji - jej najstarszy brat, Władysław, będzie odprowadzał Marię do grodu i towarzyszył jej w drodze powrotnej. Choć chciała zaprotestować, nie miała ku temu żadnej możliwości. Przecież w lesie niepokoił ją jakiś obcy mężczyzna. Było jasne, że potrzebowała ochrony, a nie mogła wyjaśnić, czemu boi się o brata, bez ujawniania tego, co naprawdę się stało.

Zresztą nawet gdyby przekonała macochę, że Władysław powinien zostać i pracować w gospodarstwie, brat wiedział teraz, że jego przyrodnia siostra wróciła w nocy do domu, płacząc, w rozdartym ubraniu. Widziała wyraz jego orzechowych oczu i wiedziała, że nawet jeśli wyjdzie z chaty bez niego, brat podąży jej śladem.

Zaakceptowała więc jego niechciane towarzystwo i poszli razem - ona ubrana w zszytą pośpiesznie suknię i pożyczoną koszulę, on w skórzanych spodniach i lnianej koszuli, z toporem przewieszonym przez ramię.

Władysław był starszy od niej o dwa lata i odziedziczył gospodarstwo po ojcu. Nie odzywał się wiele od śmierci taty, jeszcze więcej czasu minęło, od kiedy ostatni raz widziała na jego twarzy uśmiech. Kiedy Maria i macocha opiekowały się ojcem w trakcie choroby, to Władysław musiał się zająć uprawą roli i prowadzeniem gospodarstwa.

Idąc w milczeniu obok niego, Maria po raz pierwszy zauważyła, jak bardzo ciążyły mu te powinności. Dostrzegła zmęczenie na jego twarzy i poczuła się winna, że nie pomyślała o odpowiedzialności, którą musiał czuć: za matkę, za braci i za nią.

Władysław zauważył, że na niego patrzy, a ona się odwróciła.

- Czy on cię skrzywdził? - zapytał po chwili.

- Nie - zapewniła Maria, czując drżenie wewnątrz. Wiedział, czym ona jest? Ojciec musiał to wiedzieć, tak jak macocha - to oni założyli jej na szyję srebrny krzyż. Ale czy

powiedzieli o tym jej braciom? Popatrzyła na Władysława, szukając w nim oznak przerażającego strachu, jaki zobaczyła w oczach ojca i, do pewnego stopnia, również macochy. - Nie. Nikt mnie nie zgwałcił.

Władysław skrzywił się, słysząc te słowa, a ona poczuła zdziwienie - w końcu przecież o to właśnie pytał.

- Obiecuj mi, że gdyby ktoś kiedyś, wiesz... - zaczął, potrząsnąwszy głową. Głos uwiązł mu w gardle i odwrócił wzrok. - Obiecuj, że mi powiesz.

- Nic mi się nie stało... - Wypowiedziała to kłamstwo, zanim zorientowała się, że kłamie. Jak mogła powiedzieć, że nic się nie stało? To, co zaszło, było znacznie gorsze od gwałtu. Bo nie straciła tylko dziewictwa; straciła wszystko. Wszystko, co składało się na nią.

- Obiecuj.

- Obiecuję. - Czy mogła odpowiedzieć inaczej?

- Zastanawiałem się od czasu śmierci ojca - odezwał się po chwili milczenia - co powinna zrobić nasza rodzina i jak powinienem pokierować tym, co mamy.

- To znaczy?

- Nie będziesz już dłużej służyła w grodzie. - Poprawił topór na ramieniu. - Zostaniesz w domu i pomożesz w gospodarstwie.

Maria gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie wiedziała, co zrobić.

- Przecież pracuję tam z powodu danin, trzeba je odpracować, Władysławie...

- Obciążenie nie jest znów takie wielkie... damy sobie radę, jeśli w domu będzie jeszcze jedna para rąk do pracy. Powinnaś zostać z rodziną, przynajmniej do czasu, aż założysz własną.

Maria pokręciła głową, zastanawiając się, jak to możliwe, że jest równocześnie poruszona, przestraszona i zła. Idea pozostania w domu była przerażająca. Jak mogła zaryzykować bezpieczeństwo swojej rodziny, wiedząc, czym jest? Mając w swoim wnętrzu coś nieludzkiego?

Na jakimś bardzo podstawowym poziomie Władysław ją rozzłościł. Był jej starszym bratem, lecz niemal gołowąsem, a zachowywał się niczym głowa rodziny, próbując rozwiązywać problemy, o których nie miał pojęcia.

Miała zakończyć służbę w grodzie... tak po prostu.

Jakby nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, jakby była koniem, jakimś durnym zwierzęciem prowadzonym do orki tam, gdzie zażyczy sobie jej pan. I wszystko po to, by uratować ją przed... czym? Pomimo wszystkiego, co przeszła, zaloty kogoś takiego jak Łukasz były zdecydowanie poniżej jej godności. Tak.

To Łukasz powinien bać się jej.

I był jeszcze Josef. Ostatnią rzeczą, której chciała, było porzucenie go. Nawet jeśli opieka nad nim i to, co do niego czuła, stałyby się podwójnie niemożliwe ze względu na to coś żyjące wewnątrz niej. Była mu winna coś więcej niż zniknięcie bez słowa. Miała swoje obowiązki i sprawy, których nie chciała się wyrzekać tylko dlatego, by oszczędzić bratu wydumanej troski.

Znalazła w sobie siłę, by się odezwać, powoli i z rozmysłem.

- Będę dalej pracować w grodzie, Władysławie.

- Nie, Mario. To zbyt niebezpieczne.

Odwrociła się do niego, ledwie panując nad furią. Poczwała coś w swoim ciele i pomyślała, że gdyby nie krzyż na szyi, im obojgu groziłoby niebezpieczeństwo.

- Nie jesteś moim ojcem!

Władysław cofnął się przed siłą jej wybuchu.

- Maria! - warknął, wkładając w słowa siłę, której nie odzwierciedlały jego oczy. - Teraz to moja rodzina. Nie sprzeciwiaj się mojej woli!

- Twojej woli? Twojej woli? A czy choć przez chwilę zastanowiłeś się nad moją wolą?

- Jako członek mojej rodziny...

- Przestań! - Gwałtownie potrząsnęła głową, czując potężną i groźną złość. Złość żywiącą się strachem i strach karmiący się złością, napędzające się nawzajem do tego stopnia, że nie była już nawet pewna, co było pierwsze.

- Mario? - Zobaczyła teraz strach w jego oczach, w oczach, które tak bardzo przypominały oczy ojca. Wyciągnął do niej rękę.

Czy on wiedział?

Czy to miało znaczenie?

- Nie - odsunęła się od niego. - Nie powinieneś się do mnie zbliżać.

- O co chodzi, Mario?

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - krzyknęła i w panice wyobraziła sobie, że słyszy w swoim głosie warknięcie. Odwróciła się i najszybciej jak potrafiła, uciekła od niego.

- Czeka! Maria!... - Usłyszała, że ją woła, a potem sam zrywa się do biegu. Nie miał szans jej dogonić, zawsze była od niego szybsza.

\* \* \*

Darien zauważył ich kłótnię i ledwie się powstrzymał od ataku na mężczyznę z toporem. Jednak usłyszał już dość, by wiedzieć, że śmierć Władysława nie ułatwiłaby przyjścia Marii

do niego.

Choć poczułby satysfakcję z zakosztowania krwi tego aroganta, Maria uważała go jednak za członka rodziny. Darien aż nazbyt dobrze wiedział, że utrata bliskich mogła złamać ducha, i znał nienawiść, jaką mogła wzbudzić. Nigdy nie tknąłby „rodziny” Marii, choćby po to, by uniknąć ściągnięcia na siebie takiej nienawiści.

Ona jednak zwróciła się przeciwko temu mężczyźnie, więc może zaczęła już odrzucać swoje ludzkie więzy?

Jeśli tak, tym lepiej.

Darien przemknął przez las i poszedł za nią, pozostawiając uzbrojonego w topór Władysława samego na ścieżce.

\* \* \*

Dotarła na skraj lasu, zanim zabrzmiał dzwon oznajmiający wschód słońca. Spojrzała na wzgórze, na mury grodu, jakby zobaczyła przed sobą widmo z koszmarnego snu.

Co ona tam robiła? Co ona w ogóle gdziekolwiek robiła? W jej wnętrzu czaił się potwór, dzika bestia, która skoro została uwolniona raz, zaczęła napierać na jej skórę przy każdym oddechu.

- Przestań!

Zaskoczyła samą siebie, odzywając się na głos.

- Przestań - powtórzyła. Skierowanie złości na siebie samą wstrząsnęło jej emocjami i pozwoliło na chwilę spokoju. Odetchnęła głęboko i opanowała strach.

Nie wiedziała, co się z nią stało, nie miała pojęcia, co zrobił Darien. Miała jednak pewność, że teraz, w tej chwili, jest sobą. Wiedziała, że pomimo odczuwanej wściekłości nie straciła panowania nad sobą. Nie wiedziała nawet, czy to, co się zdarzyło, było rzeczywiste. Mogła doświadczyć tylko jakiegoś koszmaru na jawie. Może Darien ją z czarował.

Nie było powodu, by przestała żyć tak, jak do tej pory, jeśli tylko będzie nosić swój krzyż i panować nad złością.

Był jednak jeszcze jeden powód, by udać się do grodu. Josef coś widział. On i jego towarzysze zostali przez coś zaatakowani. A jej ojciec myślał, że tym czymś mogła być ona.

Musiała wiedzieć, czym było to coś.



## XVI

- Co cię zaatakowało, Josefie?

Josef półprzytomnie otworzył oczy. Zazwyczaj budził się na poranne modły, ale w trakcie rekonwalescencji pozwolił sobie na uleganie gnuśności. Głos Marii go obudził i przejął się tym, jak długo musiał spać owego dnia. Zamrugał i popatrzył na nią. Jej twarz promieniała we wpadającym przez okno różowym świetle poranka.

- Co cię zaatakowało, Josefie?

Kiedy powtórzyła pytanie, znaczenie jej słów przebiło się w końcu do otumanionego snem umysłu.

- Mario, nie wolno mi mówić o...

- Nie pytam, o to, co ci wolno - rzuciła niskim głosem, nachylając się nad nim.

Coś w jej zachowaniu uległo zmianie, do tego stopnia, że miał wrażenie, jakby zmienił się też nieco jej wygląd. Jej skóra prawie promieniała, a oczy wpatrywały się w niego z uwagą.

- Co się stało?

- Muszę wiedzieć, co ścigaliście w tutejszych lasach. Co tu ze sobą sprowadziliście?

- Dlaczego zadajesz mi te pytania? - Dźwignął się do pozycji siedzącej i zrozumiał, że niebo na zewnątrz rozświetlały dopiero pierwsze promienie świtu.

- Dlaczego? - Zobaczył, że dziewczyna zaciska dłonie w pięści, a jej ręce zdają się dygotać. - Dlaczego kazałeś mi unikać lasu po zmierzchu?

- Czy coś...

- ...się stało? - dokończyła szeptem.

Josef popatrzył na nią i poczuł narastający w sercu strach. Obciążała go konieczność zachowania posłuszeństwa i został zmuszony do zignorowania niebezpieczeństwa grożącego Marii... i wszystkim mieszkańcom grodu. Przygnali to coś na te ziemie. Czy nie mogli przyjąć żadnej odpowiedzialności?

- Nie wolno mi ujawniać tajemnic mojego zakonu - powiedział bardziej do siebie niż do

niej.

- Czy to coś przypomina wilka? - warknęła.

Josef zeszywniał, patrząc na nią.

Wiedziała.

- Ale to nie wilk, prawda? - wyszeptwała, patrząc mu w twarz. - To coś okropnego, coś pełnego złości...

Zabrakło jej tchu, jej oczy zrobiły się wilgotne, a ramiona zatrzęśły się, więc Josef położył rękę na jej ramieniu.

- Jak ty...

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła, zrzucając jego rękę. Wybiegła z pokoju, zanim Josef zdążył zareagować.

Nie wiedział, co zawstydzalo go bardziej: fakt, że zasady zakonu uznał za ważniejsze od siebie samego i bezpieczeństwa Marii, czy też fakt, że rozważał złamanie dla niej ślubów złożonych zakonowi. *Jestem ułomnym sługą.*

W głębi serca wiedział, że dziewczyna ma rację. Wstał z łóżka.

Było jasne, że stwór, na którego polowali, wciąż znajdował się w okolicy, bliżej tego miejsca, niż mogli sobie wyobrazić. Musiał o tym powiedzieć komturowi Heinrichowi i musieli zacząć działać, zanim demon zrujnuje kolejną wioskę, zanim Marii stanie się krzywda.

Jednak gdy wstawał, przypomniał sobie siniec na jej twarzy i jego tajemnicze zniknięcie. Cichy, paskudny głos powiedział mu, że istniały inne sposoby, żeby się dowiedzieć, na co polowali.

Z wysiłkiem odepchnął od siebie tę myśl.

\* \* \*

Przed kaplicą komtur Heinrich powiedział:

- Wiemy, że istnieje mnóstwo legend o tych bestiach.

Josef ostrożnie wciągnął powietrze - głęboki oddech wywoływał falę bólu w brzuchu.

- Wybacz mi, panie, ale ta służąca zdawała się mówić na podstawie bezpośredniego doświadczenia.

- Rozumiem. Jakie szczegóły podała ci ta osoba? Było tam cokolwiek, co mogłoby być pomocne w naszych poszukiwaniach?

Josef pokręcił głową.

- Uznałem, że warto zwrócić twoją uwagę na sam fakt potwierdzenia pobytu bestii w

okolicznych lasach.

- Owszem, bracie Josefie, ale do działania potrzeba nam szczegółów. Jakieś mgliste informacje nie umożliwią nam stworzenia skutecznej strategii.

Josef opuścił głowę. Czuł się tak, jakby jego serce topiło się i wyciekało przez ranę w brzuchu.

- Wybacz mi, panie.

- Nie trzeba ci wybaczenia - stwierdził Heinrich - tylko trochę bardziej dociekliwej natury. Nie zadałeś żadnych pytań?

- Bałem się, że wykazanie zbytniego zainteresowania zdradziłoby powód naszego pobytu tutaj.

- Cieszę się, że wzięłeś sobie do serca naszą poprzednią rozmowę i jesteś ostrożniejszy.

Josef stwierdził, że czuje niewytłumaczalną złość na swojego mistrza. Próbował się przekonywać, że ból z rany brzucha źle wpływa na jego nastrój, ale w głębi serca nie wierzył w sens zachowania tajemnicy. Było jasne, że Maria wiedziała coś na temat stwora, na którego polowali. Czemu powiedzenie jej o zadaniu zakonu miałoby być czymś złym? Czy świadomość, że są tu słudzy Boga, których celem jest zabicie potwora, nie przyniosłaby więcej spokoju niż strachu? Gdyby stwór zaczął zabijać w tej okolicy, czy ich milczenie pomogłoby w zachowaniu spokoju i zapobiegło śmierci niewinnych?

Zacisnął zęby i wydusił jakąś stosownie pokorną odpowiedź.

- Nie denerwuj się naszym zadaniem. - Heinrich położył dłoń na ramieniu Josefa. - Księżę wysłuchał naszej petycji i widział nasz glejt wydany przez papieża.

- To znaczy, że wie?

- Tylko tyle, ile musi wiedzieć: że polujemy na zabójczego sługę diabła.

- Ale nie zna jego natury?

- Wysłała grupę Polaków w towarzystwie brata Reinharta na poszukiwanie dowodów naszej sprawy.

- Czy będą uzbrojeni w srebro? Czy wiedzą, że to coś może się poruszać przebrane za człowieka?

- To nie twoja sprawa. Reinhart dopilnuje bezpieczeństwa ludzi księcia. Muszą tylko odszukać miejsce, w którym doszło do naszej walki z tym stworem, nie poprowadzi nieprzygotowanych ludzi na spotkanie z bestią.

- Ale...

- Powiedziałem już, to nie twoja sprawa - warknął Heinrich. - Uważaj na słowa, bracie Josefie, i nie próbuj pouczać swoich przełożonych.

- Tak, panie - odpowiedział słowami o smaku popiołu.

\* \* \*

Brat Reinhart maszerował przez las w towarzystwie pół tuzina Polaków z osobistej straży księcia Siemowita III. Prowadził ich namiestnik księcia, sam wojewoda Bolesław.

Książę w swej mądrości postanowił, że jego ludzie wyruszą na tę wyprawę pieszo. Reinharta dręczyło nieprzyjemne podejrzenie, że chodziło o uniknięcie zwrotu wierzchowca jednemu z jego niemieckich „gości”.

Ale musiał też przyznać, że tego rodzaju poszukiwania w gęstym lesie łatwiej prowadziło się na dwóch nogach niż na czterech. Jednym z powodów, dla których ostatnie spotkanie ludzi komtura Heinricha z bestią w tych lasach przyniosło tyle strat, był fakt, że siedzieli wtedy na końskich grzbietach.

Jednakże zwiększona mobilność nie mogła zrównoważyć braku złożonej w grodzie broni zakonników. Książę nie pozwolił Reinhartowi zabrać choćby sztyletu. Został wysłany z grupą nieprzyjemnie hałaśliwych Polaków, a traktowano go niewiele lepiej niż więźnia. Miał wątpliwości co do sensu swojego udziału w tej ekspedycji. Jeśli potwór zostawił jakieś ślady, będą dość oczywiste nawet dla prostackiego Bolesława, idącego na czele i wykrzykującego rozkazy do polskich strażników, zamasyście machając przy tym rękami, co pogarszało i tak niepochlebłą opinię Reinharta o polskim rycerstwie.

A potężny Bolesław z wielką brodą był zapewne bardzo typowym przedstawicielem tej klasy.

Na plus można mu było zaliczyć to, że przynajmniej potrafił się porozumiewać zrozumiałym niemieckim, nawet jeśli swoje rozkazy wykrzykiwał w okropnym języku Polaków. Reinhart uważał ich język za paskudniejszy od pruskiego, używanego przez garstkę pogan zamieszkujących jeszcze lasy na ziemiach zakonu.

Idący na przedzie Bolesław podniósł rękę i krzyknął coś do swoich ludzi. Sześciu wojów w kolczugach w jednej chwili zatrzymało się i umilkło, a las wokół nich nagle pograżył się w ciszy. Reinhart poczuł, jak ściska mu się gardło. Coś znaleźli.

- Czy nasz gość zechce podejść i to obejrzeć? - Bolesław zawołał Reinharta do siebie. - Interesuje was nienaturalna śmierć?

Reinhart zacisnął i rozprostował dłonie, tęskniąc za rękojęścią miecza. Podchodząc do Bolesława w celu sprawdzenia znaleziska, odmówił cichą modlitwę. Potwór, na którego polowali, nie wykazywał subtelności w działaniach, ale Reinhart nie spodziewał się natrafić na ślady jego przejścia tak szybko po opuszczeniu grodu.

- Powiedz mi więc, bracie Reinharcie, czy to dzieło sił szatana...

Reinhart spojrział pod stopy Bolesława, gdzie w stercie liści i świerkowych igieł leżało ciało rozszarpanego zająca. Jego nos i pysk pokrywała skorupa zaschniętego śluzu, a padlinożercy wyjedli już jego oczy, pozostawiając skierowany w stronę Reinharta pusty oczodół.

- To nie jest dobry żart - stwierdził Reinhart. Nie potrafił ukryć odczuwanej wściekłości i tylko łaska Boża powstrzymała go przed zamknięciem paskudnej gęby Bolesława za pomocą pięści. - To, na co polujemy, jest śmiertelnie groźne i złe.

- Już to mówiłeś, ale może zechciałbyś zdradzić więcej szczegółów na temat śladów tego czegoś? - Bolesław kopnął truchło zająca, rzucając je na stopy Reinharta i odsłaniając wijące się pod nim robactwo. - Jesteś pewien, że to nie dzieło naszej zwierzyny?

Pozostali Polacy wybuchnęli śmiechem, ale w oczach Bolesława pojawił się groźny błysk.

- Poznacie jego ślady, gdy na nie trafimy - rzucił Reinhart. Kopniakiem pozbył się truchła ze swojego buta i zwrócił się do pozostałych. - A kiedy to się stanie, nie będzie wam do śmiechu!

- Wcale nie... - zaczął Bolesław, ale przerwał mu krzyk jednego z ludzi. Reinhart obejrzał się w stronę głosu. Jeden z Polaków trzymał w dłoni pusty but.

\* \* \*

Tropy stawały się z każdą chwilą wyraźniejsze: połamane gałęzie, ślady krwi lub strzępy odzieży. Gdy tylko stało się dla Reinharta oczywiste, że trafili na ślady bestii, poprosił Bolesława o nakazanie powrotu grupy, aby współbracia Reinharta mogli się uzbroić i wyruszyć w celu zabicia stwora.

- Z powodu buta i kilku szmat? Mój książę będzie wymagał czegoś bardziej namacalnego, bracie Reinharcie.

Dopiero po przebyciu kolejnych kilku kilometrów w głąb lasu Reinhart zobaczył, że Bolesław zaczyna żałować tych słów.

Szli wydeptaną przez zwierzęta ścieżką, która prowadziła do leśnej gęstwiny, po czym weszli na wzniesienie, kończące się płataniną poszycia i wiatrołomów. I może zawróciliby stamtąd, gdyby nie jeden z ludzi, który zobaczył coś na ziemi. Polak podbiegł i dźwignął brudnobrazowy przedmiot.

Podniósł go - to była ludzka głowa nadgryziona przez padlinożerców i tak samo pełna robactwa jak truchło zająca, kopnięte przez Bolesława na buty Reinharta. Groteskowy widok

wywołał kilka odgłosów trwogi i charakter wyprawy uległ nagle całkowitej zmianie.

Bolesław zrobił krok do przodu i zapatrzył się na martwą, bezoką twarz.

- Łukasz... - wyszeptał.

- Czy jesteś wreszcie gotów, by zaświadczyć przed swoim księciem? - zapytał Reinhart. -  
Jeśli teraz wrócimy, możemy...

Przerwał mu kolejny Polak, który zajął pozycję na najwyższym punkcie wzniesienia. Patrzył stamtąd w dół i krzyczał coś, robiąc przy tym znak krzyża, a potem jakiś gest, który dla Reinharta wyglądał na czysto pogański.

Bolesław odwrócił się i wbiegł na wzniesienie szybciej, niż zakonnik się po nim spodziewał. Wchodząc jego śladem, Krzyżak zobaczył, jak potężny Polak blednie w oczach. Reinhart spojrział w dół i zadrżał.

- Słodki Jezu...

Zaczął się modlić, patrząc na nieckowatą polankę przed otworem jaskini. Jej powierzchnia była czarna od przypominającego smołę błota, pełna much i odcisków łap potężnego wilka. Po całej polance porzrucane były szczątki ludzi, koni i innych zwierząt. Nie było tam ani jednej nienaruszonej części ciała, a niektóre z ludzkich trupów wciąż miały na sobie fragmenty zbroi.

Reinhart zobaczył dzieło szatana. Zabici zostali tu przyniesieni i starannie ułożeni, by demon mógł podziwiać swoje dzieło.

- Miałeś rację - odezwał się Bolesław. - Musimy tu wrócić, uzbroiwszy twoich towarzyszy...

Bolesławowi przerwało wycie wilka. A gdy las pochłoniął ostatnie echo jego głosu, jedynymi słyszalnymi dźwiękami stały się oddech Reinharta i zgrzyt żelaza pozostałych zbrojnych.

Bolesław, nie czekając, wyciągnął z pochwy miecz, a Reinhart dostrzegł błysk srebra na jego klindze.

- Boże dopomóż! - powiedział zakonnik. - On tu jest.

\* \* \*

Darien szedł za ludźmi z grodu cicho i w ukryciu, wciągając woń ośmiu wojowników. Jeden z nich był znajomy, choć nie dostrzegł czarnego krzyża na tabardzie tego człowieka.

Pozwolił im odejść daleko od ścieżki i murów grodu. Maszerowali głośno i beztrósko, wracając wprost na jego ziemie. Gdyby ci pyskacze byli sami, mógłby ich zignorować, jednak między nimi znajdował się członek zakonu, a Darien nie mógł nie skorzystać z okazji

ograniczenia liczebności wojowniczych mnichów. Rozpoznał miejsce, w którym się znajdowali, gdy jeden z nich znalazł ciżmę, noszoną kiedyś przez owego prostaka, który ośmielił się zaatakować Marię. Mężczyźni szli tropem Dariena, zbierając poszarpane strzępy ubrań, aż dotarli na sam skraj jego kryjówki.

Kiedy się zatrzymali, podbiegł niezauważony w ich stronę. Trzech patrzyło w dół na jego pieczarę, a inny trzymał za włosy głowę koniucha Łukasza, prześladowcy Marii.

Teraz był odpowiedni moment, gdy byli rozproszeni, bez broni w ręku.

Przysiadł na poślaskach i skupił się. Jego przednie nogi zatrzeszczały, wydłużając się, a pazury zmieniły się w opatrzone szponami dłonie. Plecy i klatka piersiowa rozrosły się, a ramiona wykreściły boleśnie, wymuszając jego skowyt.

Odgłos ten zmniejszył element zaskoczenia, ale zapewnił wartą znacznie więcej aurę strachu. Skoczył między nich, w chwili gdy niezdarnie sięgali po broń. Wylądował za plecami najbliższego i powalił go na ziemię, zaciskając szczęki na jego karku.

\* \* \*

Reinhart ledwie zdążył krzyknąć, gdy wśród Polaków rozległy się wrzaski. Odwrócił się i zobaczył potężnego potwora o złotym futrze, powalającego jednego z ludzi Bolesława. Zaślinione szczęki zmiażdżyły kark nieszczęśnika i rozbijały jego głowę, jakby należała do szmacianej lalki.

Potwór przeskoczył ciało na psich nogach, zakończonych potężnymi pazurami wbijającymi się w leśną ściółkę. Przednie łapy miał długie, ze szponiastymi imitacjami ludzkich dłoni. Podniósł potężny, wilczy łeb z pyskiem umazanym krwią i wargami rozchylonymi w grymasie przypominającym demoniczny uśmiech. Jedno z jego błękitnych oczu zdawało się spoglądać wprost w duszę Reinharta.

Dwaj Polacy, znajdujący się najbliżej powalonego, wyciągnęli miecze i unieśli je przeciw stworzeniu.

- Głowa! - wrzasnął do nich Reinhart. - Odetnijcie mu głowę albo przebijcie mózg!

Obok Bolesław krzyczał w swoim języku, wychodząc między stwora a Reinharta z jednym z posrebrzanych mieczy zakonu w ręku.

Bolesław musiał powtórzyć instrukcje Reinharta, ponieważ oba miecze opadły w stronę głowy wilka. Jednak stwór poruszał się z niesamowitą prędkością. Jedna z jego przednich łap odbiła płaz opadającego miecza, a gdy drugie ostrze sunęło łukiem w stronę jego gardła, potwór kłapnął i złapał klingę zębami, wyrrywając broń z ręki wojownika.

Drugi wojownik spróbował ponownie, ale bestia skoczyła na niego, w chwili gdy unosił

miecz. Broń została odrzucona w bok razem z częścią ręki. Trzeci Polak zignorował radę, by zaatakować głowę stwora, i wbił zwykły Stalowy miecz w bok wilka, rozrywającego ofiarę przyciśniętą do drzewa.

Wilczy stwór zareagował gwałtownym obrotem głowy. W jego zaciśniętych szczękach wciąż tkwił miecz, którego sztych przebił twarz kolejnego napastnika. Mężczyzna padł pod nogami bestii, a ta zwróciła się w stronę trzech zbliżających się do niej uzbrojonych Polaków.

Reinhart podbiegł do pierwszego zabitego, który nie miał czasu wyciągnąć swojej broni. Musiał obrócić ciało, by do niej się dostać. Zmagając się z trupem przy wyciąganiu głównej miecza, słyszał krzyki, warkot i odgłosy rozrywanego ciała. Jego serce waliło jak oszalałe, gdy wreszcie wydobyl broń.

*To nie srebro, ale jeśli wbiję do mózgu...*

Wykręcił się, by zmierzyć się z potworem.

Którego tam nie było.

Bezgłowy trup wojewody Bolesława, pana grodu Narew, leżał między ciałami jego rozszarpanych ludzi, z osłoniętą rękawicą dłonią, wciąż ściskającą rękojeść złamanego miecza. Druga połowa posrebrzanej klingi Bolesława utkwiała w pniu drzewa. Nie było śladu po głowie wojewody.

Dwóch pozostałych atakujących leżało po obu stronach drzewa z gardłami rozerwanymi w ohydnej symetrii, patrząc szklanymi oczami w niebo.

Reinhart wykręcił się wokół, szukając bestii, ale gęstwa drzew ograniczała pole widzenia nawet w świetle dnia. Cofnął się pod drzewo, by zapewnić sobie choć częściową osłonę. Coś zaszeleściło z prawej i odwrócił się w tę stronę, cały czas czując drzewo za plecami. Miał wrażenie, że zobaczył jakiś ruch między pniami.

A potem usłyszał krzyk.

Ostatni Polak - pomyślał Reinhart. Ten, który zamachnął się mieczem na pysk bestii i został rozbrojony. Uciekł potem w głąb lasu.

Lecz nie dość szybko i nie dość daleko. Jego krzyk urwał się obrzydliwie płynnym dźwiękiem, po którym zabrzmiało ciche chrupnięcie.

Reinhart mocniej zacisnął dłoń na mieczu. Chciał gonić demona, zrobić wszystko, by go zniszczyć, ale wpojona głęboko dyscyplina sprawiła, że pozostał na miejscu. Bieg - za tym stworem albo przed nim - byłby samobójstwem. Stwór był szybszy i mógł go zaatakować z dowolnej strony. Jeśli odsłoni plecy, nawet w pościgu, spotka go taki sam los jak Polaków.

- Walcz ze mną, demonie! - krzyknął w las.

Nawet bez posrebrzanej broni miał szansę go zabić, jeśli tylko uderzy, zanim sam



otrzyma śmiertelny cios. Pomodlił się o siłę, konieczną, by zwyciężyć.

Poranny wiatr ponióś cichy warkot, dobiegający spomiędzy drzew, podkreślony przyprawiającym o mdłości zapachem krwi. Reinhart obszedł drzewo, mijając wyciągniętą rękę trupa, ostrożnie stawiając kroki i wpatrując się między drzewa w poszukiwaniu wszelkiego śladu ruchu, jakichkolwiek oznak ataku.

Uznał, że bestia spróbuje gwałtownego ataku. Będzie czekać na osłabienie jego uwagi i zaufa swojej szybkości i sile, by powalić go, zanim zdąży zadać cios. Spodiewając się tego, chwycił miecz obiema dłońmi. Może wykorzystać pęd bestii do przebicia jej czaszki.

- Boisz się Bożego sądu? - zawołał. - Chodź tu!

Coś cichego odezwało się między drzewami; był to warkliwy, grobowy głos, który mógłby należeć do samego szatana:

- A czemuż to miałbym się przejmować twoim Bogiem?

Przestrzeń wypełniło głośnie warczenie, dochodzące zza drzew tuż przed Reinhartem. Brzmiało to tak, jakby sam las był głodny.

- Pokaż się! - zawołał, z wysiłkiem ukrywając drżenie w głosie.

- Mów dalej - padła odpowiedź. - Krzycz, wrzeszcz, wzywaj swojego Boga. Niech to usłyszę.

Spod hełmu Reinharta spłynęła kropla potu, od której zapiekło go oko.

- Możesz ukryć swój strach przed innymi ludźmi, rycerzu, ale ja czuję jego smród. Smakuję twój strach z otaczającego cię powietrza, jest równie słodki, jak twoje ciało.

- Jestem na ciebie gotowy, szatanie.

- Nie jestem szatanem - wyszeptaly w odpowiedzi drzewa. - A ty nie bardzo jesteś gotowy.

Coś wystrzeliło na niego z poszycia, a Reinhart pchnął to coś mieczem na wysokości głowy. Tak jak miał nadzieję, impet rzucił lecące ku niemu ciało na jego miecz, nabijając je przez otwarte usta i dziurawiąc czaszkę.

Jednak to nie ciało wilka zostało przeszyte jego bronią. Na broń Krzyżaka nabiło się ciało Polaka, który próbował uciekać z twarzą obłupioną tak, że na Reinharta patrzyła tylko zalana krwią czaszka. Oparł but na piersi trupa, by wyciągnąć z niego miecz.

Cień w srebrzystym futrze przeskoczył nad ciałem Polaka, w chwili gdy Reinhart mocował się z bronią. Niemiec poczuł jego oddech na policzku, a zaraz potem niemożliwy ból szyi, który odesłał go w nasączony krwią mrok.

## XVII

- To nie twoja sprawa - wymamrotał Josef, idąc powoli przez gród. - To nie twoja sprawa...

To, co myślał w tej chwili o komturze Heinrichu, nie przystawało zupełnie do pozostającego na probacji członka zakonu krzyżackiego. Więcej wspólnego miał w tej chwili z czarnymi myślami, które wypełniały jego serce, gdy obserwował wymierającą wokół niego Norymbergę. Tylko że teraz było gorzej: ta zaraza miała warczący pysk i widać było, jak się zbliża.

W duchu wyobraził sobie niewinnych ludzi padających ofiarą złotowłosego demona: to życie wyrywane z ich ciał szponiastymi łapami, w czasie gdy Heinrich bawi się w dyplomatyczne gierki z mazowieckimi władcami. Zobaczył stosy ciał, a nad nimi nieporuszoną twarz swojego komtura.

Posłuszeństwo przede wszystkim...

Być może jeszcze gorszy był niepokój, którzy odczuwał w związku z Marią. Wszystko w niej wzbudzało w nim uczucia, które, jak sądził, umarły wraz z Sarą - jej cicha siła, jej głos, delikatny dotyk dłoni, krzywizna dolnej wargi... W pewnym momencie jego myśli porzuciły pozór przyzwoitości i zaakceptował fakt, że obchodziła go dużo bardziej, niż odpowiadałoby to komturowi Heinrichowi.

Kiedy więc pogrążał się w tych ponurych rozważaniach, ofiary ataku demona coraz częściej przybierały twarz Marii.

Lecz w najczarniejszych chwilach jego myśli przydzielały dziewczynie również inne role. Nie chciały go opuścić podejrzenia, wzbudzone przez nagłe wygojenie się jej twarzy i noszony przez nią srebrny krzyż.

*Czemu wciąż o tym myślę?* Siniaki na jej twarzy widziałem przez kilka dni, zanim się wygoiły... Miała rację, po prostu wyglądały na poważniejsze niż w rzeczywistości.

Jednak srebro noszone przez nią na szyi zahamowałoby tak rychłe gojenie...

Ta myśl była szalona. Nie było w tym żadnej logiki. To, na co polował, nie mogło się

przecież tak ograniczać.

*Czemu więc kłamię w sprawie źródła tych obrażeń?*

Lecz z drugiej strony - czy gdyby uderzył ją jakiś mężczyzna, to przyznałaby się do tego prawie obcej osobie? Kobiety tak nie postępują.

Niezależnie od ciężących mu podejrzeń, znacznie większą wagę miało to, co wyczuwał w tej kobiecie w trakcie jej odwiedzin. Ta dziewczyna podnosiła go na duchu i wykazywała łagodną siłę, która pozwalała znieść znacznie więcej, niżby się zdawało. I wiedział, że ona też potrzebuje pomocy. W jakiś sposób czuł, że demon komtura Heinricha zagrażał jej znacznie bardziej niż jemu.

Jego żołądek zwinął się w bolesną kulę, ale tylko częściowo z powodu odniesionej rany. Jednak do chwili gdy wszedł do sali, w której posiłki jadal miejscowi notable, winny był wyłącznie grzesznych myśli.

Stanął w drzwiach i popatrzył na Polaków zajętych jedzeniem, rozmowami i śpiewem. Dla Josefa, przyzwyczajonego do spożywania posiłków w milczeniu, przy akompaniamencie odczytywanych świętych ksiąg, ten widok był cudaczny.

Przyglądał się tłumowi tutejszych możnych i zaczęły go nachodzić wątpliwości. Kimże on jest, by stawiać swoje troski i lęki wyżej niż wolę Kościoła i zakonu?

Przycisnął dłoń do brzucha i odwrócił się, by wyjść, jednak ktoś położył mu dłoń na ramieniu, zatrzymując go.

- Szukasz kogoś? - padło pytanie zadane w zrozumiałej niemczyźnie. - Odszedłeś daleko od swoich braci...

Josef odwrócił się i zobaczył mężczyznę wyższego od siebie i niemal dwukrotnie szerszego w ramionach. Przez chwilę miał wrażenie, że stoi przed panem grodu Narew, samym wojewodą Bolesławem. Jednak ten mężczyzna był młodszy, a jego broda była ciemniejsza i mocniej przycięta.

- Przepraszam za wtargnięcie...

- Nie ma potrzeby. Jesteście gośćmi naszego domu. - W jakiś sposób udało mu się to powiedzieć bez śladu ironii. - Może czegoś ci trzeba?

Josef się wyprostował. Przyszedł tu z konkretnego powodu.

- Chciałem zapytać, czy mógłbym odzyskać swoją broń.

- Jestem pewien, że twój mistrz rozmawiał o tym z księciem. - Mężczyzna się uśmiechnął. - Broń zakonu będzie...

- Mówię tylko o własnej.

- Jesteś członkiem zakonu.

- Lecz mówię jedynie w swoim imieniu.

- Doprawdy? - Mężczyzna wyprowadził go z sali i skierował w głąb długiego korytarza. Po drodze odezwał się znowu. - Jestem ciekaw, czemu sądzisz, że ktoś chciałby oddać akurat twoją broń.

- Może komtur Heinrich nie powiedział wszystkiego na temat tego, na co polujemy na waszych ziemiach.

Mężczyzna zatrzymał się i obrócił do niego z pytającym wyrazem twarzy.

- Jak cię zwa, bracie?

- Josef.

- Jestem Telek. Śpisz w łóżku mojego stryja. - Położył dłoń na ramieniu Josefa i zapytał z powagą i szczerością: - Jesteś pewien, czego chcesz?

- Tak.

- W takim razie możliwe, że dojdziemy do porozumienia - stwierdził Telek, ściskając ramię Josefa.

Poprowadził zakonnika do magazynów znajdujących się w głębi twierdzy. Nikt nie podawał w wątpliwość prawa Teleka do przebywania tu ani nie pytał o towarzyszącego mu bladego Niemca. Zatrzymał Josefa przed dużymi drzwiami okutymi żelazem.

- Gdyby ktoś cię o to pytał, powiedz, że przyprowadziłem cię tu w celu odczytania pewnych inskrypcji na tej broni.

- Nie macie ludzi czytających po niemiecku?

Telek mruknął coś po polsku, co zabrzmiało jak przekleństwo.

- Oczywiście to tylko wykręt. Byłoby podejrzane, gdybyśmy znaleźli się tu sami bez jakiegogoś powodu. Lepiej będzie, jeśli oficjalnie zażądam twojej obecności, podając oczywisty powód.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję. Inaczej bardzo krótko będziesz szpiegiem.

Josef poczuł bryłę lodu w żołądku, w duchu próbując zaprzeczyć wypowiedzianej przez Teleka prawdzie. Jednak czy było na to jakieś inne słowo, niezależnie od jego motywów? Zdradzał zakon. Próbował wmówić sobie, że wcale tak nie jest - przecież sam Heinrich powiedział, że Polacy będą z nimi współpracować. Jeśli są sojusznikami, czy zdradą było szczegółowe poinformowanie ich o tym, z czym mieli walczyć?

Telek otworzył drzwi, odchylając ciężkie dębowe belki na skrzypiących zawiasach. W środku panował mrok, widać było tylko plamy światła odbitego z latarni na korytarzu. Telek zdjął lampę z haka i wprowadził Josefa do środka.

Pomieszczenie pachniało zakonserwowaną stalą i suchym drewnem. Ściany obstawiono drewnianymi stojakami mieszczącymi wszelkie znane Josefowi narzędzia do zadawania śmierci. Pośrodku sali stało kilka dużych drewnianych skrzyń osłoniętych płachtą materiału. Na płachcie leżała broń zakonników. Refleksy światła na niemieckich klingach miały inny, łagodniejszy wygląd niż refleksy na głowniach ustawionych pod ścianami. Josef przyjrzał się temu arsenałowi mieczy, sztyletów i beltów do kusz.

Telek podniósł jeden ze sztyletów i wyciągnął go przed siebie, oglądając inskrypcje wyraźnie widoczne w świetle latarni.

- Zbyt kowna broń jak na zakon, który składa śluby ubóstwa...
- To konieczność.
- Może mi to wyjaśnisz?

\* \* \*

Telek stał i w milczeniu słuchał Niemca, stopniowo uświadamiając sobie, że jakiegokolwiek kierowały nim powody, Josef mówi szczerze. Z początku sądził, że mężczyzna został przysłany przez Heinricha dla podstępu, w celu wydostania choć części broni z magazynu. Może też Heinrich podejrzewał Teleka o wizytę w jego komnacie i chciał zdobyć potwierdzenie.

Jednak opowieść tego człowieka dalece wykraczała poza oczekiwania Teleka. Nie tylko potwierdził naturę bestii, na którą polował zakon, ale z jego słów biła chęć podjęcia zdecydowanych działań, o których nie było mowy w księdze brata Heinricha. Telek słuchał go i zadawał pytania, które byłyby naturalne, gdyby z góry nie wiedział tego wszystkiego.

Zauważył jedno: w wiedzy Josefa były spore braki. Nie potrafił udzielić odpowiedzi na niektóre z pytań Teleka, choć byłyby one oczywiste dla każdego, kto przeczytał księgę Heinricha. Nigdy nie wspominał imienia Semyona i nie wiedział, od jak dawna zakon poluje na te stwory. Dla Josefa były one od zawsze demonami.

Lecz podał też Telekowi kilka nowych szczegółów. Opis bestii: złote futro, absolutna bezwzględność... Czym innym było jednak przeczytanie bezbarwnego opisu w księdze, a czym innym wysłuchanie relacji kogoś, kto widział taką bestię w działaniu. Słuchał opowieści o tym, jak potwór zmasakrował oddział konnych i dobrze uzbrojonych rycerzy zakonu, przygotowanych i uzbrojonych do walki właśnie z nim...

Telek zaczął się bać o stryja i towarzyszących mu ludzi, uzbrojonych tylko w jeden srebrny miecz zabrany przez Bolesława z tej zbrojowni. Należało tak uzbroić ich wszystkich - pomyślał Telek, przeklinając impuls, pod wpływem którego stryj ukrył swą wiedzę przed

księciem i jego ludźmi.

- Weź, czego ci trzeba - oświadczył Telek po wysłuchaniu relacji Josefa.

Mnich wziął szmatkę do czyszczenia broni i owinął w nią jeden ze sztyletów, tworząc niewyróżniający się pakunek, mogący ukrywać cokolwiek. Telek poczuł ulgę, że tamten wybrał coś, co mógł nosić przy sobie bez wzbudzania pytań.

*Ranny człowiek uzbrojony tylko w srebrny sztylet nie uda się na polowanie na tego demona.*

- Powiedz mi, Josefie: czemu potrzebujesz tego właśnie teraz? Nie spodziewasz się, by twój kapitan przekonał księcia do wydania zgody na wznowienie polowania?

- Ja... muszę się chronić - odpowiedział Niemiec. Było to jedyne wypowiedziane przez niego oczywiste kłamstwo, ale Telek uznał, że lepiej zachować sojusznika w zakonie, niż wyciągać z niego prawdę.

\* \* \*

Telek zostawił Josefa z zapewnieniem, że będą „dalej sobie pomagać”. Olbrzymi Polak ewidentnie zmartwił się opowieścią Josefa... ale trudno się temu dziwić.

Josef pokuśtykał do swojego łóżka obciążony dodatkowo trzymanym w dłoni sztyletem. Zaczął się zastanawiać, czy ta broń jest warta więcej, czy mniej niż trzydzieści srebrników.

Ona potrzebuje czegoś, czym będzie mogła się bronić - pomyślał.

Choć jeśli miał być szczerzy, nie powinno jej tutaj być. Sztylet to - jak powiedział Telek - tylko pretekst. Polacy musieli wiedzieć, z czym mają do czynienia i jakie to coś miało słabości. Potwór był zbyt potężny, by mogli sobie z nim poradzić sami ludzie Heinricha. Sztylet był pretekstem nie tylko do ujawnienia wszystkiego bratankowi Bolesława, ale i wyznania prawdy Marii.

Nie będzie bezpieczna, dopóki nie dowie się, co grozi jej w lesie. Nie mógł więc spokojnie ukrywać tajemnic zakonu. Da jej sztylet, gdy przyjdzie do niego z wieczornym posiłkiem, i o wszystkim jej opowie. Jeśli wyjdzie za dnia i zostanie w gospodarstwie, w którym mieszka, zapewne będzie bezpieczna.

Troszczył się o nią znacznie bardziej niż o jakąkolwiek kobietę od czasu Sary. I ostatecznie zrobi dla Marii to, czego dla Sary zrobić nie mógł. Nawet jeśli nigdy nie będzie jego - bo brat zakonny nie powinien myśleć inaczej - samą świadomością, że Maria przeżyje, uzna za dostateczną nagrodę.

Mimo wszystko jego ślub czystości zaczął mu ciążyć w równym stopniu co przysięga posłuszeństwa. Czyżby odwrócił się od świata tylko dlatego, że zobaczył, jak świat odwraca

się od niego?

Padł na łóżko, czując się obolały z wysiłku, niezdolny rozebrać się z powodu bólu brzucha. Pobieźnie sprawdził swój opatrunek, ale nie zobaczył krwi sączącej się spod bandażu, choć miał wrażenie, jakby lala się strumieniem.

Kiedy zamknął oczy, czekając na przyjście Marii, pomyślał o Sarze i tym okropnym czasie w Norymberdze. Przypomniawszy sobie moment wejścia do domu rodziców ukochanej, mrocznego i przepełnionego wonią śmierci. Jej rodzina i służba już dawno uciekły na wieś. Pamiętał kozy, które urządziły sobie stajnię w kuchni. Pamiętał jej ciało pozostawione w sypialni, w której umarła. Poczł do siebie odrazę, gdy uświłdomił sobie, że lepiej pamięta woń tamtego pokoju niż jej oblicze. Za każdym razem, gdy próbował przypomnieć sobie jej uśmiechniętą twarz lub usłyszeć jej śmiech, przed jego oczami pojawiała się Maria i słyszał jej głos.

I to właśnie Marię widział martwą w tamtej sypialni.

Jego wyobraźnia, pełna groteskowych wizji, rozszalała się, gdy tego wieczoru dziewczyna nie przyszła z kolacją.

## XVIII

Maria wyszła z grodu, zastanawiając się, czy zdoła kiedykolwiek naprawić szkody, jakie poczyniła, rozmawiając tak bezczelnie z bratem. Czy mogła po czymś takim wrócić do domu, wiedząc, co się w niej kryło?

Zaciskała dłoń na krzyżu i rozglądała się po ciemniejącym lesie. Wyszła z Narwi, nie podawszy wieczery Josefowi, ponieważ nie chciała odpowiadać na jego pytania - te wypowiedziane i te skryte.

Wierzyła, że znała odpowiedzi, i bardzo ją one przerażały.

Mogę wrócić - pomyślała. Mogę udawać, że nic się nie stało.

W jej pamięci zdarzenia poprzedniego wieczoru już się nieco rozmyły i upodobniły do koszmarne go snu. Zgasła wściekłość, która w niej wtedy płonęła, zostawiając po sobie tylko popioły.

Zapadał zmierzch, a jej brat powinien już zbliżać się do murów. Przyglądała się niebu, myśląc o tym, jaką katastrofą byłoby jego spotkanie z Darienem. Pamiętała, jak bez wysiłku pokonał Łukasza, i nie chciała, żeby coś podobnego stało się z Władysławem.

Mocniej zacisnęła dłoń na krzyżu, myśląc o drugim powodzie, dla którego wyszła wcześniej - i sama.

Odwróciła się i ruszyła wokół grodu, przechodząc na jego północną stronę, gdzie nie było bram ani ścieżek, tylko pofałdowane pastwisko kończące się ścianą gęstego lasu. Przeszła przez pastwisko, oddalając się od twierdzy, od brata i od Dariena. Pokonała niski, kamienny murek i pomaszerowała na północ między drzewami.

Jej serce biło jak oszalałe, a na twarzy pojawił się rumieniec. Po przejściu stu kroków wreszcie była zupełnie sama. Objęła się ciasno rękami, opierając się ukłuciom strachu.

Nie jestem grzesznicą - pomyślała, czując drżenie oddechu i mrowienie ciała czekającego na...

- Muszę wiedzieć... - wyszeptała.

Czy była to tylko jakaś dzika fantazja? Czy naprawdę ona?



Zdjęła buty i położyła je pod drzewem. Zrzuciła pas, suknię i koszulę, ostrożnie układając ubrania tak, by się nie pobrudziły. Przez prawie pół minuty stała, nie mając na sobie nic oprócz otrzymanego od ojca krzyża. Wiatr chłodził, jej naga skórę i odruchowo osłoniła się rękami, choć jedyne obserwujące ją oczy należały do ptaków i owadów.

Zadygotała, tylko częściowo z powodu zimna.

Potrzebowała dużo czasu na zebranie odwagi i zdjęcie krzyża. Gdy w końcu ściągnęła łańcuszek z szyi, zrobiła to bardzo powoli. Przytrzymała go w dłoniach i pocałowała, po czym położyła na złożonym ubraniu.

- Boże, dopomóż - szepnęła.

Zrobiła krok do tyłu i stanęła przed drzewem, pod którym złożyła odzież. Czuła się okropnie, bluźnierczo, grzesznie. Nie z powodu nagości, ale tego, co czuła w sobie. Tego, czego pragnęła.

Mówiła sobie, że wcale nie chce tego czegoś wewnątrz niej. Chciała, by okazało się to snem, jakimś urokiem, który oszukał jej wspomnienia lub zniekształcił to, co widziała, czuła i słyszała. Nawet jakiś rodzaj szaleństwa byłby mniej groźny dla jej duszy, bo wariatka jest niewinna w oczach Boga i Kościoła.

Wyciągnęła ramiona do otaczającego ją lasu.

- Czy to ja? - wyszeptała do ciemniejącego nieba.

Nawet opętanie przez jakiegoś demona... na to też nie miała wpływu, ale mogłaby poprosić o pomoc Kościoła. Egzorcysta wygnałby zło, które ją posiadało.

- Czy to ja? - powtórzyła głośniej, patrząc w górę, ku Bogu.

Nie powinna tego chcieć. Nie powinna chcieć czuć tej olbrzymiej siły.

Nie powinna.

Ale chciała.

- Czy to ja? - krzyknęła.

I choć Bóg nie odpowiedział, zrobiło to jej ciało. Ból trzasnął jak bicz, zniekształcając jej głos w krzyk na bezdechu. Nagłe uderzenie bólu zdawało się wychodzić poza nią, odbijając się echem w lesie, uciszając owady i płosząc ptaki, zrywające się w apokaliptycznym łopocie skrzydeł.

Tym razem bez pochłaniającej ją furii poczuła, jak ożywa każda kość jej ciała, wykręcając się i rosnąc, przesuwając się między mięśniami i ścięgnami w pulsującym tańcu pod skórą. Padła na kolana i wciągnęła drżący oddech. To, co wkrótce poczuła, nie było zwyczajnym bólem. Każde włókno jej ciała krzykiem przypominało o swoim istnieniu, każdy nerw był niczym oko wpatrzone w słońce.

Przyglądała się swoim dłoniom, które wydłużały się, ciemniały i pokrywały kruczoczarным futrem, paznokcie zaś przekształcały się w szpony żłobiące bruzdy w ziemi. Próbowwała krzyczeć, ale jej usta i nos opadły, spychane przez rosnący pysk. Każdy ząb ruszał się i zaostrzał, w czasie gdy jej nogi zginały się i zmieniały kształt.

Całe ciało przekształcało się w narastającej spirali cierpienia.

A potem przemiana ustała.

Gdy nadeszło uwolnienie, odczuła drżący orgazm w samej głębi swej istoty - w jednej chwili dokonało się ekstatyczne odwrócenie wszystkiego, przez co właśnie przeszła. Uczucie sprawiło, że padła na ziemię, dygocząc i jęcząc. Pomniejsze wstrząsy szarpnęły jej ciałem jeszcze pięć czy sześć razy, zanim mogła się ruszać bez drżenia.

Kiedy przemiana się dopełniła, leżała, dysząc ciężko, na słodko pachnących świerkowych igłach, pokrywających leśną ziemię. Przez kilka chwil nie potrafiła myśleć o niczym poza tym, co przed chwilą czuła - przemiana była równocześnie najwspanialszą i najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przeżyła.

- To naprawdę ja - wyszeptwała zaskoczona, że wciąż potrafi mówić.

Otoczający ją las też uległ przemianie. Zapach drzew zrobił się ostrzejszy, głębszy, pełen śladów, których smak prawie czuła. Nawet powietrze było inne, poruszało teraz jej futrem, zamiast gładzić nagą skórę. Kolory wieczoru wydawały się głębsze i powabniejsze.

Dźwignęła się z ziemi i uświadomiła sobie, że las wokół niej ucichł. Oparła się na zadzie i przesunęła nowymi, dziwnymi dłońmi po twarzy. Szorstkie poduszcзки na palcach wyczuły wąski pysk i futrzaną grzywę na szyi. Dotknęła zimnego nosa i sterczących uszu.

Zadrzała, uświadamiając sobie, że to nie sen. Wezwała to coś z wnętrza siebie. Nie ruszała się bardzo długo, czekając, aż stwór narzuci jej swoją wolę, aż poczuje pochłaniającą wszystko furie.

Oblizwała wargi, przesuwając długim, cienkim językiem po zębach i wąskim pasku nagiego ciała. Rozciągnęła nienaturalnie ręce, aż trzasnęły stawy i zamrowiły ją szpony na czubkach palców. Jednak wola tego stworzenia nie przybyła, by otumanić jej umysł.

Zaczęło do niej docierać, że ten stwór jest nią: to jej kości, jej ciało, skóra, futro, zęby i szpony...

Jej wola. Jej myśli. Jej złość.

I jej dusza.

Sięgnęła do złożonego ubrania i podniosła srebrny krzyż. Spodziewała się niemal, że ją poparzy albo gwałtownie przegna potwora, który przejął jej ciało. Pomyślała, że powinien uderzyć piorun - albo otworzyć się ziemia.

Jednak kiedy dotknęła krzyża, nie stało się nic dramatycznego.

Trzymany przed twarzą metal wydawał się krwistoczerwony w świetle zachodzącego słońca. Wyszeptała modlitwę do Boga, prosząc o wybaczenie, siłę i zrozumienie. Bóg nie zbeształ jej za takie słowa, wychodzące z nieludzkich ust, ale też jej nie odpowiedział.

- Chcę znowu być sobą - wyszeptała.

Próbowała wysiłkiem woli zmienić się z powrotem w kobietę, którą była dotąd, ukryć bestię z powrotem w sobie.

Jednak nic się nie stało.

Jej serce przyspieszyło. Co będzie, jeśli zrobiła coś złe, złamała jakieś zasady? Co będzie, jeśli na zawsze już zostanie zamknięta w tej potwornej postaci?

*Nie. Proszę, Boże, nie...*

Skupiła się, napięła mięśnie i spróbowała ponownie poczuć ekstatyczny ból transformacji, ale nic się nie stało. Coś w jej nowym ciele sprawiało, że emocje łatwiej narastały, przybierały na sile i poczuła, że strach i furia atakują ją niczym spanikowany rumak bojowy.

- Przestań! - warknęła do samej siebie.

Ale nie mogła się przemienić z powrotem. Zrobiła to za pierwszym razem, nawet o tym nie myśląc, a jeśli nie mogła tego zrobić teraz, musiał być jakiś powód. Nie należało ulegać panice, tylko się zastanowić.

„Spokojne serce” - powiedział Darien.

Na wspomnienie o nim znów zaczął się w niej budzić gniew. To Darien sprowadził na nią to przekleństwo, mówiąc, by zdjęła krzyż.

Popatrzyła na krzyż, wciąż zwisający z jej szponiastej, porośniętej czarnym futrem dłoni.

*Czy naprawdę to on powstrzymuje potwora przed staniem się mną?*

Czy krzyż mógł także powstrzymywać potwora od odejścia? To nie miało sensu. Jeśli krzyż trzymał potwora na dystans, nie powinien go również przeganiać... Czy nie powinien zmusić jej ciała do przybrania naturalnego kształtu?

- Czy to krzyż? - zapytała.

„Czy to srebro? - zapytał Josef. - Łańcuszek także?”

„Używają tych srebrnych łańcuchów do spętania cię” - powiedział Darien.

Podobno srebro ma władzę nad istotami nadnaturalnymi. Czy możliwe, że to nie Bóg trzymał w uśpieniu tkwiącą w niej bestię, lecz metal, z którego wykonano krzyż? A może on wcale nie zatrzymywał bestii, tylko jej zdolność przemiany?

- Moją zdolność przemiany - wyszeptała.

Delikatnie odłożyła otrzymany od ojca krzyż na złożone ubranie i przyjrzała się, jak na nim leży. Potem cofnęła rękę i wciągnęła powietrze, ponownie próbując zagnać bestię do swego wnętrza.

Tym razem jej ciało odpowiedziało z obezwładniającą siłą. Padła na plecy, przewracając się na wilczych nogach. Czuła się tak, jakby całe jej ciało się stopiło i wyciekało przez dziurę gdzieś w jej środku. Czuła ból, ale nie orgazmiczną agonię bestii. Uczucie, które ją ogarnęło, przypominało wrażenie rozluźnienia od dawna napiętego mięśnia.

Rozłożyła się na sosnowych igłach, naga i spocona.

Podniosła dłoń, by dotknąć twarzy i stwierdziła, że usta ma ludzkie. Przesuwając palcami po szczęce i policzkach, wyczuła tę samą twarz, którą miała całe życie. Niepewnie wstała i popatrzyła na siebie, widząc te same piersi, brzuch, uda, kolana i stopy co zwykle.

Nie było żadnego śladu stwora.

Przynajmniej na jej ciele. Obok niej w ziemi głęboko odcisnęły się ślady w miejscu, w którym stwór - czyli ona - przykucnął, przysiadając na zadzie. Ślady wyglądały jak rozpostarte tylne nogi olbrzymiego psa lub wilka. Tylko jedna para, brak było odcisków prowadzących do lub z tego miejsca.

Schyliła się i prześledziła palcami obrys śladów. Jeśli potrzebowała potwierdzenia, że nie jest szalona, że to, co widziała i czuła, istniało naprawdę poza jej głową oto był dowód, odcisnięty w leśnej ziemi.

Wbiła palce w wilgotną ziemię i zatarła odciski łap, wypełniając je, ubijając, usuwając wszelki ślad ich istnienia.

Gdy otrzepała skórę z igieł i ziemi i ponownie się ubrała, w lesie znowu rozbrzmiały śpiewy ptaków. Najwyraźniej one również uznały, że stwór odszedł.

\* \* \*

Wyszła z lasu niepewna, gdzie właściwie idzie. Po jakimś czasie znalazła się pod murami grodu, ponieważ było to najbliższe miejsce, do którego знаła drogę. Obeszła umocnienia do południowej bramy i popatrzyła na ścieżkę prowadzącą z powrotem do jej rodzinnego domu.

Jak mogła tam wrócić? Nie tylko uciekła bratu, ale po powrocie musiałyby rozmawiać z macochą. Jak mogła to zrobić, wiedząc, jakie tajemnice macocha przed nią ukrywała? Zawiesili jej na szyi ten krzyż, nie dając nawet najmniejszej wskazówki dotyczącej przyczyny. Zadrżała, gdy pomyślała, co mogłoby się stać, gdyby Łukasz zerwał jej ten łańcuszek.

Jej pierwsza przemiana wynikała z bezmyślnej furii. Gdyby Darien był choć odrobinę

powolniejszy...

Nie, przecież go uderzyłam.

Była tak pochłonięta przemianą, której wtedy doświadczyła, że nie myślała zbyt o tym, co sama zrobiła. Teraz jednak, gdy sama wywołała tego stwora, wiedziała już, że to nie była wizja ani koszmarny sen. A skoro tamta transformacja była prawdziwa, musiała przyjąć, że i uderzenie w plecy Dariena było równie rzeczywiste.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie tę scenę: jej skok na niego, szponiasta ręka uderzająca go w plecy, pazury wbijające się głęboko w mięśnie. Czuła, jak szarpie i rozrywa jego ciało. Widziała, jak pada na ziemię powalony siłą uderzenia. Mogła go zabić.

- Mario?

Odwróciła się gwałtownie z szeroko otwartymi oczami, spodziewając się zobaczyć za sobą Dariena.

- Josef? - To imię nieoczekiwanie wyrwało się jej z ust, zanim w pełni uświadomiła sobie, kto tam stoi, z bladą i ściągniętą twarzą, z ciałem przechylonym lekko na prawo i dłonią przyciśniętą do brzucha tuż nad pasem.

Wszystkie jej myśli się splątały. Podbiegła do niego i chwyciła za rękę, by go podeprzeć.

- Nie powinieneś wychodzić z łóżka, Josefie.

- Nic mi nie jest. Rany już się goją.

Wcale nie wyglądał dobrze. Był silny, ale czuła spięcie jego ramion i słyszała ból przy ostrożnie wciąganych oddechu, niezależnie od tego, jak bardzo chciał to ukryć. Wyobraziła sobie, że potrafi nawet wyczuć zapach jego cierpienia.

*Proszę, nie rób sobie krzywdy, Josefie. Tracę wszystko. Nie pozwól, żebym straciła również siebie...*

Jednak zaczynało już do niej docierać: to ona była tym, na co polował zakon.

Jej serce ścisnęło się, gdy uświadomiła sobie, że być może nigdy więcej go nie zobaczy. Wiedząc, czym jest, będzie musiała opuścić to miejsce. Niewylane łzy napłynęły jej do oczu, gdy ze wszystkich sił zmusiła się, by zabrzmieć stanowczo i pogodnie.

- Jeśli będziesz się tak włóczył, twoje rany nigdy się nie zagoją. Chodź, zabiorę cię z powrotem do izby.

- Nie. - Odsunął się, rezygnując ze wsparcia, i stanął przed nią, ujmując jej dłoń. - Musisz iść do domu, zanim zgaśnie całe światło dnia.

Popatrzyła mu w twarz, pragnąc zapytać, skąd wie, kim ona jest.

- Czy w nocy w tych lasach kryje się coś, czego nie ma tam za dnia? - zapytała szeptem.

- To coś lubi mrok - odpowiedział, spuszczaając wzrok i przenosząc spojrzenie w stronę

lasu. - Jest tam i teraz, ale jeśli ma wybór, woli zaskoczenie; morduje swoje ofiary bez ostrzeżenia.

- Josefie, sam mówiłeś, że nie możesz...

- Słuchaj! - warknął. - Sprzeniewierzam się wszystkiemu, do czego mnie wdrożono, by ci to powiedzieć. To coś poluje w ciemności, napadając swoje ofiary w ciemnych chaszczach. Może wyglądać jak człowiek, choć nim nie jest. Nie ufaj obcym. A co najważniejsze tylko srebro może je naprawdę zranić.

Uderzyło ją to jak cios pięścią: gojący się w nocy siniak i wciąż szczypiące na dłoni rany po skaleczeniu krzyżem. To była ona.

*D... dlaczego mówisz mi to teraz?*

Czyżby wiedział o tym, co działo się z nią w lesie? Czy wiedział, że jest potworem, o którym mówi?

- Bałem się o ciebie. Nie przyszłaś dzisiaj wieczorem i pomyślałem, że zniechęciło cię moje milczenie. Bałem się, że straciłem szansę, by cię chronić.

Wcisnął jej coś w dłoń. Spojrzała w dół i zobaczyła srebrny sztylet. Trzymał go dotąd w dłoni przyciśniętej do brzucha.

- Co to...

- Ciicho... Weź to. To jedyna ochrona, jaką mogę ci zaoferować, pozostając w gościnie u księcia. Jednak gdy Bolesław uzna słuszność naszego polowania, dobijemy to coś.

- To coś... - wyszeptwała. Mnie - pomyślała.

- Wiem, że musiałaś podejrzewać jego obecność, widzieć je choćby przelotnie, skoro mówiłaś o wilkach. Może więc moje nieposłuszeństwo zostanie mi wybaczone. Wolałbym raczej nosić taką winę na sumieniu, niż żeby cokolwiek miało się stać tobie.

Potem schylił się i pocałował ją w czoło, a dotyk jego warg na skórze wywołał nagły przypływ emocji - wręcz zgiełk, który mógłby wywołać z jej wnętrza tkwiącego tam wilka, gdyby nie trzymało go w szachu srebro na jej piersi. Zamiast tego pozostała jej tylko drżąca słabość; zatoczyła się do tyłu, kiedy on się odwrócił, by wrócić do grodu.

Pośpiesznie ruszyła ścieżką do domu, zanim wartownicy przy bramie zauważyli broń w jej ręku - albo Josef dostrzegł łzy na jej policzkach.

- Dziękuję - wyszeptwała.

## XIX

Władysław czekał na nią, siedząc na kłodzie na skraju lasu.

Zatrzymała się na jego widok.

Wstał, schylając się, by podnieść topór.

- Wróciłeś... - odezwała się.

- Jesteś moją siostrą.

Podbiegła do niego ze łzami w oczach i rzuciła mu się na szyję.

- Przepraszam.

Poklepał ją po plecach.

- Wybaczam ci. - Odkaszlnął i dodał: - A teraz puść, bo mnie udusisz.

- Myślałam... - powiedziała, puszczając go.

Władysław się roześmiał.

- Trzeba by czegoś więcej niż trochę krzyku, żebym długo się na ciebie gniewał. Ale kim był ten mężczyzna przy bramie?

Maria znieruchomiała, niepewna, co odpowiedzieć. Kiedy zobaczyła pytanie w oczach brata, odwróciła się, by ukryć rumieniec.

- To... Josef - wyznała. - Ma na imię Josef.

- Widziałem, że dał ci jakąś błyskotkę...

- Dał mi sztylet, żebym się mogła bronić. Podobnie jak ty, za bardzo się o mnie martwi.

- Ho, ho... Takie zainteresowanie musi ci bardzo schlebiać - rzucił, ale w jego stwierdzeniu zabrzmiała nuta podejrzliwości. Zabolało ją tym bardziej, że zdawała sobie sprawę, że brat wie, co mówi.

Spróbowała odpowiedzieć na niezadane pytanie.

- Josef złożył śluby zakonne. Został ranny, a ja się nim opiekuję...

- Chcesz powiedzieć, że to jeden z Niemców?

- ...i myślę, że chciał mi się odwdziżyć - dokończyła Maria, ignorując narastający niepokój Władysława.

- Czy muszę ci przypominać, Mario...

- Nie, nie musisz - warknęła.

Był taki czas w jej życiu, gdy troska brata o jej czystość mogła sprawić, że ze wstydu i zakłopotania zapadłaby się pod ziemię. Dzisiaj, po wszystkim, co przeżyła w lesie, jego przejście się opieką Josefa było poniżej jej godności i musiała bardzo się pilnować, by jej frustracja nie przerodziła się w złość na kogoś, kto na ani jedno złe słowo nie zasługiwał.

Otwarł usta, ale gdy popatrzyła na niego, coś w jej twarzy powstrzymało go od zgłębiania sprawy. Przez kilka chwil szli w milczeniu, aż w końcu się odezwał:

- Mogę go zobaczyć?

Maria podała mu sztylet rękojeścią do przodu, a Władysław wyciągnął ostrze przed siebie. W wieczornym świetle zabłysła wypolerowana klinga broni. Teraz dopiero zobaczyła ozdoby i niemiecki tekst wygrawerowany na ostrzu. Sztylet wyglądał bardziej na ozdobę niż broń.

Władysław prychnął, wyraźnie rozzłoszczony.

- I niby przed czym ma cię to chronić?

*Przed tym samym diabłem co krzyż wiszący na mojej szyi.*

Maria nie potrafiła zmusić się do odpowiedzi. Nie mogła powtórzyć słów Josefa - nie po tym, jak dowiedziała się, na co polowali Niemcy. Nie potrafiła też zmusić się do kolejnego kłamstwa.

- Mario?

- Władysławie - odezwała się w końcu - czy znałeś moją matkę?

- O co ci chodzi? Matka jest... - Urwał na chwilę, a potem spłynęło z niego całe napięcie.

Złość na jego twarzy zmieniła się w smutek i powiedział jedno krótkie: - Ach...

Maria poczuła przypływ fali miłości do niego za tę chwilę niezrozumienia.

- Wiesz coś o niej? - zapytała.

- Miałem wtedy tylko dwa lata...

- Tata nigdy o niej nie mówił?

- Nie mnie. - Oddał jej sztylet. - Przykro mi.

Maria kiwnęła głową i wzięła sztylet. Kiedy go zabrała, wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

- Proszę, jeśli będziesz rozmawiać o tym z mamą, bądź dla niej dobra. Cokolwiek się stało, nie była to jej wina.

- Obiecuję. - Popatrzyła na brata, który spoglądał w stronę domu. Wieczorny półmrok przechodził w czerń nocy i jego twarz okryta była już cieniem, który utrudniał odczytanie



emocji. - Czy jest coś, czego mi nie mówisz?

- Naprawdę nie wiem nic o twojej matce...

- Ale wiesz coś o mnie?

- Mogłem mieć wtedy pięć lat... - odezwał się po dłuższej chwili - a ty jakieś trzy, gdy pierwszy raz założyłaś na szyję ten krzyż. Pamiętasz, co się wtedy stało?

Maria pokręciła głową.

- Myślałam, że mam go od zawsze. - Sięgnęła w górę i dotknęła wiszącego na szyi łańcuszka.

Brat przechylił głowę i powtórzył jej gest własną dłonią, przesuwając palcami wzdłuż śladowej blizny na swoim karku.

- To naprawdę nie była twoja wina. Z jakiegoś powodu uznałem, że szarpanie cię za włosy to świetna zabawa.

- Ja to zrobiłam?

- Ale dopiero kiedy doprowadziłem cię do łez. Opuścił rękę. - Nie pamiętam wiele z tego, co stało się po tym, jak przestałaś płakać. Ale zdecydowanie nauczyłaś mnie, gdzie moje miejsce.

Serce Marii szybciej zabiło w piersi. Od kiedy Darien uwolnił w niej to coś, najbardziej bała się, że mogłaby skrzywdzić swoją rodzinę. Nie przyszło jej do głowy, że mogła już kiedyś to zrobić.

- Skrzywdziłam cię?

- Nic poważnego. Zadrapania i siniaki... podbite oko i ugryzienie w kark...

- Panie, miej litość.

- Proszę, nie przejmuj się. To było szesnaście lat temu.

Jego zapewnienia nie pomogły jej się uspokoić. Jeśli się przemieniła i ugryzła go w szyję, mogła go zabić.

- Potem tata dał mi ten krzyż, prawda?

- Właściwie to mama... - Urwał i westchnął. - Miałem gorączkę, leżałem w łóżku i myśleli, że śpię. Nigdy nie wyprowadziłem ich z błędu. Przez jakiś czas myślałem, że to wszystko mi się śniło...

- Co takiego?

Władysław bardzo długo milczał, a panująca wokół cisza do ostatnich granic naprężyła nerwy Marii. Coś małego i zimnego mówiło jej, że nie chce wiedzieć, co takiego mogło się przyśnić jej bratu.

- No więc co? - zapytała w końcu.

- Nie powinienem...

Chwyciła go za rękę, zatrzymując, obróciła twarzą do siebie.

- Powiedz!

- Tata chciał się ciebie pozbyć... - wyznał w końcu Władysław.

Maria puściła jego rękę i cofnęła się, a on szybko mówił dalej.

- Mama i tata się kłócili. Krzyczeli na siebie. Tata był przerażony z powodu tego, co się stało. Wciąż powtarzał, że jeśli umrę, to będzie jego wina, bo sprowadził cię do domu. Mama przekonała go w końcu, żeby nie porzucał cię w lesie. Odeszła tej nocy, zmusiwszy go najpierw do złożenia przysięgi, że będzie dbał o nas oboje. Nie było jej przez dwa miesiące. Kiedy wróciła, miała ze sobą twój krzyż.

Urwał, prawdopodobnie spodziewając się, że Maria będzie protestować, krzyczeć, upierać się, że tata nie mógł jej zrobić czegoś takiego, że nie mógł tego powiedzieć. I jeszcze wczoraj mogła się tak zachować.

- Tak więc ona przyniosła ten krzyż?

- Tak. Nie wiem, skąd go wzięła. Nigdy nie pytałem o tę noc. Nie sądzę, żeby tata albo mama wiedzieli, że ich słyszałem.

- Mnie nigdy tego nie powiedziałaś...

- Gdyby on jeszcze żył, milczałbym dalej. - Potrząsnął głową. - Bo i czemu ma służyć ta historia? - Tata spędził resztę życia, próbując odkupić tę noc.

*A ostatniego dnia na ziemi uwierzył, że wszystko to poszło na marne.*

Może powinna czuć złość na ojca za pomysł, by porzucić ją w lesie. Ale nie mogła. Teraz rozumiała, czego bał się ojciec, nawet jeśli nie wiedział tego jej brat. Rozumiała też, że w opowieści znacząco zbagatelizował powagę wyrządzonych przez nią ran. Nie pamiętał samego ataku, a rany, które mu zadała, wywołały u niego ciężkie zakażenie i na wiele dni przykuły go do łóżka.

Jakim ciosem musiało być dla ojca odkrycie faktu, że jedno z dzieci prawie zabiło drugie? O ile cięższe musiało być poczucie winy, skoro atakującym było dziecko z nieprawego łoża, które sam sprowadził do domu?

Maria nie potrafiła sobie wyobrazić, przez co musiał przechodzić.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. - Znowu ruszyła ciemną ścieżką.

- Chcesz o tym porozmawiać z matką? - zapytał.

- A ty byś tego nie zrobił?

- Pamiętaj, proszę - rzucił Władysław - że wszystko, co zrobiła, wszystko, co przed tobą zataiła, wynikało z tego, że kocha cię jak własne dziecko.

- Wiem - wyszeptła Maria, przyciskając krzyż do piersi.

\* \* \*

Macocho czekała na nich przy bramie z wyrazem troski na twarzy.

- Wyszedełś wiele godzin temu, Władysławie. Naprawdę potrzeba aż tyle czasu, żeby sprowadzić do domu siostrę?

- To nie jego wina - zapewniła Maria. - To ja za późno wyszłam z grodu, a jeszcze potem przeze mnie stanęliśmy i rozmawialiśmy.

Hanna miała wciąż pretensje do Władysława.

- Po ostatniej nocy... czemu pozwoliłeś jej...

- Powiedziałam, że to nie jego wina! - warknęła Maria.

Macocho popatrzyła na nią - i nawet brat wydawał się poruszony jej wybuchem.

- Nie podnoś na mnie głosu! - powiedziała macocha. Jednak gdy to mówiła, Maria zobaczyła w jej oczach przeblysk strachu. Prawie czuła go w powietrzu.

*Czy ten strach zawsze tu był?*

- Musimy porozmawiać o mojej matce - oświadczyła Maria.

- Ja jestem twoją matką.

Maria zauważyła, że spojrzenie Hanny szuka czegoś w jej twarzy.

- Wiesz, o czym chcę rozmawiać.

- Ty... - Hanna obróciła się do Władysława - idź, proszę, idź do domu. Muszę porozmawiać z twoją siostrą.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem - rzucił Władysław, ruszając do chaty. Zostawił Marię i jej macochę na zewnątrz, pod nocnym niebem. Wokół nich liście szumiały na wietrze, a gdzieś niedaleko zahuczała sowa.

- Mario - odezwała się macocha - są powody, dla których nigdy nie rozmawialiśmy o twojej matce. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

- A jeśli i tak już o nich wiem? - Maria sięgnęła pod koszulę i podniosła w górę noszony na szyi krzyż.

- Co ty robisz? - Hanna sięgnęła, by ją zatrzymać, chwytając za nadgarstek. Choć Maria z łatwością mogła się jej wyrwać, opuściła tylko głowę, ściągając z siebie łańcuszek.

- A jeśli wiem, czemu powinnam to nosić?

- Proszę, załóż to z powrotem. Nie wiesz...

- Boisz się, że kogoś skrzywdzę, jak skrzywdziłam kiedyś Władysława? - Maria zobaczyła narastającą w oczach macochy panikę i miała ochotę zapewnić ją, że nikomu nie

zrobiła krzywdy... ale to byłoby kłamstwo. Skrzywdziła Łukasza, łamiąc mu szczękę, i skrzywdziła Dariena, rozszarpując mu plecy. Strach był realny i usprawiedliwiony.

- Poszłam dzisiaj w głąb lasu i go zdjęłam - powiedziała macosze, zakładając z powrotem krzyż na szyję.

- Nie, proszę, powiedz mi, że...

- Czym ja jestem? - zapytała Maria. - Czym jestem i skąd się wzięłam, jak stałam się twoją córką? Czemu przyjechałaś pod swój dach coś takiego jak ja?

- Ty jesteś moją córką - oświadczyła jej macocha.

- Nie jestem z twojej krwi. Przynajmniej tyle wiedziałam przez całe swoje życie. A po tym, czym stałam się w lesie, zastanawiam się, czy mam też w sobie cokolwiek z twojego męża.

Macocha wymierzyła jej siarczysty policzek, który odbił się echem od rosnących wokół domu drzew. Maria poczuła ostre pieczenie policzka.

- Nie mów tak! Jesteś córką Karla... nigdy nie podawaj tego w wątpliwość. Nie był idealny, ale dla niego byłaś jedyną istotą, która dawała mu trochę pociechy. Macocha pociągnęła nosem, a Maria uświadomiła sobie, że kobieta płacze.

- Czy nie zasługuję na to, by się dowiedzieć? - cicho zapytała Maria.

- Owszem, zasługujesz. Ale nie chcieliśmy cię stracić.

- Nawet po tym, co się stało z Władysławem?

- Byłaś bardzo mała. Jak mogliśmy cię o to obwiniać?

- Mamo, proszę, powiedz mi, skąd się wzięłam!

# INTERLUDIUM

Anno Domini 1333

Na imię miała Lucina, ale nie pamiętała, kto nadał jej to imię. Mieszkała w głębi lasu na wschód od grodu Narew, nie zdając sobie za bardzo sprawy z istnienia mieszkających w okolicy ludzi. Mieszkańcy pobrzeży lasów - zwłaszcza ci, których rodziny żyły tu od pokoleń - wiedzieli o niej i o jej rasie. Przodkowie Luciny byli bohaterami opowieści powtarzanych przyciszonym głosem, od kiedy te ziemie stały się chrześcijańskie.

Jednak minęło już dużo czasu, od chwili gdy Lucina miała jeszcze jakąś rodzinę. I do przeszłości należały czasy, gdy przedstawiciele jej rasy występowali w tych lasach w większej liczbie. Była sama, a stare ludowe opowieści o wilkach w ludzkiej skórze nie napawały już takim przerażeniem, nie odstraszały tak bardzo głodnych ludzi, którzy musieli napęłnić spizarnie.

Lucina obserwowała tych ludzi, próbujących polować z żalosną nieudolnością. Czasami patrzyła na nich oczami wilka, czasami kruczowłosej dziewczyny. Widziała, jak przychodzą do jej lasu i znacznie częściej niż ze zdobyczą, odchodzą z pustymi rękami.

Obserwowała, kierując się nie wrogością, lecz ciekawością i głęboką samotnością. Była ostatnią przedstawicielką swego rodzaju w tych lasach i sądziła, że być może ostatnią na całym świecie. Wszyscy mężczyźni, którzy przychodzili tu polować, mieli domy, do których mogli wracać.

Dom był dla Luciny nieznanym pojęciem, podobnie jak konieczność chwytania ofiary w pułapkę albo ustrzelenia jej z łuku.

Każdej zimy narastała jej rozpacz. Zawsze już będzie sama, coraz bardziej też zazdrościła tym ludzkim kobietom, które wysyłały swoich mężczyzn, żeby paradowali przed jej nosem. Dlaczego? Co takiego mogły dać te kruche ludzkie kobiety, czego nie mogła dać ona? Była silniejsza od nich, szybsza, polowała lepiej niż ci biedacy...

W końcu uznała, że nie ma powodu, by nie mogła mieć tego co one. Gdy już podjęła decyzję, zaczęła się przyglądać myśliwym w nowy sposób, szukając kogoś, kogo mogłaby kochać, kogoś, kto odpowiedziałby tym samym. Przyglądała się ich ruchom, temu, jak polują, i sposobowi, w jaki noszą swoją zdobycz.

I pewnego dnia, krótko po nastaniu zimy, gdy śnieg ledwie przyprószył zasłaną igłami leśną ściółkę, zobaczyła mężczyznę, który mógł zostać jej partnerem. Miał szerokie ramiona i wydawał się wyrastać ponad wszystkich, którzy odważyli się wejść w głąb lasu.

Roztaczał też męską woń, od której Lucina oblizywała wargi w podnieceniu.

Oto mężczyzna, który uwolni ją od samotności.

\* \* \*

Kiedy Karl ją zobaczył, padał lekki śnieg. Lucina stała na polance w przyprószonej białą czerwonej pelerynie, którą ukradła z chaty stojącej blisko lasu. Uśmiechała się do niego spod kaptura, wciągając jego zapach i obserwując go.

Stała między nim a zabitym jeleniem. Świeżo upolowane zwierzę leżało powalone na śniegu, powoli krwawiąc z rany, którą zadała mu Lucina, wgrzając się w szyję.

- Co tu się dzieje? - zapytał. - Kim jesteś i czemu stoisz sama pośrodku lasu?

- Jestem Lucina - odpowiedziała głosem ochryłym od nieużywania. - Ten las jest moim mieszkaniem.

- To niebezpieczne. W okolicy wciąż może krążyć zwierzę, które zabiło tego jelenia.

Podeszła do niego i położyła dłoń na jego piersi. Kiedy jej peleryna się rozchyliła, stało się jasne, że nie ma na sobie nic więcej. Zaparło mu dech w piersi, a w jego zapachu Lucina wyczuła, że spodobało mu się to, co zobaczył. Nachyliła się do niego i wyszeptwała, ocierając wargami o jego ucho:

- To ja go zabiłam. - Nie poruszył się ani nie odezwał, gdy jej dłoń wsunęła się pod jego koszulę. - Chcesz kawałek?

- To... twoja zdobycz?

- Wyczułam zapach tego rogacza, wytropiłam go i zębami pozbawiłam życia. - Przesunęła językiem po uchu mężczyzny, wyczuwając pierwszy ślad strachu.

- Ktoś ty? - zapytał.

- Przecież wiesz - odpowiedziała. - To mój las. - Pieściła go, przesuwając dłoń po jego piersi. - Chcesz kawałek mojej zdobyczy?

- O co mnie pytasz?

- Może udziec? To mięso wystarczy do nakarmienia kilku osób.

- Oddałaś mi go?

Przesunęła twarz tak, że ich wargi niemal się zetknęły.

- Ale w zamian za coś...

- Co?

Jej dłoń przesunęła się niżej, do jego spodni.

- Chcę wytchnienia od samotności - powiedziała i pocałowała go.

Mógł to być strach, szok, myśl o głodnej rodzinie albo po prostu żar tak bliskiej skóry Lucyny. Może samotność tak silnie emanująca z każdego wypowiedzianego przez nią słowa. A może po prostu fakt, że Karl był mężczyzną, a mężczyźni są słabi.

Niezależnie od powodów, Karl nie odsunął się od Lucyny, gdy jeszcze mógł. Posmakował jej ust i pozwolił jej położyć swoją dłoń na nagiej piersi. Jej peleryna opadła, a ona pociągnęła go na dół, na pokrytą śniegiem ziemię, i pograżyła go w głębi swojej samotności.

Tej zimy przychodził do niej wiele razy i za każdym razem jej serce robiło się pełniejsze od jego obecności. Dla niego była ukrywanym grzechem, duchem z innego świata, składającego się z drzew, zakrwawionych zwierzęcych tusz i kochania się na śniegu. Dla niej był powodem do życia, radością i mężem w takim sensie, w jakim potrafiła zrozumieć to pojęcie. Nie rozmawiali wiele - on pograżał się we śnie na jawie, ją pochłaniała obsesja niedająca się wypowiedzieć słowami.

W coraz pełniejszym sercu Lucyny nie było wątpliwości, że gdy następnym razem Karl wróci w jej objęcia, powie jej, że już z nią zostanie. Ta nadzieja pozwoliła jej przetrwać mroźną zimę. I nadzieja ta umarła wraz z nadejściem wiosny.

Gdy śnieg stopniał, a ziemia zrobiła się miękka, mężczyźni, którzy odważali się zapuszczać w głąb lasu, zostali na polach, by orać ziemię i doglądać pól, których plony miały im pozwolić przetrwać, wraz z rodzinami, kolejną zimę. Nie było komu wytłumaczyć tego Lucynie, albowiem pomimo obserwacji mężczyzn w lesie i słuchania ich rozmów nie rozumiała, co się tak naprawdę dzieje. Wiedziała tylko, że gdy pojawiły się pierwsze pączki, Karl przestał do niej wracać.

Wiele razy stała w czerwonej pelerynie obok upolowanej przez siebie zwierzyny. Atakowała coraz większe sztuki, jakby próbowała tym zachęcić Karla - jelenie, łosie, a nawet niedźwiedzie.

W miarę jak mijały miesiące, jej serce kurczyło się, a rósł brzuch.

Gdy nadeszło lato i nasienie Karla urosło w łonie Lucyny, jej serce stało się mroczne i zimne. Pograżyła się w izolacji gorszej od samotności, przed którą starała się uciec. W ciężarnym stanie utraciła możliwość przemiany i biegania w postaci wilka. Polowanie stało

się trudne i bardzo wychudła.

Gdy wreszcie urodziła, towarzyszyły temu krew, krzyki i cierpienie. Jednak przeżyła, ponieważ mogła znieść znacznie cięższe urazy i rany niż jakakolwiek ludzka kobieta. Powiła troje dzieci, same dziewczynki. Zlizując krew z córek Karła, uznała, że ten człowiek będzie musiał pomóc jej w opiece nad dziećmi. A to oznaczało, że nie może już żyć z dala od niej.

\* \* \*

Znalazła gospodarstwo Karła pośrodku potężnej burzy pod sam koniec pory zbiorów. Z kłębiącego się i czarnego jak atrament nieba spadał lód klujący jak igły. Wiatr wył i szarpał z siłą, która mogłaby prawie oderwać ciało od kości.

Jednak jej wycie było głośniejsze niż burza, głośniejsze od grzmotów. Karl usłyszał ją, kuląc się wraz z rodziną w chacie. Z początku nie chciał się przyznać przed sobą, że wie, kto wydaje te okropne, przerażające dźwięki.

Jednak wiedział.

Choć nigdy nie widział swojej nierealnej zimowej kochanki w postaci innej niż ludzka, wiedział. Tak samo jak zdawał sobie sprawę, że jego schadzki nie były snem, a las, w którym się odbywały, nie był magicznym królestwem z bajek.

Kupił coś więcej niż mięso, za znacznie wyższą cenę.

Karl wziął topór i polecił żonie chronić ich małego synka, zaprzeć drzwi i okiennice i nie wpuszczać nikogo do środka przed świtem - nawet jego. Potem wyszedł z chaty, by stanąć naprzeciw bestii, która wołała go wśród burzy.

Stała przed chatą, czekając na niego. Była naga, ale już nie w ludzkiej postaci. Wargi, które przyjmowały jego pocałunki, wywinęły się w groźnym warkocie dzikiej wilczycy. Pieszczące go kiedyś dłonie porastało teraz czarne futro, a ich długie palce kończyły się zagiętymi szponami. Obejmujące jego ciało uda stały się teraz wykrzywionymi nogami wilka.

Nie chciał jej znać. Chciał, by ten wygląd był dla niego czymś nowym i nieznanym. Jednak spojrzał jej w oczy i zrozumiał, kogo i co ma przed sobą.

- Zostawiłeś mnie! - Jej głos, zawsze chropawy z braku praktyki w rozmowie, brzmiał teraz niczym warkot.

- Musiałem zająć się polem... - Wypowiadane przez Karła słowa były puste. Prawda, to ona przysłała do niego. To ona dotknęła wargami jego ust... ale on nigdy się przed tym nie cofnął. Nigdy nie powiedział, że ma rodzinę, żonę i syna. Ponieważ tamta sytuacja wydawała się nierealna, udawał, że to nie dzieje się naprawdę. Że skoro nie była człowiekiem, cała sprawa nie miała znaczenia.



A odczuwane teraz przerażenie wynikało bardziej z tego, czego dopuścił się ze stojącym przed nim potworem. Dyszała, a para biła z jej pyska, podświetlona błyskawicą, tak jak czarne, zmatowiałe od lodu futro.

- Zostawiłeś mnie samą, z dziećmi. - Warknęła i zrobiła krok w jego stronę. Jego topór zwisał bezwładnie przy boku, gdy pokręcił głową, próbując zaprzeczyć prawdzie tego oskarżenia.

- Nie wiedziałem - powiedział w końcu, gdy ostrza padającego lodu zdarły łyzy z jego policzków.

- Urodziłam twoje szczenięta sama, w jaskini i owinęłam je w skórę niedźwiedzia, którego zabiłam dla ciebie.

Stała przed nim, niewiele wyższa od niego i wychudzona z głodu, wciąż jednak zdawała się nad nim dominować. Gdy warczała, czuł jej oddech na twarzy.

- Nie wiedziałem - powtórzył, jakby były to jedyne słowa, które mu pozostały.

- Zajmiesz się naszymi dziećmi.

Kiedy patrzyła mu w twarz, widział przed sobą głowę wygłodzonej wilczycy, z lodem siwiejącym na futrze i pyskiem wykrzywionym ze złości. Jednak oczy należały do niej i widział w nich ból i samotność.

- Tak - powiedział.

Stwór przed nim zamarł, jakby nie do końca rozumiał to słowo. Przestała odsłaniać zęby w warkocie i cofnęła się od niego.

- Wrócisz ze mną. Do swoich córek.

- Pójdę z tobą - potwierdził Karl. Pomyślał o swojej żonie i dziecku, zabarykadowanych w chacie. Nie mógł ich wystawić na gniew tej bestii. Lepiej, aby wilczyca dostała, czego chce, to, co wprost jej obiecał.

- Pójdiesz tam? Ze mną? - Słowa te złagodziły grymas jej nieludzkich ust, a oczy rozbłysły czymś więcej niż stopionym lodem. W błysku pioruna Karl miał wrażenie, że widzi część jej pyska wykrzywającą się w melancholijnym uśmiechu. - Nasze dzieci są piękne.

- Zabierz mnie do nich - powiedział, cały czas myśląc o swojej żonie i dziecku ukrytych w chacie.

I w chwili słabości obejrzał się za siebie. Gdy tylko obrócił głowę, usłyszał warkot Lucyny. Zrozumiał, że zrobił błąd.

- Kłamca.

Odwrócił się z powrotem.

- Nie, ja...

Wierzchem dłoni uderzyła go w pierś, powalając na lodowate błoto ścieżki.

- Kłamca! - wrzasnęła, kłapiąc szczękami w powietrzu. Gdy kolejna błyskawica rozświetliła jej twarz, dostrzegł w niej tylko furję.

Podniósł rękę, pragnąc z powrotem wzniecić iskierkę nadziei, którą jeszcze przed chwilą zobaczył w jej oczach.

- Nie, ja...

Skoczyła na niego, przewracając znów na ziemię swoimi potężnymi, szponiastymi dłońmi.

- Znudziś się mną tak jak poprzednio. Wrócisz ze mną, ale znów odejdziesz. Jak zawsze. Zawsze będziesz tu wracał.

- Nie, nie tym razem. - W świetle kolejnej błyskawicy zobaczył, jak jej wilczy pysk znów się uśmiecha, ale tym razem w pogardliwym grymasie. Nachyliła się tak, że jej pysk znalazł się koło jego ucha, że ocierał się o niego wargami jak podczas ich pierwszego spotkania.

- Nie - wyszeptwała. - Nie tym razem.

Zeskoczyła z niego, warcząc słowa, które w furii straciły jakiegokolwiek znaczenie. Ku jego przerażeniu, pobiegła w stronę chaty.

Jego żony. Syna!

Nagle zagrożenie przegnało wszelkie myśli o winie. Kobieta, którą była Lucina, znikła z jego umysłu na widok tego atawistycznego cienia atakującego jego rodzinę. Gdy uderzyła w drzwi, waląc w pękające drewno, wyciągnął z błota topór i pobiegł za nią.

Choć z natury była silna, osłabiły ją trudny poród i wielomiesięczna głodówka. Gdyby była tą samą Luciną, która pierwszy raz powitała Karla w lesie - naga pod czerwoną peleryną - drzwi ustąpiłyby od jednego jej uderzenia, teraz jednak wrywała je po jednej desce, próbując z furją odrzucić skośną belkę blokującą wejście.

Karl dopadł jej, gdy wcisnęła ramię do dziury wyrwanej między deskami drzwi. Obróciła głowę w jego stronę i gdy topór opadał na jej kark, w jej oczach zobaczył rezygnację.

Pierwszy cios był poważny - zadał potworną ranę, która rozcięła jej szyję. Krew trysnęła na zaszronione czarne futro. Gdyby wtedy uciekła, może by przeżyła, może wylizałaby się nawet z tak potężnych obrażeń. Jednak nie uciekła. Zamiast tego użyła całej pozostałej siły do wypowiedzenia do Karla dwóch słów przez zmiążdżone gardło - słów, którym towarzyszyły fontanny krwi:

- Nasze dzieci...

Drugi cios padł, zanim osłabione ciało Luciny zaczęło się odradzać po pierwszym. Trzeci odebrał Ludnie życie. Czwarte uderzenie było tylko formalnością; całkowicie oderwało jej

głowę od ciała.

\* \* \*

Karl zostawił żonę i dziecko oraz martwą kochankę, by odszukać swoje córki. Wędrował wśród burzy w głąb ciemnego lasu, do polany, na której spotykał się z wilczycą. Szukając, klął i płakał - przeklinał siebie, Lucinę i Boga. Brnąc przez mrok, samolubnie rozbudzał w sobie nadzieję na spokój, który zapewniłaby mu śmierć.

Potem usłyszał płacz niemowlęcia.

Znalazł je w płytkim wykrocie na zboczu wzgórza, zawinięte w surową niedźwiedzią skórę śmierdzącą rozkładem. Dla pozostałych dwóch niemowląt było już za późno: ich ciała były zimne i sine. Jednak to ostatnie dziecko było różowe i zdrowe, choć kwiliło z zimna kłającego mu skórę.

Zabrał do domu całą trójkę, przerzuciwszy drobne ciała zmarłych przez plecy w gnijącej niedźwiedziej skórze. Jedyłą żyjącą córkę niósł pod koszulą, by ogrzewać ją swoim ciałem. Kiedy dotarł do domu, burza ustała i zimny świt zaczął przeganiać z nieba ciemne, skłębione chmury.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

**Anno Domini 1353**

## XX

Maria milczała, gdy macocha snuła opowieść. Serce bolało ją ze współczucia dla Luciny i zobaczyła w jej dziejach swój los, gdy Hanna opisywała pierwsze spotkanie wilczycy z Karlem. Matka Marii od początku była skazana na przegraną - i było to tym bardziej tragiczne, że Lucina nawet nie rozumiała powodów porzucenia.

- Niecały miesiąc wcześniej straciliśmy córkę - powiedziała macocha Marii, wycierając policzki. - Byłaby ledwie parę tygodni starsza od ciebie... Zajęłaś jej miejsce przy mojej piersi. Wiedziałam, skąd się wzięłaś, co cię urodziło. Ale byłaś dzieckiem mojego męża i stałaś się też moim.

- Miałam więc siostry... - wyszeptała Maria.

- Chodź ze mną - powiedziała macocha po dłuższym milczeniu.

Poprowadziła Marię wzdłuż kamiennego murku, znaczącego brzeg pola, do ścieżki wiodącej w las. Ścieżka kończyła się polanką, na której przeciwnych krańcach wznosiły się dwie sterty kamieni, jedna trochę mniejsza od drugiej. Na kamieniach nie rosły chwasty, więc białeły w świetle księżyca.

- Tu je pochowaliśmy. - Wskazała na większą ze stert i dodała: - Lucina leży tam...

Maria podeszła do kamiennej sterty i spróbowała sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać Lucina, jak mógł brzmieć jej głos, co mogłaby powiedzieć jej o tym, czym była.

I równocześnie poczuła podwójne uderzenie wstydu. Pierwsze brało się z faktu, że aż do dzisiaj nie poświęciła ani jednej myśli swojej prawdziwej matce, zanim zaczęła kwestionować to, kim jest. Jednak trudniejszy do zmierzenia był wstyd z powodu zwątpienia w macochę. Kobieta, która ją wychowała, okazała jej więcej miłosierdzia i pełnego miłości wybaczenia, niż można było oczekiwać po ludzkim sercu.

- Dziękuję - powiedziała, klękając przed kurhanem Luciny.

- Masz rację. Zaslugujesz na poznanie swojej historii, niezależnie od tego, jaka jest.

Maria odwróciła się do macochy.

- Dziękuję, że stałaś się moją matką.

- Jak mogłabym zrobić cokolwiek innego?
- Kiedy skrzywdziłam Władysława, mogłaś pozwolić ojcu mnie wyrzucić.
- Ja... - macocha wciągnęła powietrze i odwróciła twarz. Maria zrozumiała, że Władysław mówił prawdę, opowiadając, że rodzice nie mieli pojęcia, że ich słyszał.
- I dałaś mi to... - Dotknęła srebrnego krzyża.
- Miał cię chronić. Nie próbowaliśmy cię uwięzić. Nie chcieliśmy... - jej ramiona zatrzęsły się od płaczu, a Maria wstała i ją objęła.
- Nie chciałaś, żebym skończyła tak jak ona... - powiedziała, tuląc macochę. - Teraz to rozumiem.

Macocha też ją przytuliła, a do Marii dotarło wreszcie, że w ciągu ostatnich paru lat ją przerosła.

- Nie bądź zła na swojego ojca - Hanna załkała w ramię Marii. - Popęłnił błędy, i to ciężkie. Ale kochał swoją rodzinę i wszystkie swoje dzieci.
- Wiem.
- Proszę, cokolwiek się stanie, zawsze pamiętaj, że masz rodzinę, która cię kocha...
- Wiem - wyszeptała cichutko, gdy zebrało się jej na łzy.

\* \* \*

Wróciła do swojego łóżka, kładąc się spać razem z macochą i braćmi. I po raz pierwszy od śmierci ojca znowu poczuła się jak w domu. A jednak jakieś pokrętne koleje losu sprawiły, że to uczucie tylko pogorszyło jej sytuację. Czy mogła się tego trzymać, wiedząc o sobie to, co teraz? Wiedząc, że zakon polował na jej rasę?

Leżała, nie mogąc zasnąć, zwinięta na łóżku stojącym na stryszku, nad posłaniami braci. Jej nerwy drżały boleśnie pod skórą, mięśnie napinały się od niezużytej energii. Chciała wyskoczyć z łóżka, wejść w las i biec w nieskończoność, uciekając od tego wszystkiego.

Przesunęła palcami po sztylcie, który położyła obok łóżka. Opuszkami palców wyraźnie wyczuwała wyryte na ostrzu inskrypcje.

*Josef...*

Co z Josefem? Mogła matce wyjaśnić różne rzeczy. W końcu wszystkie dzieci opuszczają dom i pod tym względem niczym się nie wyróżniała. Jednak czy mogła to wszystko wyjaśnić Josefowi tak, by i on zrozumiał?

Dlaczego jej to dał? Dlaczego tak czule ją pocałował? Dlaczego podsycił złą nadzieję na to, że między nimi mogło być coś więcej?

Należał do zakonu, a ona była demonem, na którego zakonnicy polowali. Wedle

wszelkich rozsądnych miar był jej wrogiem - i to śmiertelnym. Czemu więc obchodziło ją to, co się z nim stanie?

Wiedział, że była tylko nisko urodzoną służącą, bękartem. Czemu on miałby przejmować się tym, co stanie się z nią?

„Sprzeniewierzam się wszystkiemu, do czego mnie wdrożono, żeby ci to powiedzieć...”

Przypomniała sobie, jak to powiedział, i ścisnęło się jej serce. Nie miał pojęcia, że próbuje pomóc istocie, z którą walczy. Jeśli zrobi coś jeszcze, by jej pomóc, może stracić wszystko. Nie mogła pozwolić mu poświęcić się dla kłamstwa.

Jeśli naprawdę był dla niej ważny, musiała mu powiedzieć, czym jest.

\* \* \*

Kiedy wychodziła, było już po świcie. Nie zaprotestowała, gdy Władysław wyruszył, by jej towarzyszyć.

Przez kilka minut szli w milczeniu, przy akompaniamencie ptasich śpiewów pod zimnym, zachmurzonym niebem.

- Przepraszam, że cię skrzywdziłam - odezwała się w końcu Maria, zatrzymując się.

- Co?

- No wiesz, kiedy byliśmy dziećmi...

- Och, to nie było nic poważnego...

Maria położyła dłoń na jego ramieniu.

- Nie, Władysławie, było. Kocham cię za to, że troszczysz się o mnie na tyle, by tak udawać, nawet przed sobą, ale mogłam cię wtedy zabić.

Władysław zaśmiał się nerwowo.

- Miałaś tylko trzy lata.

- Czy byłoby dziwne - odpowiedziała Maria, patrząc na niego - gdyby trzyletni wilk zabił pięcioletnie dziecko?

- O czym ty mówisz?

- Mama wiele mi wyjaśniła.

- Mówisz od rzeczy!

Maria ścisnęła jego ramię.

- Po prostu pamiętaj, cokolwiek się ze mną stanie, że kocham cię i nigdy nie zrobię niczego, żeby skrzywdzić ciebie albo rodzinę.

- Wiem o tym...

- Przysięgam, Władysławie - powiedziała. - Przysięgam na groby obojga moich rodziców,

że oddałabym życie, zanimby do tego doszło.

- Co takiego powiedziała ci matka? - zapytał po chwili wpatrywania się w jej oczy.

- Że jestem podobna do kochanki taty.

A potem wyjaśniła mu, czym jest.

Władysław oczywiście jej nie uwierzył.

- Nie żartuj sobie w ten sposób, nie nad grobem naszego ojca.

- Masz - powiedziała, wręczając mu srebrny sztylet.

- O co ci chodzi?

- Jesteś głową rodziny, musisz chronić swój dom. Może przyjdzie czas, że będziesz tego potrzebował. Nie sądzę, żeby mnie był potrzebny.

Dotarli do skraju lasu i weszli w cień grodu. Brat wciąż wyglądał na równocześnie rozżłoszczonego i zmieszanego.

- Czemu wymyślasz taką opowieść? I dajesz mi to?

- Powiedz mamie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić bezpieczeństwo naszej rodzinie.

I odeszła, zanim mógł jej zadać jeszcze jakieś pytania.

\* \* \*

Kiedy przyszła z posiłkiem do Josefa, zastała go ubranego i stojącego pod oknem, spoglądającego na pole nad stajniami.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała, odstawiając tacę ze śniadaniem.

Kiwnął głową z poważnym wyrazem twarzy.

- Moja rana się goi i chcę być sprawny, gdy znowu wyruszymy. Powinnaś przestać tu przychodzić, nawet za dnia.

- Josefie...

- Wczoraj wojewoda Bolesław wyruszył z garścią ludzi na poszukiwanie śladów bestii. Ale słuch po nich zaginął. Książę wysłał kolejnych, żeby ich znaleźli. Jeszcze nie wrócili. - Popatrzył na nią z troską, od której miała ochotę zapłakać. - Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna.

- Co wiesz o bestiach, na które polujesz?

Josef zmarszczył brwi, jakby jej słowa na chwilę go zmieszały.

- Wiesz, co je zabija. Wiesz także, że mogą wyglądać jak ludzie.

- Tak.

- Czy rozmawiałaś kiedyś z jednym z nich?



- Co takiego?
- Skoro stają się ludźmi, mogą mówić, tłumaczyć się...
- Nie opowiadaj takich bzdur.
- Bzdur?
- To demoniczne stwory, niemające pojęcia o...
- To nie są żadne bzdury!

Twarz Josefa stężała.

- Skąd wiesz, że te stwory są demonami? - zapytała Maria. - Co czyni je gorszymi od wszelkich żyjących w tych lasach wilków?

- Nie widziałaś tego, co to zrobiło? Mnie i moim braciom? Nie widziałaś ludzi, których to zabiło...

- Zrobiło coś gorszego od czynów ludzi?

Otworzył usta do odpowiedzi, ale jego twarz okrył jakby cień.

- To, na co polujesz, Josefie... robisz to z racji tego, co ono uczyniło, czy z powodu tego, czym jest?

Josef chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią.

- Co to ma znaczyć? Czemu mówisz takie rzeczy?

Zobaczyła narastające przerażenie w jego twarzy i poczuła, że ścisną jej serce.

- Modłę się do tego samego Boga co ty - powiedziała. - Czy Chrystus nie obiecuje wybaczenia wszystkim swoim wyznawcom?

Znieruchomiał, jakby go uderzyła.

- Chodzi o to, co zrobił ten stwór, czy o to, czym jest? - powtórzyła.

- To coś innego... Ta rzecz nie jest człowiekiem.

- Ale chodzi po świecie w ludzkiej skórze.

- Mario, nie rozumiesz...

- Czy naprawdę tak duża jest różnica między wilkiem, który staje się człowiekiem, a człowiekiem, który staje się wilkiem? Czy człowiek z tego powodu traci duszę?

Josef potrząsnął głową.

- Takie istoty nie mają duszy.

Maria musiała się powstrzymać, by go nie uderzyć. Odsunęła się od niego.

- Czyli wiesz, co myśli o tym sam Bóg?

- To demon, pomiot ognistej otchłani...

- A wy chcecie go zniszczyć mieczami? Gdzie wasi kapłani i egzorcyzmy?

- Nie powinienem był ci mówić. Nie rozumiesz...

Przerwały mu krzyki z zewnątrz.

- Z drogi! Z drogi!

Josef odwrócił się do okna i wyjrzał. Zrobił krok do tyłu i wyszeptał coś po łacinie, z nagle pobladłą twarzą.

Maria przeszła na bok, by móc także wyrzeć przez okno. Otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Sięgnęła pod koszulę i zacisnęła dłoń na krzyżu tak mocno, że rozboleła ją ręka.

Za stajniami widać było wewnętrzną stronę muru i główną bramę. Przejeżdżały przez nią właśnie dwa wozy ciągnięte przez kudłate konie pociągowe. Na wozach zobaczyła niewyraźne bryły przykryte materiałem poplamionym jakby rdzą. Tylko że te plamy nie były śladami rdzy. Nawet z tej odległości zapach krwi przebijał się przez ziemistą woń pozostających w stajni koni.

Zobaczyła bratanek Bolesława, Teleka, biegnącego do pierwszego wozu i wskakującego na niego z chyżością niepasującą do jego postury. Sięgnął w dół i odrzucił jeden z końców płachty, żeby zobaczyć, co leży pod spodem.

Bolesław - pomyślała. - To sam wojewoda Bolesław.

Nawet z tej odległości widziała, jak tężeje twarz Teleka. Jej też zaparło dech w piersiach, gdy patrzyła, jak rycerz wpatruje się w ciało swojego stryja. Czas przestał płynąć, nikt się nie ruszał.

Człowiek, który zbierał trupy, wykazał dość szacunku, by umieścić głowę wojewody obok jego ciała, ale nie dało się ukryć faktu, że nie było już między nimi połączenia. W miejscu, gdzie powinno być gardło Bolesława, widać było okropną, czarną pustkę.

Cisza opadła na wszystkich obecnych na dziedzińcu. Nawet konie umilkły, dzięki czemu Maria usłyszała słowa Teleka, choć zostały wypowiedziane cicho, jakby rozmawiał ze stryjem:

- Tak nie może być.

- Reinhart - szepnął Josef. Odwrócił się do niej gwałtownie. - Masz! Widzisz? Oto dzieło samego szatana. Czy może to być coś innego?

Maria cofnęła się, niezdolna wybuchnąć gniewem, który wzbierał w niej jeszcze przed chwilą.

- Ośmiu ludzi. Ośmiu ludzi... - Nogi ugięły się pod nim lekko i przycisnął pięść do podstawy nosa. - Powinienem być móc to zabić.

- Zabić to?

- Gdybym tylko miał więcej siły...

- Josefie? Co zrobiłeś?

- Dźgnąłem go w oko bełtem do kuszy - wyjaśnił. - Rana byłaby śmiertelna dla każdej innej istoty, ale dla tego...

Nagle zdała sobie sprawę, że zna przerażającą tajemnicę, której nie chciała wyznać nawet samej sobie.

- W które oko? - zapytała Maria, choć wcale nie chciała wiedzieć.

- Co?

- Lewe czy prawe?

- Oszalałaś? Jakie to ma znaczenie...

Chwyliła go za koszulę.

- Lewe czy prawe?

- Lewe, ale...

Wybiegła z pokoju, zostawiając Josefa z niewypowiedzianym pytaniem. W jej myślach pulsowało tylko jedno słowo.

*Darien.*

## XXI

Maria pobiegła do lasu, porzucając gród. Nikt nie zwracał na nią uwagi, wszyscy mieszkańcy utworzyli spontanicznie kondukt pogrzebowy. Przepchnęła się przez tłum zebrany na ulicach, który podążał za ciałem Bolesława. Na czele procesji szedł Telek.

Wojewoda Telek.

Świat wokół niej się rozpadał, ale nic nie miało już znaczenia. Liczyło się tylko to, czym była i czym był Darien. Opuściła ścieżkę, wbiegając między drzewa.

- Darien! - krzyknęła, płosząc ptaki z gałęzi nad sobą. Wrzasnęła, czując strach i złość napierające na krzyż zwisający nad jej sercem. Czuła, jak bestia szarpie w jej wnętrzu.

- Darien! - Pomyślała o rozszarpanych ludziach przywiezionych do grodu i o okropnej ranie, której doznał sam Josef. Jak mogła sądzić, że to coś, z czym miała do czynienia, było czymś innym niż samym diabłem?

- Darien! - Biegła przez las, uchylając się przed nisko wiszącymi gałęziami, szukając jego śladu.

- Maria? - Głos był cichy, spokojny i zabrzmiał za jej plecami. Zatrzymała się i odwróciła, widząc Dariena wychodzącego zza drzewa. Blond włosy opadały mu na ramiona i patrzył na nią przenikliwie błękitnymi oczami - a to z blizną było bledsze od drugiego.

- Prosiłem o spokój serca...

- Prosisz o zbyt wiele po tym, co zrobiłeś. Co z ciebie za potwór?

Uśmiechnął się do niej.

- Co z ciebie za potwór? Ja?

- Zamordowałeś ośmiu ludzi...

- A co oni zrobiliby ze mną? - Podszedł do niej, a Maria poczuła, jak jej puls przyspiesza, gdy dotknął jej policzka. - Jak myślisz, co zrobiliby z tobą, gdyby wiedzieli, co kryje się za noszonym przez ciebie krzyżem?

Zakryła swój krzyż dłonią i cofnęła się przed jego dotykiem.

- Nie dotykaj tego więcej.

- Tak bardzo kochasz swoje kajdany?

- Jesteś zły.

Śmiech Dariena odbił się echem od rosnących wokół drzew.

- Wedle czyjej oceny?

- Widziałam, co zrobiłeś.

- A czy widziałas, co oni zrobili? - odparł. - Ilu przedstawicieli naszego gatunku zamordowali w ofierze dla swojego krwiożerczego Boga?

- Nie bluźnij!

- Mario... - Zrobił krok do przodu i dotknął jej policzka. - Nie daj się zwieść, złapać na ich lep. Jestem pierwszym z nas, którego widzisz. Nie zastanawiałaś się dlaczego?

Maria przypomniała sobie opowieść o swojej matce i o tym, jak bardzo była samotna.

- Miałem rodzinę - powiedział. - Matkę, ojca, wujów, siostry, braci, kuzynów. Ale pewnego dnia przybył zakon i zamordował wszystkich moich krewnych. Zagnali ich do kościoła, a potem podpalili.

Maria poczuła, że brakuje jej tchu.

- Byłem sam przez ponad dwadzieścia lat, umykając przed ich polowaniami. Polując na nich. Nigdy nie sądziłem, że znajdę ciebie.

Maria popatrzyła mu w twarz, zastanawiając się, jak mógłby wyglądać los jej matki, gdyby znalazła kogoś ze swojego gatunku, kogoś, z kim mogłaby dzielić życie. Jej serce waliło pod krzyżem wiszącym na piersi, a jej oddech gorzał. Przyglądała się jego twarzy, obramowanej aureolą podświetlonych od tyłu złotych włosów.

Schylił głowę i poczuła, jak jego wargi dotykają jej ust. Jednak cofnęła się, a on nie próbował jej zatrzymywać.

- Nie - powiedziała.

- Nie? - Rozcięta blizną brew Dariena nadała temu słowu ostrzejszy wyraz, niż sugerowałby głos. - Czyż nie po to przyszedł do lasu? Czemu mnie wołałaś? Żeby powiedzieć „nie”?

- Muszę wiedzieć, czym jestem - stwierdziła. - Czym ty jesteś.

- Jesteśmy tym samym, moja droga Mario.

Stała nieruchomo przez dłuższy czas, czując, jak język wysycha w jej ustach. Kropla potu zaczęła spływać po karku, wzbudzając drobne dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Nagle bardzo mocno poczuła zapachy w lesie dookoła - ostrą woń świerków, bogaty aromat ziemi i prawie oszałamiający zapach stojącego przed nią Dariena.

- Pokaż mi - powiedziała, oblizując wargi.

- Pokazać ci?

- Pokaż mi, czym jesteśmy.

- Jesteś na to gotowa? - Zrobił krok do tyłu i wyciągnął dłoń. - Nie jesteśmy tacy jak oni, Mario.

- Pokaż mi. - Chwyciła jego dłoń. - Jestem gotowa, by się tego dowiedzieć.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem. - Zacisnął w ręce jej dłoń i poprowadził ją przez oświetlone słonecznymi plamami lasy, aż dotarli do jasnej polany. Rosła tam wysoka trawa, a nagie pnie drzew kierowały ku niebu szare palce, świadcząc o dawno wygasłym pożarze.

- To wygląda na dobre miejsce - oświadczył.

Puścił jej dłoń i oddalił się na kilka kroków, po czym przez głowę ściągnął koszulę. Stał prawie plecami do niej i zobaczyła, jak jego mięśnie grają pod bladobrązową skórą, ze śladem białej blizny na boku.

- Co robisz? - zapytała, gdy dotarło do niej, że się w niego wpatruje.

Złożył koszulę i umieścił ją na pniu przewróconego drzewa. Obrócił się do niej.

- Nie chcę sobie zniszczyć ubrania. - Schylił się, ściągnął buty i westchnął. Rozprostował palce stóp, po czym wsunął je w trawę.

Schylił się znowu, by ściągnąć spodnie, a Maria zmusiła się do odwrócenia wzroku, czując, jak pieką ją policzki, a puls wali w głębi gardła.

- Powiedziałaś, że jesteś na to gotowa.

Maria kiwnęła głową, nie ufając samej sobie.

- Patrz więc na mnie.

Odwróciła się i zaparło jej dech. Stał przed nią nagi na polance, bezczelnie i bezwstydnie, bez śladu zakłopotania. Stwierdziła, że wpatruje się w jego męskość, która nawet niepobudzona miała wielkość obu jej pięści ustawionych jedna na drugiej.

- Chcesz zobaczyć, czym jestem? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała, przenosząc wzrok na jego twarz.

Darien wciągnął powietrze i rozłożył ramiona. Zacisnął pięści i zęby, a wszystkie mięśnie w jego ciele się napięły. Przez jego ciało zaczęły przebiegać drobne dreszcze, odbijające się echem w jej brzuchu. Choć znieruchomiał, jego mięśnie zaczęły żyć własnym życiem, wijąc się pod nagą skórą.

Jego skóra falowała, jej powierzchnia pociemniała i zmiękła, pokrywając się puszystym złotym futrem, rosnącym i gęstniejącym w oczach. Ruch pod skórą stał się gwałtowniejszy i bardziej ukierunkowany, a ciało zaczęło jakby ciągnąć kości za sobą. Jego ręce się wydłużyły i rozłożyły dłonie, prezentując zakrzywione szpony na końcach palców.

Maria usłyszała jęk - nie wiedziała, czy głos ten dobywa się z ust Dariena, czy też dźwięk wydaje całe jego ciało.

Przechylił głowę, gdy napięte mięśnie szczęk pociągnęły kości twarzy do przodu, tworząc wilczy pysk, a jego złote włosy rozprzestrzeniły się i zmieniły w futrzaną grzywę na karku. Stał się bardziej barczysty, o potężniejszej piersi, a biodra wykrzywiły się, dopasowując się do dźwigających go wilczych nóg. Członek między jego nogami wezbrał czerwienią, która zaczęła zanikać, dopiero gdy wydał z siebie pełne triumfu wycie.

Maria cofnęła się przed tym, czym stał się Darien.

Olbrzymia wilcza głowa przechyliła się, gdy oblizał wąskie wargi. Ale jego oczy nie zmieniły się - lewe wciąż było jaśniejsze od prawego, zaznaczone białą krechą pośród złotego futra twarzy.

Przykucnął tak, że jego twarz znalazła się na wysokości jej oczu.

- Przestraszyłem cię?

Maria otworzyła usta, ale nie potrafiła nic powiedzieć.

Kiwnęła tylko głową.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzyła Maria. Popatrzyła na mięśnie poruszające się pod futrem Dariena, na grymas, półuśmiechu, w jakim jego pysk wykrzywił się, odsłaniając ostre, wilcze zęby. - Czemu nie miałabym się bać?

- Nie potrafisz się obronić?

Przez chwilę pomyślała o srebrnym sztylcie, zostawionym bratu, ale Darienowi wcale nie o to chodziło.

- Wiesz, że jesteśmy tacy sami. - Zmarszczył nos. - Zapach wilka jest w tobie tak bogaty... Przyłącz się do mnie. Pozwól, że ci pokażę.

- Chcesz, żebym...

- Pragniesz zobaczyć? Wiedzieć? - Wyciągnął do niej rękę. Marię zaskoczył jego dotyk, ale nie odsunęła się, gdy pazur przejechał wzdłuż łuku jej ramienia. - Nie możesz tego zrobić, udając, że to wszystko, czym jesteś.

Maria objęła się rękami.

Czym była?

Kobieta, chrześcijanką, Polką, służącą, córką, siostrą, dziewczycą, bękartem...

*Wilkiem?*

Zagryzła wargi i ściągnęła suknię. Na oczach Dariena ściągnęła łapcie, koszulę; wszystko. Stała przed nim naga, ze skórą czerwoną od wstydu, ale zmuszając się do

pozostawienia rąk przy bokach, równie bezwstydnie, jak on.

Wyciągnął szponiasty palec i pocierając nim o jej pierś, stuknął ją w mostek, obok krzyża.

- Nadal to nosisz...

Nie próbował dotykać krucyfiksu, a ona stała tam, czując dotyk wilka na nagim ciele między piersiami. Nie mogła się już dłużej napominać i protestować, że nie jest grzesznicą.

Podniosła ręce i zdjęła krzyż, a potem pozwoliła mu upaść przez palce na ziemię, obok ubrania.

Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła woń Dariena: ziemistą, silną, męską i sugerującą każdą zakazaną myśl, jaka kiedykolwiek ją nawiedziła. Napełniło ją to nagłym drżeniem, które nie chciało wygasnąć. Zagryzła wargę na tyle mocno, że krew popłynęła jej po języku i w głąb gardła. Jej ciało poruszało się i płynęło wokół niej, drąc się i ponownie splatając, rozciągając skórę w kaskadach cierpienia, a jedynym pewnym punktem było jej serce, próbujące się przebić na zewnątrz ciała.

Każde uderzenie szalejącego serca wysyłało fale cierpienia w ręce, nogi i każdy mięsień. Zamknawszy oczy, poczuła, że każdy kawałek jej ciała rozrywał się, próbując wyłączyć jej życie na ziemię.

A pośród tego niesamowitego bólu kryło się pulsowanie czegoś głębszego, czegoś w samych jej trzewiach, co wiło się z rozkoszy przy każdym przesunięciu spiętego mięśnia, każdym ruchu odkształcanej kości - coś, co jęczało niemal w ekstazie, gdy jej skóra napinała się do granic pęknięcia - i jeszcze dalej...

Jestem grzeszna - zbudziła się w niej jedyna spójna myśl. Chcę tego!

Kiedy ból ustal, orgazm uderzył ją niczym cios młotem. Zawyla, modulując wilczy głos wibracjami fal zderzających się w jej ciele. Padła na kolana, ale się nie przewróciła. Otworzyła oczy, gdy drżenie wciąż wstrząsało jej ciałem. Usłyszała warkot i uświadomiła sobie, że sama go wydaje.

Prawie utonęła w różnych odczuciach, kiedy każda część ciała przypominała jej, że nie jest już tym, czym była jeszcze przed chwilą. Końce ostrych zębów ocierały o zwisający język. Lekki powiew zmierzwił jej futro na plecach. W obecnej pozycji jej zad, muskularny i wąski, opierał się na piętach znacznie bardziej spiczastych i guzowatych niż w ludzkich stopach. Stopami, zakończonymi wielkimi, rozsuniętymi pazurami, wbijała się w ziemię.

Doświadczała mocy przepelniającej każdy staw i mięsień - upajającej energii, przez którą czuła się tak, jakby mogła skakać między szczytami martwych drzew na polanie. Miała wrażenie, że potrafiłaby doskoczyć do samego słońca.



Zmarszczyła nos, wciągając przemożne, otaczające ją wonie. Miała takie uczucie, jakby z jej nosa nagle wyciągnięto jakieś pakuły, uniemożliwiające oddychanie pełną piersią. Potrafiła teraz wychwycić zapachy mchu, różnych rodzajów trawy, woń setki próchniejących drzew, opary niewidocznego pobliskiego bagniska - a ponad wszystko: zapach jego.

Darien stał przed nią, patrząc, jakby przemiana pochłonęła go w równym stopniu co ją.

- Wciąż się boisz?

Polizał jej pysk, wyczuwając nowe, wilcze wargi i chłodną skórę nosa.

- No pewnie - odpowiedziała. Wstała, trochę niepewnie, na nowych nogach, obracając się, by pozwolić wiatrowi owiać nowe, pokryte czarnym futrem ciało. Głęboko odetchnęła i dodała: - Ale to nie ma znaczenia, prawda?

Przeszedł, by stanąć przed nią, poruszając się ze sprężystym wdziękiem bez śladu tej niezdarności, którą sama czuła, balansując na parze przerośniętych wilczych łap. Widząc, jak się rusza, zobaczyła jego ogon, przez co uświadomiła sobie, że ona też go ma. Poczowała jak drga, a wrażenie towarzyszące poruszaniu się jego podstawy przy plecach było chyba najdziwniejszym doznaniem, jakiego dotąd doświadczyła. Samo myślenie o tym sprawiło, że ogon poruszył się szybciej, głaszcząc tył jej ud.

- Jesteś piękna - warknął do niej, głosem niższym o ton; Maria w ludzkiej postaci prawdopodobnie by go nie zrozumiała.

- Jestem potworem - powiedziała. Słowa zabrzmiały równie nisko jak jego. Miała wrażenie, jakby mówił to ktoś inny, coś innego. Choć nadal czuła strach, w tej chwili nie potrafiła doszukać się wstydu w tym stwierdzeniu. Powtórzyła, bardziej do siebie niż do niego: - Jestem potworem.

Była w tych słowach raczej konstatacja odkrycia niż wyznanie strachu.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, gładząc bok twarzy.

- Chcesz zobaczyć, czym jesteśmy?

- Tak.

- Chodź więc za mną.

Darien odwrócił się i pobiegł, stając się złotym cieniem znikającym między drzewami.

## XXII

Maria zawahała się tylko chwilę, po czym pobiegła za nim. Była niezgrabna i niepewna własnej siły. Pierwszy skok przeniósł ją prawie dziesięć kroków nad przewróconym pniem, a lądując, uderzyła barkiem o drzewo. Jednak ból był niczym w porównaniu z tym, którego doświadczyła podczas przemiany, więc goniła nadal zapach Dariena, ledwie uświadamiając sobie, że upadła.

Biegł tak szybko...

Im szybciej biegła, tym bardziej jej ciało wychylało się do przodu, pragnąc użyć rąk do wsparcia się o ziemię. Ale wciąż poruszała się niezgrabnie i ledwie mogła dotrzymać kroku złotemu cieniowi pędzącemu w przodzie. Chwilami dostrzegała go między drzewami i w końcu zrozumiała, dlaczego biegnie tak szybko.

Sunął teraz na czterech nogach, zmieniawszy się całkowicie w wilka - w potężne, złotowłose stworzenie pędzące przez las ze zwieszonym językiem.

Ten widok na chwilę nią wstrząsnął. Była częściowo przygotowana na potwora, którym się stała, ale żeby przemienić się całkowicie w zwierzę? To nie wydawało się możliwe.

Zaczynała gubić go wśród drzew.

Czy ona też tak mogła? Czy chciała się przemienić tak zupełnie?

*Chcę wiedzieć, czym jestem...*

Skupiła się na złotym wilku w oddali i sięgnęła do ziemi przed sobą. Oparła się na rękach, jakby były przednimi łapami, trzymając głowę w górze, jakby chciała w ten sposób biec. Napotkała jakiś rodzaj wewnętrznego oporu, wewnętrzną barierę między tym, czym była, a tym, czym się stawała. Jednak zmusiła się do przebicia przez tę granicę, przeciągając nową siebie przez skórę, jakby sama siebie rodziła.

Wewnętrzny opór ustąpił z nagłym szarpnięciem. Jej ciałem wstrząsnęła kolejna przemiana, wydzierając spazmy bólu i rozkoszy... a ona rzuciła się w nią bez opamiętania.

I ani przez chwilę nie przestała biec.

Nawet nie patrząc na siebie, wiedziała, że stała się teraz w pełni wilkiem. Z czarnym

futrem, może mniejsza od Dariena...

Teraz stała się szybsza.

I zaczęła go doganiać.

Widziała - po tym jak dyszy, po krokach, po zapachu wysiłku - że jeśli nawet się dla niej hamował, teraz już tego nie robił. Zaczynała go doganiać, a na czterech nogach straciła też wszelkie ślady niezdarności.

Umykał wokół drzew, przeskakując nad powalonymi kłodami, przedzierając się przez krzewy, wyrzucając w powietrze gałązki i liście. A ona pędziła za nim, deptając mu po piętach, na tyle blisko, że smakowała ziemię wybijaną przez niego łapami. Na tyle blisko, że mogłaby zatrzasnąć pysk na jego ogonie. Wydała z siebie niski warkot, sygnalizując, że znajduje się tuż za nim.

A jednak się hamował, odrobinę. Teraz skoczył do przodu, wyrzucając chmurę ziemi, która rozbiła się na jej pysku. Zlizła aromatyczną glebę z futra policzków i uświadomiła sobie, że wilki potrafią się uśmiechać. Skoczyła za nim, prawie niezmeńczona, i dostrzegła swoją szansę, gdy zbiegał ze zbocza niemal bezleśnego wzgórza, schodzącego wprost do płytkiego potoku.

Przeskoczyła grzbiet tuż za nim, ale wnet znalazł się prawie w połowie drogi na dół. Bez chwili wahania skoczyła ze szczytu wzgórza. Przez krótką chwilę leciała w powietrzu i wówczas przez głowę przemknęło jej: Co ja robię? Potem wylądowała na nim, rzucając ich oboje na ziemię. Poturlali się w dół zbocza.

Jedno z nich pisnęło zaskoczone, gdy wpadli do wody. Może oboje. Na chwilę przygwoździła go sobą, przednimi łapami opierając się na jego piersi, gdy leżał na boku w płytkiej wodzie. Przez chwilę go widziała - mokrego, złotego, pięknego. Poczła falę niezwykłej mocy, gdy popatrzył na nią z dołu.

Potem odciągnął wargi w dzikim warkocie i kłapanął w stronę jej szyi. Ugryzł tylko powietrze, ale szarpnął ciałem do góry, zrzucając ją z siebie. Pisnęła i wywróciła się, gdy jego łapa wylądowała na jej plecach, wpychając jej pysk do wody. Mógł powiedzieć coś warcącym, wilczym głosem, ale nie słyszała tego przez własny warkot i wodę wlewającą się do uszu.

Walczyła z dwoma instynktami. Maria kobieta służąca i bękart - wiedziała, że w jakiś sposób przekroczyła swoje prawa, że musi zaakceptować tego konsekwencje. Maria wilk - potwór - wiedziała, że w tej chwili nie dotyczą jej ludzkie zasady.

Nie musiała się poddawać.

Warknęła bulgotliwie przez wodę i odepchnęła się od dna rzeki. Może i był silniejszy od

niej i cięższy o połowę, ale czuła, że siła jej wilczego ciała wystarczyłaby do dźwignięcia jeszcze dwóch takich jak on.

I poczuła, jak jego pysk zaciska się na jej karku, pchając ją w dół.

*Nie!*

Wbiła łapy w muł na dnie strumienia, wciągając siebie i Dariena w stronę głębszego nurtu. Wepchnął jej głowę pod wodę, ale zdołała znów ją unieść. Próbowwała go strząsnąć z siebie, ale jego chwyt był bolesny i mocny.

Wciągnęła oboje w najgłębszą część strumienia, sięgającego tu jej do piersi, a gdy kolejny raz pchnął jej głowę w dół, pozwoliła się zanurzyć. Złożyła nogi i zanurkowała, wciągając jego głowę pod wodę wraz z sobą. Czuła, że się dławi, ale trzyma dalej.

Wstrzymała oddech, zastanawiając się, jak długo zdoła tak wytrwać.

Jej płuca domagały się powietrza. Stara Maria w jej wnętrzu wołała o powrót na powierzchnię. Nowa Maria wiedziała, że to sprawdzian siły woli. Mocniej zacisnęła szczęki na jej karku i poczuła, jak czubki jego kłów przebijają się przez gęste futro. Darien spróbował szarpnięciem wyciągnąć ją na powierzchnię, ale woda spowalniała jego ruchy.

Szum wody wypełniał jej uszy, towarzyszyło temu dudnienie serca. Cała jej istota łaknęła powietrza, ale i tak było to mniej bolesne od przemiany, która doprowadziła ją do tego, czym teraz była. Darien szarpał się nad nią, podczas gdy ona zmuszała się do bezruchu.

Spokojne serce - pomyślała, czując wypełzający na jej usta wilczy uśmiech.

\* \* \*

Wspaniała.

To jedno słowo wypełniało umysł Dariena. Minęły dziesięciolecia od czasu, gdy ostatni raz widział kogoś ze swojego gatunku - poza własnym odbiciem. Przyglądał się, jak przemienia się ze słabej ludzkiej postaci w coś szczupłego, czarnego i niesamowicie pociągającego. Patrzył, jak pochłania ją ogień przemiany, i prawie doznał orgazmu, tak jak i ona. Kiedy jej transformacja dobiegła końca i przykucnęła na ziemi przed nim, jego świat składał się wyłącznie z niej i zapachu jej podniecenia.

Nigdy nie sądził, że takie stworzenie będzie jego.

Wciąż wyczuwał jej strach, ale teraz towarzyszyły mu inne zapachy; niektórych nie potrafił zidentyfikować. Wkrótce pokaże swojej partnerce, jak jest cudowna...

- Chodź za mną - rzucił.

Poprowadził ją w wyścigu przez las. Z początku niespiesznie, bo nie radziła sobie z nowym ciałem, uderzając w drzewa i prawie wywracając się na każdym zakręcie. Jednak

słyszał, że się zbliża, i kiedy się obejrzał, zobaczył, że opadła na cztery nogi, jak on, stając się w pełni wilkiem.

Choć była mniejsza od niego, i tak wyglądała groźnie. Kruczoczarne futro, długie łapy i ciało oraz wąska wilcza głowa, niczym warcząca strzała. Poruszała się szybciej od czegokolwiek, co Darien widział w życiu. Zmusił się do szybszego biegu, wbijając pazury w ziemię i pędząc grzbietem wzgórze.

Wpadła na niego w połowie zbocza. Sturlali się do strumienia płynącego u stóp wzgórza. Upadł na bok i przez chwilę sparaliżował go szok: nie mógł uwierzyć, że stanęła nad nim, trzymając go przy ziemi. Przytłoczyły go wspomnienia z dzieciństwa - dorosłych lub braci, przyciskających go do ziemi, do czasu aż pojął, kto tu dominuje.

Nie był już jednak dzieckiem i to nie ona tu dominowała.

Kłapnął szczękami i zrzucił ją z siebie. Była jego samicą. O to w tym wszystkim chodziło. To był jedyny możliwy powód ich zetknięcia się. A to znaczyło, że to ona musiała poddać się jemu.

Wgniótł ją do wody pod sobą, opierając łapy na jej grzbiecie, warcząc, że ma go słuchać. Ale ona nie słuchała. Zrzuciła go z siebie.

Tak nie miało być. Świadomy umysł Dariena zalała mieszanina złości, zakłopotania i niepewności. Jednak choć nie potrafił myśleć, instynkt pozwalał mu działać.

Wgryzł się w jej kark.

Warknęła, jakby próbował ją skrzywdzić, po czym wciągnęła go głębiej do strumienia. Mocniej zacisnął chwyt na jej karku. Nie miała innego wyboru, jak się przed nim ukorzyć - był większy, silniejszy i nie mogła zrobić nic, by wyrwać się z uścisku jego szczęk na karku.

Ale się nie poddała, a on nie wiedział, co zrobić. Próbował wcisnąć jej głowę w dół, ale opierała się, warcząc i cały czas wchodząc głębiej w wodę. Wgryzł się już najmocniej, jak mógł, nie ryzykując zmiżdżenia jej karku.

Wilk w jego wnętrzu robił się z każdą chwilą coraz bardziej wściekły z powodu jej oporu, podczas gdy człowiek błagał w milczeniu, by się poddała. Wiedział, że ona tego chce, że go pragnie, czemu więc teraz mu odmawiała?

Jej głowa zanurzyła się pod wodę i wilk poczuł krótką falę triumfu, równoczesną z uczuciem niepokoju, którego doznał człowiek.

*Nie będzie mogła oddychać...*

Potem ta myśl została ucięta, gdy wciągnęła go pod wodę za sobą.

Woda wlała mu się do nosa i zaczęła wciekać do pyska. Próbował wyciągnąć samicę z powrotem, ale jego nogi nie znalazły dość mocnego oparcia w miękkim dnie strumienia. Łapy

po prostu zapadały mu się w mule, mącąc wodę, która go oślepiła. Stała się ciężarem w jego pysku, ciągnąc go w dół. Szarpał się, a jej poddanie stało się sprawą drugorzędną wobec przemożnej potrzeby zaczerpnięcia oddechu.

Puścił jej kark, wyciągając głowę z wody, by wciągnąć pełne płuca powietrza. Przebiła powierzchnię przed nim w fontannie wody i błota. Wykręciła się, stając naprzeciw niego, z czarnym, umazanym mułem pyskiem wykrzywionym wściekłością. Musiał użyć niemal całej siły woli, by nie cofnąć się przed wyzwaniem.

Jego złość przybrała na sile i poczuł, jak ściągają się jego wargi. Szybko stłumił swój gniew, gdy uświadomił sobie prosty fakt: ona nie wie.

Stojąca przed nim wilczyca została wychowana przez ludzi. Nie zdawała sobie sprawy, że musi mu się poddać.

I oczywiście to zrobi. Jeszcze nawet się nie parzyli.

- W co ty grasz? - zapytała warkotliwie, ledwie zrozumiałymi słowami.

*Grasz?*

- Nie przygniataj mnie - odpowiedział, stosownie uznając, że wystarczy już tej demonstracji.

Pociągnęła nosem, odwróciła się i wyskoczyła na brzeg, strząsając wodę z futra. Odwróciła głowę w jego stronę i przekrzywiła ją, pytając cicho:

- I co teraz?

Bez wody mógł skoczyć i przygnieść ją do ziemi, zmusić ją do poddania się, do kopulacji. Kiedy już do tego dojdzie, nie będzie wątpliwości, kto przewodzi tej watasze...

Ale powstrzymał się, ponieważ wyczuł jej podniecenie i wiedział, że jeśli będzie cierpliwy, ona z własnej woli da mu to, czego chce.

Wciąż przyglądała mu się z przekrzywioną głową, wyskoczył więc na brzeg przed nią i odpowiedział na jej niezadane pytanie.

- Zapolujemy - rzucił i strząsnął wodę z futra.

\* \* \*

Przez las biegły razem dwa wilki: czarny i złoty. Nie wymieniały słów, do porozumienia wystarczyły im ruchy ciał. Równocześnie złapały woń młodego łosia i pognały jego tropem, choć nie tak szybko, jak podczas wcześniejszego pościgu.

Łoś, młody i zdrowy, był dość duży, by odstraszyć większość drapieżników. Jednak para, która się na niego zasadziła, nie przypominała innych drapieżników i jakaś część jego mózgu musiała o tym wiedzieć, ponieważ gdy tylko zdał sobie sprawę z ich obecności, zaczął

uciekać z chyżością, która zdawała się niemożliwa dla zwierza tych rozmiarów.

Podążali za nim przez las. Biegł w tempie podyktowanym czystym przerażeniem, ale ścigali go prawie bez wysiłku. Łoś nie miał szans. W końcu dał się zagnać w ślepy róg między powalonym drzewem a stromym wzniesieniem.

Maria wyszła przed niego, gdy się odwrócił, a jej ludzka część zupełnie zapomniała o strachu, gdy przerażona bestia wykręciła, kopiąc dziko i szukając drogi ucieczki. Przyglądała się z fascynacją i niemal zachwytem, przejęta, że potrafi wzbudzać taką reakcję.

Tymczasem Darien wyskoczył zza niej, wbijając zęby w gardło ofiary. Łoś wydał z siebie długi, żalony ryk i gorączkowo potrząsnął głową, próbując strząsnąć wilka o złotym futrze, demona wgryzającego mu się w szyję. Szarpnął potężną głową na bok, uderzając Darienem o drzewo. Wilk padł na ziemię z wykręconymi plecami i przednią łapą złamaną tak mocno, że jedna z kości przebiła skórę.

Popatrzyła na niego z otwartym pyskiem. Musiała go stamtąd zabrać. Te rany...

Warknął na nią i choć dźwięk nie był artykułowany, ściągnął jej uwagę z powrotem na walczącego o życie łosia. Zwierz cofnął się, zbaczony krwią, z pianą na pysku i ranami na szyi, a ona ledwie zdążyła uskoczyć przed jego kopytami.

Nagle to wszystko przestało być zabawą.

Złość była łatwa. Popatrzyła na dyszące stworzenie kręcące się w kółko i poczuła, jak budzi się w niej zimna furia. Warknęła i skoczyła, ale nie na kark rzucającego się zwierzęcia, lecz na jego zadnie nogi. Zaciśnęła szczęki na tylnej nodze cofającego się łosia, wgryzając się tuż nad stawem tak mocno, że poczuła, jak kość pęka pod jej zębami. Zwierz ryknął i padł do przodu. Odskoczyła w przeciwną stronę, po czym obróciła się, by zobaczyć, jak łoś bije w ziemię trzema nogami.

Większość czwartej zwiślała jej z pyska.

Kiedy tak stała, uświadamiając sobie niezwykłość tego, co właśnie zrobiła, Darien podbiegł od przodu do rzucającego się zwierza, schylił się i dokończył rozrywanie mu gardła. Nie było po nim widać ani śladu złamanego kręgosłupa i przebitej nogi.

Podniósł znad gardła łosia umazany krwią pysk, po czym opuścił go na miękkim brzuchu martwej zdobyczy. Patrząc, jak atakuje ofiarę, Maria uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. Przemiany i bieg zostawiły po sobie płonąca pustkę, a krew z trzymanej w pysku nogi smakowała niczym najśłodsze wino.

Usiadła na ziemi i położyła przed sobą odgryzioną nogę łosia. Coś z człowieka w jej wnętrzu buntowało się na myśl o jedzeniu surowego, nieobdartego ze skóry mięsa, jednak dla wilka jego świeżość była najważniejsza.

Gdy Darien zanurzył głowę we wnętrznościach upolowanego zwierza, Maria przytrzymała nogę łosia przednimi łapami i zaczęła odrywać pasy mięsa od kości. Jadła powoli, delektując się smakiem, uczuciem wywoływanym przez surowe mięso prześlizgujące się w głąb gardła, wrażeniem gaszenia ognia płonącego w brzuchu.

Skończyła jedzenie przed nim. Wyszarpnięta noga zapewniła posiłek więcej niż suty. Kiedy skończyła, oparła pysk na przednich łapach. Jej ciało było usatysfakcjonowane, pozwalało jej myśleć.

*Jestem wilkiem...*

Co to znaczyło dla starej Marii? Czy ta osoba zniknęła? Czy w ogóle istniała? Poczucie potęgi, które dał jej Darien, było odurzające... i przerażające zarazem. W tej chwili, z pełnym brzuchem, mogła bez problemu wyobrazić sobie ucieczkę w głąb lasu - daleko na tereny, gdzie żyła jej matka - obleczenie się w skórę wilka i zapomnienie o powrocie.

Ta myśl była kusząca, ale coś w niej buntowało się przeciw temu. Co z jej rodziną, braćmi, prawdziwą matką, kobietą, która ją wychowała? Zasługiwali na coś więcej niż żałoba po jej zniknięciu.

*I co z Josefem?*

Potrząsnęła głową, jakby w uszach wciąż miała wodę z rzeki. Dlaczego pomyślała o Josefie? Właśnie o nim, jedynym ze wszystkich ludzi? Niezależnie od tego, jak dużo dla niej znaczył i jak bardzo chciała z nim być, teraz była dla Josefa w najlepszym razie tylko bezduszną bestią, a w najgorszym - demonem. Był członkiem zakonu, który polował na Dariena, wymordował jego rodzinę...

Czy pokazując jej to wszystko, Darien wiedział, że robi jej to, co zakon zrobił jemu? Że zabiera rodzinę i wszystko, co było ważne w jej życiu?

*To niesprawiedliwe. Moja rodzina, a nawet Josef mogą żyć beze mnie.*

Prawda?

Popatrzyła na piękne, potężne zwierzę patroszące leżący przed nią zewłok. Darien dopiero co zamordował ośmiu ludzi. Nie wątpiła w prawdę tego, co mówił z pewnością zabiliby go, gdyby tylko mieli taką możliwość. Ale teraz polowanie na niego zostanie podjęte ze zdwojoną siłą. Maria nie potrafiła sobie wyobrazić, by Telek pozostawił śmierć stryja bez pomsty, podobnie jak książę nie mógł zignorować utraty swojego urzędnika. Nawet bez wsparcia zakonu przeciwko Darienowi wyruszy teraz cały gród.

A Josef? Przypomniała sobie, jak przysięga! „wykończyć to coś”. To coś. Ją. Cokolwiek czuła albo zdawało się jej, że czuje, cokolwiek mógł czuć Josef - była potworem, na którego polowali. Nie dało się tego ukryć ani odkupić. Nie była człowiekiem i nie było dla niej



miejsca u boku Josefa ani w domu rodzinnym, niezależnie od tego, co udawała.

Wszystko, co teraz miała, to Darien.

A jeśli Josef i jego zakon postawią na swoim, nie będzie miała nawet jego.

*Co mogę zrobić?*

Może jeśli porozmawia z Josefem, zdoła przekonać go do poprowadzenia ekspedycji zakonu w inną stronę, szukania ich wilków gdzieś indziej. Może zostawią te lasy bezpieczne dla Dariena.

I dla niej.

Darien podniósł skudloną, umazaną krwią głowę znad zewłoku łosia i popatrzył na nią. Wstała i przeciągnęła się pod jego wzrokiem. Przez chwilę wydawał się zły, jakby zirytowało go, że pierwsza skończyła jeść. Jednak w jego oczach, tak jak i w zapachu, było coś jeszcze.

Kiedy przeskoczył nad padliną, wiedziała, że teraz to on będzie gonił ją.

## XXIII

Odwróciła się, zamachała ogonem i pobiegła, jakby się z niego naśmiewała. To go rozwścieczyło. To było jego polowanie, jego zdobycz. Nie miała prawa jeść, zanim on się nie nasyci. Była to zniewaga równa - nie, znacznie gorsza - przyciśnięciu go do ziemi. Pamiętał czasy, gdy jeszcze jako dziecko brał udział w polowaniach całej watahy. Któregoś razu został ciężko pobity, gdy próbował wgryźć się w zdobycz przed starszymi. Nawet jeśli rodzice odgryźli tylko po jednym kęsie zdobyczy, zawsze byli pierwsi. Inni jedli tylko wtedy, gdy oni udzielili zgody.

A jego partnerka, jego suka, nie tylko wgryzła się w mięso pierwsza, odrywając obiad od żyjącej jeszcze ofiary, ale też skończyła przed nim. Rozwścieczyła go bezczelność tego aktu. Chciał ją ukarać. Chciał ją zmusić do ukorzenia się przed nim.

Chciał jej.

Pogonił więc za szczupłą sylwetką - cieniem o czarnym futrze sunącym przez las. Gonił ją, jakby pragnął dopaść samego życia. Zostawiała za sobą woń ciała, zmieszaną z zapachami wody ze strumienia i posoki łośia, wzniecając ogień w jego mózgu.

Ogień ten gorzał w nim podczas biegu, rozdmuchując wicher emocji i odruchów: złość, potrzebę dominacji, potrzebę posiadania, potrzebę kopulacji. Wzbierało w nim pożądanie, rozpalając każdy nerw jego ciała. Gonił ją, a gdy się obejrzała, jego podniecenie było wezbrane i oczywiste.

Szczeknęła coś do niego - nie słowa, tylko zwierzęcy dźwięk, radosne szczeknięcie będące prawie zaproszeniem. Potem machnęła ogonem i skoczyła dalej w las.

Zapraszała go.

Popędził za nią, ucieleśnionym pożądaniem.

Dogonił ją tylko dlatego, że zatrzymała się na polance, na której zaczęli. Stała, przeciągając się na słońcu lśniącym na jej futrze. Głowę trzymała wysoko, nos na wiatr, pysk lekko otwarty, oczy zamknięte. Jej ogon się poruszał i zobaczył błysk wilgoci pośród futra. To, wraz z wonią jej płci, było silniejszym zaproszeniem niż wszelkie szczeknięcia.

\* \* \*

Uciekała przed nim, prowadząc go przez las. Dyszała upojona prędkością, potęgą, wszystkimi wrażeniami dostarczonymi przez to ciało. Zrozpaczona ludzka Maria stopniowo ustąpiła, oddając władzę czemuś dzikiemu i wolnemu, co kierowało się instynktem.

Kiedy obejrzała się na podnieconego Dariena, przyjęła jego erekcję bez śladu zakłopotania lub wstydu, raczej z satysfakcją. Biegąc z powrotem tam, skąd wyruszyli, szczerknęła do niego, by się pospieszył.

Zatrzymała się na polance, gdzie pozostałości starych, wypalonych drzew wbijały w niebo szare palce. Słyszała, jak się zbliża, przedzierając się przez las niczym jakiś stary pogański bóg po ofiarę z dziewicy.

W bezruchu oczekiwania na jego przyjście ludzka Maria odzyskała część świadomości - dość, by zadać sobie pytanie, czy tego właśnie chciała. Czy chciała oddać swoje dziewictwo tu i teraz, bez choćby obietnicy zaręczyn? Ta wątpliwość była czymś dziwnym w jej głowie, czymś niepasującym do zwierzęcia, którym się stała, zwierzęcia, które w sobie odkryła.

Ale nie była zwierzęciem.

I nie była też człowiekiem...

Popatrzyła na niebo i otworzyła usta w niemym pytaniu do Boga: Czym ja jestem? I do siebie: Czym się staję?

Wyczuła jego zapach, zanim wyłonił się z lasu na skraju polany. Spięta się, spodziewając się stratowania. Zamiast tego jednak poczuła, jak ociera się o jej bok i zlizuje krew z jej pyska. Obróciła głowę zaskoczona zdumiewająco delikatnym gestem, a on wspiał się na jej plecy.

Jęknęła, czując rozmiar tego, co wepchnęło się pod jej ogon, napierając na błonę dziewiczą. Znowu poczuła jego zęby na karku, ale ledwie to zauważyła, gdy pchnął w nią. W paroksyzmie jej przednie łapy padły na ziemię, a on wypełnił ją taką samą wstrząsającą rozkoszą, jaką czuła podczas przemiany. Krzyknęła do nieba - z bólu, z rozkoszy, z tego, co wypełniało jej ciało.

Wyła, aż zupełnie ochrypła, a jej głos zmienił się w chrapliwy jęk wyczerpania.

\* \* \*

Zmierzchało. Maria leżała na plecach w trawie, z głową Dariena spoczywającą jej na brzuchu. Gładząc futro na jego szyi, uświadomiła sobie, że jakiś czas po dojściu Dariena skurczyła się z powrotem do ludzkiej postaci. Popatrzyła na jego pysk na swoim nagim

brzuchu i uświadomiła sobie, jak potężnym jest wilkiem. Bez problemu mógłby przegryźć na pół kogoś jej wielkości.

Jej dłoń przy jego głowie wydawała się taka drobna. Zdała sobie sprawę, że pozwoliła tej bestii kochać się ze sobą. Oderwała nogę łośia i ją zjadła. Potarła dłońmi twarz i odkryła, że wciąż ma na policzkach resztki zaschniętej krwi ofiary. Cały ten dzień był jakimś koszmarnym snem - tym okropniejszym, że chciała tego wszystkiego. Pociągało ją to, czym jest.

Przynajmniej nie wpadła w tę samą pułapkę co Lucina, szukająca męża wśród ludzi, choć sama nie była człowiekiem. Darien może i jest zabójcą, ale przynajmniej ma ku temu powód. Jeśli zdoła przekonać zakon do odejścia, do polowania na wilki na innych ziemiach, mogą mieć lasy Luciny dla siebie. Będą mieli niewyczerpane zapasy zwierzyny do wykarmienia ich samych oraz ich dzieci.

*Muszę tylko zrezygnować ze wszystkiego...*

Musiała zrobić w tej sprawie, co mogła, póki miała jeszcze czas. Musiała też pożegnać się z bliskimi, powiedzieć matce, że znalazła sobie własną rodzinę, z którą zostanie. Zerknęła na ciemniejące niebo i westchnęła. Wysunęła się spod jego głowy i wstała.

- Jesteś teraz moja - na wpół warknął Darien, otwierając jedno z rozspanych oczu.

- Wiem - zapewniła, kucając przy nim.

*Czy nie powinna czuć się szczęśliwsza?*

Wydobył z siebie zadowolone burknięcie i z powrotem zamknął oko.

- Śpij - powiedziała. - Wróć...

*Nie mam już dokąd iść.*

Podeszła do miejsca, gdzie zostawili swoje ubrania. Przyglądała się swojemu przez dłuższą chwilę. Dziś rano czuła wstyd na widok rozbierającego się Dariena. Teraz jej własne ubranie wydawało się jej obce, tak oderwane od niedawnych doświadczeń, że przez chwilę miała problem ze zrozumieniem, do czego służą te sztuki niewyszukanego materiału.

Zagryzła wargi i objęła się rękami.

Tak łatwo byłoby pozwolić temu wszystkiemu odpłynąć - wszystkiemu, czym była, istotcie, którą się stała. Ale kłamstwo na nic by się zdało. Zresztą nie chciała tego stracić.

Bo jaki miała wybór, skoro żyło w niej takie zwierzę?

Ubrała się pospiesznie, bojąc się, że straci wolę powrotu i pożegnania się ze swoją ludzką rodziną. Zastępowali na coś lepszego niż porzucenie bez słowa wyjaśnienia. Jednak cały czas musiała wycierać z twarzy łzy i krew.

Kiedy obejrzała się na Dariena, jego złote futro zrobiło się czerwone w świetle

wieczoru.

Cóż innego jej pozostało?

\* \* \*

Dotarła w poblize chaty, w chwili gdy niebo zmieniło barwę z czerwonej na granatową. Całą drogę powtarzała sobie słowa, które powie swojej rodzinie, którymi wyjaśni im odrzucenie ludzkiej tożsamości, aby być z kimś takim samym jak ona.

Chciałaby tylko przestać płakać.

Nie rozumiała swoich uczuć. To nie miało sensu. Darien musiał mieć rację, mówiąc, że połączył ich los, splatając ze sobą, co było szczególnym przejawem opatrności Bożej. Jak inaczej mogłaby trafić na kogoś podobnego sobie? Jak inaczej mogłaby uniknąć losu matki?

Jednak czemu tak bardzo ciążyło jej to na sercu, jakby zdarzyło się coś strasznego? Opłakiwała utratę rzeczy, których i tak nigdy nie miała. Wylewanie łez nad stratą dawnego życia nie miało więcej sensu niż rozpacz z powodu nieurodzenia się w rodzinie rycerskiej albo nieurodzenia się mężczyzną - lub nadmiernego wzrostu.

Była tym, czym była. Stało się, co się stało. Niezależnie od tego, ile będzie się modlić, to nigdy się nie zmieni.

Dziękowała Bogu, że nie zaczęła się tak mazać w obecności Dariena. Może i był wilkiem, ale знаła takich mężczyzn: mężczyzn żądających poddania, ale i pogardzających też wszelką słabością. Jej wątpliwości i łzy rozwścieczyłyby go, a przecież był skory do gniewu i bez dodatkowej przyczyny.

I dlaczego zaczęła myśleć o Łukaszu?

- Co ty z nim zrobiłeś, Darien? - wyszeptała do siebie, dochodząc do otwartej bramy gospodarstwa. Jej myśli szły do podążenia bardzo mroczną ścieżką, gdy usłyszała głos brata:

- Mario! - Podniosła głowę i zobaczyła biegnącego w jej stronę Władysława. Objął ją i przytulił. - Tak bardzo się o ciebie baliśmy... ta bestia wciąż włóczy się po lasach...

- Nic mi nie jest. - Poklepała brata po plecach i spojrzała na drzwi chaty. Stała w nich jej macocha, a obok niej...

- Nie... - wyszeptała. - Dlaczego on tu jest?

Josef postąpił kilka kroków do przodu, wciąż spowolniony przez swoją ranę.

- Przyszedł do mnie, gdy czekałem, żeby odprowadzić cię do domu - wyjaśnił Władysław, puszczając ją. - Powiedział mi, że wyszłaś, gdy przywieziono ofiary. Szukaliśmy cię.

Odwróciła się do Josefa i odezwała po niemiecku:

- Zakon ma zakaz opuszczania grodu!

- Już nie - odparł Josef. - Śmierć wojewody i prośby jego bratanka wystarczyły do przekonania księcia, by pozwolił wolfjegrom brata Heinricha na przeszukanie okolic w pełnym uzbrojeniu. Muszą im tylko towarzyszyć ludzie Teleka albo wojowie samego księcia.

Maria cofnęła się o krok i nerwowo przeniosła wzrok z macochy na Josefa. Jej rodzina tak długo pilnowała jej bezpieczeństwa. Nie wydaliby jej teraz Niemcom, prawda? Czy Władysław mógł powtórzyć Josefowi to, co powiedziała? Nie uwierzył jej, dlaczego więc miałby zachować tak nedorzeczną tajemnicę? Macocha wychowywała Marię jak własną córkę, ale czy znaczyło to, że będzie jej bronić jak własną, gdy na szali leżało życie dzieci z jej krwi?

I co powiedziała dziś rano Josefowi? Co za nedorzecznosci opowiedziała mu wieki temu, zanim tak realne stało się to, czym jest... bardziej rzeczywiste od tego, co udawała teraz?

- Dlaczego tu przyszedłeś? - zapytała, czując, jak jej ciało spina się do walki.

- Martwiliśmy się o twoje bezpieczeństwo. Ta bestia jest w tych lasach... i chciałem z tobą porozmawiać.

- Porozmawiać ze mną?

Odwrócił się w stronę chaty i odezwał koślawą polszczyzną:

- Twoja córka, mogę mówić z nią?

Maria poczuła się nagle poruszona tym gestem, faktem, że Josef próbował się nauczyć jej języka. Zastanawiała się, czy wie, że jej macocha mówiła po niemiecku równie dobrze jak on.

Zapytana, machnęła ręką na jej brata i rzuciła:

- Chodź, Władysławie.

Brat przytulił ją jeszcze raz i wyszeptał wprost do ucha:

- Widziałem, jak cię całował.

Zostali z Josefem sami przed chatą. Podeszedł do niej.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

- Masz błoto na policzku. - Sięgnął do jej twarzy i kciukiem delikatnie wytarł jej skórę. - I płakałaś...

To nie błoto - pomyślała, odwracając się od jego dotyku.

- Nic mi nie jest. - Wciągnęła powietrze i powiedziała sobie, że dobrze się stało, że tu przyszedł. Był jedynym członkiem zakonu, z którym mogła rozmawiać, i stanowił jej największą szansę na przekonanie ich do odejścia, do przeniesienia łowów gdzieś indziej.

Ale nie wiedziała, jak to osiągnąć. Zwłaszcza w sytuacji, gdy znaleźli ośmiu martwych

ludzi.

Wyruszyli, żeby go zabić - pomyślała. Darien tylko się bronił.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać? - warknęła ostrzej, niż zamierzała.

Położył dłonie na jej ramionach.

- Zamierzam opuścić zakon.

- Co takiego? - Odwróciła się gwałtownie. - Nie możesz!

- Mario?

- To... to twoje powołanie. Wybrałeś służbę Bogu. Jak możesz...

- Cały sens probacji, czyli okresu próbnego, polega na tym, by sprawdzić siłę powołania nowicjusza. Stwierdziłem, że nie nadaję się do tego.

Maria patrzyła na niego, niezdolna zebrać myśli. Ten mężczyzna zrezygnował z tytułu i włości, by służyć zakonowi, a teraz chciał zrezygnować i z tego?

- Dlaczego? - zdołała w końcu wydusić.

- Służba w zakonie wiąże się z tym, że żąda się ode mnie ignorowania własnego sumienia i głosu serca na rzecz posłuszeństwa mojemu panu i papieżowi. Kiedyś sądziłem, że mogę temu podołać...

Marii zaparło dech, gdy uświadomiła sobie, jak na nią patrzy.

- Głosu serca?

- Nawet nie wiesz, że złamałem już wprost nakazy mojego pana. Ale chciałem cię chronić.

Nie. To nie mogło się dziać. Nie mogła odciągać takiego człowieka od Boga. Nie mogłaby mieć tego na sumieniu po wszystkim, co się zdarzyło.

- Proszę, zastanów się nad tym, co robisz. Nie odrzucaj tego wszystkiego.

Uśmiechnął się do niej.

- Masz dobre serce.

- Nie. Wcale nie! - Potrząsnęła głową. - Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem samolubna.

- Zajmujesz moje myśli od chwili, kiedy pierwszy raz cię ujrzałem... i nic, co zrobiłaś lub powiedziałaś, nie skłoniło mnie do zmiany opinii o tobie.

- Nie mów tak...

- Jesteś mi bliska, Mario. Bardziej niż przystoi mnichowi.

- Proszę...

- Gdyby Bóg chciał, abym służył mu w zakonie, nie postawiłby ciebie na mojej drodze...

Odsunęła się od niego, zaciskając pięści.

- Nie! Przestań!

- Kocham cię, Mario.

Te słowa były niczym uderzenie w policzek. W duchu krzyczała do niego, by nie mówił takich rzeczy, żeby o niczym takim nawet nie myślał.

- Zamknij się! - wrzasnęła na niego. Znowu potrząsnęła głową, czując, jak złość, frustracja i wszystkie tłumione emocje próbują uwolnić tkwiącą w niej bestię. W głębi czaszki słyszała, jak trzeszcza jej kości, i poczuła pierwsze dźgnięcia bólu w stawach. Zaciśnęła dłoń na sercu...

*Nie miała swojego krzyża! Nie!*

- Nie! - krzyknęła. Nie teraz, nie przed Josefem. Nie mogła...

- Mario? - Wyciągnął do niej rękę, a ona ją odtrąciła.

Zgięła się i zatrzymała przemianę, którą próbowało wymusić na niej zdradzieckie ciało, tłumiące strach, złość i zmieszanie.

- Nic o mnie nie wiesz, Josefie. Nie wiesz, czym jestem. - Popatrzyła na niego przez włosy, które opadły jej na twarz. Coś z wilka przedarło się do jej głosu, zmieniając go prawie w szorstki warkot. - Jeśli naprawdę jestem ci bliska, wracaj do swoich współpracowników. Odprowadź ich z dala od tych lasów.

- Mario? Co ci się stało?

Pokręciła głową. Nic się jej nie stało. Była tym, czym była. Po prostu dowiedziała się prawdy.

- Jeśli dbasz o swoje życie, odejdz i nigdy więcej o mnie nie myśl.

Z drżeniem wciągnęła powietrze, starając się uspokoić. Sytuacja nie rozwijała się tak, jak powinna. Nie mogła powtarzać błędów Lucyny. Nie była tak samotna. Miała czekającego na nią w lesie towarzysza.

Czemu więc jej serce sprawiało wrażenie, jakby miało pęknąć?

Poczuła jego dłoń na policzku, odsuwając włosy z oczu.

- Opuszczam zakon, ponieważ nie mogę znieść, by ktoś inny miał władzę nad moim sercem.

- Proszę...

Podniósł jej twarz tak, by popatrzyła na niego. Jego uroda nie była tak doskonała, jak uroda Dariena: był szczuplejszy i bardziej naznaczony przez trudny czas, jednak dostrzegła w nim tę samą determinację - ale i ciepło, którego brakowało Darienowi.

- Nie powinienes - wyszeptwała.

Mogła go uderzyć jak Łukasza. Odepchnąć go. Mogła się odwrócić i uciec, zapominając o planach czystego zamknięcia ludzkiego rozdziału jej życia. Mogła zrobić każdą z tych



rzeczy - ale ich nie zrobiła.

Zamiast tego popatrzyła mu w oczy i poczuła, jak jej serce przyspiesza. Nie uchyliła się też, gdy schylił się do pocałunku.

Pragnęła go. Pragnęła Josefa bardziej niż czegokolwiek innego. Nawet po tym, co pokazał jej Darien - siłę, wolność i radosną brutalność - tak naprawdę zawsze chciała kogoś, kto by ją kochał. I mimo wszystko wątpiła, czy Darien potrafi jej to dać. Wszystko, co Darien znał, jedyne, co go obchodziło, to żyjąca w jej wnętrzu bestia. Josef zaś znał osobę, którą była - a przynajmniej pragnęła być...

Jednak gdy ją całował, a jego dotyk rozgrzał do głębi jej ciało, z którego zmarznięcia nie zdawała sobie sprawy, zapłakała. Albowiem niezależnie od tego, co mówił, jeśli Josef pozna prawdę, on też nie będzie w stanie dać jej miłości.

Mimo wszystko, choć było to złe i oszukańcze, pozwoliła mu się objąć. Teraz potrzebowała właśnie jego, a nie zwierzęcia, które nasyciło swe żądze w lesie. Maria kobieta, istota ludzka - ona go potrzebowała. Część jej potrzebowała kogoś, kto by ją trzymał w objęciach, pocieszał i o nic nie pytał.

## XXIV

Darien obudził się i przeciągnął, czując w całym ciele zadowolenie, jakiego nie zaznał od czasów dzieciństwa. Świat znowu się uporządkował, a on znalazł w nim swoje właściwe miejsce. Po latach samotności na peryferiach świata ludzi i doświadczania ich nieczułości i pychy, po tak długim definiowaniu się przez samo tylko przeciwieństwo względem wroga, miał coś swojego: życie, rodzinę, partnerkę... wszystko to poza światem określanym przez pragnienia ludzi oraz ich Boga.

Ziemia, na której spał, wciąż była mocno przesiąknięta jej zapachem; wciągnął ów aromat w nozdrza, warcząc z przyjemności. Czuł się prawdziwie szczęśliwy - po raz pierwszy od czasu, kiedy zakon wymordował jego rodzinę.

Szczeknął cicho, dając Marii znać, że się obudził - by do niego wróciła. Wciąż miał tyle rzeczy do pokazania, tyle do opowiedzenia... Wieczór był rześki, noc zapowiadała się wspaniale.

*Gdzie ona jest?*

Budząc się ostatecznie, przypomniał sobie, że go głaskała. Przypomniał sobie nagą ludzką postać obejmującą jego głowę. Powiedziała mu, żeby spał.

Podbiegł do miejsca, gdzie złożyli swoje ludzkie ubrania. Zabrała swoje...

Gdzie poszła, że musiała się ubrać jak oni?

Darien poczuł, że staje się posepny. W jego umyśle zapanował nagle wielki spokój, niczym na niebie przed wielką burzą. Nie mogła przecież wrócić do nich... nie po tym, co jej pokazał.

Parzył się z nią. On, nikt inny. Z nią. Czekał dwadzieścia lat na znalezienie kogoś swojego gatunku. Nie mogła dać mu tego i po prostu odejść. Nie mogła.

Roztrącił nosem liście w miejscu, gdzie spoczywało jej ubranie, próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie, jakąś wymówkę. Między liśćmi błysnęło coś srebrzyście - zobaczył jej krzyż.

Tak - pomyślał. Nie wraca w ich więzy...

Potem oblizął nos, a jego głowę wypełniła fala nowych pomysłów. Wróciła, żeby ich

ukarać. Uwięzili ją, spętali srebrem, nie mówiąc nic o tkwiącej w niej sile. To, co jej zrobili, było na swój sposób gorsze od tego, co zakon zrobił jemu. Zakon zniszczył jego rodzinę, ale ci paskudni ludzie spędzili całe lata na niszczeniu jej. Zmuszali ją do zaprzeczenia temu, czym była - tak że nie wiedziała nawet, co odrzuca.

Pobiegł, wdychając jej woń. Dogoni ją i pomoże sprowadzić zemstę na tych durniów, którzy związali ją łańcuchami. Razem zakosztują ciał zdrajców i znowu będą się parzyć na posłaniu z kości.

\* \* \*

Darien zorientował się, że coś jest nie tak, gdy usłyszał jej płacz. Zatrzymał się w lesie, tuż poza zasięgiem wzroku mieszkańców domu, w którym była więziona. Usłyszał łkanie i próbował się przekonać, że to dźwięki skruchy i bólu tych, którzy ją krzywdzili.

Jednak znał jej głos.

Podczołgał się do przodu, trzymając się cieni między drzewami, zatrzymując się, dopiero gdy chata znalazła się w polu widzenia. Wtedy ją zobaczył.

*To niemożliwe...*

W jego piersi odezwał się straszliwy warkot, a wargi cofnęły się w demonicznym warknięciu, które rozcięło jego pysk na pół. Jego towarzyszka, jego suka - po tym, jak mu się oddała - stała przed chatą swoich dręczycieli, łkając w ramionach jakiegoś mężczyzny. A nawet nie jakiegoś, tylko mnicha z zakonu.

Rozpoznał go.

Jego przednie pazury zatrzeszczały, gdy ciało zaczęło się sposobić do walki i wbił w ziemię rosnące szpony. Rozszarpie mnicha na strzępy, na żywca oderwie mu ciało od kości. Ten człowiek będzie patrzył, jak Darien zjada jego wątrobę. Zakon odebrał mu już rodzinę. Tego mu nie odbiorą.

Maria oderwała głowę od ramienia mężczyzny i spojrzała w stronę lasu, jakby go usłyszała.

Darien zeszywniał, patrząc na nich. Na niego.

*Czujesz to, człowieku? Czujesz spojrzenie oka, które prawie wyłupięś?*

Zobaczył, jak rozchylają się nozdrza Marii, a jej twarz obraca się w jego stronę. Wiedziała, że tu jest. Kiedy patrzył na nią, znieruchomiały, położyła dłoń na piersi mężczyzny, delikatnie przesuwając go za siebie.

*Ty głupia suko!* Wściekłość krzyczała, by atakował, ale nie przeżyłby dwóch dekad samotnie w walce przeciwko zakonowi, gdyby pozwolił, aby kierowała nim złość. Mógł teraz

zabić tego człowieka; mógł zamordować go niezależnie od tego, co Maria zrobiłaby dla jego ochrony - ale nie tego przecież chciał. Nie cierpienia tego człowieka, nie jego śmierci. To nadejdzie już wkrótce, niezależnie od tego, co Darien zrobi teraz. Chciał jej. Chciał, żeby zobaczyła, czym naprawdę są stworzenia zwane ludźmi.

Wróciła do tego domu, do tego człowieka, tylko dlatego, że Darien powiedział jej, a nie pokazał. Powoli wycofał się głębiej w cień. Niezależnie od tego, jak bardzo chciał teraz zakosztować mięsa owego człowieka, istniały bardziej produktywne sposoby na wyładowanie furii.

\* \* \*

Maria płakała na ramieniu Josefa, uwalniając cały ból, frustrację i zmieszanie. Nie zadawał jej żadnych więcej pytań i na chwilę mogła zapomnieć, że nie była już tą Marią, którą znał. Łkając, gwałtownie wciągała powietrze, wdychając zapach Josefa, tak niepodobny do woni Dariena. Chciała się w nim zatracić, stać się kobietą, za którą ją brał... mieć życie, rodzinę i męża spełnić te wszystkie przekłete marzenia kobiety, która ją urodziła.

Takie myśli sprawiały, że płakała jeszcze mocniej. Od płaczu zaczęło ją boleć ochryple gardło.

A potem poczuła Dariena. Spięła wszystkie mięśnie, słysząc całą sobą niski warkot.

*Nie, nie tutaj.*

Wyrwała się z objęć Josefa i odwróciła w stronę lasu. Czuła go teraz wyraźnie i miała wrażenie, że dostrzegła ruch za drzewami: mignięcie złotego futra, błysk bladobłękitnego oka.

- Mario?

Pchnęła Josefa za siebie i z bijącym sercem wpatrywała się w las, czekając na wyjście z lasu wilczego kochanka i jego wyzwanie.

Tak jak Lucina wyzwalała jej ojca.

*Proszę, Boże, tylko nie to.*

- Mario? Co się dzieje? Czy tam coś jest?

Teraz już nic nie słyszała i po kilku chwilach jego zapach rozpląnął się w wieczornym wietrze.

- Nic - powiedziała w końcu. - Musiało mi się wydawać. - Ale wiedziała, że to kłamstwo.

- Wiesz, co się tam czai, prawda?

Odwróciła się do niego, gotowa znów skłamać. Jednak, widząc jego oczy, nie potrafiła się na to zdobyć.

- T... tak.

- Wiedziałaś, zanim cokolwiek ci powiedziałem, zanim dałem ci ten sztylet. To dlatego nosi go teraz twój brat. On potrzebuje go bardziej niż ty.

*On wie. On wie, czym jestem.* Poczwała, jak ścisła się jej żołądek. Josef wiedział, czym ona jest, i nie będzie miała nawet satysfakcji z osobistego wyjawienia mu prawdy.

- Przyszedłem tu, żeby cię uratować.

- U... uratować mnie?

- Tak. Masz jeszcze szansę odkupić swoje grzechy. W grodzie jest nawet biskup, który może udzielić ci rozgrzeszenia. Proszę, musisz porzucić swe pogańskie praktyki. Powiedz nam, gdzie są ołtarze, gdzie składasz swoje ofiary...

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi. Pogańskie praktyki? Przecież jest chrześcijanką. Czymkolwiek była, tego akurat była pewna. Została ochrzczona. Chodziła na msze, wyznawała grzechy.

- Mario, moje serce obciążały podejrzenia, od kiedy tylko pokazałaś mi otrzymany od ojca krzyż. Dopiero kiedy mi się przeciwstawiłaś, zrozumiałem, jakie to dla ciebie musi być trudne, kiedy kobieta tak dobra jak ty bierze udział w czymś tak złym. - Ujął jej ramiona i popatrzył głęboko w oczy z rysującą się na twarzy głęboką troską. - To stworzenie nie jest twoim Bogiem. To szatańskie oszustwo, które ma cię odsunąć od zbawienia.

Szerzej otworzyła oczy, pojmując nagle, jak bardzo Josef się myli.

- Proszę, ja nie... - Umilkła, nie wiedząc, jak wyjaśnić mu błąd, nie pogarszając równocześnie sytuacji.

- Rozumiem, Mario. Ty znasz to coś. To dlatego dziś rano próbowałaś przekonać mnie o jego ludzkiej naturze, prawda? To dlatego wiedziałaś o wilkach, choć sam nie wspomniałem ci o tym ani słowem. Wyczułaś to tutaj przed chwilą, prawda?

- Tak... - przyznała po dłuższym wahaniu.

- Próbujesz to chronić...

Maria poczuła spływające po policzkach łzy. Nawet błędząc, aż nazbyt zbliżył się do jej serca. Tak naprawdę mylił się tylko co do przyczyny.

- Nie rozumiesz... Chcę, żeby to się skończyło.

- Wiem - zapewnił Josef. - Kiedy cię nie było, szukałaś go, prawda?

- Proszę...

- Czy ta bestia wyjaśniła ci, czemu zamordowała wojewodę Bolesława i siedmiu innych ludzi?

- Polowali na niego.

- Czy wyjaśniła ci, czemu wymordowała całe wioski? Czterdziestu ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci, zostawionych, by zgnili na stopniach swojego kościoła?

Chciała temu zaprzeczyć, ale widziała oczy Dariena. Słyszała go. Tak, miał powód, ale był on tak głęboki i mroczny, że mogła sobie wyobrazić, jak Darien używa go do usprawiedliwienia wszystkiego.

Lecz mimo burzy własnych emocji musiała powstrzymać serce, by całkowicie nie odwrócić się od brutalności Dariena, ponieważ po tym wszystkim tylko on jej zostanie - i nic więcej. Objęła się rękami i pokręciła głową, przekonując się, że naprawdę nie jest grzeszna.

Musiała to powiedzieć na głos, gdyż Josef jej odpowiedział:

- Wiem, że nie jesteś.

Popatrzyła na niego.

- Patrzyłem na twoją twarz, gdy zobaczyłaś efekty jego mordów, widziałem poczucie zdrady w twoich oczach. Nawet jeśli to coś jest bogiem twoich przodków, nawet jeśli składasz mu ofiary, ta furia nie jest czymś, o co prosiłaś, prawda?

- Nie. - Nie była już nawet pewna, czego właściwie chciała od Dariena. Albo Josefa. Czy od siebie. Wiedziała tylko, że nie chciała, by jeszcze ktoś zginął czy ucierpiał, włącznie z Darieniem. - Jeśli wyprowadzisz ich daleko stąd - powiedziała w końcu - zabijanie się skończy. Wiem, że tak będzie.

- Mario - odpowiedział, przyciszając głos - czy twoja rodzina wie, co robisz?

Otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo.

- Nie wiedzą, prawda?

- Ja...

- Dałaś bratu sztylet, bo zdajesz sobie sprawę, że grozi im niebezpieczeństwo.

- Nie. - Jednak miał rację: choć ciągnęło ją do Dariena, nie ufała mu. Nie mogła mu zaufać. Zwłaszcza w kwestii swojej rodziny.

- Wiesz przecież, że ta bestia nie jest czymś, co zostanie ułagodzone przez ofiary. - Josef puścił jej ramiona. - Wróc ze mną, wyprostuj swoje sprawy przed Bogiem. Pojednaj się z nim. Widzę to w twojej twarzy: ty wiesz, że jesteś na złej drodze.

- Nie mogę wrócić.

- Proszę. Jeśli brat Heinrich odkryje, co zrobiłaś, nie okaże miłosierdzia. Jeśli nie ujawnisz tego sama, prosząc o azyl biskupa z waszego ludu, nie wiem, czy będę w stanie cię chronić.

- Jeśli odkryje... nie powiedziałaś mu?

- Gdybym to zrobił, nie byłoby mnie tu.

Jej poczucie winy jeszcze się zwiększyło. Popatrzyła na ciemniejące niebo i poczuła się tak, jakby walił się na nią świat.

- Nie, nie możesz się dla mnie poświęcać, kłamać dla mnie, choć nie masz pojęcia, co ja zrobiłam.

- A co takiego zrobiłaś?

- Ja... ja... - Nie mogła mu powiedzieć. Nie mogła opowiedzieć mu o zwierzęcym głodzie, o płonącej w niej żądzy. Gorzej, że czuła wzrok Dariena. Wiedziała, że jeśli Josef ruszy przez pogrążony w ciemności las do grodu, Darien...

- Wróć z tobą - oświadczyła. Dzięki temu będzie miała czas do namysłu. Może biskup mógłby udzielić jej rozgrzeszenia. Jeśli nie, gdy Josef znajdzie się bezpiecznie w twierdzy, będzie mogła wymknąć się z niej w nocy. Znała to miejsce na wylot. Potem znajdzie Dariena i jeśli zakon pozostanie tu, poprowadzi Dariena gdzieś indziej. Mogli powędrować na wschód, daleko od granic państwa zakonnego, na ziemię, gdzie Niemcy nigdy nie odważą się zapuścić.

- Pozwól mi tylko pożegnać się z rodziną.

\* \* \*

Darien wrócił na polanę pośrodku nocy, czując wściekłość zimną i twardą jak skała. Przygotuje wielką zemstę - zarówno na zakonie, jak i nikczemnikach, którzy uwięzili jego samicę i wpoili w nią nienawiść do niego i jego gatunku. A przy okazji pokaże jej prawdziwą twarz ludzi, z którymi mieszkała. Nie będzie miała innego wyboru, niż ich odrzucić.

Choć czuł niesmak, przybrał ludzką skórę i ubrał się w odzież, która pozwalała mu chodzić po ziemi ludzi. Kiedy zabierze ją z tego miejsca, wyrzucą te szmaty, a potem oboje zapomną o ich świecie.

Lecz nie wcześniej niż wtedy, gdy wymusi ostatnią zapłatę w ciele i kościach od zakonu, i dopiero gdy dowiedzie jej, jak bezwartościowa jest ludzkość.

Gdy jego ludzka maska znalazła się na miejscu, sięgnął między liście i wygrzebał pozostawiony przez Marię krzyż.

- Ten łańcuch był tak dla ciebie ważny... - powiedział. - Słuszne więc będzie, aby to on cię w końcu uwolnił.

## XXV

Kiedy Maria weszła do rodzinnej chaty, czekała już na nią matka z trójką braci. Wszyscy patrzyli na nią, a ona czuła ciężar ich wzroku.

- Nie nosisz już krzyża od ojca.

Jej dłoń odruchowo powędrowała do serca, by dotknąć krzyża, jednak nie było go tam.

- Zgubiłam go w lesie.

Zobaczyła ból na twarzy macochy i był to jedyny znak, jakiego potrzebowała, by zrozumieć, że przekroczyła punkt, zza którego nie było odwrotu.

Władysław przestał się uśmiechać, ale było jasne, że jeszcze nie rozumie.

- Możemy pójść poszukać go za dnia...

Maria pokręciła głową.

- Nie jest mi już potrzebny.

- Co to znaczy? - zapytał Władysław.

Macocha wstała.

- Twoja siostra odchodzi.

Maria kiwnęła głową.

- Idę z Josefem. I już nie wrócę.

Wstrząs odmalował się twarzach jej braci, najbardziej zaś Władysława.

- To się zdarza, prawda? - powiedziała macocha, patrząc na nią z krzywym uśmiechem. - Dzieci odchodzą z domu.

- Pozostanie tutaj nie byłoby bezpieczne - stwierdziła Maria.

- A jakie niebezpieczeństwo ci grozi? - zapytał Władysław. - Ochronię cię.

- Twoja siostra nie potrzebuje ochrony - rzuciła macocha. - I nie wydaje mi się, żeby chodziło jej o własne bezpieczeństwo.

- Co takiego? - Władysław zrobił minę, jakby nic nie rozumiał.

Maria popatrzyła mu w oczy.

- Powiedziałam ci przecież, czym jestem.



- Nie - zaprzeczył. - Naśmiewałaś się tylko ze mnie. Wciąż to robisz. Ale ten żart posunął się za daleko.

Cisza, która zapadła po tych słowach była bolesna, lecz Maria nie zrobiła nic, żeby ją przerwać. Władysław zwrócił się do matki:

- Mamo, powiedz jej, żeby przestała opowiadać kłamstwa.

- Twoja siostra nie kłamie.

- Twój ojciec wiedział, że któregoś dnia do tego dojdzie - powiedziała, podchodząc do Marii. - Tam jest jeszcze jeden, prawda?

- Ktoś taki jak ja - przyznała.

- Taki jak ty? - powtórzył Władysław słabym głosem.

- Ma na imię Darien.

- Ale - macocha nie rozumiała - nie idziesz z tym Darieniem... mówiłaś o Josefie....

- To niemożliwe! - rzucił Władysław. - Chcesz powiedzieć, że ten Darien... to on jest odpowiedzialny za morderstwa? Zakon poluje właśnie na niego, prawda? - Chwycił ją za rękę. - Twierdzisz, że jesteś tym czymś... ale przecież to zabójca, z krwią na rękach...

- Inaczej to oni zabiliby jego. - Maria wypowiedziała te słowa, choć zabrzmiały pusto.

- A co zakon zrobiłby z tobą? Ten Darien ściąga na siebie ich gniew. Czy znaczy dla ciebie aż tyle, że chcesz ściągnąć pomstę także na siebie? - Władysław mocno zaciskał dłoń na jej ręce, odgniatając siniaki i potrząsając nią. - Jest ci bliższy niż własna rodzina? Nie pozwolę ci odejść. Nie będziesz opowiadać takich szalonych historii przed ludźmi, którzy potraktowaliby je na tyle poważnie, by wysłać cię na stos!

Miała ochotę krzyczeć, ale Josef stał na zewnątrz i nie chciała, by usłyszał jej słowa, nawet wypowiedziane w języku, którego nie rozumiał. Zamiast tego odezwała się szorstkim szeptem przypominającym warczenie wilka.

- Ja nie jestem człowiekiem, bracie. A ty mnie puścisz.

Szerzej otworzył oczy i rozluźnił uścisk na jej ręce.

- Puść mnie... - Słowa zabrzmiały jak warknięcie, a on gwałtownie cofnął rękę, jakby go przypiekła. - Mama ma rację. Nie kłamię. I jeżeli tu zostanę, wszystkim wam będzie groziło niebezpieczeństwo: jeśli nie ze strony zakonu, to w każdym razie przez Dariena.

- Mario! - Po twarzy macochy płynęły łzy. - Nie musisz wybierać tej drogi. Jesteśmy twoją rodziną.

- Sama powiedziałaś, że tata wiedział, że kiedyś do tego dojdzie.

- Ale w taki sposób? Twój brat ma rację. Jeśli ten Darien zabił tylu ludzi, czy naprawdę chcesz do niego dołączyć?

- Nie mam już innego wyboru, matko. Wszystko, co mi zostało, to uchronić się przed losem Lucyny. - Maria poczuła własne łzy i dotknęła policzka macochy. - Nie skrzywdzę nikogo tylko po to, aby być z kimś, kogo Kocham.

Potem odwróciła się i wyszła z domu.

\* \* \*

Szła z Josefem w milczeniu. Przyglądała się mrocznym ceniom w lesie wokół. Świat poza granicami światła rzucanego przez latarnię Josefa zdawał się groźniejszy niż kiedykolwiek dotąd. Pomyślała, że powinna uciec w mrok, zniknąć. I zrobiłaby to, gdyby nie Josef. Gdyby tylko miała pewność, że będzie bezpieczny.

Czy to właśnie dlatego tu była?

Już nie wiedziała. Nie wiedziała, kim albo czym jest. Wiedziała tylko, że się boi. Boi o siebie, o Josefa i o swoją rodzinę.

Bała się też o Dariena... nawet nasłuchując odgłosów jego kroków, wciągając w nos powietrze w poszukiwaniu jego woni, śledząc kolumny księżycowego blasku, przebijające się przez mrok za śladem złotego futra lub błyskiem bladobłękitnego oka.

Josef też zdawał się pogrążony w myślach.

Wciąż myślała o kobiecie, którą poniekąd była, przynajmniej do niedawna. Jak ona przyjąłaby deklarację Josefa? Miara jej upadku zdawało się to, że nie potrafiła już sobie wyobrazić, jak zareagowałaby przed dzisiejszym dniem, przed spotkaniem Dariena.

Zaczęło do niej docierać, jaki błady jest towarzyszący jej mężczyzna.

- Dobrze się czujesz, Josefie?

- Nic mi nie jest - odparł. Ale usłyszała w jego głosie wysiłek, który zadawał kłam tym słowom. Objęła go w pasie i uświadomiła sobie, że czuje krew.

- Josefie, twoje rany...

- Nie mają znaczenia.

Obróciła go twarzą do siebie.

- Mario...

Podciągnęła jego kaftan i położyła na koszuli. Jęknął, a ona poczuła wilgoć.

- Ty krwawisz.

- Dam radę wrócić.

- Jesteś głupcem, jeśli tak sądzisz. A ja jestem głupia, że wcześniej tego nie zauważyłam.

Położ się, już, w tym miejscu.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

Chwyliła go za rękę i przycisnęła mu dłoń do koszuli. Szerzej otwarł oczy i ponownie jęknął z bólu.

- Czujesz to? Rozerwałeś sobie bliznę. Musisz natychmiast przestać się ruszać i zacisnąć w tym miejscu skórę na brzuchu.

Josef kiwnął głową i zachwiał się lekko. Pomogła mu dotrzeć do trawiastego miejsca z boku ścieżki i zanim odstawił latarnię na ziemi i się położył, podtrzymywała już większość jego ciężaru.

- Może masz rację - zgodził się Josef.

Podciągnął swój kaftan i koszulę, odsłaniając opatrunek na brzuchu.

- Boże dopomóż - wyszeptała Maria. Bandaże lśniły w świetle księżyca wilgotną czernią.

Odwinęła opatrunek i popatrzyła na ranę. Josef jęknął.

- Proszę, nie ruszaj się. Rozeszła się górna część blizny. Z rany płynie krew, ale niezbyt mocno. Jeśli zatamujemy krwawienie, wyjdiesz z tego. - Chwyliła dół jego kaftana w barwach zakonu i zaczęła odrywać od niego pasy materiału. Tkanina, choć gruba, darła się łatwo, a jedyny komentarz Josefa brzmiał:

- I tak nie będę już tego potrzebował.

Obwiązała go i przycisnęła zakrwawione dłonie do jego żołądka. Jedyne pocieszenie czerpała z faktu, że sytuacja wyglądała tak źle tylko dlatego, że Josef był na tyle uparty, że nie stanął, gdy poczuł, jak pęka rana.

- No dobrze - odezwał się po jakimś czasie - ale kiedy ruszymy dalej?

- Kiedy przestaniesz krwawić albo pojawi się jakiś wóz jadący do grodu.

- Masz dobre serce - powiedział po kolejnej dłuższej przerwie.

- Nie znasz mnie.

- Doprawdy? Zabieram cię, żebyś świadczyła przeciw sobie. Czy nie byłoby ci łatwiej pozwolić, żebym się wykrwawił?

- Cicho bądź. Oszczędzaj siły. - I tak była zdumiona, że w ogóle jeszcze mu jakieś zostały. Jak długo trwały poszukiwania, na które wyruszył z jej bratem? Jak długo krwawił, zanim zaczął źle wyglądać?

- Josefie - odezwała się - gdybym czegoś nie ukrywała, gdybym nie była tym, czym jestem, przyszedłbyś po mnie?

- Kocham cię, Mario - wyszeptał, zamykając oczy.

Jej serce się ścisnęło.

- Nie powinienes tak mówić, Josefie. Nie wiesz, czym jestem. I chyba nawet nie znasz Dariena.

Kiedy nie odpowiedział, popatrzyła na niego i przekonała się, że śpi.

\* \* \*

Darien spędził sporą część nocy, obserwując wartowników stojących na straży wałów grodu. Ludzi było zdecydowanie więcej, niż zapamiętał z wcześniejszych wizyt w tych okolicach. Podejrzewał, że wystawili strażę z obawy przed nim. Mimo wszystko byli ludźmi i za bardzo polegali na wzroku.

Oczyszczony z drzew teren na przedpolach grodu przygotowano z myślą o uniemożliwieniu niezauważonego podejścia wrogiej armii, a nie jednej osoby. Nawet w ludzkiej skórze mógł niepostrzeżenie zbliżyć się do muru, po prostu trzymając się drugiej strony kamiennych murków, wyznaczających granice pastwisk. Im bliżej się znajdował, tym rzadziej wzrok strażników wędrował w jego stronę. Wierzyli, że zauważą zagrożenie, gdy tylko wyłoni się z odległego lasu, lecz nie zwracali większej uwagi na ziemię prawie pod ich stopami.

Zbliżał się do twierdzy od strony przeciwnej niż świecący nad główną bramą księżyc i gdy osiągnął najbliższy z kamiennych murków, pogrążył się w głębokim cieniu rzucanym przez zewnętrzny mur. Między sobą a podstawą muru miał jeszcze do pokonania około trzydziestu kroków niskiej trawy.

Przebył tę odległość w piętnastu susach, nie wywołując alarmu.

Wyteżył słuch i nawet swoimi słabymi ludzkimi uszami wyłapał rozmowy ludzi na koronie wałów. Nad nim wznosiła się ściana z ubitej gliniastej ziemi i belek, wysoka na siedmiu czy ośmiu ludzi.

Rozprostował palce i sięgnął w górę.

W wilczym ciele byłoby to znacznie łatwiejsze, ale właśnie wilka wypatrywały strażę. Zresztą miał na sobie krzyż Marii.

Wbił miękkie ludzkie palce w szczeliny między belkami licującymi ścianę i podciągnął się do góry. Wspiął się, wciskając ręce w szpary tak wąskie, że jego palce krwawiły. Z powodu trzymanego tak blisko skóry srebrnego krzyża rany nie chciały się goić, ale Darien zaakceptował ból. Witał go z otwartymi ramionami. Nienawidził tego ciała, w którym był tak podobny do swoich wrogów; to ciało powinno cierpieć równie mocno, jak cierpieli wrogowie.

Jego palce ślizgały się po nierównym drewnie i korze, a on dalej wbijał je w szczeliny, wciskając głębiej i mocniej. Do chwili, kiedy dotarł do szczytu fortyfikacji, stracił już większość paznokci.

Zawisł na krawędzi wałów, osłonięty ich cieniem przed blaskiem księżyca, wsłuchując

się w kroki strażników. Chodzili wolno i leniwie, a po kilku chwilach jeden przeszedł tuż przed Darienem, nieświadom jego obecności.

Mógłby go rozerwać na strzępy.

Jednak nie po to tu przyszedł.

Odczekał, aż ciężkie kroki strażnika dołączyły do odgłosów kolejnego, stojącego nieco dalej na wałach. Darien usłyszał początek prowadzonej szeptem rozmowy i skorzystał z okazji, by dźwignąć się tak wysoko, żeby wyrzeć znad korony wału. Czterdzieści kroków dalej dwóch strażników rozmawiało, obserwując panoramę grodu. W przeciwnym kierunku inny strażnik, odległy o trzydzieści kroków, przechadzał się powoli, równie skupiony na wypatrywaniu zagrożeń, mogących się wyłonić z odcinka lasu, który kontrolował.

Darien dźwignął się cicho i wskoczył na chodnik prowadzący grzbietem wałów. Rozciągnął bolące ręce, aż strzeliły stawy, zatrzymując się tylko na tyle, by sprawdzić, czy nie jest obserwowany.

Nie rozległ się żaden alarm - zeskoczył więc z wewnętrznej krawędzi wału w ciemność poniżej.

\* \* \*

Darien przemykał ciemnymi uliczkami ludzkiej osady, dławiąc się wypełniającym powietrze smrodem ludzi. Przemknął obok nieświadomych niczego wartowników, krążąc po grodzie, aż odnalazł stajnie.

Zapach koni był prawdziwą ulgą po smrodzie ludzkości. Przypomniał mu też niewyraźnie człowieka, który zaatakował Marię - jego zapach zapamiętał lepiej od twarzy.

Konie stukały kopytami i sapały głośno, gdy wemknął się do środka, ale żaden nie wpadł w panikę. Mogły czuć się niespokojnie w obecności obcego, ale obleczony w ludzką skórę nie był powodem do strachu. Gdyby tego chciał, mógłby któregoś dosiąść.

Zamiast tego przeszedł przez sieczkę i siano, zaścielające podłogę ciemnej stajni, mijając zady tuzina koni. Światło księżyca docierało do środka na tyle, by rozjaśnić podłogę i zarysy poruszających się nerwowo zwierząt.

O świcie to miejsce wciąż będzie pogrążone w mroku. Popatrzył w górę, na krokwie, widoczne tylko jako nieco ciemniejsze smugi cienia.

Wspiął się w mrok i znalazł sobie miejsce na długiej belce, szerszej od siebie. Palcami wymacywał drogę, aż znalazł się nad przejściem między stanowiskami koni. Słabe światło księżyca rozjaśniało znajdujące się w dole drzwi, które zdawały się jarzyć niczym widmowe ognisko, kontrastujące z czernią, w której się ukrył. Kierując się dotykiem, zdjął ubranie,

odkładając je starannie na belce obok siebie, aż stał się nagi i bosy.

Na końcu zdjął krzyż Marii, odkładając go na belce po lewej, po przeciwnej stronie niż ubranie. Natychmiast zaczęły go swędzieć palce.

- Zobaczysz, czym są ludzie, Mario.

Potem zlizął krew z palców nad odrastającymi momentalnie paznokciami.

## XXVI

Josefa obudził świergot ptaków. Ziewnął i zamrugnął kilka razy. Gałęzie w górze obramowywały groźnie wyglądające, czerwonoszare dniejące niebo. Skórę na górnej części brzucha pokrywała mu rosa, dając kojący chłód. Przez chwilę nie był pewien, gdzie się znajduje ani co się stało. Poszedł szukać Marii, potem z nią rozmawiał i ruszył z nią do grodu...

Czyżby zasnął?

Podniósł rękę, żeby przetrzeć oczy, i znieruchomiał. Na dłoni zobaczył krew, a ten obraz nasunął mu na myśl tak wiele strasznych możliwości, że jego umysł cofnął się przed nimi.

Spróbował usiąść, ale poczuł jakiś przytłaczający go ciężar.

Spojrzał w dół na siebie i zobaczył, że jedna z tych okropnych ewentualności była rzeczywistością. Maria leżała, przyciskając mu brzuch dłońmi, a jej głowa spoczywała na jego udzie. Jej ręce pokryte były krwią, zakrwawione były też bandaże wokół jego ran.

Czyżby stało się najgorsze? Czy fałszywy pogański bóg zesłał zemstę na swoją służkę?

Wtedy zobaczył, że dziewczyna oddycha.

Powoli wróciły do niego wspomnienia zeszłej nocy. Przypomniał sobie nagłe zmęczenie, osłabienie, Marię drącą jego ubranie.

- Panie, ulituj się - wyszeptał i odmówił krótką modlitwę dziękczynną za to, że bestia nie znalazła ich w nocy śpiących.

Był nagi od pasa w górę, a to, co nie pełniło roli opatrunku, leżało zwinięte pod głową Josefa jako poduszka. Maria nie zadbała o takie wygody dla siebie. Spała z policzkiem opartym o jego udo, z czarnymi włosami zasłaniającymi twarz ponad na wpół otwartymi ustami. Nawet przez spodnie czuł ciepło jej oddechu.

Przypomniał sobie, jak ją pocałował.

Dłonie dziewczyny wciąż wplątane były w opatrunek osłaniający ranę na jego brzuchu. Nawet teraz w miejscach, gdzie krew nie zaplamiła jej dłoni, widział zbieleńskie kostki palców. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, a ona szarpnęła się, unosząc głowę i strząsając włosy z

oczu. Wymamrotała coś po polsku.

- Wygląda na to, że przeżyłem - powiedział Josef.
- Niech mi Bóg wybaczy, zasnęłam...
- Nikt nie może nie spać bez końca... - Ścisnął jej dłoń.
- Nie, bo on wciąż tu jest.
- Mario, nic nam nie jest.

Spuściła wzrok i potrząsnęła głową.

- Daleko ci do dobrego stanu. Przez nieuwagę pozwoliłeś prawie, by wypłynęło z ciebie życie.

- W takim razie mam szczęście, że o mnie zadbałaś. - Puścił jej rękę. - Może też zechcesz przestać uciskać mój brzuch i sprawdzisz, czy rana już się zamknęła...

Popatrzyła na swoje dłonie, wciąż przyciskające bandaż do jego żołądka. Kiwnęła głową i stęknęła cicho, a Josef mógłby przysiąc, że usłyszał trzask kości, gdy rozprostowywała rękę i cofała je od rany. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby coś sobie zrobiła w dłonie: skórę miała przyciemnioną, a palce wywichnięte i nabrzmiałe. Jednak musiało to być tylko złudzenie, ponieważ strząsnęła dłonie i Josef nie zobaczył na nich ani śladu obrażeń, poza jego zakrzepłą krwią.

Obmacała zranione miejsce i po chwili oznajmiła, że krwawienie najprawdopodobniej ustało.

- To dobrze - stwierdził, dźwigając się z ziemi. Możemy wrócić do twierdzy.

Położyła dłoń na jego ramieniu - na jego wychłodzonej skórze jej dotyk był przyjemnie ciepły.

- Nie powinieneś teraz chodzić.
- Widzisz jakieś inne wyjście? Zostać tutaj?
- Twoja rana może znów pęknąć...
- Doceniam twoją troskę.

Schylił się, żeby złapać pion, a Maria chwyciła jego rękę i położyła ją sobie na ramionach.

- Jeśli nie chcesz odpoczywać - powiedziała to przynajmniej pozwól mi sobie pomóc. Objęła go i przytrzymała mu plecy, gdy wstawał. Poruszała się powoli, delikatnie i z siłą, której się po niej nie spodziewał. Stanął na własnych nogach i poczuł falę oszołomienia, od której zmiękły mu kolana. Ale dziewczyna utrzymała go w pionie.

- Dziękuję - sapnął.
- Nie pozwolę ci się zabić.



Próbował zabrać rękę z jej ramion, ale wolną dłonią chwyciła go za nadgarstek.

- Mogę iść o własnych siłach - zapewnił.

- Możesz też iść z moją pomocą.

Nie miał dość sił, by się z nią spierać.

\* \* \*

Niebo pozostało groźne, ale deszcz mimo wszystko nie spadł przez całą ich drogę do grodu. Ponieważ wciąż było przed świtem, bramy nie otwarto jeszcze, lecz kiedy wędrowali wolno drogą w górę wzgórza, zostali dostrzeżeni przez wartowników i gdy dotarli do wałów, czekała już na nich otwarta brama.

Wokół Josefa i Marii zebrało się pół tuzina ludzi, zadających pytanie za pytaniem w niezrozumiałym dla Josefa języku, a on uświadomił sobie, jak okropnie musi wyglądać - bez koszuli, z brzuchem obwiązany zakrwawionymi bandażami, w poplamionych krwią spodniach, o skórze bladej jak śmierć i wsparty na kobiecie niższej od niego o głowę.

Maria odpowiadała na ich pytania i dwóch strażników odbiegło gdzieś, podczas gdy kolejna dwójka poprowadziła ich w głąb grodu.

- Poszli sprowadzić medyka dla ciebie - wyjaśniła mu Maria.

- A jest mi potrzebny? - Poczuł, jak jego żołądek napina się z powodów niemających nic wspólnego z raną.

- Chyba żartujesz...

- Nie - przyznał Josef. - Ale widziałem zbyt wiele ich praktyk, by cieszyć się na badanie.

- Myśl sobie, co chcesz. Trzeba się jednak zająć twoimi ranami.

Josef zamknął oczy i pozwolił się jej prowadzić. Przed jego oczami pojawił się aż nazbyt wyraźny obraz Norymbergii - zapach śmierci, krzyki osamotnionych i lekarze, spokojnie doradzający porzucenie chorych, zanim sami uciekli za miasto.

\* \* \*

Nad gród powoli nadciągnął pochmurny świt, z niebem skąpanym w szarości i czerwieni. Światło dzienne, przedostające się do stajni, było niewiele jaśniejsze od blasku księżyca z minionej nocy. Darien wciąż siedział przyczajony na krokwi, czekając. Oblizwał wargi, gdy pojawiła się jego ofiara. Młody pomocnik stajennego, o piaskowych włosach, może szesnastolatek, dźwigał dwa chlupiące wiadra.

Chłopak nie spojrzął w górę. Kiedy Darien był pewien, że młodzik patrzy w odpowiednią stronę, delikatnie zepchnął stopą z belki srebrny łańcuszek z krzyżem. Błyszcząca ozdoba

spadła w przejście tuż przed chłopcem.

Blondyn szeroko otworzył oczy, odstawił wiadra i podszedł do miejsca, gdzie na kupkę nawozu upadło srebro. Podniósł krzyż, trzymając go za łańcuszek i chwytając w niego odbicie słabego światła świtu.

Kości znajdującego się nad nim Dariena rozciągnęły się i zatrzeszczały, mięśnie naprężyły, a zęby w rosnącej paszczy stały się długie i ostre. Konie, dotąd nieświadome zagrożenia, zaczęły się cofać i walić kopytami, a chłopak gwałtownie się odwrócił, szukając źródła ich przerażenia.

Z otwartego pyska Dariena spłynęła kropla śliny i wylądowała na lewym ramieniu chłopaka. Młodzieniec spojrział w górę i zobaczył spadającego Dariena. Jeśli nawet miał czas krzyknąć, jego głos stłumiło rzenie przerażonych koni.

\* \* \*

Josef niewiele zapamiętał z następnej godziny. Został położony na stole w nieznanym mu pomieszczeniu. Ludzie przychodzili i znikali. Medyk albo jego pomocnik zmusił go do picia wina przyprawionego gorzkimi ziołami - aż jego brzuch był bliski pęknięcia, a wzrok stał się rozmyty i zamglony. Dużo mówili, ale niewiele z tego zrozumiał. Maria trzymała jego dłoń.

Włożyli mu w usta owinięty skórą kawałek drewna i zerwali bandaż z jego brzucha i obmyli mu ranę. Ból był nie do zniesienia. Potem ponownie zamknęli ranę za pomocą igły.

Przez cały czas trzymała go za rękę, nawet gdy zaciskał dłoń z bólu.

- Wydobrzejesz - powiedział w końcu kiepską niemczyzną lekarz, schylając się nad Josefem. Zostało to powiedziane z oddechem śmierzącym tak, jakby sam medyk wypił kilka większych porcji własnego lekarstwa. Klepnął Josefa w ramię i dodał: - Silny.

Potem zaśmiał się i wyszedł. Przez chwilę Josef był sam z Marią.

Wyciągnął rękę, by dotknąć czystych bandaży pokrywających teraz jego brzuch. Pomocnik medyka umył go tylko do mostka, więc wyraźna granica oddzielała czystą skórę od rozprysków błota i krwi na piersiach.

- Zostaw to - powiedziała Maria.

Popatrzył na nią: wyglądała blado. Siedziała tam, przyglądając się wszystkiemu, i prawdopodobnie było to dla niej jeszcze gorsze, bo nie czuła bólu i nie podano jej alkoholu, a one pozwoliłyby oderwać myśli od tego, na co patrzyła.

- Lekarz powiedział, że wydobrzeję.

- Jak Bóg da - potwierdziła.

Opuścił głowę z powrotem, ponieważ od wina kręciło mu się w głowie.

- Mam wrażenie, że gorzej czuję się od lekarstwa niż od ran.

- Odpoczywaj, Josefie. Proszę... Pójdę porozmawiać z biskupem.

- Powiniennem tam pójść z tobą, wyjaśnić... - Zaczął się dźwigać ze stołu, ale położyła dłoń na jego piersi.

Nachyliła się nad nim z twarzą tak blisko, że jej włosy otarły się o jego policzek. Oczy Marii lśniły Izami.

- Cokolwiek się stanie - powiedziała - proszę, nie narażaj się więcej. Nie dla mnie.

- Ja...

Przerwała mu, opuszczając wargi na jego usta. Jej wargi były słodkie, miękkie i drżały od płaczu. Podniosła głowę i dotknęła dłonią jego policzka.

- Nie możesz mnie kochać, Josefie.

- Mario...

Położyła palce na jego ustach, a w jej twarzy zobaczył odbicie niezmiernego smutku.

- Chcę tego bardziej niż czeokolwiek. Gdybym była kobietą, za jaką mnie uważasz, padłabym w twoje ramiona i z radością poszła, gdziekolwiek powiedzisz. Jej kciuk przesunął się wzdłuż obrysu jego wargi. - Tyle że gdybym tak zrobiła, byłoby to niewypowiedzianym okrucieństwem.

- Ale...

- Obiecuj, że o mnie zapomnisz - wyszeptała.

- Nie mogę...

Tym razem przerwał jej dobiegający od drzwi znajomy głos.

- Kim jest ta kobieta i co ona robi z moim człowiekiem?

Maria wyprostowała się i odwróciła w stronę wejścia, odsłaniając Josefowi widok komtura Heinricha. Na twarzy przełożonego rysowała się czysta wściekłość, którą pragnął wyładować na Marii.

Telek, nowy pan grodu Narew, wychylił się zza pleców Heinricha i popatrzył na nią z ciężkim niezadowoleniem.

- To służąca, bracie Heinrichu.

- W takim razie czemu zachowuje się jak nierządnicą? - warknął Heinrich.

Część gniewu Teleka skrupiła się teraz na komturze.

- To ona została obarczona opieką nad twoim rycerzem...

- Opieką...

- Jego rany... I posiłki.

- Przydzieliłeś temu mnichowi kobietę?

- Panie... - spróbował wtrącić Josef.

- Milcz! - warknął Heinrich, wymierzając w niego kościsty palec. - Ani słowa z twoich ust, Josefie. Widzę już, co odwróciło cię od zakonu, i nie mam teraz głowy do wysłuchiwania twoich grzechów.

- Bracie Heinrichu - warknął Telek - niewielu z naszej służby mówi waszym językiem dość dobrze, by się do czegoś przydać...

- A nie wzięłeś pod uwagę naszych ślubów, oddania się Bogu?

- To nie klasztor.

- Próbujesz więc odebrać mi ludzi przy pomocy wszetecznych dziewczek?

- Nie jestem wszeteczną!

Josef poczuł ścisk gardła, słysząc słowa Marii. W jej głosie brzmiało zmęczenie, ale wzrokiem mierzyła Heinricha z groźną furią.

Komtur cofnął się na sekundę - wstrząśnięty jak człowiek, który nigdy nie doczekał się admonicji od kogoś niższego stanu. Potem, choć jego głos prawie nie zmienił tonacji i brzmienia, twarz mu poczerwieniała od ledwie hamowanej złości. Zrobił krok w głąb sali.

- Nie będziesz mi przeczyć, kobieto!

Heinrich uderzył Marię na odlew zaciśniętą pięścią. Jej głowa odskoczyła na bok, a Josef poczuł krople krwi, padające na jego nagą pierś. Dźwignął się, a Telek równocześnie ruszył do przodu i chwycił komtura za ramiona.

- Dość tego! - stanowczo rzucił Telek, odciągając Heinricha.

Maria splunęła krwią ze zmiążdżonej wargi i cicho odezwała się do Niemca:

- Tak wygląda twoja służba Bogu?

Heinrich znowu uniósł rękę, ale Telek chwycił go za nadgarstek. Maria stała wyprostowana, patrząc ognistym wzrokiem na komtura, czekając, by uderzył ją ponownie.

Przerwał im, wpadając do pokoju, zdyszany strażnik, krzyczący po polsku. Josef nie zrozumiał nic z bełkotania strażnika, poza imieniem „Telek”. Jednak zobaczył reakcję na twarzach otaczających go osób. Maria szeroko otworzyła oczy, rozwarła też zakrwawione usta. Telek mocno zacisnął zęby i napreżył rękę, którą trzymał Heinricha.

- Powinieneś iść ze mną, bracie Heinrichu - oświadczył Telek. - Możemy potrzebować twojego doświadczenia.

Heinrich, znający język słowiański dużo lepiej niż Josef, ewidentnie zrozumiał powagę sytuacji, zapominając o chęci ukarania Marii.

- Poprowadź mnie tam! - rzucił.

- Co się właściwie stało? - dopytywał się zdezorientowany Josef.

- On tu jest - wyszeptała Maria głosem cichym jak śmierć.

Telek wyprowadził Heinricha, ale gdy wychodzili, komtur zwrócił się do wojewody:

- Nie zostawiaj z nim tej kobiety bez nadzoru. On wciąż jest członkiem zakonu i do czasu zwolnienia będzie się zachowywał stosownie.

Telek warknął coś po polsku, kończąc niedbałym gestem skierowanym do Marii.

Dziewczyna popatrzyła na Josefa i łagodnie dotknęła jego ramienia.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Muszę cię zostawić - wyjaśniła. - Proszę, zostań tu i zdrowiej. Znajdź sobie bezpieczne życie beze mnie.

- Mario... - głos uwiązał Josefowi w gardle. Popatrzył na jej twarz, zakrwawioną po uderzeniu Heinricha. Pięść komtura rozcięła jej wargę i zostawiła długi ślad na jej policzku... przynajmniej tak to wyglądało zaraz po ciosie Heinricha. Ale kiedy patrzył na nią teraz, jej warga nie była opuchnięta ani nawet nabrzmiała. Poza rozmazaną krwią, na jej twarzy nie było ani śladu uderzenia. Nawet rozcięcie na policzku wydawało się dużo mniejsze niż jeszcze przed chwilą.

Kiedy spoglądał na jej twarz, zobaczył, że rozcięcie kurczy się na jego oczach, po czym całkowicie znika.

- Twoja twarz - wyszeptał.

Zareagowała, sięgając dłonią do serca, między piersi. Ten gest widział u niej wielokrotnie: w ten sposób dotykała zawsze noszonego przez siebie srebrnego krzyża.

Ale tym razem go nie miała.

Obok niej stanął strażnik i powiedział coś po polsku, a Maria kiwnęła głową i pozwoliła się wyprowadzić.

Josef patrzył za nią.

- To niemożliwe... - wyszeptał. - Boże, proszę, dowiedz mi, że to nieprawda.

Gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, powoli usiadł i ostrożnie zszedł ze stołu.

## XXVII

Telek poprowadził brata Heinricha przez uliczki grodu, w stronę stajni. Mijając żołnierzy, wykrzykiwał rozkazy: powiadomić księcia, zebrać wszystkich wojów i zgromadzić goszczących w grodzie Niemców.

- Będziesz musiał rozkazać swoim ludziom - zwrócił się do Heinricha - by poprowadzili patrole i znaleźli to coś.

- Nie tobie wydawać mi rozkazy...

- To moja ziemia i lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś spełnił moją wolę!

- Czy muszę przypominać, że sam książę udzielił nam pozwolenia, by wyruszyć i działać tak, jak uznamy za stosowne?

Dotarli do stajni, gdzie czekało na nich około tuzina zbrojnych. Telek zwrócił się do Heinricha i wyszeptał po niemiecku, w języku zrozumiałym tylko dla komtura:

- Książę nie wie, że bestia, na którą polujecie, to coś, co sami tu sprowadziliście. Jeszcze nie wie...

- O co mnie oskarżasz?

- O nic - stwierdził Telek. - Zwracam ci tylko uwagę, że nasz książę nie wie na razie o dziele brata Semyona.

Telek odczuł satysfakcję na widok coraz wyraźniejszych rys w masce opanowania, którą założył Heinrich. Komtur szerzej otworzył oczy i nieco opuścił szczękę.

*Tak, to nie tylko zagraża twojej misji, prawda? Jeśli tajemnica się wyda, zostaniesz ukarany przez swoich przełożonych, nieprawdaż?*

Dał Heinrichowi chwilę na pełne zrozumienie groźby, po czym dodał:

- Lepiej, żebyś pojął, że dopilnuję pomsty po moim stryju.

Podszedł do wartowników przed stajnią, a ci rozstąpili się, wpuszczając go do środka. Kiedy szedł przejściem, w gardle zapiekła go woń krwi. Stajenni wyprowadzili konie na pastwisko, więc panowała cisza, zakłócana jedynie brzęczeniem much.

Minęło kilka chwil, zanim jego wzrok przywykł do słabego światła. Idąc obok Heinricha

Telek powoli zaczął rozpoznawać fragmenty ludzkiego ciała w tym, co początkowo zdawało się bezkształtnymi pościami mięsa. Chłopak został rozszarpany na części - tu ramię, tam noga, gdzie indziej głowa. Trociny, którymi wysypano przejście, przesiąkły krwią, zyskując w słabym świetle barwę smoły.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Słomiany dach nad nimi zaczął szeleścić od deszczu.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by ci pomóc - odezwał się Heinrich. - Tak jak proszę.

- Dziękuję - wydusił Telek. Podeszedł do szczątków chłopca i popatrzył na trociny. Odcisnęły się w nich krwawe ślady olbrzymich łap. - Pouczysz naszych ludzi, jak walczyć z tym czymś. Jak je atakować, nawet jeśli nie ma się srebrnego miecza.

Heinrich przyklęknął obok jednej z rąk chłopaka, która leżała przy słupie wspierającym dach. Telek zobaczył coś w zaciśniętej dłoni. Komtur rozwarł skurczone palce i podniósł srebrny krzyż na łańcuszku. Uniósł go i popatrzył na Teleka.

- Oczywiście, pomożemy wam w polowaniu na tego demona. Może jednak i ty mógłbyś mi pomóc, mówiąc, czy rozpoznajesz tę błyskotkę.

\* \* \*

Miał na imię Oleś.

Maria nie знаła go zbyt dobrze, ale dostatecznie był jedną z osób cierpiących w równym stopniu co ona z powodu arogancji Łukasza. Jako najmłodszy chłopak pracujący w stajni był najbardziej wykorzystywany przez ludzi pokroju Łukasza, którzy mogli unosić dumnie głowy, poniżając innych.

Teraz jednak Oleś nie żył. Usłyszała, jak jeden z ludzi rycerza składa raport, że chłopak został rozerwany w stajni przez jakąś dziką bestię.

Maria doskonale wiedziała, jaka bestia mogła to zrobić, i ta myśl prawie ją sparaliżowała. Czemu miałby skrzywdzić Olesia? Chłopak był nikim dla Dariena. Nawet gdyby stajenny uzbroił się w srebrny miecz, stanowiłby mniejsze zagrożenie niż łoś, którego upolowali w lesie.

Przypomniała sobie słowa Josefa: czterdziestu ludzi - mężczyzn, kobiet i dzieci, zostawionych, by zgnili na stopniach swojego kościoła.

Czy to właśnie tym był tak naprawdę Darien?

A jeśli tak, to co z nią?

Widziała wyraz twarzy Josefa, gdy patrzył jej w oczy. Rycerz Telek - wojewoda Telek - i

brat Heinrich byli zbyt wstrząśnięci sytuacją, by dostrzec błyskawiczne gojenie się jej rany, ale Josef to zauważył. Zobaczył dowód na to, że jej związki z wilkiem były znacznie głębsze niż stara pogańska religia i znacznie trudniejsze do usunięcia.

Nie wiedziała, co robić, ale musiała znaleźć Dariena, zanim komuś jeszcze stanie się krzywda. Gdy tylko wyszli na zewnątrz, Maria skręciła w stronę stajni. Idący z nią strażnik chwycił ją za rękę.

- A gdzie to się niby wybierasz?

*Czy on też już wie?*

- Mam swoje obowiązki, którymi muszę się zająć. Zaczerwieniła się z powodu nieszczerości w swoim głosie.

- Może i tak, ale nie słyszałaś? W twierdzy grasuje jakiś potwór. Nie powinnaś się tu kręcić bez eskorty.

Popatrzyła na niego: młody giermek jednego z rycerzy, pełen dobrych chęci i odwagi, niemający pojęcia o tym, z czym ma do czynienia. Tobie grozi znacznie większe niebezpieczeństwo niż mnie - pomyślała.

- Chyba masz rację.

- Zresztą tędy jest bliżej do kuchni.

- Tak - zgodziła się - rzeczywiście.

\* \* \*

Deszcz moczył futro na plecach Dariena, skradającego się powoli po krytym strzechą dachu jednego z budynków obok stajni. Przyczał się nad ofiarami, obserwując przemykających w dole ludzi. Czuł coraz silniejszy smród ich strachu.

Czekał, aż zobaczył wchodzącego do stajni mężczyznę z czarnym krzyżem zakonu na płaszczu. Wtedy Darien się wycofał, czołgając się cicho tuż pod szczytem strzechy. Jego dzieło zostanie obejrzone przez tego, który powinien je zobaczyć. Teraz musiał odszukać swoją partnerkę.

Deszcz był zimny i drobny, a na niżej położonych terenach wokół twierdzy zaczęła się kłębić mgła. Zeskoczył w tuman snujący się między dwoma budynkami i przyczał się w wąskim zaułku, który tworzyły bezokienne ściany, stojące tak blisko siebie, że ledwie się tam mieścił.

Przed wylotem zaułka przebiegli ludzie - znacznie wyraźniej czuł ich woń, niż dostrzegał rozmyte kontury. Krzyczeli do przebywających w budynkach, by zabarykadowali drzwi i zamknęli okiennice.



Słusznie - pomyślał. Bójcie się mnie.

Ludzie mogli na niego polować, mogli mordować jego gatunek w imię Boga, ale tak naprawdę oni bali się jego.

Ostrożnie podkraść się do wylotu zaułka, wciągając powietrze w poszukiwaniu zapachu swojej partnerki... i poczuł go - był silniejszy od strony donżonu. Oblizał wargi i wyszedł w alejkę.

Już po chwili zza rogu wyłoniło się trzech strażników. Choć biła od nich woń strachu, nie spodziewali się tak szybko trafić na to, czego się bali. Kiedy Darien wyłonił się z mgły, niemal między nimi, na twarzach wszystkich trzech pojawił się wyraz niedowierzania. Ten stojący najbliżej nie miał szans, by zmienić minę. Szponiasta łapa Dariena rozerwała mu gardło. Impet ciosu sprawił, że krwawiący trup z plaśnięciem upadł na ziemię.

Poczuł ostry ból w boku, rozciętego głęboko ciosem jednego z pozostałych. Jednak ci trzej nie byli członkami zakonu i nie mieli ze sobą srebrnej broni. Darien zablokował następne uderzenie, chwytając nadgarstek mężczyzny z siłą wystarczającą, by złamać mu kości. Strażnik wrzasnął, ale Darien uciszył go, wgrzając się mu w gardło.

Gdy drugi z mężczyzn upadł u stóp Dariena, trzeci zdążył już zniknąć. Jednak zapach jego strachu pozostał w powietrzu, a odgłosy panicznych kroków oddalały się w stronę donżonu.

Oblizał świeżą krew z pyska i ruszył za nim. Mężczyzna nie dobiegł daleko.

\* \* \*

Josef szedł trasą, która jego zdaniem powinna prowadzić do donżonu. Podejrzywał, że tam właśnie Maria została zabrana przez wartownika. Bolał go brzuch i szedł chwiejnym krokiem, odurzony lekarstwem, ale zmusił się do marszu. Musiał dogonić Marię. Musiał z nią porozmawiać. Musiał usłyszeć jej wyjaśnienia, zanim komtur Heinrich...

Jego myśli zostały przerwane przez odgłosy tuzina maszerujących stóp. Zobaczył brata Heinricha w towarzystwie Teleka i sześciu ludzi, energicznym krokiem maszerujących w stronę twierdzy. Nikt nawet na niego nie spojrzał.

Nie miał innego wyboru, jak pójść za nimi, wytężając siły, na ile tylko się odważył. Mimo wszystko coraz bardziej pozostawał z tyłu. Zdołał ich dogonić tylko dlatego, że pierwszy krzyk ich zatrzymał, a potem Telek i Heinrich odbyli energiczną dyskusję po niemiecku, stłumioną jednak przez coraz gęstsza mgłę.

- ...jak mówię, albo możemy porozmawiać o bracie Semyonie... - dotarły do niego słowa Teleka.

To imię zmusiło Josefa od myślenia. Nikogo takiego nie było w jego konwencie, nie znał też nikogo o tym imieniu wśród przełożonych zakonu. Po zakończeniu dyskusji grupa znowu ruszyła szybko i widział, jak powoli niknie we mgle przed nim.

Usłyszał kolejne krzyki i charczenia, rozmyte w mżawce, zdające się dochodzić ze wszystkich stron równocześnie. Oddech zaczął palić go w gardle, gdy uświadomił sobie, że nie ma ze sobą nawet sztyletu. Na wpół nagi i ranny, brnął przez mgłę skrywającą wszystko, co oddalone było o więcej niż kilka kroków. Wilgotny dotyk mgły i deszczu na skórze wzmacniał uczucie strachu. Czuł upiora śmierci podążającego za nim bliżej niż kiedykolwiek od czasu, gdy opuścił opanowaną przez plagę Norymbergę.

Tylko niewielką część tego wszystkiego stanowił strach o siebie. Josef już od lat doskonale zdawał sobie sprawę z własnej śmiertelności. Strach wzbudzała w nim myśl o Marii, o tym, co mogło dziać się z nią. O tym, czym mogła być. Co mogła zrobić. Nie do końca rozumiał, co miał nadzieję osiągnąć, ale musiał ją odnaleźć.

\* \* \*

Gęstniejąca mżawka rzuciła na gród powłokę szarości, tłumiąc dźwięki i ukrywając wszystko poza najbliższymi budynkami. Prowadzący ją mężczyzna przybrał dumną pozę, trzymając za rękę, ale Maria czuła narastający w nim strach. Ów strach obecny był w niepewnym chwycie jej nadgarstka, w braku barw na jego policzkach i - uświadomiła sobie - w jego zapachu. Woń tego człowieka sprawiała, że przemknęła Marii przez głowę myśl o bestii uśpionej w jej wnętrzu.

- Czy wiesz, gdzie... gdzie udał się napastnik?
- Ślady łap urywają się przy wejściu do stajni.
- Urywają się?
- Nie było żadnych tropów, za którymi moglibyśmy podążać.

Na krótko wzbudziło to w Marii nadzieję, że Darien odszedł, że nie dał się uwięzić wewnątrz obwałowań grodu. Jednak gdy tylko dotarli do bramy donżonu, myśli tej zaprzeczył wrzask zakończony gwałtownym, ochrypłym gulgotem.

Zaraz potem usłyszała niski warkot i wiedziała już, że to Darien.

*Dlaczego to robisz?*

Prowadzący ją mężczyzna mocniej zacisnął dłoń na jej rękę.

- Musimy wejść do środka - rzucił. Przeciągnął ją za wewnętrzną bramę, za otaczające donżon mury. Były one nowsze i w przeciwieństwie do wzniesionych z ziemi i belek obwałowań wykonano je z cegły. Droga do wewnątrz stała otworem, a jej strażnik zawołał do

ludzi stojących na wieży ponad bramą:

- Na co jeszcze czekacie? Zamknijcie bramę!

- Panie! - odpowiedział mu głos z góry - skoro nie rozkazał tego książę Siemowit albo wojewoda Bol... Telek...

- Ty durniu! Nie słyszysz, co się tam dzieje?

- ...może chociaż kapitan straży?

- Kapitan straży jest w stajni, zbiera do wiadra resztki szesnastoletniego chłopca. Zamknijcie tę po trzykroć przeklętą bramę! - Żądanie mężczyzny zostało podkreślone kolejnym wrzaskiem, tym razem dobiegającym z mniejszej odległości.

Maria zaczęła się cofać w stronę twierdzy, patrząc na drogę prowadzącą do bramy. W powietrzu unosiła się szara mgła, tak gęsta, że miała wrażenie, jakby patrzyła na wrota zaświatów.

Rozległ się kolejny krzyk zakończony głębokim, gardłowym warczeniem i obsada bramy przestała się wahać.

- Zamknijcie bramę!

Grupa ludzi rzuciła się do zamykania grubych wrót, a Maria zauważyła cień poruszający się w szarej mgle. Towarzyszący jej mężczyzna wyciągnął miecz i pchnął ją za siebie.

- To nadchodzi.

- Nie - powiedziała. Słyszała dobiegające przez mżawkę i mgłę odgłosy kroków wielu stóp. To nie był Darien. Jeszcze nie...

- Stać! - krzyknął mężczyzna na wieży.

Żołnierze przy bramie przerwali zamykanie odrzwi, gdy z mgły wyłoniły się postacie Teleka i brata Heinricha, prowadzących pół tuzina innych. Przeszli oni przez niedomkniętą bramę, z nowym wojewodą na czele. Gdy tylko wszyscy znaleźli się w środku, mężczyzna na wieży zawołał do Teleka:

- Czy mamy zamknąć bramę, woje...

- Oczywiście! - odkrzyknął Telek.

Ludzie przy bramie ponownie rzucili się do jej zamykania. Maria dostrzegła jakiś ruch po drugiej stronie, ale nie zauważyła szczegółów, ponieważ tuż przed nią i jej tymczasowym strażnikiem stanął brat Heinrich. Telek zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom, ale Heinrich zawołał do niego po niemiecku, wskazując ręką na mężczyznę przed Marią.

- Powinieneś rozkazać swoim ludziom, by się wycofali. Ten stalowy miecz tylko rozżłości naszych przeciwników, chyba że jego właściciel będzie miał dość szczęścia, by pierwszym ciosem całkowicie odrąbać bestii głowę albo wyciąć serce.

- Przeciwników? - odpowiedział Telek. - Teraz jest więcej niż jeden?

Ktoś krzyknął coś przy bramie, ale Maria skupiła się na przedmiocie zwisającym z zakrwawionej dłoni Heinricha.

Skąd ten człowiek mógł mieć jej krzyż?

\* \* \*

Donżon grodu Narew wyłonił się przed Josefem z mgły i deszczu niczym potężny bluźnierczy grobowiec, wzniesiony na chwałę dawno poległym, pogańskim bogom. Brama przed nim wyglądała niczym na poły otwarta paszcza. Dotarł do niej chwilę po tym, jak przeszedł przez nią ostatni z ludzi Teleka.

Próbował wejść za nim, ale jeden z wartowników krzyknął coś do niego groźnie.

- Wpuść mnie - odpowiedział mu po niemiecku, po czym spróbował powtórzyć to samo w słabo opanowanej polszczyźnie. Jednak mężczyzna dalej blokował mu drogę, a jego towarzysze zamykali bramę.

Oczywiście - ci ludzie go nie znali. Prawie cały swój pobyt w grodzie Josef spędził przykuty do łóżka, a jego kaftan w barwach zakonu krzyżackiego został podarty na bandażu.

Nie było czasu, by ich przekonywać. Skoczył w zwięzającą się szczelinę bramy, ale został pochwycony przez blokującego mu drogę mężczyznę. Tamten krzyknął coś po polsku i Josef usłyszał zgrzyt wyciąganej stali.

Josef szarpał się, dopóki nie usłyszał, jak zatraskuje się za nim brama, po czym pozwolił mężczyźnie pchnąć się na nią, z mieczem przy gardle.

Telek zobaczył szarpaninę zza swoich zbrojnych i krzyknął, co sprawiło że trzymający go mężczyzna opuścił miecz i osłabił chwyt. Telek odwrócił się do wołającego coś brata Heinricha. Teraz, gdy otaczający go ludzie się cofnęli, Josef zobaczył, gdzie stoi Heinrich i kto znajduje się obok.

- Maria! - zawołał Josef.

Nie zwracała uwagi na niego ani na to, co dzieje się przy bramie. Z szeroko otwartymi oczami i ustami wpatrywała się w Heinricha.

- Maria... - powtórzył, tym razem błagalnie zwracając się bardziej do Boga niż kogokolwiek wokół siebie. Dostrzegł, co tak przykuło uwagę Marii: z dłoni Heinricha zwisał jej srebrny krzyż.

## XXVIII

Skąd ten człowiek mógł mieć jej krzyż?

Maria wpatrywała się w krucyfiks, a jej pierwszym impulsem było chwycenie go i wyrwanie z zakrwawionej ręki brata Heinricha.

Jednak taki gest zupełnie do niej nie pasował.

W każdym razie nie przystawał do Marii, którą kiedyś była.

- Rozpoznajesz to? - zapytał Heinrich. - Może to należy do ciebie?

Maria cofała się przed Niemcem, aż poczuła na plecach cegły wewnętrznego muru. Eskortujący ją mężczyzna, który wciąż trzymał w dłoni miecz z opuszczoną głownią, przenosił wzrok z niej na Heinricha i Teleka.

Wojewoda podszedł, stając obok komtura.

- Bracie Heinrichu, czy mógłbyś wyjaśnić swoje nagłe zainteresowanie naszymi służącymi?

Usłyszała, jak ktoś wykrzykuje jej imię, i obejrzała się w stronę bramy. Josef. *Nie! Dlaczego on tu jest?*

- Tylko tą jedną. Widziałeś jej twarz?

Zrobiła krok w stronę bramy.

- Co z jej...

Nie usłyszała reszty słów Teleka, ponieważ na jej twarzy wylądowała pięść brata Heinricha. Poczuła, jak pękają kości jej nosa, i wciągnęła na wdechu dławiącą krew.

- Maria! - krzyknął Josef, przepychając się przez stojących przy bramie ludzi.

- Dziwka wszeteczna! - wrzasnął na nią Heinrich, gdy padała na kolana, plując krwią. - Ladacznicą! Sukkub!

- Bracie Heinrichu! - Telek chwycił Heinricha za ramię i odciągnął go do tyłu. - Co ty wyprawiasz, na niebiosy?

Maria usłyszała zgrzyt wyciąganego metalu i podniosła wzrok na Heinricha i Teleka. Z pochwy u pasa komtur dobywał miecz - i przerwał dopiero wtedy, gdy wojewoda chwycił go

za rękę.

- Patrz - warknął do Teleka. - Ona nie może ukryć tego, czym jest.

Heinrich patrzył na nią wzrokiem zimnym i niewzruszonym jak sama śmierć, podczas gdy oczy Teleka rozszerzały się powoli.

- Nie dotykaj jej! - krzyknął Josef, ale jego głos wydawał się bardzo odległy.

Maria czuła, jak kości jej twarzy skręcają się i prostują, a ciało drży w bolesnym paroksyzmie zmian. Nie musiała dotykać nosa, by wiedzieć, że się goi. Zorientowała się natychmiast, gdy krew przestała płynąć, a jej zatoki oczyściły się i poczuła zapach furii Heinricha i strachu Teleka.

- Chryste, miej nas w opiece... - wyszeptał Telek.

- To demon. - Heinrich wyrwał rękę z uchwytu wojewody i kontynuował wyciąganie srebrnego miecza.

Jej serce waliło jak oszalałe, czuła trzask kości oraz ból ciała przechodzącego przemianę. Jej umysł mógł zamrzeć, ale ciało nie chciało zginąć.

Przykucnęła. W przeciwieństwie do wirujących jej w głowie myśli, unoszący miecz Heinrich wydawał się poruszać bardzo powoli.

Jak cofający się łoś... - pomyślała.

Nagle między nią a komturem pojawił się Josef, chwycił uzbrojoną w miecz rękę Heinricha. Poczowała, jak bestia w środku niej wyrywa się na zewnątrz, i nie potrafiła tego powstrzymać.

- Josef! - krzyknął Heinrich. - To szatański podstęp, zesłany, aby odwieść cię od twojego powołania!

Maria zerwała się z przykucnięcia, wykorzystując lukę powstałą dzięki starciu między Heinrichem i Telekiem. Poczowała cudze ręce, wyciągające się po jej wciąż ludzkie ramiona - ale chwyciły tylko jej ubranie. Gdy jej stopy dotknęły ziemi, nie mógł jej już zatrzymać żaden ludzki chwyt. Pobieгла w stronę donżonu, ciągnąc jakiegoś mężczyznę za sobą, aż usłyszała dźwięk rozdieranego materiału. Potem napastnik padł na ziemię, trzymając większą część jej sukni.

\* \* \*

Heinrich krzyknął, gdy Josef złapał go za rękę z mieczem, ale młodzieniec miał dość siły, by nie dać się odtrącić. Zmagał się z komturem, próbując go zatrzymać, gdy Maria przemknęła obok nich.

- Puszczaj, ty durniu!

Gdy przebiegała koło wojewody, Telek wyciągnął ręce, choć poruszała się zbyt szybko, by nadążyć za nią wzrokiem, a co dopiero dłońmi. Mimo wszystko udało mu się chwycić ją za skraj sukni. Biegła jednak z taką chyżością, że wyrwała się z uchwytu potężnego mężczyzny. Telek zrobił jeden niepewny krok i przewrócił się na ziemię, w dłoniach trzymając wciąż oderwany fragment tkaniny.

Ta scena rozproszyła uwagę Josefa do tego stopnia, że nie zauważył mężczyzny, który uderzył go w plecy.

Ból wykwitł na środku pleców, zaznaczając się najboleśniej w świeżo szytych ranach. Puścił rękę Heinricha, a jego mistrz odwrócił się błyskawicznie w stronę donżonu.

- Za nią! - rozkazał.

Coś uderzyło w bramę.

Wszyscy odwrócili się w stronę zamkniętego wejścia. Na zewnątrz jakiś człowiek krzyknął coś po polsku. Ktoś ruszył, by otworzyć bramę, ale trzech innych chwyciło go i odciągnęło z głośnym protestem.

Człowiek po drugiej stronie krzyknął ponownie. Coś jeszcze raz stuknęło w bramę i krzyki ustały. Zamiast nich rozległ się niski warkot, od którego żołądek Josefa zwinął się w lodową kulę.

Heinrich odwrócił się w stronę bramy.

- Rozkaż swoim ludziom wycofać się do donżonu.

- Co? - Telek właśnie zdołał się podnieść z ziemi. Jeden stwór...

- Te mury nie są dla niego przeszkodą!

- Nie sądzę, bracie Heinrichu...

Z mgły dobiegł kolejny wrzask, tym razem dochodzący z góry, po prawej.

- Do środka! - krzyknął Telek. - Zabarykadować drzwi!

Josefa porwał tłum uciekający przez potężne drzwi do wnętrza donżonu. Gdy pozostali zajęli się zamykaniem i blokowaniem drzwi, przepychał się przez tłum w głąb wewnętrznej twierdzy, idąc śladami Marii. Jego komtur i Telek przestali się nim interesować.

- Gdzie jest reszta moich ludzi i ich broń? - krzyknął Heinrich.

- Wysłałem rozkazy, żeby ich uzbroić i zebrać w głównej sali.

Potem Josef przestał słyszeć dźwięki dobiegające od wejścia.

*Gdzie ona poszła?*

Zwolnił, mijając korytarz odchodzący od głównego holu. Przycisnął pięść do żołądka i spróbował zgadnąć, w którą stronę mogła pójść Maria. Była tak szybka, że już teraz mogła się znajdować gdziekolwiek.

W głębi korytarza rozległ się kobiecy krzyk. Złapał miecz zawieszony na ścianie i pobiegł w tym kierunku.

\* \* \*

Po kilku krokach w głąb twierdzy jej rozrastające się ramiona dokończyły tego, co Telek rozpoczął - rozrywania jej sukni. Odrzuciła na bok podarte szmaty, w jakie zmieniły się jej rzeczy, i zaczęła szukać jakiejś drogi ucieczki.

Biegła korytarzami, które - choć znała je od dziecka - teraz wydawały się obce. Wszystko było za małe i zniekształcone: kolory widziane jej wilczymi oczami były inne, nierealne i nienaturalne. Całe miejsce śmierdziało wonią ludzi: dymem z kuchennych palenisk, potem, seksem, moczem, piwem i brudnymi ubraniami. Ściany tłoczyły się wokół niej, wzmagając strach i pchając ją do przodu.

Na jej drodze pojawiła się kobieta i Maria ją rozpoznała: Łucja pracowała w kuchni razem z nią. Dziewczyna popatrzyła w jej stronę i krzyknęła przerażona. Maria instynktownie wyciągnęła rękę, żeby ją uspokoić, ale Łucja zobaczyła tylko sięgającą w jej stronę czarną łapę i padła na ziemię zemdlna ze strachu.

Maria popatrzyła w dół, na swoje ciało. Tu, w grodzie, jej pół wilcze, pół ludzkie działo wyglądało o wiele potworniej. Szczupły, muskularny tors, gęsta czarna grzywa, potężne pazury i zęby należały do najgłębszych ostępów pierwotnego lasu. Istoty takie jak ona nie powinny znajdować się tutaj, w świecie ludzi.

Przeskoczyła nad ciałem nieprzytomnej Łucji i pobiegła dalej.

\* \* \*

Josef minął strzępy koszuli i reszty odzieży Marii kilka kroków przed wyciągniętą na ziemi służącą. Kobieta leżała na podłodze twarzą w dół i pomimo oczywistych różnic - miała kasztanowe włosy i była ubrana - w pierwszej chwili wystraszył się, że patrzy na ciało Marii. Potrzebował sekundy, by zrozumieć, że oba jego wnioski są błędne. Kobieta nie była Marią, nie była też martwa ani nawet ranna.

Zaczęła się niemrawo podnosić chwilę po tym, jak Josef podszedł i klęknął przy niej. Gdy doszła do siebie, szeroko otworzyła oczy i gwałtownie wciągnęła powietrze do kolejnego krzyku.

- Wszystko w porządku, panienko - powiedział do kobiety, mając nadzieję, że rozumie po niemiecku.

Niestety, nie rozumiała. Zaczęła krzyczeć na niego w swoim słowiańskim języku tak



szybko, że nie rozumiałby ani słowa, nawet gdyby znał język. Uciszył ją i odezwał się znowu.

- Jestem Niemcem. Proszę, idź się gdzieś schować.

- Niemiec - powtórzyła. Patrzyła na niego przez chwilę, po czym chwyciła go za ramię i powiedziała z naciskiem: - Wilk!

To jest w środku - pomyślał, choć wiedział, że ten stwór nie był tym samym, na którego polował wcześniej.

Wskazał w stronę, z której przyszedł, i krzyknął:

- Schowaj się! - Potem pobiegł śladem Marii.

- Wilk! - kobieta krzyknęła za nim. - Wilk!

Przed sobą usłyszał kolejne krzyki i warkoty.

*Nie. Proszę, Boże, nie.*

\* \* \*

Próbując uciec z napierającego na nią obcego świata ludzi, Maria usłyszała dobiegające z oddali hałasy. Warkot, a po nim krzyk.

*Darien.*

Krzyk dobiegł z zewnątrz donżonu, ale trudno było precyzyjnie określić jego kierunek. Zatrzymała się na skrzyżowaniu korytarzy koło kuchni, żeby skupić się na miejscu, z którego dobiegały dźwięki. Stała przez chwilę z przekrzywioną głową, walcząc z dezorientacją i paniczną chęcią ucieczki.

Krzyknął ktoś blisko niej. Gwałtownie obróciła głowę i zobaczyła kolejną znaną sobie służącą - wychodzącą z kuchni siwowłosą kobietę. Popatrzyła na Marię, upuszczając kosz warzyw i rozrzucając po podłodze białe i pomarańczowe bulwy. Za nią, ze sklepionego przejścia do kuchni, dobiegły odgłosy wypadających z rąk garnków i ludzkich krzyków.

- Nie. Proszę... - słowa opuściły jej usta, zniekształcone przez wilczy pysk, ale rozpoznawalne. Prośba zmieniła szok kobiety w czyste przerażenie: uciekła. Maria zobaczyła wszystkich pozostałych służących w kuchni, znane sobie osoby, uciekające przed nią.

Poczuła, że pieką ją oczy.

Potem coś wznieciło w jej boku ogień - ostry, gwałtowny ból. Obejrzała się i zobaczyła stalowe ostrze sterczące jej z brzucha. Gładką klingę pokrywała lśniąca w świetle latarni krew. Popatrzyła zaszokowana, a potem dostrzegła, że ktoś wyciąga broń z jej ciała.

Warknęła i odwróciła się, przyciskając rękę do dziury w brzuchu. Kiedy to robiła, ostrze znowu skierowała się w jej stronę, odbiło od barku, ścięło pasek skóry i mięśni z ramienia i

uderzyło płazem w głowę, aż zadzwoniło jej w uszach.

Potem zobaczyła atakującego ją napastnika.

- Josef?

Stał przed nią, dysząc, z mieczem uniesionym do zadania jej kolejnego ciosu w kark. Podniosła rękę i złapała za jelec miecza, zatrzymując uderzenie z siłą, od której zabołał ją nadgarstek. Josef śmierdział krwią, paniką i wściekłością. Jego tors lśnił od potu, a mięśnie drżały od wysiłku spowodowanego próbą wyrwania jej miecza z ręki.

Straciła go. Straciła wszystkich.

- Przepraszam, Josefie - wyszeptała. Szerzej otworzył oczy, jakby nie spodziewał się, że potwór może przemówić. - Czemu nie trzymałeś się od tego z daleka?

- Maria? - Ból słyszalny w jego głosie dotknął ją do głębi serca.

Puściła miecz i cofnęła się o krok. Josef potrząsnął głową, ale nie zamachnął się na nią ponownie.

- Nie chciałam cię skrzywdzić - odezwała się głosem, który zabrzmiał obco w jej uszach.

- Nie! - krzyknął Josef. - Zamilcz! - I podniósł miecz jeszcze raz.

Uskoczyła przed ciosem i ostrze uderzyło w ceglany mur za jej plecami, krzesząc iskry i rozrzucając odpryski gliny. Zamachnął się znowu, ale ona ramieniem odbiła ostrze na bok. W jej ręce powstało szerokie rozcięcie, z którego na oboje trysnęła krew.

Zaczęła się cofać przed jego dzikimi zamachami. Twarz Josefa zniekształcona była cierpieniem, ale nie ustawał w próbach zadania jej śmiertelnego ciosu.

- Proszę - załkała - przestań... - Nie bała się już jego klingi. Wykuto ją ze stali i nawet gdy ją trafiał, rana goiła się w ciągu paru chwil. Bała się natomiast ognia w oczach Josefa, który wyglądał tak, jakby był całkowicie innym człowiekiem niż ten, którego znała.

Cofała się między długimi stołami, na których przygotowywano posiłki, a miecz Josefa opadał raz za razem, zamachami z lewej i prawej. Uskoczyła i cofnęła się, gdy ostrze uderzyło w stół obok niej, rozrzucając cebule, ogórki i rzodkiew, przewracając misy z jedzeniem.

Za jej plecami przez tylne wejście do kuchni uciekł właśnie ostatni służący.

Przed sobą, za Josefem, usłyszała odgłosy ciężkich butów i chrzęst stali. Zwieńczone lukiem wyjście na korytarz wypełniło się nagle uzbrojonymi ludźmi w białych tabardach ozdobionych czarnym krzyżem zakonu. Dwóch miało w rękach naciągnięte kusze.

- Bracie Josefie! Zejdź z linii strzału!

Niemcy uzbrojeni byli w srebro i wiedziała, że bestia, którą się stała, zginęłaby od zadanych tymi bełtami ran. Żyła jeszcze tylko dlatego, że w szalonej furii Josef blokował

swoim braciom możliwość strzału. Jednak była już blisko końca stołów; cofała się w stronę buzującego paleniska. Jeszcze dwa kroki i nie będzie miała innego wyboru, niż przesunąć się w lewo lub prawo - albo pozwolić się posiekać Josefowi.

Musiła się jakoś osłonić.

Mijając koniec stołów, uskoczyła w prawo i chwytając koniec stołu, uniosła go. Potwory są silne, ale ciężar mebla - długiego na dwadzieścia kroków - sprawił, że poczuła atak bólu w ramionach, nogach i plecach. Unosząc blat, przechyliła go w stronę Josefa i Niemców. Ciężki mebel przewrócił się i usłyszała, jak w powierzchnię blatu uderzają dwa bełty.

Zastawiwszy przejście za sobą, rzuciła się w stronę drzwi.

\* \* \*

To coś wypowiedziało jego imię głosem Marii i Josef oszalał. Ten potwór go zwiódł... Nie, to było kłamstwo. Sam się zwiódł. Zawsze to wiedział, ale diabeł uwiódł go, skłaniając, by nie chciał wiedzieć. A teraz cała krew, która zostanie rozlana przez to coś - przez nią - spadnie na jego ręce. Odrzucił swoje powołanie i zbeczczył pamięć o swojej zmarłej narzeczonej, sądząc...

Zaatakował na ślepo, wściekle, nie myśląc o obronie ani ranie w swoim brzuchu. Zamachnął się na nią, zmuszając to wilkowate coś do cofnięcia się, wystawił się na kontratak. Pragnął tego. Targany emocjami, pragnął, by go uderzyła, ukarała. Zgrzeszył tak ciężko, że nie zasługiwał na to, by żyć. Coś w nim wiedziało, że jej szpony mogą zedrzeć tę zmacę z jego duszy.

A jeśli go zaatakuje, będzie to usprawiedliwienie furii.

Ale nie zrobiła tego. Cofała się przed nim, unikając ciosów, a w jej aż nazbyt ludzkich oczach rysowały się żal i poczucie straty, których nie chciał zauważyć.

Jego współbracia krzyknęli coś do niego, a potwór uskoczył pod długi stół po lewej stronie, zanim gotująca się w nim wściekłość osłabła na tyle, by pozwolić mu zrozumieć, że przegania demona uzbrojony zaledwie w zwykły stalowy miecz.

Powinien już zginąć.

Stół wzniosł się do góry, spadły chleb, kosze z warzywami i gliniany dzban, który po pchnięciu mieczem roztrzaskał się, rozpryskując silnie pachnący ocet. Potem szeroki blat stołu przechylił się w jego stronę i musiał się wycofać, oszołomiony bardziej myślami szalejącymi w jego głowie niż przeszkodą na drodze.

Cofnął się w ramiona swoich braci zakonnych.

Powinien był zginąć. Powinna była tuzin razy rozerwać go na strzępy, ale nie uderzyła go

ani razu, choćby żeby go powalić. Przegnał ją do samego serca twierdzy, między nieuzbrojonych służących, a jedyna krew, jaka została rozlana, należała do niej.

Obudziła się w nim przerażająca myśl, że bestia, którą widział, wciąż była Marią, a to znaczyło, że wszystko inne, co wiedział lub sądził, że wie, było pomyłką.

*Boże, dopomóż.*

Rycerze obiegali kuchnię pod ścianami, unikając blokującej przejście masy drewna na środku pomieszczenia.

- Nic ci nie jest, Josefie? - zapytał jeden z braci, pomagając mu wstać.

- Wszystko w porządku - skłamał, krzywiąc się z powodu bólu brzucha, po czym podążył za pozostałymi.

## XXIX

Maria zignorowała krzyki i panikę uciekających przed nią ludzi. Musiała wyrwać się z tego miejsca, uciec jak najdalej. Jednak z zamkniętej przestrzeni donżonu nie mogła umknąć ścigającym ją zbrojnym. Pościg przeganiał ją na coraz wyższe piętra twierdzy.

W stronę, z której dobiegały warknięcia Dariena.

Pokonawszy pięć pięter, jednym pchnięciem otworzyła drzwi prowadzące na zewnątrz, na powietrze pachnące krwią. Stała na wykuszu wychodzącym na wewnętrzny mur zamku, umożliwiającym obrońcom ostrzeliwanie i zrzucanie kamieni na atakujące siły.

Jednak atakujące siły dostały się już na koronę murów. Wyszła na wąski balkon, a poduszeczki na jej stopach zaczęły wydawać ciche odgłosy towarzyszące odklejaniu się od przesiąkniętej krwią podłogi. Na kamieniach leżały trzy miecze, jeden wciąż trzymała naga ręka oderwana od ciała w stawie.

Odwróciła się w stronę warkotu - dobiegał z korony murów po drugiej stronie.

Stał tam, plecami do niej; skłębiona masa mięśni i mokrego od krwi futra, warcząc zakrwawionym pyskiem, szarpnięciem pozbawiała życia ostatniego z obrońców.

- Darien!

Mężczyzna w szponach Dariena żył dość długo, by krzyknąć, gdy został zrzuty z muru.

Darien odwrócił się w jej stronę z twarzą wykrzywioną w groteskowym, wilczym uśmiechu.

- Wróciłeś do mnie.

- Co ty robisz? Przestań!

- Ja mam przestać? Czy ktokolwiek krzyknął „dość”, gdy wrzucali moją rodzinę w płomienie?

Patrzyła na niego, czując płonący w gardle oddech. Drobny deszcz i mgła ziębiły jej skórę nawet pomimo futra. Głęboko wciągnęła powietrze i poczuła wszechobecność śmierci. Po zapachu wyróżniała krew pięciu, dziesięciu, tuzina zabitych mężczyzn.

- Masz mnie - warknęła do niego. - Nie ma powodu, by to ciągnąć...

- Za to, co mi zrobili... - odpowiedział, oblizując zakrwawiony pysk - za to, co zrobili tobie, muszą zginąć wszyscy mieszkańcy tego miejsca.

Potem Darien skoczył na nią.

\* \* \*

Josef znalazł się na tyłach grupy rycerzy pędzących za potworem w górę schodów i korytarzami donżonu. Z powodu osłabienia wywołanego obrażeniami zostawał coraz bardziej z tyłu. Co mniej więcej pięćdziesiąt kroków musiał się zatrzymać, żeby sprawdzić stan rany i upewnić się, że nie rozerwał jej ponownie. Jednak pomimo silnego bólu nowe szwy wciąż trzymały.

Trzymała jego ranę ściśniętą przez całą noc...

Zmusił się, by o tym nie myśleć. To wszystko było tylko podstępem. Była dzieckiem szatana.

Tylko w takim razie dlaczego wciąż żył? I dlaczego minął tuzin kobiet i mężczyzn, wszystkich w panice, ale nietkniętych?

Dlaczego uciekała?

Była dzieckiem szatana, a jednak nosiła srebrny krzyż. Nazywała się chrześcijanką.

Dogonił wreszcie braci zakonnych, stojących przy sklepionym wyjściu, przez które wiatr niósł chłodny, mokry deszcz, zapach krwi i wilcze odgłosy. Zobaczył, jak dwaj bracia wychodzą na zewnątrz z mieczami uniesionymi do ciosu, w chwili gdy niski, chrapliwy głos obwieścił:

- Muszą zginąć wszyscy mieszkańcy tego miejsca.

Rycerze nie zdążyli użyć swojej broni. Przed wejściem przemknęła żółta plama i jeden z nich krzyknął, a potem został przerzucony nad parapetem muru i spadł na ziemię. Drugi, silnie pchnięty do tyłu przez drzwi, padał, rozrzucając na boki braci zakonnych, i gdy zatrzymał się u stóp Josefa, skierował ku niemu jedną połowę twarzy, którą zachował. Josef schylił się i wyjął z drgającej jeszcze ręki trupa srebrny miecz, po czym wyprostował się i zobaczył, jak rozproszeni współbracia próbują odtworzyć szereg przed drzwiami.

Nawet uzbrojeni w srebrną broń w starciu z umazanym krwią demonem znajdowali się na niekorzystnej pozycji. Stał ledwie krok za progiem, blokując słabe, dochodzące z zewnątrz światło. Wejście zaprojektowano tak, by możliwa była jego obrona w przypadku wtargnięcia przeciwnika na mury, więc było niższe od tkwiącej za nim wilczej postaci. Mógł przez nie atakować jeden rycerz, ale zwięźenie uniemożliwiało cięcie z zamachu, a szarża na tego

stwora z mieczem skierowanym do przodu byłaby samobójstwem, nawet ze srebrną bronią w ręku.

Stwór miał też dość inteligencji, by wiedzieć, że przekroczenie progu byłoby dla niego wyrokiem śmierci. Wobec sześciu gotowych do ciosu mieczy nawet jego szybkość i siła nie zapobiegłyby zadaniu mu śmiertelnej rany.

Po dwóch sekundach impasu Josef zrozumiał, czemu przeżył do tej pory i dlaczego Bóg go oszczędził. Zmienił chwyt na zabranym poległemu mieczu i krzyknął do braci, by zesłi mu z drogi, po czym zaszarżował na bestię.

\* \* \*

Kiedy Darien na nią skoczył, Maria przykucnęła, spodziewając się, że będzie chciał na niej wyładować swoją niezmierzoną furię. Jednak dał susa przez nią, nieco z boku, i wyładował za jej plecami. Odwróciła się podążając za jego ruchem, i zobaczyła dwóch rycerzy zakonu z mieczami uniesionymi do ciosu w jej plecy.

Darien skoczył między nich. Jedną szponiastą łapą machnął między nogami rycerza, po czym uniósł go w górę i jednym płynnym ruchem przerzucił przez mur. Druga ręka brutalnym ciosem rozszarpała twarz pozostałego rycerza i pchnęła go z potworną siłą z powrotem przez otwarte wyjście.

Pół sekundy później usłyszała z dołu paskudne uderzenie, które uciszyło krzyk spadającego zakonnika.

Upadek wywołał wstrząs w głębi jej brzucha. Widziała już śmierć i skutki bitwy, ale nie wywoływały one mdłości, które poczuła na widok tak nieokiełznanej brutalności. Darien mordował tych ludzi, nie traktując tego poważniej niż polowania na łosia.

Co więcej, traktował ich z mniejszą uwagą.

Cały świat znieruchomiał, tylko jej serce biło jak oszalałe. Darien stanął twarzą w stronę cieni za drzwiami, a jej gwałtownie zaschło w ustach. Jeśli miała stać się tym, czym był on, jak mogła zaprzeczyć twierdzeniu Josefa, że jest bezdusznym demonem?

Dwa słowa wyrwały ją z odrętwienia. Z wnętrza dobiegł ją krzyk Josefa:

- Z drogi!

W reakcji na to Darien rozłożył ręce, jakby na powitanie.

- Dość! - wrzasnęła Maria. Skoczyła na Dariena, rzucając go na podłogę obok drzwi. - Dość tego! - Wbiła szponiaste łapy w jego zakrwawione futro.

Popatrzyła na niego z góry. Warknął, kłapnął szczękami i podwinął pod nią nogi. Jego pazury wbiły się w jej brzuch z potężną siłą. Odrzucił ją i przewrócił, gdy potknęła się o coś.

Osiem równoległych bruzd w jej brzuchu już się zbliżniało, gdy zrywała się na nogi. Szerzej otwarła oczy, widząc, na czym się przewróciła. Spadając do tyłu, powaliła Josefa, który znalazł się teraz między nimi, na kolanach, próbując się podnieść na jednej ręce, bo w drugiej trzymał miecz..

Darien posłał jej spojrzenie pełne wściekłości większej niż nienawiść, którą okazywał Niemcom.

- To ja mówię, kiedy jest dość!

Darien uniósł łapę, by uderzyć Josefa, ale Maria skoczyła na niego ponownie; tym razem rzuciła nim o krenelaż przy zewnętrznej części muru.

Warknął na nią, gdy stali policzek przy policzku, tak że czuła, jak poruszają się jego wargi.

- Głupia. Myślisz, że oni ci okażą miłosierdzie? Właśnie unosi miecz przeciw tobie. - Poderwał się i przetoczyli się na bok, po czym została przyciśnięta do ściany. Znad ramienia Dariena zobaczyła szykującego się do ciosu Josefa.

Gdy jego miecz zaczął opadać, Maria pchnęła Dariena tak, że znowu się przeturlali, a miecz minął głowę Dariena i uderzył w cegły, nie czyniąc nikomu szkody.

*Proszę, Josef...*

- Utną twoją głowę równie chętnie jak moją. - Znowu zepchnął ją z siebie, tym razem z tak dużą siłą, że plecami uderzyła o mur, zanim jej stopy dotknęły ziemi.

W tej chwili Josef zamachnął się do kolejnego ciosu na Dariena. Wilkowaty stwór szybko odsunął się z drogi i Maria zobaczyła, jak otwierają się szczęki Dariena, gotowe do zatrzęsnięcia się na nieosłoniętej szyi Josefa.

\* \* \*

W chaosie bólu, warknięć, krwi i sierści Josef zdawał sobie sprawę tylko z jednego: potwór o czarnym futrze to Maria. Cokolwiek innego wiedział albo wydawało mu się, że wie, czarny wilkowaty demon wciąż był nią.

Wciąż był kobietą, którą pokochał.

Ta wiedza powstrzymała jego rękę, gdy odsłoniła się w walce, jednak gdy tylko wilczur ją odepchnął, Josef nie wahał się ani chwili - potwór o złotym futrze niewątpliwie stanowił ucieleśnienie szatana, wyposażone w szpony i kły.

Tylko że jego cios za późno spadł z wielką siłą na ścianę. Poczul to uderzenie w brzuchu. Zamachnął się ponownie i miecz znowu zgrzytnął o mur w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa potwora. Jego ręce wciąż wykonywały nieskuteczne ruchy, gdy



wtem poczuł śmierdzący oddech z boku szyi. Kątem oka zobaczył otwartą paszczę i wąski język.

Coś niewidocznego uderzyło go w plecy, wytrącając mu z ręki miecz.

Padając na mokrą od krwi podłogę, usłyszał, jak zatrząskują się nad nim szatańskie szczęki. Próbował się przetoczyć i podnieść, ale jego pierś przygniotła potężna czarna łapa, przyciskając go do ziemi.

Maria przykucnęła nad nim, naprzeciw większego wilka, na niemożliwie wielkich wilczych nogach, wykrzywiając pysk w przeraźliwym warknięciu.

- Nie waż się brać tego, co moje, suko!
- On nie jest twój. Przynajmniej jeśli chcesz mnie.
- Ty jesteś moja!

Charczenie przybrało na sile, a słowa, które wypowiedziała, ledwie brzmiały jak ludzkie:

- Tylko jeśli ja tak powiem, Darien.
- Nie możesz mi się w ten sposób sprzeciwiać!

- Możesz mieć mnie albo tych ludzi. - Przesunęła się tak, że jej lewa łapa przestała opierać się na piersi Josefa. Przeszła nad nim, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Sięgnął do swojego miecza.

- Odsuń się. - Spowity w złote futro potwór, którego nazwała Darienem, skupił się całkowicie na niej. Niepokojąco, prawie z podnieceniem.

Jej warczący przed chwilą głos stał się teraz niewiele głośniejszy od szeptu.

- Kochasz ich krew tak bardzo, że wolisz ją od mojej? Czy po prostu wątpisz, że zdołasz mnie pokonać?

Darien wy dobył z siebie nieartykułowane wycie. Jeśli kryło się w nim jakiegokolwiek znaczenie, było niesłyszalne dla ludzkich uszu. Maria ruszyła, a Josef przeturlał się, by chwycić miecz. Uniósł broń, ale Maria biegła już wzdłuż muru, oddalając się od niego. Mignęła tuż przed Darienem, jakby drwiąc z niego. Spróbował ją chwycić, ale ruszała się jeszcze szybciej od niego.

Z otwartych drzwi wypadli współbracia Josefa. Jeden z nich, uzbrojony w kuszę, opadł na kolano tuż obok niego. W chwili gdy unosił broń, Maria stanęła na szczycie muru. Josef patrzył, jak kusznik celuje i jego serce znieruchomiało, napinając się jak pokrycie bębna.

Mężczyzna wystrzelił.

Maria skoczyła.

Bełt wbił się w ścianę w miejscu, gdzie stała jeszcze przed chwilą, a Darien skoczył za nią.

Josef rzucił się do ściany i popatrzył w dół, gdzie wylądowały dwa potwory. Ziemia była prawie niewidoczna we mgle, ale przez półprzejrzystą zasłonę szarości zobaczył poruszający się szybko czarny cień, wspinający się na wewnętrzne obwałowanie i znikający między budynkami grodu. Chwilę później jej śladem podążył jaśniejszy cień.

Zobaczył, jak w ich stronę lecą dwa niecelne bełty z kuszy.

Josef oparł się o mur, pozwalając, by jego ciężar podtrzymały cegły o powierzchni zimnej, nierównej i mokrej od deszczu i mgły, w niektórych miejscach lepkie od krwi. W jego ręku luźno spoczywał miecz poległego kompana, drżąc lekko. Josef wpatrywał się w szarą mgłę i modlił do Boga o siłę i mądrość.

*Jeśli oboje są sługami szatana, dlaczego ze sobą walczą?*

Dlaczego ona go uratowała? I nie tylko uratowała jego, ale też odciągnęła potwora Dariena z dala od tego miejsca? Dlaczego nie zabijała jak on?

- Co za dzieła szatana tu się objawiły? - zabrzmiał od drzwi głos Heinricha. Josef nie odwrócił się do niego, bo wątpił, aby zdołał spojrzeć swemu panu w twarz. I tak był tylko w okresie próbnym, wkrótce miał opuścić zakon. Pytania nie skierowano do niego.

Jeden z ocalałych rycerzy zrelacjonował bitwę. Josef słuchał opowieści jednym uchem. Rycerz mówił prawdę, choć jego wersja znacząco podkreślała znaczenie ataku Josefa i pomijała rozmowę wilków.

Być może jednak rycerz po prostu nie usłyszał jej pośród warknięć.

Oczywiście brat Heinrich nie miał problemu z wyjaśnieniem zachowania potworów:

- Dwa demony walczą o to, czyje życie i czyją duszę porwać... I do którego z nich dana dusza należy...

Josef przycisnął rękę do brzucha i spróbował powiedzieć sobie, że odczuwany ból jest wyłącznie skutkiem rany.

Skrzywił się, gdy na jego nagim ramieniu wylądowała czyjaś dłoń.

- Dobrze się spisałeś, bracie Josefie.

Odwrócił się, by spojrzeć na Heinricha i powiedzieć mu, że nie jest już członkiem zakonu, ale powstrzymało go twarde spojrzenie komtura.

- Pójdiesz z nami, przynajmniej ten ostatni raz.

- Gdzie?

- Wyśledzić dom tej nowej bestii.

## XXX

Maria uratowała Josefa od szczęk Dariena, modląc się, żeby jej wiedza na temat serca kochanka okazała się dostateczna. Zaczęła drwić z Dariena, naśmiewać się z niego, podając w wątpliwość jego dominację, co wywoła u niego niemal furję. Niemal podniecenie.

Kiedy skoczyła, nie miała wątpliwości, że pobiegnie za nią.

Jej myśli tak bardzo pozostawały w tyle za czynami, że ziemia pędziła na spotkanie jej stóp, jeszcze zanim w pełni zrozumiała, co robi. Każdy nerw jej ciała krzyczał, że właśnie popełniła samobójstwo.

*Boże, dopomóż* było jedyną modlitwą, na jaką starczyło jej czasu, po czym podciągnęła nogi do góry i zamknęła oczy.

Gdy wylądowała na ziemi na wszystkich czterech kończynach, odniosła wrażenie, że strzaskały się wszystkie długie kości w jej ciele. Z jękiem przetoczyła się na bok, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie tak właśnie się stało. Czuła, jak przemieszcza się jej szkielet, tworząc się na nowo, jak mięśnie przeciągają kości na właściwe pozycje, jak ból eksploduje, a potem znika w uwalniającej ekstazie.

Zdołała się podnieść, w chwili gdy Darien uderzył w ziemię tuż obok.

\* \* \*

Pognał za nią przez wewnętrzny mur i puste uliczki grodu. We mgle miała wrażenie, jakby cała osada rozplywała się w niebycie.

I dla niej tak właśnie było. Dla niej nie będzie tu już powrotu, nie po masakrze spowodowanej przez Dariena.

Wspięła się na zewnętrzne wały z ziemi i belek, przeskakując nad nimi, jakby to było powalone drzewo w lesie. Zatrzymała się na chwilę, przykucnięta na szczycie, by upewnić się, że Darien ją ściga.

Wyłonił się z mgły, pędząc na wszystkich czterech łapach, skupiony wyłącznie na niej. W pierwszej chwili wystraszyła się, że w ciele wilka nie będzie w stanie podążyć za nią na wały,

ale ich wewnętrzna strona była dostatecznie pochyła, a on wspinał się z takim impetem, że nawet na zwierzęcych kończynach zdołał osiągnąć szczyt.

Odczekała, aż jego przednie łapy dotknęły korony wałów, po czym zeskoczyła na drugą stronę. Spadając, odwołała się do wilczej części swojej natury i wylądowała już na czterech łapach. Gdy Darien skoczył za nią, była w pół drogi do lasu.

\* \* \*

Gnała między drzewami, prowadząc w wyścigu stanowiącym mroczne odbicie swawoli, którym oddawała się wraz z Darienem poprzedniego dnia. Las wyglądał jak przedsionek piekieł, spowity zimną mgłą, odzierającą go z blasku i barw, odcinającą wierzchołki drzew i kryjącą świat odległy o więcej niż dwadzieścia kroków. Cokolwiek tu żyło, uciekło lub skryło się w przerażeniu przed pędzącymi przez las demonami. Jedynymi docierającymi do niej dźwiękami były odgłosy łap, dudniących na leśnym dukcie, i ostre dyszenie podczas biegu.

Słyszała go, wyczuwała jego woń tuż za sobą, jego wściekłość. Wiedziała, że w końcu zdoła ją dogonić.

Ale poddała się temu losowi. Należała do jego gatunku i miał rację: ona już mu się oddała. W sercu, gdzie dawna Maria-człowiek wciąż zachowywała kontakt ze swoimi emocjami, czuła że to, co zrobiła, ma swoje nieodwołalne konsekwencje. Jakby była to przysięga między nim a nią, złożona wobec Boga, wiążąca ich ostatecznie.

Zresztą nawet gdyby chciała zerwać tę więź... była to przecież jedyna moc, dzięki której mogła powstrzymać go przed kontynuacją rzezi. Musiała odciągnąć go jak najdalej od tego wszystkiego.

Miała wrażenie, że biegną już wiele godzin, gdy usłyszała za sobą warkotliwe kasznięcie, po którym zabrzmiały wydyszane z wysiłkiem słowa:

- Maria! Stój.

Coś w jego głosie, jakiś ślad rozsądku sprawił, że zwolniła. Spięta się wewnętrznie, spodziewając się, że teraz właśnie ją przewróci.

- Maria... - powtórzył.

Zwolniła jeszcze bardziej i po chwili stanęła, odwracając się w stronę Dariena. Czuła jego wyczerpanie, słyszała, jak dyszy, ale był niewidoczny za przesłoną szarej mgły, otulającej las.

- Należymy do siebie - powiedział, dysząc. - Wiesz o tym...

- Więc skończ z tym zabijaniem!

- Dlaczego, Mario? Dlaczego oni są dla ciebie ważniejsi od łosia, którego zamordowaliśmy?

- To ludzie!
- A jednak zabiliby nas chętnie za to, czym jesteśmy.
- Oczywiście, że chcą cię zabić, Darien! Ilu z nich zamordowałeś?
- Ciebie także chcą zabić.

Maria na chwilę straciła głos, poruszona przerażającą logiką Dariena. Potem nagłe zrozumienie sprawiło, że zapytała go:

- Skąd się tam wziął mój krzyż?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, w której wyraźnie słyszała dyszenie Dariena.

- Powiedz! - warknęła w bezkształtną szarość.
- Musiałś zrozumieć.

Poczuła, jak wzbiera w niej furia.

- Co zrozumieć?
- Wróciłaś do nich! Nie mogłem na to pozwolić.

- Zostawiłaś go tam celowo, żeby zrobić ze mnie w ich oczach morderczynię. - W tej chwili ona też była skłonna do morderstwa.

- Gdyby tylko ludzie dowiedzieli się, czym jesteś, byłabyś skazana na śmierć. Lepiej było, żebyś dowiedziała się teraz, gdy oboje mogliśmy ich ukarać...

- Ty niczego nie rozumiesz! Tylko dlatego, że jacyś ludzie cię skrzywdzili, myślisz, że wszyscy zasługują na ten sam los? Moja ludzka rodzina wiedziała przez cały czas i...

Umilkła.

*Nie zrobiliby tego...*

Oczywiście, że mogli.

Odwróciła się i pobiegła, nie słuchając go już dalej.

Jak długo uciekała przed nim przez las? Godzinę?

Ile czasu ludzie Heinricha potrzebowali na znalezienie jej rodziny?

I jakiej ceny zakon zażąda od kogoś, kto wychował demona?

\* \* \*

Następną godzinę Josef przetrwał niczym w jakimś koszmarnym śnie. Prawie się nie odzywał i poruszał się, jakby jego nogami kierowała jakaś inna osoba. Chwilami wręcz tracił kontakt z otoczeniem. Jego ciało okrywały pożyczona koszula i kaftan, których zakładania zupełnie nie pamiętał. Przy pasie wisiała mu też pochwa, prawdopodobnie pochodząca z tego samego nieznanego źródła. Nie pamiętał zejścia po schodach, ale stał teraz ze swoimi ocalałymi współbraćmi przy bramie prowadzącej z donżonu do grodu.

Mgła nie chciała ustąpić mimo upływu czasu i zimna wilgoć oblepiała go niczym dłonie topielca, ściągając go w stronę nieświadomości. Brat Heinrich rozkazał sprawniejszemu podwładnym otworzyć bramę, gdy jakiś głos zawołał:

- Stać!

Josef odwrócił się powoli, czując jakiś ruch w brzuchu i zastanawiając się niefrasobliwie, z beztroską typową dla rzeczywistości snu: *Czy ja znowu krwawię?*

U wejścia do twierdzy stał Telek na czele masy ludzi ubranych w tabardy ozdobione dziwnymi herbami Polaków: wieloramiennymi krzyżami, podkowami przebitymi przez miecze i strzały oraz innymi, mniej zrozumiałymi symbolami - a wszystkie mieniły się błękitem, czerwienią, złotem i bielą. Było ich przynajmniej czterokrotnie więcej niż Niemców.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Heinrich.

- Poprowadzisz nas do tej bestii! - odkrzyknął Telek.

- Taka jest nasza powinność, rycerzu Teleku Rydzu. Zostaliśmy wezwani do walki z tym sługusem szatana.

- Tak jak mnie wzywa mój stryj... I muszę powiedzieć, bracie Heinrichu, że nie wykazaliście wielkiej wprawy w chwytaniu owego zwierza.

Nawet mimo zalewającej go fali bólu, zmęczenia i dezorientacji, Josef miał dość przytomności umysłu, by zauważyć nacisk, jaki Telek położył na ostatnie słowo.

- Nie ośmielaj się...

- Ośmielać? Nie jesteś w Prusach, pyszny mnichu. Jesteś na naszych ziemiach i jeśli powiemy „odłóżcie broń i zdejmijcie z grzbietów zbroje”, zrobicie to i będziecie wdzięczni za możliwość powrotu boso na własne ziemie.

- Nie masz prawa nam rozkazywać. Wszak księżę...

- Księżę Siemowit rozkazał mi zająć się tą sprawą. Lepiej dla ciebie, żebyś nie próbował podważać mojej władzy.

Heinrich zrobił krok do przodu.

- Chcesz poprowadzić przeciw diabłu swoich ludzi uzbrojonych tylko w stal?

- To zwierzęta jak wszystkie inne, tyle że potrafiące wedle woli udawać człowieka. Podobnie jak inna zwierzyna są śmiertelnie groźne dla ludzi, gdy dzikie i niewyszkolone - powiedział Telek z dziwną intonacją.

Heinrich cofnął się o krok.

- Dobrze zapamiętuję to, co przeczytałem. Poprawnie zacytowałem słowa brata Semyona?

Semyon? Znów to imię.

- Te listy przeznaczone są tylko dla wtajemniczonych. Nie możesz ich zrozumieć!

- Rozumiem, że ten stwór nie jest bardziej demoniczny od wściekłego psa. I według twojego brata Semyona, jeśli odetniemy mu głowę, niezależnie od tego, czy użyjemy do tego srebra, czy nie, załatwi to sprawę. Czy leczy się w gnieniu oka czy nie, człowiek z włócznią powinien utrzymać to na dystans dość długo, by moi ludzie mogli dokończyć dzieła. - Popatrzył ciężko na Heinricha. - A gdzież to zamierzałeś się wybrać?

\* \* \*

Josef podążał za Polakami z włóczniami i toporami bojowymi oraz zakonnikami uzbrojonymi w posrebrzane miecze i kusze. Polacy maszerowali, Niemcy wraz z Telekiem jechali konno. Josef siedział na grzbiecie polskiego rumaka bojowego, zaciskając dłonie na wodzach, i każdy krok wierzchowca wzbudzał fale bólu w jego brzuchu.

Ale przynajmniej ból nie pozwalał mu zasnąć.

Raz próbował zapytać mistrza, kim był Semyon, ale w odpowiedzi usłyszał tylko:

- To brat rycerz zakonny, od dawna nie żyje...

Lakoniczna odpowiedź brata Heinricha podsyciła tylko narastające wątpliwości Josefa. Gdy Maria rzuciła mu wyzwanie, pytając, czy potwory, na które polują, robią coś gorszego, niż mogą robić ludzie, jego odpowiedzią na wszystkie jej pytania było stwierdzenie, że są one bezdusznymi demonami.

Pierwsze wątpliwości pojawiły się, gdy zdał sobie sprawę, że pytała, myśląc o sobie. Teraz, gdy usłyszał wypowiedzi Teleka, wątpliwości stały się równie silne jak wcześniej wiara.

Josef wierzył, że to demony. Wierzył na podstawie słów przełożonych z zakonu i postępków stwora. Teraz Telek dał Josefowi powody, by wątpić w słowa mistrza: potrafił cytować innego rycerza zakonnego, mówiącego o ziemskiej naturze tych stworów, a brat Heinrich nie mógł mu zaprzeczyć.

To nasuwało pytanie o działania bestii i przypominało wątpliwość Marii: czy owe okropieństwa były w istocie gorsze do tego, co potrafili robić ludzie? Widział i słyszał, jak wielkie zło czyniono po wielkiej zaradzie, a palenie żydów w Strasburgu nie było wcale najgorszym z nich.

Gdyby miał sądzić tylko na podstawie działań, jak mógł uznać te bestie za pomiot szatana?

Jak mógł osądzać Marię, skoro jej jedyna zbrodnia polegała na byciu tym czymś?

Jak mógł osądzać jej rodzinę?

Mieszana grupa maszerujących Polaków i jadących wierzchem Niemców zatrzymała się przed chatą rodziny Marii. Jej brat Władysław wyszedł powitać ich, w chwili gdy Telek i Heinrich zsiadali z koni.

Serce Josefa zacisnęło się boleśnie, bo nie widział możliwości pomyślnego zakończenia tej sytuacji.



## XXXI

Darien gonił swoją partnerkę.

Swoją sukę.

Chciał ją trzymać, krzywdzić, wbijać się w nią i przygwaźdzać do ziemi, aż zacznie skomleć z rozkoszy. Powiedział jej - pokazał jej - że nie ma już niczego innego. Był wszystkim, co jej zostało. A mimo to wciąż się od niego odsuwała.

Zawołał ją ponownie, żeby powiedzieć jej o bezużyteczności ludzi. Jak mogli zabić ją tylko z powodu tego, czym jest? Nie słuchała, nie rozumiała, mówiąc tylko o tym, że w oczach ludzi stała się przez niego morderczynią.

*Nie rozumiesz? W ich oczach stałaś się morderczynią, gdy tylko zrzuciłaś z siebie ich brzydką, różową skórę.*

- Ty niczego nie rozumiesz! - zawyła na niego. - Tylko dlatego, że jacyś ludzie cię skrzywdzili, myślisz, że wszyscy zasługują na ten sam los? Moja ludzka rodzina wiedziała przez cały czas i...

- Ja nie rozumiem? - Ledwie potrafił złożyć słowa, czując wściekłość dławiącą go równie mocno jak w twierdzy. Jak mogła tak mówić? Ona, która wychowywała się wśród ludzi, która nigdy nie spała w prawdziwej wilczej jamie, spoczywając na skórach swoich ofiar. Nigdy nie wąchała zapachu spalonych ciał swojej rodziny. Jak mogła?

- Jak śmiesz! - warknął i skoczył na nią, żeby ją powalić i pokazać, jaki czuł ból. Tylko że ona już uciekła...

Wyczuł jej zapach, w którym był strach.

Warknął i znowu pognał jej śladem.

\* \* \*

Dogonił ją; jej czarna sylwetka wyłoniła się nagle z mgły. Stała nieruchomo, nie patrząc na niego. Przygotował się do skoku na nią, kierowany dziwną mieszaniną wściekłości i pożądania, ale coś go powstrzymało. Może strach wyczuwalny w jej zapachu - strach, który

jak sobie uświadomił, nie miał nic wspólnego z nim.

Zwolnił i zobaczył jej napięcie, sierść jeżącą się z przerażenia na karku, jakby wyrosły jej na nim kolce. Mięśnie po bokach miała tak napięte, jakby zostały wykute z kamienia. Jej dolna szczęka zwisała opuszczona w bezdźwięcznym warkocie. Stała, patrząc do przodu, ignorując go.

Podbiegając do niej, ponownie poczuł wzbierającą na nowo wściekłość, gdy zdał sobie sprawę, gdzie są. To był las otaczający chatę, w której trzymano ją jako człowieka. Czy zawsze już będzie tu wracać? Czy zawsze będzie szukać tych ludzkich łańcuchów, by znowu dać się związać? Jak mogła nie rozumieć, czym byli?

Powinien chwycić ją za kark i zmusić, by to sobie uświadomiła...

W tej chwili zobaczył chatę Marii i zrozumiał, że choć raz los mu sprzyjał.

Przed budynkiem stało około dwudziestu ludzi.

Dowódca Niemców krzychał coś do towarzyszącego mu zwalistego polskiego rycerza. Gestykulował z ożywieniem, wskazując na kobietę stojącą między rycerzami. Darien poczuł, jak jego wargi wykrzywają się w czymś w rodzaju uśmiechu. Nie mógł sobie wymarzyć bardziej oczywistej demonstracji.

Zwłaszcza że gdy kobieta coś powiedziała, Niemiec uderzył ją wierzchem dłoni, tak że upadła na kolana. Maria cofnęła się, jakby siła ciosu dotarła aż do niej.

Darien odezwał się do niej warkotliwym szeptem:

- Teraz widzisz? Nie potrafia cię znieść. Jesteś drapieżnikiem, a oni ofiarami.

- Nie - powiedziała głosem drżącym i przechodzącym w błagalny szept. - Moi rodzice mnie kochali.

- Widzisz, jak zwraca się przeciwko nim nawet ich własny gatunek?

Niemiec wyciągnął sztylet i przyłożył go do gardła jednego z chłopców. Krzyknął na kobietę, żądając, by przyznała się do swoich grzechów i powiedziała, gdzie jest Maria.

- To dlatego musimy zabić ich wszystkich - warknął Darien.

Ale ona już go nie słuchała. Ruszyła z miejsca, przemieniając się po drodze, i Darien w milczeniu patrzył, jak jego satysfakcja powoli zmienia się w przerażenie.

\* \* \*

Zamierzali skrzywdzić jej rodzinę. Zamarła, gdy zobaczyła, jak Heinrich wykrzykuje pytania do jej matki. Obserwowana scena do tego stopnia ją oszołomiła, że prawie nie mogła oddychać.

- Gdzie jest ten potwór? - wrzeszczał do niej. - Gdzie jest ta sługa szatana, którą

ukrywałaś?

- Moja córka nie jest żadnym potworem.

Heinrich uderzył jej matkę, a Marią wstrząsnęła siła ciosu. *Czy to ja to uczyniłam?*

Darien stał obok niej, szepcząc, że jest drapieżcą, zabójcą. Potworem.

Chciała temu zaprzeczyć. Nie była Luciną, pragnącą sprowadzać śmierć i cierpienie. Jej rodzice ją kochali, niezależnie od jej pochodzenia.

Heinrich chwycił Władysława za rękę i pociągnął do przodu, przystawiając mu szyję do gardła.

- Wszyscy jesteście współwinni ukrywania tej rzeczy! Mam ci zademonstrować powagę moich zarzutów? Przyznaj się, że ukrywałaś tego demona...

Darien szepnął, że muszą zabić ich wszystkich.

Ona jest drapieżnikiem, oni to jej ofiary. Widząc Niemca trzymającego jej brata, mogła bez problemu wyobrazić sobie, jak jej szczęki zaciskają się na gardle Heinricha. Mogła rozerwać jego brzuch i pożreć jeszcze ciepłe wnętrzności.

Mogła zabić ich wszystkich. Powinni zginąć, a celem jej istnienia było ich zabijanie. Wilk w niej przyznał rację Darienowi, podpowiadał, że naprawdę pragnęła krwi tych ludzi.

W jej wnętrzu kłębiły się wszystkie te myśli i wiedziała, że jest przeklęta.

Bo skoro Darien miał rację, rację miał też Heinrich. Potwór taki jak ona nie miał swego miejsca pośród dzieł Boga. Josef również miał rację, była pozbawionym duszy demonem, podrzuconym przez piekło, by zwodzić sprawiedliwych.

By zwodzić siebie samą.

Pomodliła się o siłę, choć zdawała sobie sprawę, że w przypadku kogoś takiego jak ona jest to prawdopodobnie bluźnierstwo. Wyszła z lasu, wciągając demonicznego wilka z powrotem w głąb siebie. Kiedy stanęła na drodze kończącej się przed jej domem, odziana była tylko w nagą ludzką skórę.

\* \* \*

Gdyby nie wiedział jeszcze, że coś tu jest naprawdę nie w porządku, Josef zrozumiałby to, gdy matka Marii spojrzała mu w oczy. Mówiąc, że jej córka nie jest demonem, kierowała te słowa do Josefa, choć pytanie zadał jej Heinrich. Jednak jeśli nawet komtur Heinrich zauważył kierunek, w którym się zwracała, nie uznał za stosowne nic z tym zrobić.

Josef rozejrzał się wokół i zobaczył strach w oczach ludzi. Polacy trzymali się z dala od rozniewanego Heinricha, przyglądając się bez choćby cienia sprzeciwu, jak Niemiec przesłuchuje jedną z nich. Nawet Telek nie wyglądał teraz, jakby miał ochotę sprzeciwić się

komturowi.

Josef zastanawiał się, czy wszyscy ulegli temu samemu koszmarnemu paraliżowi, który zawładnął i nim. Kiedy Heinrich uderzył kobietę, Telek w końcu się ruszył.

- Dość tego, bracie Heinrichu.

Josef miał wrażenie, że był jedynym, który usłyszał głos wojewody. Z pewnością nie wyglądało na to, by słowa dotarły do komtura, który przyciągnął do siebie najstarszego syna kobiety i przyłożył mu do gardła sztylet.

Telek się zatrzymał.

- Dość już! Opuść broń, bracie Heinrichu. - Oparł dłoń na rękojeści swojego miecza. - Przekroczyłeś granice swobody, której ci udzieliłem.

Teraz pozostali zdali się wreszcie usłyszeć Teleka. Josef wyczuł przesunięcie uwagi: Niemcy oparli dłonie na broni, Polacy zwrócili się w stronę małej grupki zakonników.

Po ostrzu sztyletu Heinricha spłynęła niewielka kropla krwi.

- Nie pozwolę, by ci wieśniacy ukrywali dzieło szatana!

- Ale to moi wieśniacy. - Telek wyciągnął częściowo miecz, odsłaniając kilka centymetrów głowni. - Chcesz wystawić na próbę moje zobowiązania wobec nich?

- Chcesz sprzeciwić się Bogu wraz z tymi zatwardziałymi grzesznikami?

- Puść chłopaka!

- Ja...

Słowa Heinricha zostały ucięte przez znajomy głos.

- Proszę, puść ich...

Josef odwrócił się w stronę drogi i zobaczył Marię, stojącą na tyle blisko, że widać ją było wśród mgły. Stała na drodze, naga; objęła się rękami z powodu zimna, zachowując pozory skromności. Choć częściowo skrywała ją mgła, widać było, że płakała.

- Nie zrobili niczego złego. Przecież to mnie chcesz dostać, prawda?

Przez kilka uderzeń serca nikt się nie poruszył. Wszyscy patrzyli na błagającą ich młodą kobietę. Nie poruszyli się nawet wolfjegrzy: całe życie w zakonie poświęcali polowaniu na potwory z kłami, szponami, pokryte futrem i obficie umięśnione. Lecz ani razu ich zwierzyna nie podeszła do nich w postaci płaczącej, młodej kobiety, proszącej, by oszczędzili jej rodzinę.

Nawet Heinricha na chwilę wytrąciło to z równowagi.

Jednak tylko na chwilę.

- Nie, Mario, uciekaj! - krzyknęła jej matka równocześnie z rozkazem wykrzyczanym przez Heinricha:

- Ubić ją!

Z dwóch kuszników jeden miał najwyraźniej opory przed zastrzeleniem nagiej kobiety, ale drugi, stojący bliżej Josefa, natychmiast uniósł kuszę do ramienia. Josef chwycił go za rękę, w chwili gdy tamten zwalniał cięciwę broni. Poczł dłonią napięcie mięśni ręki kusznika.

Josef nie był dość szybki. Z nienaturalną wyrazistością zobaczył, jak wystrzelony bełt wbija się w lewe ramię Marii. Srebrny grot błyskawicznie przeszył jej ciało, pozbawione choćby warstwy odzieży, która by go spowolniła. Dziewczyna z krzykiem chwyciła zakrwawioną ranę i opadła na kolana.

A w otaczającym ich lesie rozbrzmiał przerażający skowyt.

\* \* \*

Staneła przed ludźmi z grodu, Niemcami z zakonu krzyżackiego i swoją rodziną. Przypomniała sobie los swej prawdziwej matki, Lucyny, który był jak przekleństwo obciążające jej duszę. Nie było ucieczki przed tym, czym była, ale nie mogła też dołączyć do żadnego krwi Dariena. Wierzyła w Boga, wierzyła w Chrystusa, a to znaczyło, że nie mogła już dłużej wierzyć w swoje zbawienie.

Zrobiła więc to, co mogła: zaferowała sobie sługom Boga, by poświęcić się za grzechy jej rodziny. Zawołała do nich, by przestali, by przyjęli jej ofiarę, ale nikt się nie poruszył.

Potem Heinrich, który wciąż przyciskał sztylet do gardła Władysława, krzyknął, nie bacząc na błagania jej matki, i jeden z Niemców wystrzelił. Jej lewe ramię rozdarł ból. Przez głowę przemknęła jej dziwna myśl, że trafienie bełtem z kuszy powinno przypominać ranę kłutą, a nie miażdżące uderzenie młotem.

Chwyciła ranę, a ból powalił ją na kolana. Ból silniejszy niż ten, który poczuła, kiedy Josef przebił ją swoim mieczem.

Oczywiście - pomyślała. Tamto ostrze nie było zrobione ze srebra.

Usłyszała skowyt Dariena.

- Nie! - krzyknęła. - Zostaw to!

Josef zmagal się z człowiekiem, który ją postrzelił, ale przepelniony cierpieniem wilczy jęk sprawił, że znieruchomiał. Skowyt zabrzmiał niczym głos z samego dnia piekiel, jakby Darien został trafiony tym samym bełtem, który przebił na wylot ramię Marii. Heinrich opuścił w końcu sztylet, trzymany przy szyi Władysława, i zaczął wykrzykiwać rozkazy, zbyt szybko, aby je rozumiała.

A potem las za jej plecami eksplodował. Rozrzucając gałęzie i ściółkę po całej drodze,

Darien wpadł między Polaków, zanim zdążyli unieść broń.

Niemcy spróbowali zaatakować bestię, ale na ich drodze znaleźli się Polacy, którzy zablokowali możliwość walki.

- Nie - wyszeptała Maria, zaciskając zęby z bólu.

Z kłębowa walczących wyrzucony został rycerz ze sterzącym z piersi złamanym drzewcem włóczni. Jakiś Polak padł na ziemię, trzymając się za ramię kończące się na wysokości łokcia. Jeden z pieszych wojów z grodu próbował odciąć głowę bestii toporem, ale Darien chwycił jego szyję w potężne szczęki i oderwał mu głowę kilkoma potężnymi kłapnięciami.

Josef z wyciągniętym mieczem stanął przy matce i braciach Marii, popychając ich z powrotem w stronę chaty, z dala od masakry.

Dziewczyna wstała, wciąż trzymając się za ramię.

Włócznie pękały niczym wykałaczkę i Darien rozrzucał polskich obrońców na boki, by zaatakować wciąż stojących rycerzy zakonu.

- Nie! - krzyknęła.

Srebrny miecz został uniesiony do góry, ale trzymająca go dłoń napotkała wilcze szczęki, które oderwały ją od właściciela jednym zdecydowanym szarpnięciem.

Maria pobiegła.

Heinrich wykrzyczał zawołanie do Boga i zaszarżował na wilczego potwora. Darien uderzył atakującego rycerza na odlew, rozdzierając jego okrycie i rzucając go na wprost zbliżającej się Marii.

Przeskoczyła nad nim i zaatakowała Dariena. Jego złote futro było teraz rdzawe od krwi. Stał przed chatą, górując nad porzucanymi ciałami przeciwników. Ocalali Polacy cofnęli się, opuszczając włócznie, jakby spodziewali się kawaleryjskiej szarży.

Jedynym rycerzem pozostałym w zasięgu Dariena był Josef. Z mieczem w jednej ręce, drugą trzymając się za brzuch, stał między rodziną Marii a bestią. Darien wyciągnął zakrwawioną rękę, by go powalić.

Maria zablokowała uderzenie. Jej wciąż ludzkie ciało było dużo mniejsze od wilczego potwora, ale różnica nie była większa niż podczas polowania na łosia. Zaatakowała go w ten sam sposób, rzucając się na kolano wysuniętej do przodu nogi, co zmusiło go do zgięcia kończyny, tak że przewrócił się w stronę otwartych drzwi chaty. Choć poczuła ból odkształcających się kości i skręcających mięśni, nie miała jeszcze szponów ani kłów, którymi mogłaby go szarpać, jednak gdy Darien padał, usłyszała, jak jego ciało poddaje się własnej masie. Usłyszała pęknięcie ścięgien i trzask kostki ustępującej pod przechylnym na

bok ciałem.

Darien zawył, lądując na podłodze chaty. Szponiasta ręka wystrzeliła w górę, chwytając Marię i wbijając pazury w jej ciało na brzuchu. Dźwignął ją, trzymając łapą ociekającą jej własną krwią. Poczowała oślepiający błysk bólu, gdy pazury przebiły nerkę.

A potem nią rzucił.

Maria poleciała na okno po drugiej stronie chaty, rozbijając ciężkie drewniane okiennice. Poczowała pęknięcie żeber od uderzenia, po czym spadła twarzą do ziemi pośrodku warzywnika.

Ból w żebrach, nerkach i ramieniu pulsował w takt bicia serca. Mięśnie poddały się rytmowi agonii, przesuając się, wędrując pod skórą, nadając kościom nowe kształty.

Dźwignęła się do pionu w spazmie ulgi. Dziurę w ramieniu odczuwała jako jedyny ból, który nie zniknął wraz z wymuszoną przemianą. Zignorowała go.

Stanąła, a z jej pyska wydobył się niski warkot.

Przed sobą zobaczyła braci biegnących wokół domu, zbierających się wokół matki, jakby mogli ją ochronić. Macocha Marii zerknęła w jej stronę i szeroko otwarła oczy. Znieruchomiała. Władysław potknął się o nią i wywrócił na ziemię.

W ciągu tej chwili, kiedy na siebie patrzyły, Maria uświadomiła sobie, że macocha wie, kim ona jest. Niczym jej ojciec, patrzący w oczy Luciny.

Chwilę potem zza rogu chaty wypadł Josef, krzycząc, by uciekali.

A potem spadł na niego Darien.

## XXXII

Josef pospieszył zabrać rodzinę dziewczyny w bezpieczne miejsce, w pamięci wciąż zachowując widok ludzkiej Marii, nagiej i krwawiącej z olbrzymiej rany na ramieniu, trzymającej w miażdżącym uchwycie wykręconą nogę bestii. Ten obraz wciąż miał przed oczami, gdy macocha zatrzymała się tak raptownie, że jej syn się przewrócił.

- Ruszajcie się, do diaska! Szybciej! - krzyknął.

Odwrócił się, by zobaczyć, co ją zatrzymało, i zauważył stojącego za chatą jeszcze jednego potwora.

Maria.

Jej na wpół wilcza, na wpół ludzka postać stała wyprostowana, warcząc cicho. Mgła stłumiła lśnienie jej czarnego futra, wciąż jednak wyraźnie zaznaczała się jej szczupła sylwetka, rozcięta tylko błyskiem zębów w paszczy i blaskiem aż nazbyt ludzkich oczu.

Potem jakiś ciężar gwałtownie przygniótł go do ziemi ze znajomym warkotem. Czuł jego wstrętny oddech na karku i odwrócił się, by zobaczyć, jak zaciskają się na nim szczęki śmierci spowitej złotym futrem.

W tej samej chwili na głowę bestii spadł czarny cień.

Potwór na nim zawył, gdy czarny pysk rozdarł mu żyły na szyi, spryskując Josefa krwią. Stwór uniósł się i zrzucił mniejszego czarnego wilka z szyi. Czarny kształt uderzył w ścianę chaty z siłą wystarczającą do strzaskania kręgosłupa.

Maria uderzyła o ścianę chaty.

Josef sięgnął do miecza i spróbował się zamachnąć na bestię, ale z pozycji, w jakiej leżał, cios nie miał prawie żadnej siły. Pokryta srebrem klinga odbiła się od gęstego futra na bokach bestii, nie zadając żadnej rany poza płytkim rozcięciem. Potwór nawet nie zauważył ataku. Bestia przykucnęła i skoczyła za Marią; rana na szyi, z której jeszcze przed chwilą tryskała krew, już była zagojona.

Wilkowaty stwór wylądował na niej z warczeniem godnym wściekłego Cerbera.



\* \* \*

Maria uderzyła w ścianę swojego byłego domu i poczuła ukłucia bólu towarzyszącego pękaniu kilku kości, głównie na grzbiecie. Ale ból ułatwiał jej myślenie. Jej ciało, dzięki swoim niezwykłym właściwościom, od razu zaczęło naprawiać uszkodzenia, łącząc połamane kości.

Kiedy Darien skoczył za nią, mogła już się na tyle ruszać, by podnieść nogi do góry, rozszarpując mu pazurami brzuch i odpychając go. Podniosła się na nogi, zanim zaatakował ponownie, uskakując przed ugryzieniem. Poczuela jego szpony rozdzierające jej ciało, ale to nie wystarczyło, by ją zatrzymać. Obróciła się i skoczyła mu na plecy, zatapiając szczęki w jego karku, wbijając szpony w boki, by utrzymać się na miejscu.

Jej paszczę wypełniły futro i krew, a zapach rozrywanego ciała stłumił wszelkie inne wonie. Darien wrzasnął i szarpnął się, uderzając nią o ścianę, łamiąc jej kolejne kości. W odpowiedzi tylko głębiej zatopiła kły i szpony.

Otrząsnął się i ruszył w stronę drogi, a ona zaczęła tracić chwyt, w miarę jak jego ciało przesuwało się pod nią. Rozpaczliwie próbowała chwycić go mocniej.

Coś uderzyło ją w udo - potężny cios, który wzbudził eksplozję bólu silniejszego niż po którymkolwiek ataku Dariena. W reakcji na atak jej całe ciało zadrżało i spadła z Dariena na wyściełającą dno lasu warstwę igieł.

Zamrugnęła zdezorientowana, widząc nad sobą drzewa rozdzierające konarami szarą mgłę. Spróbowała wstać, ale jej prawa noga ustąpiła. Spojrzała w dół i zobaczyła tkwiący w udzie bełt z kuszy.

Sięgnęła, by go wyciągnąć, ale wyłoniwszy się z mgły, zaatakował ją Darien, przemieniony w pełnego wilka. Zacisnął szczęki na jej lewym nadgarstku, rozszarpując ciało, po czym odsunął rękę, prawie rozrywając uszkodzone ramię i powalając ją na ziemię.

Maria krzyknęła, uderzając o podłogę. Wyszarpnęła rękę, ledwie zachowała dłoń w jednym kawałku. Przetoczyła się na kolana, a Darien obrócił się i chwycił szczękami jej zraniony bark.

Potworny ból w ramieniu sprawił, że znowu krzyknęła. Chwyciła go, kiedy wdzierał się w jej rozdarte ciało, pozbawiając ją oddechu każdym szarpnięciem głowy.

Zmusiła się do wyprostowania pod nim, pchając w górę, z prawą nogą drżącą pod obciążeniem. Wilcza postać Dariena była dostatecznie potężna, by utrzymać się na jej grzbiecie, nawet gdy wstała. Wbił szpony przednich łap w jej pierś, próbując zmusić ją, by z powrotem zeszła do parteru. Napierał na nią i zaczęła zataczać się do tyłu, aż jej drogę

zablokowało drzewo.

Zakreśliła jej się w głowie i zaczęła podejrzewać, że nawet demony nie mogą bezkarnie utracić całej krwi. Jej lewe ramię opadło przy boku, prawie bezużyteczne, gdyż Darien wgrzyzał się jej w rękę; prawa noga drżała, gotowa w każdej chwili ustąpić.

Prawą ręką, wplecioną w futro na karku Dariena, próbowała odciągnąć jego szczęki, ale nie była w stanie ich rozewrzeć. Bliska utraty przytomności z bólu, spojrzała w dół i zobaczyła podniecenie Dariena, jego nabrzmiąłą kwią i pulsującą męskość, ledwie na odległość dłoni od niej.

Desperacko sięgnęła prawą ręką i chwyciła go za jądra, wbijając szpony w ciało i ściskając.

Całe ciało Dariena zeszywniało, a jego szczęki rozwarły się w bezgłośnym jęku, pozwalając jej wyrwać się z bezlitosnych paści. Jej plecy zaczęły się zsuwać po drzewie śliskim od krwi. Wykreśliła dłoń, starając się, by poczuł ból nie mniejszy niż ona. Kiedy, padając, odsunął się od niej, puściła go, kastrując w fontannie krwi.

Potem pobięła, kulejąc, głębiej w las.

Wiedziała, że dojdzie do siebie po tym okaleczeniu, tak samo jak ozdrowiał po ranie, którą wygryzła mu w szyi.

Dyszała, kuśtykając przez upiornie szary las. Została potwornie okaleczona. Darien ważył dużo więcej od niej i był silniejszy. Jej jedyną przewagą nad nim była szybkość, ale i tego atutu pozbawił ją pocisk wbity w udo. A jednak musiała go jakoś powstrzymać, inaczej będzie wciąż zabijał i zabijał...

Już dwa razy udało się jej odwrócić jego uwagę, skupić ją na sobie, ale to nie mogło trwać w nieskończoność. Wiedziała, że kiedy dogoni ją następnym razem, zabije ją albo zostawi w takim stanie, że nie będzie mogła w żaden sposób go powstrzymać.

Teraz nie mogła zrobić nic. Nie miała dość siły, by skrócić mu kark, tak jak on robił to od niechcienia atakowanym ludziom.

Za sobą usłyszała skowyt Dariena, a w nim ból i żądzę jej krwi.

Czemu jej rany się nie goiły? Wgrzyzał się w nią i rozrywał szponami, a brutalnie zadane rany nie chciały się zasklepić. Z rozszarpanego ramienia płynęła krew, a jej lewa ręka zwisała bezwładnie, z dłonią ledwie przyczepioną do zmasakrowanego nadgarstka. Lecz żadna z tych ran nie została zadana srebrem. Jedyne obrażenia, które nie powinny się goić, to rana w ramieniu i ten bełt w nodze...

*Dobry Boże, bełt!*

Darien zawył, teraz już bliżej.

Na wpół upadła, na wpół oparła się o drzewo. Srebrny grot tkwiącego w nodze pocisku uniemożliwiał jej ciało gojenie ran. Sięgnęła w dół i drżącą ręką chwyciła drewniany promień pocisku.

Poduszcзки jej na wpół wilczej dłoni były śliskie od krwi Dariena i nie mogła solidnie uchwycić bełtu. Jej dłoń się ześlizgiwała, wywołując potworne fale bólu w nodze, od których upadła na ziemię.

- Proszę, Boże, nie pozwól mi się przez to wykrwawić. - Starła krew z dłoni, pocierając o futro na nodze, i ponownie chwyciła pocisk. Gwałtownie wciągnęła powietrze. - Przynajmniej zanim zdołam to skończyć...

Pociągnęła, wyszarpując bełt. Poczwała, jak pocisk wrywa się z jej ciała z bólem odbijającym się echem w pozostałych ranach, a ramię i ręka zaczęły drżeć, gdy ciało wreszcie zaczęło naprawiać uszkodzenia. Spróbowała dźwignąć się do pionu, ale zraniona noga ustąpiła pod jej ciężarem.

Przetoczyła się na plecy i jęknęła, jakby przez rany w ramieniu i nodze uciekały z niej wszystkie siły. Jakby jej ciało kurczyło się, pozbawione soków. Chwyciła nogę, próbując utrzymać się we własnym cieple.

Jej dłonie zacisnęły się na ranie... na ranie w miękkiej skórze bezwłosego ciała.

- Proszę, Boże, nie - wyszeptała. Zerknęła w dół na siebie i zobaczyła swoje ciało: to samo ludzkie ciało, w którym dorastała. Wilk ją porzucił. - Nie, nie, nie!

Spróbowała dźwignąć się na nogi, próbowała wezwać bestię z powrotem, zanim Darien...

Jakby ta myśl przywołała go z piekła, Darien wyskoczył z mgły - wściekły, nietknięty i pokryty rozmazaną krwią tuzina ludzi. Jego przednie łapy wykrzywiły się niczym szponiaste dłonie chwilę po tym, jak wylądował na niej, boleśnie wgniatając jej nagie ramiona w korzeń drzewa, przyciskając jej ręce do ziemi.

Wbił w nią spojrzenie oczu tkwiących w zniekształconej, wilczej twarzy z futrem na policzkach zmatowiałym od krwi, dysząc paskudnie śmierdzącym oddechem. Krople śliny spływały na jej twarz, szyję i piersi.

- Mario - warknął wilk, wyginając się w dół tak, że jego twarz znalazła się o włos od niej. - To wszystko się skończy.

Szarpała się, napierając na niego rękami i nieuszkodzoną nogą. Jednak nawet gdyby nie była osłabiona, nigdy nie miałaby dość siły, by zrzucić go z siebie.

- Nie masz już gdzie uciekać - wyszeptał jej do ucha, ocierając się o jej policzek posklejanym futrem na pysku. - Moja towarzyszeko, moja suko...

Na nagiej skórze uda poczuła palący dotyk jego odsłoniętej męskości i wrzasnęła na

niego:

- Nie!

Nie w ten sposób, nigdy więcej.

- Nie możesz mi odmawiać - warknął. - Nie masz na to dość siły. Nie masz woli, by mi się przeciwstawić.

Zaparła się o niego nogą, ale przypominało to próbę utrzymania przewracającego się drzewa. Chciała kopnąć go w świeżo odtworzone jądra, ale podeszwa jej stopy ześlizgnęła się po jego wciąż zakrwawionym futrze, a potem potężna łapa przycisnęła jej kostkę do ziemi, unieruchamiając ją.

Chwyił jej twarz, obejmując podbródek, ściskając policzki w obrośniętej futrem, na wpół wilczej dłoni.

- Podoba ci się ból? - wyszeptał.

Wolną ręką zaczęła okładać go po plecach. Dłoń trzymająca jej twarz zacisnęła się na jej szczękach, uniemożliwiając jej nawet krzyk.

Brutalnie opuścił swój pysk w perwersyjnym pocałunku, równocześnie wciskając się między jej nogi. Okładała go nieskutecznie ręką, aż wyczuła coś leżącego na ziemi obok niej.

Jej dłoń zacisnęła się na bęlcie, w chwili gdy oderwał twarz od niej, równocześnie wbijając się w nią gwałtownie, wręcz ją rozrywając.

- Zawsze miałaś być moja.

- Nie, nie miałam! - Uniosła bełt nad głowę, a jego oczy otwały się szeroko, gdy ostatkiem sił opuściła pocisk, przebijając jego bladobłękitne oko. Broń napotkała jakiś opór, gdy szarpnął ciałem w szoku, potem wysunęła się z jej ręki, gdy gwałtownie odsunął głowę.

Wydawane przez niego dźwięki stały się niespójne: ni to wycie, ni to krzyk, brzmiały jak głos z samego piekła. Szarpnięciem wyrwał bełt z twarzy, zostawiając ciemny, krwawiący krater. I w przeciwieństwie do rany, którą wygryzła mu w szyi, ta się nie goiła.

- Ty... jesteś... moja. - Był to na wpół charkot, na wpół warkot, teraz na tyle wilczy, że bardziej wyobrazila sobie niż usłyszała te słowa. Zadrżał dziwnie i jego prawa ręka zwisła bezwładnie przy boku. Jednak lewą zacisnął na jej gardle, miażdżąc tchawicę i pozbawiając ją oddechu.

- Ty... jesteś... moja... - Krew płynęła strumieniem z rozoranej twarzy, a jego mięśnie drgały nierównomiernie. I kiedy zaczęła tracić świadomość, modliła się, by jej ostatni czyn na ziemi okazał się dla niego śmiertelny.

## XXXIII

Kiedy potwór pobiegł między drzewa, Josef zdołał się podnieść na nogi na czas, by zobaczyć, jak jeden z ocalałych rycerzy zakonu celuje z kuszy.

- Nie! - zawołał. - Możesz trafić...

Mężczyzna nie posłuchał i obawy Josefa potwierdziły się, gdy zobaczył, jak bełt wbija się w udo Marii, po czym oba wilcze stwory znikły między drzewami.

- Moja córka... - załkała matka dziewczyny za jego plecami.

Władysław objął ją i popatrzył na Josefa oskarżającym wzrokiem, ostrzejszym od wszelkich słów.

- Zrobię, co w mojej mocy, by ją uratować - wyszeptał Josef.

Pobiegł w stronę drogi. Kiedy wybiegł przed front chaty, chwyciła go za ramię ręka osłonięta kolczugą.

- Co za głupstwo usiłujesz zrobić?

Odwrócił się i zobaczył przed sobą masywną pierś wojewody Teleka Rydza.

- Chcę spełnić swoją powinność.

Telek machnął głową w stronę drogi.

- Wobec niego? - Kilku trzymających się jeszcze na nogach polskich wojów starało się opatrzyć rany komtura. Żył, ale wyglądał na nieprzytomnego. Josef rozejrzał się wokół i stwierdził, że połowa ludzi była ranna, a spora część z nich ewidentnie martwa. Okazał się jednym z czterech rycerzy zakonnych, którzy uszli z życiem.

- Względem Boga - odpowiedział ostrożnie. - Ślubowałem, że będę chronił niewinnych.

- Nie ma żadnego honoru w samobójstwie, chłopcze.

- A jest coś honorowego w zagradzaniu mi drogi?

- Weź ze sobą kilku ludzi, żeby mieć jakąś szansę stwierdził Telek, opuszczając rękę.

- Nie - odpowiedział Josef. - Nie możesz zostawić tu rannych bez opieki. Zabierzcie ich do chaty, tam będziecie mogli ich bronić. - A potem pobiegł swoją drogą, zanim Telek zdołał go zatrzymać.

- Z Bogiem! - usłyszał słowa pozostawionego za plecami polskiego rycerza.

Niech Bóg pomoże nam wszystkim - pomyślał Josef.

\* \* \*

Biegł wśród drzew, podążając za śladami pozostawionymi w poszyciu przez biegnące bestie. Las był cichy, tylko od czasu do czasu odzywał się demoniczny skowyt, zdający się odbijać echem ze wszystkich stron naraz. Minał okropne miejsca, w którym krew, futro i strzępy ciał zaległy grubą warstwą na ziemi i drzewach.

Z tego miejsca podążał wyraźnym śladem krwi, a wycia stawały się coraz głośniejsze, wydawane z coraz większą pasją i coraz straszniejsze.

Najgorsze jednak było to, że usłyszał ludzki głos - głos Marii - krzyczący „Nie!”. Po nim zabrzmiało coś, co musiało być głosem samego szatana, który zstąpił na ziemię - pełen bólu, szalony skowyt, brzmiący tak, jakby z wydającej go istoty zrywano ciało.

Wypadł spośród drzew, trafiając na iście piekielne sceny, i prawie sam zawył.

Futro bestii było czerwone i czarne od zakrzepłej krwi i rozsmarowanych po całym ciele strzępów tkanki. Potwór warczał, stojąc ze zwróconą do Josefa lewą stroną twarzy, zdominowaną przez pusty, krwawiący oczodół. W ogóle nie zwrócił na Josefa uwagi. Nie widząc go, skupiał się na drobnej białej postaci pod sobą.

Potwór klęczał nad bezwładnym, ludzkim ciałem Marii, potwornie ją gwałcąc i zaciskając jedną łapę wokół jej szyi. Dusił ją, wbijając głowę dziewczyny w ziemię.

Josef nie potrafił znaleźć w sobie dość sił, by krzyknąć. Zamiast tego ruszył naprzód, uniósł srebrny miecz i opuścił go na kark bestii.

Nie miał jednak dość siły ani impetu, by uciąć szyję potwora. Zdołał jedynie zadać szeroką ranę, odsłaniając kręgosłup bestii, ale go nie rozrywając. Stwór cofnął się, puszczając ciało Marii, i odwrócił się do niego z groźnym charkotem, ciągnąc prawą nogę i unosząc przeciw niemu lewą rękę.

Połowa jego twarzy była jedną wielką raną. Potwór patrzył na niego tylko jednym, wstrząsająco ludzkim okiem. Lewa połowa jego twarzy, pod wydłubanym okiem, zmieniła się w odsłaniający kły uśmiech, który mógłby zmrozić samą śmierć.

Potem stwór skoczył na niego - szybciej niż człowiek, pomimo tak potwornych okaleczeń. Jedyne, co Josef mógł zrobić, to skierować w stronę bestii czubek swojego miecza, który został mu natychmiast wyrwany z siłą wystarczającą do złamania nadgarstka.

Przerazające szczęki rozwarły się, by rozszarpać mu gardło. Poczul na skórze zęby i gorący powiew oddechu, śliskość języka dotykającego jego jabłka Adama.

Ale szczęki się nie zacisnęły.

Spojrzał w górę, czując ból w nadgarstku i ramieniu, przygnieciony do ziemi ciężarem potwora. Zapatrzył się w krwawy krater, w którym tkwiło oko bestii. Żadnego oddechu, żadnego ruchu. Martwy.

Wciągnął powietrze i zawołał:

- Maria!

*Proszę, Boże, nie pozwól, by odeszła. Proszę...*

- Maria!

Usłyszał jakieś stęknęcie, a potem przygniatające go ciało drgnęło. Przez chwilę poczuł paniczny strach na myśl o tym, że potwór ożywa - ale potem ciężar sturlał się z niego. Wylądował na plecach obok, ze srebrnym mieczem zatopionym głęboko w szyi i czaszce.

Nad nim stała Maria, dysząc ciężko, spocona i zalana krwią. Zachwiała się na zranionej nodze i padła na kolana obok niego.

- Josef - wyszeptała, kładąc dłoń na jego piersi. - Cieszę się, że to ty.

Sięgnął nieuszkodzoną ręką i zacisnął palce na jej dłoni.

Zamknęła oczy i opuściła głowę.

- Proszę, zrób to szybko.

Usiadł, krzywiąc się z powodu bólu w brzuchu i nadgarstku.

- Co mam zrobić szybko?

- Przyszedłeś nas zabić, prawda?

Dotknął jej policzka i odpowiedział łagodnie:

- Jego. Nie ciebie.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego prawie tak, jakby ją obraził.

- Jestem potworem, tak samo jak on. Bezdusznym demonem. Sam tak powiedziałeś.

- Myliłem się.

- Chcesz mnie teraz dręczyć? Wiesz, co mogłam zrobić...

- A co takiego zrobiłaś?

- Mogłam...

- Mario? - Popatrzyła na niego załzawionymi oczami, blada od utraty krwi. - Co takiego zrobiłaś? Ilu ludzi zabiłaś? Ilu zostawiłaś okaleczonych czy umierających?

- Jeszcze nikogo. - Potrząsnęła głową. - Musisz mnie powstrzymać, zanim to zrobię. Zanim stanę się taka jak on.

- Ty nigdy nie będziesz taka jak on.

- Jak możesz tak mówić? Widziałeś, czym jestem.

- Mogę tak mówić, bo widziałem, kim jesteś.

Jej wargi zaczęły drżeć i na wpół pochyliła się, na wpół przewróciła w jego ramiona.

- Nie chcę tego - załkała, gdy obejmował ją zdrową ręką.

- Już po wszystkim - zapewnił Josef. - Potwór nie żyje.

- Ja też jestem potworem. Diabeł wziął mnie w posiadanie.

- Zabiłaś jakichś niewinnych? Wyrzekłaś się Chrystusa?

- Nie, ale ja... ja... oddałam się Darienowi. Wziął mnie, a ja tego chciałam.

Mocniej przycisnęła ją do siebie.

- Czy to gorsze od grzechów innych ludzi?

- Jestem służką diabła.

- Jestem nieuzbrojony...

- Co?

- Prawdziwy sługa szatana zabiłby mnie, korzystając z mojej słabości. Jeśli naprawdę wierzysz, że jesteś zła, jeśli jesteś potworem, czemu ty nie zabijesz mnie?

Odsunęła się od niego i popatrzyła z przerażeniem.

- Nie mogłabym, Josefie.

Uśmiechnął się. Położył palce na jej wargach i zapytał:

- Czy chcesz, żeby Bóg ci wybaczył?

- T... tak.

- A więc tak się stanie.

\* \* \*

Kiedy Josef prowadził ją z powrotem przez las, serce Marii biło jak oszalałe. Wyjaśnił jej, że to konieczne, ale i tak z każdą chwilą czuła strach gęstniejący w niej bardziej niż otaczająca ich mgła. Mówiła sobie, że strach - jakiegokolwiek rodzaju strachu - był teraz niedorzeczny. Przygotowała się na śmierć.

Jednak fakt, że nie umarła, sprawił, że każda chwila od tego momentu stała się bezcenna - chciała je przeżywać tak mocno, jak mocno zaciskała dłoń na zdrowej ręce Josefa.

Znowu był nagi do pasa. Tym razem jego koszula posłużyła do opatrzenia jej ran, a jego tabard z czarnym krzyżem osłaniał jej nagość. Wyszywana głowa czarnego wilka spoczywała na jej lewej piersi, umazana krwią Dariena. Maria wciąż na nią zerkała, czując, że to coś znaczy, ale nie wiedziała, co dokładnie.

Josef nie mógł nic nieść w prawej ręce. Jego nadgarstek nie został złamany, ale uległ silnemu skręceniu, od którego obrzmiał i posiniał. Ponieważ podtrzymywał ją zdrową ręką, to



Maria musiała nieść skórę.

*Skórę Dariena...* Nie całą, ale fragment z jego głowy i twarzy, by udowodnić, że bestia została zabita. Jego futro lepiło się jej do palców tak, że chciała czuć przerażenie z powodu tego, co mu zrobiono, ale nie mogła się zmusić do opłakiwania jego śmierci.

Josef wyprowadził ją z lasu wprost przed rodzinną chatę. Przez chwilę ta scena wydawała się prawie normalna, zanim wyczuła krew, usłyszała krzyki dochodzące z domu i zobaczyła błysk kuszy między niedomkniętymi okiennicami. Stężała, czekając na strzał, ale ktoś w środku krzyknął:

- Stać!

Stała tam z Josefem, czując, jak jej stopy zapadają się w błocie, jak błoto przeciska się między palcami jej stóp.

- Wybacz mi to, co teraz zrobię - wyszeptał nagle Josef.

*Wybaczyłam ci już nawet to, że próbowałeś mnie zabić.*

Mimo wszystko z napięcia zacisnęła dłonie w pięści, wbijając palce jednej dłoni głębiej w śliski skraj futra Dariena, a palce ręki opartej na ramieniu Josefa zaciskając na odłamany kawałek bełtu ze srebrnym grotem.

Niech to się uda - pomodliła się z nadzieją, że Josef miał rację i Bóg wciąż chce jej słuchać.

Otworzyły się drzwi do chaty i ze środka wyłonił się wojewoda Telek z mieczem w ręku. Pomaszerował przed siebie, zatrzymując się kilka kroków przed nimi.

- Już po wszystkim - zawołał Josef. - Potwór zginął. - Dał znak Marii, a dziewczyna rzuciła skórę Dariena pod nogi Teleka.

Potężny mężczyzna szturchnął futro mieczem, po czym uniósł je tak, że w zwisającej z miecza skórze dało się rozpoznać zarys pyska wielkiego wilka. Maria zagryzła wargi, gdyż pusta skóra przypominała jej Dariena.

Telek uniósł trofeum w górę, by mogli je zobaczyć ludzie pozostali w chacie. Maria odniosła wrażenie, że słyszy dobiegający ze środka stłumiony okrzyk radości.

- Odsuń się od niej - rozkazał Telek, wciąż trzymając skórę w górze.

Maria przełknęła ślinę. Nie chciała, żeby Josef poświęcał dla niej cokolwiek więcej, ale zanim zdążyła się odezwać, odpowiedział stanowczo:

- Nie.

- Tu były dwie bestie - zauważył Telek. - Jedna miała jasne futro, druga czarne. Trzymasz tę drugą.

- Mylisz się - odpowiedział Josef. Mówił głośno, jakby w równym stopniu zwracał się do

Teleka jak do ludzi w chacie. - Ta kobieta jest w tym wszystkim niewinna.

- Niewinna? Te stwory mogą udawać ludzi, nawet kobiety. Jej krzyż znaleziono w dłoni zamordowanego chłopca.

- Tak, wojewodo, ale gdzie ona była, gdy go zabijano? Ty sam i brat Heinrich jesteście świadkami tego, że nie jest winna tamtej śmierci.

Telek otworzył usta, by coś powiedzieć, ale najwyraźniej nie miał wcześniej okazji, by się nad tym zastanowić. Potrząsnął głową.

- W takim razie wyjaśnij, jak ów krzyż tam się znalazł.

- Zgubiła go, opatrując moje rany w lesie albo prowadząc mnie z powrotem do grodu. Chłopak musiał znaleźć go przy pracy. I pozwól, że zapytam: czy pomiot szatana, demon ukryty w ludzkiej skórze, spędziłby całe swoje życie, nosząc krzyż wykonany ze srebra? Czy diabeł mógłby sam się związać w ten sposób? Czy potwór stanąłby bezgłośnie i bezbronny wobec tych oskarżeń, gdy ja stoję tu nieuzbrojony, a ty trzymasz w dłoni tylko zwykłą stal?

Telek opuścił miecz i popatrzył na Josefa.

- Może...

- Kłamstwa! - Drzwi otworzyły się gwałtownie i ze środka wytoczył się Heinrich, trzymając w ręku długi posrebrzany miecz. Pół jego twarzy pokrywały bandaż, miał też ciasno owiązaną pierś, ale biegł w ich stronę, jakby był w pełni sił. - Kłamstwa i podstęp! - zawołał.

Telek stanął mu na drodze i opuścił w jego stronę owinięty wilczą skórą miecz.

- Zatrzymaj się i opuść tę broń.

Heinrich zatrzymał się gwałtownie, ale nie opuścił miecza.

- Ta kobieta jest plugawą kusicielką, służką szatana. Sam widziałeś, jak się uleczyła. Widziałeś, jak się przemienia...

- Czy ktokolwiek widział, jak ta dziewczyna przemienia się we wściekłego potwora? - ripostował Josef.

Maria spięła się, spodziewając się, że ktoś zawoła, potwierdzi, że widział, jak przemienia się w bestię o czarnym futrze. Jednak nikt tego nie zrobił.

Heinrich popatrzył Telekowi w twarz.

- Chwyciłeś ją. Musiałeś widzieć.

- Bracie Heinrichu - odezwał się Josef - czy możesz wobec Boga zaświadczyć przeciwko tej kobiecie? Czy możesz powiedzieć, że widziałeś, jak staje się demonem?

Miecz opadł nieco i komtur rozejrzał się wokół, a na części jego twarzy niepokrytej bandażami po raz pierwszy pojawiło się coś w rodzaju niepewności.

- Ktoś musiał to widzieć... - rzucił. Nikt nie odpowiedział.

- Skoczyła, naga i ranna, na tego potwora...

- Potwora, który zagrażał jej rodzinie. I uznajesz to za dowód jej demonicznego charakteru?

- Widziałem, jak goją się jej rany! - wykrzyknął w końcu Heinrich, przywołując jedyny dowód, który mu pozostał.

- Wojewodo Teleku? - zapytał Josef - czy możesz mi pożyczyć zwykły sztylet?

Telek obejrzał się przez ramię, marszcząc i mierzwiąc brwi.

- Proszę... - dodał Josef.

Telek wyciągnął z pochwy przy pasie swój stalowy sztylet. Podał go ręką do przodu Josefowi. Zakonnik spojrział na swój spuchnięty nadgarstek i ponownie zwrócił się do Polaka:

- Może byłbyś tak dobry i zrobił to dla mnie?

- Co zrobił?

- Rozetnij ją.

- Co?

- Weź jej rękę i rozetnij skórę, puszczając krew - wyjaśnił Josef. - Twierdzisz, że to demoniczna bestia. Brat Heinrich uważa, że jeśli jej skórę rozetnie się czymkolwiek poza srebrem, rana zagoi się natychmiast.

Telek potrząsnął głową.

Maria wyciągnęła gołą lewą rękę, drżącą nieco z powodu rany w ramieniu.

- Boisz się, że nie jest tym, za kogo ją uważasz? - zapytał Josef.

Telek obrócił sztylet w lewej dłoni, w prawej wciąż trzymając miecz. Zawahał się przez chwilę, po czym szybko przejechał ostrzem po przedramieniu Marii. Klinga była ostra i ledwie poczuła cięcie, jednak szybko wypełniło się krwią. Rana zaczęła piec, a krew spływała powoli po skórze, kapiąc na ziemię.

Drugą, zdrową dłoń Maria mocno zacisnęła na srebrnym grocie beltu, aż jego czubek wbił się jej w skórę.

Telek wpatrywał się w rozcięcie, które nie chciało się goić.

Heinrich w końcu opuścił miecz.

- Szatan nas zwodził - odezwał się Josef. - Zwodził nas krwią, chaosem i podejrzeniami. Oszukał ciebie, bracie Heinrichu, posługując się twoim własnym gniewem. W tej kobiecie, którą pokochałem, zobaczyłeś kogoś, kto odwodzi mnie od służby - i gniew zaślepił cię tak bardzo, że nie dostrzegłeś, jak sam błędzisz. Szatan doprowadziłby cię do zabicia niewinnej kobiety w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Heinrich skierował ostrze miecza ku ziemi. Popatrzył na Marię i dziewczyna wyczuła, że

komtur nie wierzy słowom Josefa, jednak wyraz jego twarzy zdradzał, że czuje się pokonany i nie wie, jak mógłby jeszcze z nimi walczyć. Widziała, jak bardzo zaczynają mu ciążyć rany, i poczuła dziwne współczucie dla sędziwego zakonnika, gdyż rozumiała, co dzisiaj tutaj utracił.

Telek schował sztylet do pochwy i podszedł do Heinricha, uderzając w jego pierś płazem miecza osłoniętym fragmentem skóry z twarzy Dariena.

- Weź swój łup i opuść me ziemie. - W głosie Teleka nie było słychać współczucia.

- Ale ten czarny wciąż...

- Bracie Heinrichu, bestia o czarnym futrze nie nękała nas, zanim tu przybyłeś. Podejrzewam, że tak samo będzie po twoim odejściu. Przybyłeś tu polować na swojego wilka i dostałeś go.

- Mamy obowiązek polować na wszystkie...

- Z tego, co widzę, możesz wrócić do swojego pana z jedną z dwóch opowieści. Możesz opowiedzieć, jak po wielkich ofiarach znalazłeś swoją zwierzynę i ją pokonałeś, albo wrócić z historią o tym, jak rozłóściłeś mazowieckiego księcia, złamałeś pokój i pozwoliłeś, by tajemnice brata Semyona stały się znane polskim rycerzom. - Przyciągnął miecz do siebie, pozostawiając krwawe trofeum w rękach Heinricha. - Pozwolę ci pomodlić się o mądrość, ale oczekuję, że opuścisz gród Narew przed następnym wschodem słońca.

# KODA

Z grodu przyjechały wozy, by zabrać zabitych i rannych. Zapadł już wieczór, zanim wszyscy odeszli, zostawiając Marię w domu razem z rodziną i Josefem. Matka opatrzyła jej rany - wszystkie oprócz rozcięcia na ręce, które zagoiło się, ledwie puściła ściskany wcześniej w dłoni srebrny grot bełtu.

Zapadła w niespokojny, gorączkowy sen na łóżku jednego z braci. Przez następnych kilka dni jej ciało walczyło z zakażeniem, które wdało się w zadane srebrem rany. Na zmianę traciła i odzyskiwała świadomość, ale Josef zawsze był przy niej, tuż przy pościeli, trzymając ją za rękę, ocierając skroń, opiekując się nią tak, jak wcześniej ona dbała o niego.

W gorączce uznała tę symetrię za kojącą.

Pomyślała, że nie są tak bardzo różni. Łączyło ich to, że ukrywali prawdę - on za czarnym krzyżem zakonu, ona za srebrnym krzyżem otrzymanym od ojca. Jednak teraz, gdy byli już wolni, oboje stracili swoje miejsce w świecie.

Jednak gdy próbowała o tym wszystkim opowiedzieć Josefowi, jej znajomość niemieckiego okazała się niewystarczająca. W odpowiedzi łagodnie odsunął włosy z jej twarzy i powiedział:

- Moje miejsce jest przy twoim boku.

\* \* \*

W chwilach powrotu świadomości była bliska zniechęcenia się za to, z czego musiał zrezygnować z jej powodu, ale nie potrafiła wzbudzić w sobie żalu, że tak uczynił. Podczas jednej z takich chwil odezwała się do niego.

- Ty nie wracasz...

- Mówiłem ci już, że odszedłem z zakonu.

- Przepraszam - wyszeptała, patrząc na niego.

- Gdyby Bóg chciał, abym pozostał mnichem, nie postawiłby ciebie na mojej drodze - odpowiedział tak samo jak wtedy, gdy jeszcze nie wiedział, kim ona naprawdę jest.

Wciąż nie potrafiła pojąć, jak ktoś mógł poświęcić tak wiele dla niej, dla tego, czym była. Jednak choć żałowała tego, co utracił, równocześnie była mu wdzięczna.

\* \* \*

W dniu, w którym jej gorączka ustąpiła, otwarła oczy i nie zobaczyła przy sobie Josefa. Zamiast niego nad jej łóżkiem unosiła się potężna broda wojewody Teleka, na widok której gwałtownie wciągnęła powietrze, jakby zobaczyła ucieleśnienie swoich koszmarów.

Telek zauważył jej reakcję i cofnął się, a ona poczuła, że ktoś ściska jej dłoń. Obróciła głowę i zobaczyła, że Josef wciąż jest obok niej, co pomogło uspokoić jej szalejące serce.

Mimo wszystko z trudem wydobyła z siebie głos.

- Dl... dlaczego? - zdołała w końcu powiedzieć.

Telek uśmiechnął się do niej.

- Wybacz, że zakłócam ci spokój w chorobie, ale przyszedłem wezwać Josefa, zanim książe wyjedzie z grodu.

Zdała sobie sprawę, że przez wzgląd na Josefa mówi po niemiecku.

- Czy coś się stało? Nie rozumiem... - Zaczęła się bać, że chcą przeprowadzić sąd, podczas którego książe wyładuje swój gniew na Niemcach pozostałych na jego ziemiach.

- Książe chciałby wynagrodzić bohatera niedawnych wydarzeń: odwaga i męstwo Josefa zostały poświadczane przez wielu świadków. Trzykrotnie samodzielnie rzucił się na potwora, ostatnim razem wrócił z jego skórą. Niemal nigdy nie praktykuje się nadawania tytułu obcemu, ale rycerstwo zgodziło się z decyzją księcia.

Maria otwarła usta, potem je zamknęła. Nowina, że Josef może zostać wyniesiony do stanu rycerskiego, wypełniła ją mieszaniną radości i strachu. Bóg z pewnością odplacał mu za jego poświęcenia, obdarzając go honorami na Mazowszu. Ale co to znaczyło dla niej? Dla nich?

Popatrzyła na Josefa i wzrok rozmyły jej łyzy.

- To dobra wiadomość, wojewodo.

Josef nie powiedział nic, choć popatrzył na nią tak, jakby chciał powiedzieć „Nie opuszczę cię”.

Jednak w jej sercu zrodziła się wątpliwość. *Może powinieneś.*

- Chciałbym również porozmawiać z tobą, Mario.

Znowu spojrzała na Teleka. Przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy, do jakiego nie była przyzwyczajona u lepszych od siebie. Właściwie patrzył na nią niemal tak samo jak na Heinricha po przekroczeniu rzeki przez rycerzy zakonnych: zarazem ostrożnie i z

szacunkiem, jakby uważał ją za kogoś równego sobie, a nie zwykłą kuchnię.

Musiała źle interpretować to, co rysowało się na jego twarzy.

- Zanim brat Heinrich z ocalałymi braćmi opuścił nasze ziemie, przedstawił swoją sprawę w obecności księcia - choć mu to odradzałem.

Maria gwałtownie wciągnęła powietrze. Telek mówił o niej.

- Mimo wszystko ten człowiek nie ma głowy do polityki i jest tak przekonany o własnej prawości... - Telek pokręcił głową, wykrzywając usta w uśmiechu. - Jego najcięższe oskarżenia sprowadzały się do natury noszonego przez ciebie krzyża.

- Krzyża od ojca? - Dłoń Marii odruchowo powędrowała do pustego miejsca między jej piersiami, jakby mogła chwycić wspomnienie. Oddech uwiązał jej w gardle.

- Widzisz, księżę znał tego rodzaju symbol. Jego ojciec, król Władysław, zamówił tuzin takich srebrnych krzyży i pasujących do nich łańcuszków, rozdając je jako nagrody ludziom służącym pod jego rozkazami, gdy przegnali zakon z powrotem do Torunia ponad dwadzieścia lat temu. Kilka lat później los jednego z tych krzyży stał się źródłem wielu plotek na dworze.

Telek popatrzył na nią, jakby powinna była wiedzieć, o czym mówi. Kiedy cisza przeciągnęła się zbyt długo, wypełniona tylko biciem jej serca, zapytała cicho:

- Co się stało?

- Jeden z tych ludzi, choć szlachetny w boju, okazał się znacznie mniej szlachetny w domu. Mówi się, że gdy jego żona zachorowała po urodzeniu mu trzeciego syna, wziął do łóża jedną z nowszych służących, ubrany jedynie w krzyż na łańcuszku. Kiedy się obudził, służąca zniknęła wraz z krzyżem i nikt jej nigdy więcej nie widział.

*Och mamo, to dlatego nie było cię w domu tak długo?* Maria poczuła, jak zaczyna ją ogarniać panika. Telek zamierzał oskarżyć jej macochę o przestępstwo popełnione z powodu Marii. Nie mogła znieść myśli...

- Oczywiście - rzucił Telek - mało to prawdopodobne, żeby chodziło o krzyż noszony przez ciebie.

Maria otworzyła już usta, by zapewnić o niewinności macochy i zaoferować siebie do postawienia przed sądem, ale słowa Teleka pozbawiły ją tchu.

Zamiast niej odezwał się Josef.

- Czemu więc opowiadasz o tym teraz, panie? Chcesz po prostu dręczyć kobietę złożoną chorobą?

Telek pokręcił głową.

- Twa troska o nią dobrze o tobie świadczy, Josefie, ale podejrzewam, że sama

dostatecznie dobrze potrafi zadbać o siebie. - Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. - Jak mówiłem księciu, jest wysoce nieprawdopodobne, by twój krucyfiks był właśnie tym z opowieści. Z wielu powodów, z których najważniejszy jest ten, że służąca, która ukradła krzyż, bez wątpienia była Niemką.

*Niemką? To była moja macocha.*

- Powiedziałem księciu, że to, co widziałem, było najprawdopodobniej krzyżem z jakiegoś pospolitego materiału, tyle że starannie wypolerowanego. A ponieważ wspomniany przedmiot zaginął podczas ostatniej bitwy, Heinrich nie mógł przedstawić żadnych cech złotniczych dowodzących pochodzenia tego naszyjnika.

Maria wciąż zaciskała dłoń na piersi, gdzie kiedyś spoczywał jej krzyżyk. Telek przykrył jej dłoń swoją.

Wyczuła coś w jego uchwycie, coś zimnego i metalicznego. Cofnął dłoń i wbił wzrok w jej twarz.

- Naprawdę wielka szkoda, że zaginął...

Krzyż jej ojca - krzyż macochy - leżał teraz na wierzchu jej dłoni. Zabrakło jej słów, zupełnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Teraz to Josef położył dłoń na krzyżu.

- Tak, doprawdy - zwrócił się do Teleka.

- Może was zainteresować wiadomość - dodał Telek - że zakon i Kościół nie zawsze uważały te wilcze stworzenia za dzieło szatana.

- Co masz na myśli, panie? - zapytała Maria.

- Brat Heinrich wozi ze sobą interesującą księgę, do której miałem okazję zajrzeć. Prawdę mówiąc, przez jakiś czas stwory te zaprzęgnięto nawet w służbę Bożą. A przynajmniej w służbę samego zakonu.

Josef wyglądał na wstrząśniętego. Po chwili zapytał:

- To był ten brat Semyon, o którym mówiłeś do mojego komtura?

Telek wstał i położył dłoń na ramieniu Josefa, patrząc przy tym na Marię.

- Dla twojego brata Semyona te stwory były równie ziemskiego pochodzenia, co ty i ja. Ale wygląda na to, że próby szkolenia tych stworów przez zakon i wykorzystania ich przyniosły złe owoce, być może dlatego, że istoty myślące jak człowiek próbowali traktować jak zwyczajne zwierzęta.

Maria patrzyła na niego z rosnącym zrozumieniem.

*On wie. On wie, czym jestem.*

- Co chcesz przez to powiedzieć, panie? - zapytał Josef. Słyszała w jego głosie narastające podejrzenie.



Telek zdjął dłoń z ramienia Josefa.

- W tej chwili nie mówię nic ważnego. - Popatrzył na Marię. - Po prostu mam nadzieję, że pomimo twoich nieskrywanych zaręczyn z tym młodzieńcem gród Narew nie zostanie całkowicie pozbawiony twoich usług. Proszę, byś w przyszłości pamiętała o mojej dobrej woli i stosownie ją odwzajemniła.

Maria popatrzyła Telekowi w twarz i kiwnęła głową.

- Zostawię was samych na chwilę. - Obrócił się do Josefa. - Ale tylko na moment, dwór księcia nie powinien czekać.

- On wie, kim jestem - Maria wyszeptała, patrząc, jak wojewoda wychodzi z chaty.

- Podejrzewa.

Maria potrząsnęła głową.

- Nie, on wie. Tak samo jak Heinrich widział, jak goją się moje rany. On wie i on... on...

Josef nachylił się i uciał jej jąkanie pocałunkiem.

- On wie - powiedział, oderwawszy usta od jej warg - że wilk z czarnym futrem był bohaterem w równym stopniu co ja, choć Heinrich był na to ślepy.

Poczuła oszołomienie od jego dotyku, od jego oddechu na twarzy i pomyślała o czymś jeszcze, o czym wspomniał Telek.

Zaręczyny.

Podniosła głowę i go pocałowała, unosząc dłoń, by pogłodzić go po policzku. W końcu podniósł głowę, uśmiechając się.

- Powiedział, że to tylko chwila.

Popatrzyła mu w oczy.

- Wrócisz do mnie?

- Zawsze.

- Ale oni dadzą ci tytuł i ziemię. Nie mam posagu, jestem zwykłą kobietą...

- Kim jak kim, ale zwykłą kobietą to ty, Mario, na pewno nie jesteś. Masz w sobie więcej szlachetności, niż widziałem u kogokolwiek wyższego stanu.

- Jestem też potworem - wyszeptała.

- Nie, nie jesteś - rzucił ostro, jakby ją beształ.

Poczuła, jak serce znowu wali jej w piersi. Sama myśl o tym, że naprawdę mogło mu na niej zależeć, że naprawdę może ją kochać...

- Kiedy wyszliśmy z lasu - nie mogła powstrzymać się przed pytaniem - to, co powiedziałeś przy wojewodzie... Naprawdę tak myślisz?

- Co myślę?

Maria przełknęła ślinę.

- Powiedziałeś: „kobietę, którą kocham”. Naprawdę tak czujesz, nawet wiedząc, czym jestem, czym się staję...

Położył palce na jej wargach i powiedział:

- Przestań zadrećcać się tym, czym jesteś. Kocham cię z powodu tego, kim jesteś.

Przepełniła ją ulga.

- Ja też cię kocham - wyszeptała.

A kiedy wyszedł, by odejść z Telekiem, zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że gdzieś tam jej matka, Lucina, odnalazła spokój.